

80,-

112

Jankowski E. Dzieje ogrodnictwa w Polsce

EDMUND JANKOWSKI

PROFESOR SZKOŁY GŁÓWNEJ GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO
I WOLNEJ WSZECHNICY POLSKIEJ.

**DZIEJE
OGRODNICTWA
W POLSCE**

W ZARYSIE.

WARSZAWA

WYDAWANY PRZEZ
ADEM BANKU DLA HANDLU I PRZEMYSŁU W WARSZAWIE.

1923.

EDMUND JANKOWSKI

PROFESOR SZKOŁY GŁÓWNEJ GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO
I WOLNEJ WSZECHNICY POLSKIEJ.

DZIEJE
OGRODNICTWA
W POLSCE

W ZARYSIE.

WARSZAWA

NAKŁADEM BANKU DLA HANDLU I PRZEMYSŁU.

1923.

D-38/83



Hf

80934

V

T R E Ś Ć

„DZIEJÓW OGRODNICTWA W POLSCE”.

Przedmowa.	Str.
Okres I. Od czasów zamierchłych do Kazimierza Wielkiego	1
Strawa roślinna pierwotnych ludów Polski. Wpływ zakonów na zaszczepienie ogrodnictwa w Polsce. Benedyktyni. Cystersi. Ogrody w miastach średniowiecza. Winnice. Ogród królewski w Łobzowie.	
Okres II. Za Jagiellonów	10
Młodzież polska w uniwersytetach cudzoziemskich zapoznaje się tam z ogrodami. Pokarmy roślinne na dworze, u szlachty i ludu. Książka Krescentyna i jej wpływy. Mikołaj Rej o ogrodach. Bona rozwija i bogaci ogrodnictwo w Polsce. Dziardyny i ogrody włoskie. Wirydarze szlachty. Zielnikarze. Schneberger. Marcin Siennik. Marcin z Urzędowa i jego poglądy na rośliny ogrodowe. Anzelma Gostomskiego „Notaty gospodarskie”. Sady i odmiany owoców, z tej epoki.	
Okres III. Od Stefana Batorego do najazdu szwedzkiego . .	31
Król Batory dba o swe ogrody w Łobzowie Teodora Zawadzkiego „Memoriale oeconomicum”. Opinie o ogrodach polskich Ulricha — Werduma. „Zielnik” Syreniusza. Michał Bojm i Jan Jonston. Ogrodnictwo tego okresu według książki Jana Kazimierza Haura „Ziemiańska generalna oekonomica”. Zygmunt III — lubownik ogrodów. Jarzemskiego opisy ogrodów Wazów w Warszawie. Dwa pierwsze ogrody botaniczne założone przez Ludwikę Marję. Liczne ogrody panów w Warszawie i poza nią. (Radziejów, Prażmów, Ujazd, Kruszyna, Krzepice, Brzeżany, Raj, Nieśwież i t. d.). Ogrody mieszczan. Warzywa i owoce (ich liczne odmiany) i przetwory z nich.	
Okres IV. Za Jana III i Sasów	53
Jan III miłośnik, znawca i założyciel wielu ogrodów. Rośliny przez niego wprowadzone (ziemniaki). Ogrody króla w Złoczowie, Żółkwi, Jaworowie, Podhorcach. Założenie Wilanowa. Ogrody trynitarzy i kapucynów i ich wpływ dodatni na ogrodnictwo polskie. Ogród Krasieńskich. August II zakłada ogród Saski (dzieje tego ogrodu). Ogrody w Młocinach, Posadowie, Krystynopolu. Białystok — „Wersal podlaski”. Ogrody szejmskie szlachty. Dr. Erndtla opisy ogrodów warszawskich. Ogrody warzywne. Przywóz owoców do stolicy i wywóz za granicę.	
Okres V. Czasy Stanisława Augusta	69
Wpływ króla na ogrodnictwo. Łazienki, ich dzieje. Ogrody „familji”. „Na Książęcem”. „Na Górze” w Jabłonnie. Fawory. Powązki. Królikarnia. Opinie cudzoziemców o naszym ogrodnictwie: Bernoulli’ego, Biester’a, Coxe’a. Dowóz owoców obcych. De Rieul’a „O gospodar-	

stwie ziemiańskim w Polsce". Ks. Krzysztof Kluk i jego książki, jako podręczniki ogrodnicze. Instruktarze. Kalendarz ogrodniczy Anny Jabłonowskiej. Nasiona obce i swojskie. Nauczanie ogrodnictwa w szkołach wydziałowych od 1780 r. Programy tego nauczania i podręczniki Krassowskiego i Dziekońskiego. Ogrody botaniczne w Horodnicy (Gilibert) w Krakowie (Scheidt i jego następcy). Szkółki drzew. Krytyka ówczesnego ogrodnictwa polskiego: Ignacy Krasicki, Vautrin, Łoziński.

Okres VI. Po rozbiorach do kongresu wiedeńskiego . . . 99

Zajęcie się szlachty domem i ogrodem. Wybitni miłośnicy ogrodnictwa. Izabela Czartoryska i Puławy. Pisma o nich Koźmianów, E. i G. Milewskiego, Delille'a, Grzegorzewskiej. Rzadkie drzewa puławskie. I. Czartoryskiej „Myśli różne o zakładaniu ogrodów”. Stanisław Wodzicki, jego dzieła i zasługi dla ogrodnictwa rodzimego. Ogrody w Niedźwiedziu. „Dziennik ogrodniczy”. Cetner. Ks. Stan. Jundziłł, jego „Botanika stosowana”. Wacław Borejko — Samostrzały, szkoła dla ogrodników. Szczęsny Potocki. Szkółki i sady w Tulczynie Zofjówka (Metzler). Wielki twórca ogrodów Mikler (Mac Claire) i jego wybitne prace. Ważniejsze ogrody ozdobne z tej epoki: Ursynów, Mokotów, Natolin, Arkadja i Nieborów, Kock, Podzamcze, Klemensów, Opinogóra, Żywiec, Medyka, Łańcut, Krzeszowice, Gołuchów, Kórnik, Szczorse, Peczora, Maków, Michałowka, Niemirów, Antoniny, Białocerkiew. Książki ogrodnicze: „Doświadczony ogrodnik, ks. Ładowskiego „Historja naturalna kraju polskiego”, „Doświadczenia w gospodarstwie”. Odmiany owoców. Kwiaty. M. Morskiej „Zbiór rysunków”. Tak zw. szkoły ogrodnicze. Ks. Wawrzyńca Moraczewskiego wiadomości o ogrodnictwie podolskiem.

Okres VII. Od r. 1815, do likwidacji powstania z r. 1863 . 146

Pogląd ogólny Ogrodnicy ówczesni. Józefa Strumiłły „Ogrody Północne”. „Flora i pomona”. Reicharta „Skarb rolniczy i ogrodniczy”. Książki Zigry. Giżycki i jego dzieła. Michała Szuberta „Opisanie drzew i krzewów”. Michał Czepiński i jego „Powszechne ogrodnictwo”. Ogrody botaniczne: wileński, warszawski i lwowski. Jerzy Alexandrowicz, Hipolit Cybulski i K. Sparmann. Marymont. Wojciech Jastrzębowski — Wystawy. Warzywnictwo. Ogniska: Czarna Wieś, Przybyszew, Wola i Czyste. Warzywnictwo w ogrodach po dworach, u włościan i w klasztorach. Szkółki i sady w różnych prowincjach Polski. Morele, brzoskwinie. Winnice. Odmiany owoców hodowane wtedy. Kwaciarstwo szklarniowe i gruntowe. Zakłady ogrodnicze Ulrichowie, Hoserowie. Bardeci i in. W. Zienkowski i Antoniny. Ogrody ozdobne pod Warszawą, w Klemensowie, Końskich, Sulgostowie, Świdnie, Dęblinie, Gołuchowie, Kórniku, Kwilczu, Romanowie, Dryłowie, Klementowicach, Szpanowie, Mosznach, Czarnym Ostrowiu i wielu in. Ogrody publiczne i zadrzewienia miejskie.

Przedmowa.

Oprócz artykułu Józefa Drège'a, w Wielkiej Encyklopedji, o Ogrodach ozdobnych w Polsce, dobrego, napisanego sumienie, ale z konieczności zbyt treściwego i dalekiego od objęcia całości, nie ma dotąd w naszym piśmiennictwie książki o historii Ogrodnictwa polskiego.

Czuając, jak ważną jest rzeczą świadomość, jak wyglądało dawniej i jak się rozwijało ogrodnictwo nasze, dla jego dalszego rozwoju i poznania jego stron mocnych i słabych, pusiłem się o dokonanie tego przeglądu ¹⁾.

Zadaniu temu nie mogłem sprostać w tym stopniu, w jakim bym pragnął, t. j.: żeby przedstawić obraz zupełny i wszechstronny. Przechodzi ono poprostu siły jednego człowieka, zwłaszcza w późnym już wieku będącego. Przedewszystkiem, do dawniejszych zwłaszcza czasów, mało jest źródeł wogóle, bo kronikarze i historycy ówczesni mało się zajmowali sprawami gospodarsczymi i specjalnościami takimi, jak ogrod-

¹⁾ Pierwszy prezes Tow. naukowego warszawskiego, znamenity historyk Rusi i krajów wschodnich, Al. Jabłonowski, podczas wycieczki Komisji owocowej Tow. ogrodn. warsz., której był członkiem, a ja sekretarzem, w r. 1890 odczytał nam parę wiadomości, podanych przez Z. Glogera, za Długoszem, o Aportach i t. d. W końcu krótkiego przemówienia, zachęcał ogrodników do gromadzenia materiału, podanego przez naszych historyków, dotyczącego gospodarki domowej. Powiedział wreszcie: „powoli nagromadzimy tyle materiału, że będziemy w mocy pokusić się o coś, co by miało zakrój historii ogólnej polskiego sadownictwa”. (Wydrukowałem to przemówienie w „Ogrodniku Polskim” r. 1890 str. 421).

Ale do tego nie przyszło; nawet autor niniejszej pracy nie miał wówczas czasu na podobne szperania. Zabrałem się do nich dopiero w r. 1912, gdyśmy z Piotrem Hoserem zaczęli myśleć o założeniu Wyższej szkoły ogrodniczej, w Warszawie. Historia ogrodnictwa w Polsce, była pożądana jako jeden z przedmiotów wykładowych. Podjąłem się tego zadania i musiałem się do niego możliwie do-
brze przygotować. To jest właściwa pobudka do pracy niniejszej. E. J.

nictwo, a nawet i o rolnictwie ówczesnem bardzo skąpe pozostawili wiadomości. Niemniej, historycy zawodowi, badający stare dokumenty, możeby jeszcze nie jeden szczegół, dla naszego przedmiotu ważny, wydobyć na światło potrafili, gdyby ich te sprawy bliżej obchodziły.

I w tem właśnie tkwi wielka trudność, z którą, pisząc tę książkę, ciągle musieliśmy się porać. Wiadomości o ogrodach i ogrodnictwie naszym, przekazane nam w książkach, nietylko dawnych, ale i późniejszych pisarzy, bliższych naszej epoki, są tylko ogólnikowe i bardzo pobieżne. Podawali je albo ludzie całkiem ogrodnictwu obcy, albo co najwyżej do pewnego stopnia miłośnicy ogrodu. Wykształconych ogrodników polaków, którzyby potrafili o swoim zawodzie należycie pisać, którzyby czuli potrzebę przekazania potomnym, jak wyglądały ogrody w Polsce, nie posiadaliśmy aż do najnowszych czasów. Stąd nawet poważni skądinąd pisarze, są źródłem niezupełnie pewnem, inaczej bowiem sądzi o rzeczy znawca, a inaczej ją widzi i opisuje obcy przedmiotowi lub, nawet choćby lubiący go, dyletant.

Nie ma też prawie, aż do końca w. XVIII, żadnych rysunków i planów ogrodów lub ich części, a te, które są, bardzo słabe o rzeczy dają pojęcie. I tu znów trzeba zaznaczyć, że wykonywali je nieraz artyści nawet, ale nie zdawali sobie sprawy, a może i nie myśleli o tem, że prace ich będą dokumentami historycznymi. Nie przyszło to również na myśl tym, którzy te rysunki u nich nieraz zamawiali.

Nie miała Polska ogrodników, już nie powiedzmy, uczonych, ale nawet dostatecznie nauczonych, którzyby dbali o umiejętny rozwój naszego ogrodnictwa oraz o zachowanie w tym rozwoju ciągłości. Lepszy ogrodnicy, cudzoziemcy, o ile byli, a zdaje się, że lepsi byli bardzo nieliczni, nie dbali o te sprawy lub podobać zadaniu temu nie umieli.

Stan ogrodniczy długo był w Polsce upośledzony, gdy we Włoszech już wielcy mistrze odrodzenia dawali plany i pomysły ogrodów i wykonywali je; gdy w w. XVII Ludwik XIV

uszlachcił swego ogrodnika Le Nôtre'a; gdy Stuartowie w Anglii brali pod królewską opiekę ogrodników i warzywników. Dla tego też w innych krajach powstawały style ogrodnicze, które podbijały Europę, a technika i umiejętność ogrodnicza, we wszystkich działach tej obszernej specjalności, czyniły coraz większe postępy. Samo zaś ogrodnictwo było źródłem dobrobytu tych krajów.

Przez ten czas Polska naśladowała innych, bardzo mało własnego do obcych wzorów dodając. A jednak, w epoce największego rozwoju ogrodów u nas, w końcu XVIII i początku XIX w. ujawniły się pewne pierwiastki, na których można było oprzeć niejako *styl rodzimy*. Droge wskazał gienjalny Mikler, posługując się po mistrzowsku polskim krajobrazem i malując swe obrazy-ogrody zapomocą farb — drzew, które znalazł dziko rosnące w różnych okolicach Rzplitej. Apostołem wytworzenia stylu polskiego w ogrodach ozdobnych, był dopiero zmarły niedawno prof. Marjan Raciborski, słynny botanik. On to wypowiedział ogrodnikom, których w tym celu w Galicji zrzeszył, pogląd, że pomysłów do tworzenia polskich ogrodów strojnych, powinny dostarczyć najpiękniejsze zakątki Ojczyzny naszej i ich flora. Zaliczał do nich Podhale i Tatry, podolskie jary i wzgórza, lasami mieszanymi, liściastymi, cudnie zarosłe, dolinę Prądnika, Pojezierze, i brzegi Bałtyku. Ale te pomysły należą do początków dopiero XX stulecia ¹⁾.

Nie mieliśmy też uczonych siewców, ani gruntownych znawców odmian ogrodowych, więc i odmiany hodowane są przeważnie obce, a o ile są swojskie, wynikiem naturalnego doboru będące, nie są do dziś zgromadzone, ulepszone, a niektóre nawet nie są opisane naukowo.

Pomimo to, trzeba znać stan naszego ogrodnictwa i jego stopniowy rozwój; trzeba wykreślić pod jakimi ono wpływami cudzoziemskimi znajdowało się; jakie spostrzeżenia i doświadczenia przekazało nam, którzy odbudowując Ojczyznę,

¹⁾ Wcześniej od niego, miał już podobne pomysły Giżycki.

znów wolną cudem, z woli Bożej, musimy i ogrodnictwo polskie czempredziej podnieść na poziom, równy temu, na którym ono stoi w wielkich krajach cywilizacji i postępu. Co więcej: musimy się starać oprzeć i w tej dziedzinie na własnej twórczości i zbudować silne ogrodnictwo polskie, o ile na to pozwala nasz klimat, grunt i inne warunki.

W poczuciu tej potrzeby, porwałem się na napisanie tej książki. Jest ona tylko *zarysem* tego, co by dać należało, ale robiąc początek, daję w niej, na co mnie stać, wiedząc, że to jest dalekie od doskonałości.

Mam jednak to przekonanie, że po mnie na to samo pole wyjdą inni, wykształceni ogrodnicy - polacy, których zastęp z każdym rokiem wzrasta. Oni zapewne dopełnią, czego w tej książce brak, i poprawią, co w niej jest mylne lub niedość dokładne.

Doprowadziłem tę pracę do roku 1870. Wkrótce po nim rozpoczyna się *nowa epoka*, bujnego, a wielostronnego rozwoju naszego ogrodnictwa. Lecz zbyt czynny w tej robocie brałem udział osobisty, bym mógł bezstronnie o niej pisać.

I to niech uczynią inni, później.

W końcu wyrażam gorące podziękowanie Edwardowi hr. Krasieńskiemu, który mi pozwolił swobodnie korzystać ze zbiorów Drège'a i biblioteki Krasieńskich oraz p. Helenie Drège'ównie, która mi uprzyścipliła przejrzenie notatek po jej stryju Józefie pozostałych¹⁾. Były one dla mnie nieraz cenną wskazówką, zwłaszcza w poszukiwaniu źródeł do epoki Stanisława Augusta.

AUTOR.

¹⁾ Ś. p. Józef Drège, po ukończeniu gimnazjum, wychowawiec szkoły ogrodniczej warszawskiej, przy ogrodzie pomologicznym, w r. 1882, wysłuchawszy potem kursu przyrody w Sorbonie paryskiej, był jedynym bibliofilem ogrodniczym polskim. Pozostawił po sobie zbiór książek i wycinków z dzieł i gazet przeszło 5000 numerów liczący, obecnie w bibliotece Krasieńskich pomieszczony, tudzież znakomity plan dzieła „O drukach ogrodniczych polskich“, którego jednak, ze szkoda dla nauki, napisać nie zdążył. Plan ten znajduje się w księżnicy Krasieńskich. Księgozbiór Drège'a skatalogował, a przez to dla pracowników w tej dziedzinie uprzyściplił, przedwcześnie zmarły Ignacy Baranowski, dyrektor biblioteki Krasieńskich, sam badacz zasłużony naszej przeszłości.

Sad jest promyczkiem do iakiego podobieństwa rozkosznego raju. W nim się człowiek cieszy, karmi i rekreiuje, melankolię moderuje, serce rozwesela, mózg i głowę posila“.

„Urodzony Jakub Kazimierz Haur“.
Ziemiańska Generalna Oekonomika, r. 1679.

OKRES I.

Od czasów zamierzchłych do Kazimierza Wielkiego.

Przodkowie nasi, rozdzieleni na mnóstwo plemion słowiańskich, należeli do wielkiego szczepu arjów, rozsiedlonego od Indostanu i Iranu, aż po całą niemal Europie.

Ludy te słowiańskie, spokojnego i łagodnego wogóle charakteru, skupione w swych siedzibach, pod wodzą przewodników rodów, trudniły się łowiectwem, pasterstwem, bartnictwem, a stopniowo później, także uprawą roli. Pozbawione żądzy podbojów, przed napastnikami jednak broniły się mężnie. Niemniej wszakże ulegały zdobywcom, lepiej od nich zorganizowanym, uzbrojonym i wyćwiczonym w rzemiośle wojennem.

Tak w VI, VII i VIII wieku zawładnęli niemi normanowie duńscy — lechowie (towarzysze) cz. lachowie, zrzeszeni w drużyny rycerskie, którzy rzekami i jeziorami, na łodziach przenośnych, dotarli do wnętrza kraju, później Wielkopolską nazwanego. Oni to założyli Gniezno i in. warownie, późniejsze miasta; oni wnieśli do pierwotnej Polski (Lechji), organizację i pewnego rodzaju cywilizację, której nabyli w swych licznych podróżach i podbojach, sięgających do Anglii, Francji (Normandja była ich prowincją), a nawet Sycylii¹⁾.

Czy lachowie ci wnieśli do nas także i ulepszone sposoby uprawy pól, a może i ogrodów, niewiadomo, ale byłoby to możliwe, bo w w. IX Danja już posiadała dość liczne sady. Wszelako rycerze ci, wybornie

¹⁾ Szeroko opisał to i poparł dowodami Karol Szajnocha: „Lechicki początek Polski“.

zaprawieni do wojennych forteli i podbojów, mało zapewne mieli czasu i ochoty do poświęcania się takim pokojowym zajęciom, jak rolnictwo i ogrodnictwo.

Dopiero gdy się pojawili książęta, umiejący spajać luźne plemiona i jednoczyć je dla dania odporu wspólnym wrogom, połączeni pod ich berłem: Polanie, Kujawianie, Łęczycanie, Mazowszanie, Słężanie i Wiślanie utworzyli, na schyłku pierwszego tysiąclecia naszej ery, państwo, które miano Polski przybrało.

Kraj ten składał się po części z nieprzebytych borów i lasów, wśród których jedynymi drogami były rzeki; taką była Małopolska i Mazowsze, gdy Wielkopolska i inne okolice pełne były jezior i moczarowatych łąk, a nawet bagien. Zetknięta bliżej z zachodem i skolonizowana wcześniej przez łachów, Wielkopolska, stała się kolebką narodu i przez długi czas przewodniczą w jego cywilizacji.

Zresztą są ślady, że plemiona pierwotne polskie, już w VIII w. prowadziły handel z bogatymi Wendami czyli Wenedami, mającymi stolicę Winetę, n. Bałtykiem (Giżycki sądzi, że to dzisiejszy Usedom), także plemieniem normandzkim. Handel był zamienny, za miód i skóry na wyroby metalowe, może bursztyn i broń, a kupcy słowiańscy z podróży tych nad morze, przywozili też różne wiadomości, może nawet hodowli roślin pożytecznych dotyczące i nasiona. Co się tyczy plemion, żyjących w osadach leśnych, to te nawiedzali kupcy greccy i rzymscy, dążący nad Bałtyk, po bursztyn, tak wysoko w ich krajach ceniony. Jest wielkie prawdopodobieństwo, że przywozili oni z sobą pewne nasiona roślin pożytecznych, więc zbóż, pastewnych, a może i warzyw, cywilizując w ten sposób prostaków słowian. Gdy się zważy jak bardzo ogrodnictwo południowo-wschodnie było rozwinięte już w czasie pobytu na ziemi Zbawiciela; gdy się uwzględni doskonałą już za Cezarów, hodowlę drzew owocowych i warzyw, łatwo takie przypuszczenie przyjąć można, jako z rzeczywistością zgodne.

Ale głównego pokarmu roślinnego, w tem zaraniu przyszłej Polski, dostarczała mieszkańcom przyroda rodzima. Więc na mokradłach zbierano przetakami smaczne ziarno łązawy (manny *Glyceria fluitans*); z głębi stawów dobywano pożywnie nasiona kotwi (*Trapa natans*). Owoce stanowiły gruszki zimostrawki oraz jabłka leśne, suszone na zimę, zarówno jak trzśnie i przemrożone tarki. Jadano też, jak dziś po wsiach, ulegalki, uległe na gromadzie lub upieczone („nie zasypiaj gruszek w popiele“). Leśne owoce, zarówno jak rzepe, pokrajane w kołaczki, suszono na zimę, na wietrze i słońcu. Barszcz robiono z dziko rosnącego barszczu (*Heracleum Sphondylium*), uprawiano prosiankę (*Setaria*), berem zwaną, hodowano oprócz rzepy, drobny szary

i czarny groch oraz bobik (zam. bobu). W pierwotnym ogródku przy chacie siewano dynię i ogórki (z Indostanu) oraz mak patroch¹⁾.

Niemiec Witikind w w. X pisze, że słowianie nawykli do najpodlejszej strawy: jagieł, grochu i owoców leśnych, obok ryb i zwierzyny. Uprawę ziemi zastępowano wypalaniem wysokich rżysk (stąd ugor, od gore) i hurtowaniem bydłem, a uprawnemi niwami były z początku polanki wśród gajów i lasów. Później, gdy ziemi pod uprawę trzeba było więcej, bo ludności przybyło, obdzierano drzewa leśne z kory, a gdy uschły, palono je, jak to jeszcze obecnie czynią nasi wychodźcy w Paranie, z pinjorami (*Araucaria excelsa*); popiół użyźniał przytem ziemię.

Prawdopodobnie znali też wcześniej karpiele (brukiew z Zachod. Europy), cebulę (z Persji i Palestyny, przez Rzym). Na poletkach w pobliżu domostw uprawiano jęczmień, z którego nauczono się robić piwo, napój słowiański, wraz z miodem, z barci leśnych pochodzącym.

U sąsiednich morawian istniały jakieś drzewa owocowe sadzone, bo Niemcy wycinali je podczas wojny, w w. X, mogły więc już być i w połudn. zachod. Polsce.

W każdym razie, z nielicznych z tej epoki wiadomości, znać, że hodowla roślin użytecznych w Polsce znajdowała się w stanie zaczątkowym, aż do sprowadzenia zakonników.

Pierwsi zakonnicy sprowadzeni do Polski przez Bolesława W. z Włoch do Trzemeszna, w r. 1000, byli to kanonicy regularni S. Augustyna, którzy otrzymali 18 wsi (Baliński). Istnieli tam do w. XV, a wpływ ich na rozwój ogrodnictwa musiał być jakiś, bo pod Trzemesznem dużo potem było sadów. Kanonicy laterańscy, osadzeni przez tegoż króla w Czerwińsku n. Wisłą, w r. 1117, a wyposażeni licznymi wsiami p. Bolesława Kędzierzawego w 1161 r. przebywali tam aż do w. XVII. I tu sadów dobrych było potem dosyć.

Ale jak w wielu krajach Zachodu, tak i w Polsce, największe zasługi około krzewienia cywilizacji wogóle, a ogrodnictwa w szczególności położyli benedyktyni. Sprowadził ich Bolesław W. z Monte Cassino do Sieciechowa, w r. 1006 i na S. Krzyż, w 1008, a zaś benedyktynów z Klunjaku (Cluny, pod Paryżem) osadził w Tyńcu, pod Krakowem, nieco później. Dopełniano ich potem przybyszami z Flandrii, a więc przybywali z krajów, w których w owej epoce ogrodnictwo klasztorne było b. rozwinięte i posiadało nawet typ swoisty, ustalony (ogrody wogóle użytkowe: sad, warzywnik i zioła lecznicze). Najważ-

¹⁾ Prof. Józef Rostafiński: „Polska z czasów przedhistorycznych pod względem gospodarczym“.

niejszem ogniskiem kultury stał się Tyniec, którego przełożony zwał się „opatem stu wsi“. Należały doń liczne prepozytury, a między niemi wielce ważna w Sandomierzu, mającym glebę i warunki dla ogrodnictwa odpowiednie. Tam to księża sprowadzili pierwsze lepsze jabłka i gruszki, które potem rozsyłali (w zrazach, czy nawet szczepach może), na Mazowsze i do Prus¹⁾.

Słynęło też opactwo w Lubuszu na Śląsku, z tego czasu, ale benedyktynów wybili tam wkrótce poganie, lecz sprowadził ich znów Kazimierz Odnowiciel w r. 1067 z Włoch, a jednocześnie zasilił tynieckich zakonnikami z Francji. W Wielkopolsce ogniskami światła cywilizacyjnego były opactwa w Lubinie (Lubieniu) od r. 1113 (zakonnicy francuscy), a wcześniej jeszcze, bo od r. 1065, w Mogilnie (z Tyńca). W tych wszystkich miejscach zasłynęły potem ogrody.

Jednym z najważniejszych, z powodu swej pożytecznej działalności, był klasztor w Łędzie, pod Kaliszem, od r. 1113 i niemniej wpływowym klasztor w Winarach, pod Płockiem, od 1115 r. On to posiadał między innymi prepozytury w Rawie i Przybyszewie nad Pilicą. Tu potrafili benedyktyni wytworzyć ognisko hodowli warzyw, słynne i w czasie obecnym.

Jedni z tych pożytecznych, więc słusznie wysoko cenionych zakonników, zakładali i prowadzili pierwsze w Polsce szkoły, jak np. wyższą szkołę (duchowną) w Lubieniu, inni zaś zajmowali się gospodarstwem. Więć wiadomo np., że gdy, do czasu założenia klasztoru na Św. Krzyżu, w okolicy uprawiano tylko trochę żyta i konopi, benedyktyni nauczali porządniej uprawy roli i siewu na niej zbóż różnych, roślin ogrodowych i szczepienia drzew owocowych²⁾. Wprawdzie na Łysicy sady się nie udawały, ale u jej stóp, w Słupi, były i Długosz naliczył tam 500 jabłoni i grusz. Po wsiach, należących do benedyktynów, zakładano sady, z lepszych odmian, niewątpliwie z ojczyny tych zakonników pochodzących. Winnice założyli też benedyktyni włoscy, w Sandomierzu. Że rolnictwa i ogrodnictwa użytkowego uczyli także i wolnych kmieciów, sąsiadów, to jest prawie pewne, gdy się zważy, że reguła zakonna obowiązywała ich, między innymi, także do rozpowszechniania uprawy roli i zakładania ogrodów.

W tych pracach, tak temu, jak i innym pokrewnym zakonom, dopomagała wszędzie jedność kościoła i centralizacja zwierzchniej władzy. Wiadomo, że posyłała ona zakonników z kraju, do kraju, często nawet odległego, gdzie byli potrzebni, a ci nie tylko rozwodzili w ten

¹⁾ Cichocki „*Colloquia Osiecenses*“.

²⁾ X. Gacki: „Klasztor benedyktynów na Łysej Górze“.

sposób wiedzę i wogóle wiadomości, nabyte w ojczyźnie, ale zapewne także nasiona i zrazy odmian szlachetnych, które już istniały w okolicach bardziej ucywilizowanych. Wszędzie też przy klasztorach pozakładali ogródki ziół leczniczych, bo z reguły zajmowali się leczeniem chorych. Przewano je w Polsce „aptekami“, a są ślady, że taka apteka istniała i przy Św. Krzyżu, na szczycie góry.

Drugim zaś zakonem współczesnym, działającym z pożytkiem dla polskiego rolnictwa i ogrodnictwa, byli cystersi. Ponieważ nie trudnili się nauczaniem, więc poza nabożeństwem, mieli więcej czasu i możliwości do zajmowania się gospodarstwem, w obszernych, nadanych im dobrach. Zaprowadzili też w nich lepszą uprawę roli, szlachetniejsze rasy zwierząt, pozakładali liczne ogrody, pasieki i rybniki i mieli nawet dość liczne wytwórnie sukiennicze, z własnej wełny. Najważniejsze klasztory cystersów były w Łądzie (Lendzie), o 3 mile od Kalisza, dokąd ich sprowadził, z Kolonji, Mieczysław Stary w 1145 r. Przyniesli tedy z sobą umiejętność ogrodniczą z czasów po Karolu W. Bardzo wpływowe i znamienite opactwa w Sulejowie i w Oliwie pod Gdańskiem, powstały w r. 1170. Najdawniejsze przecież było w Brzeżnicy, pod Jędrzejowem (dziś w mieście samem); tam sprowadził ich Janisław, biskup wrocławski, z Marimond w Burgundji, w r. 1140. Ci Niemcy i Francuzi założyli ogrody, których ślady przetrwały do naszych czasów.

Na Śląsku znów zasłynęło opactwo Lubiąskie, dokąd z klasztoru Porta, w Miśnji (Łużyce), opat Florenty przywiózł w r. 1175 wielkie jabłka, zwane z tego powodu daporami (Aportami), bardzo, aż do naszych czasów rozpowszechniane. Wspominają o tem Kremer i Bielski. Inne zakony z tej epoki, jak i nieco późniejsze, albo uprawiały ogrody zamknięte, nie stykając się z ludnością, jak kartuzi, albo też żyły z jałmużny i same mało uprawiały, jak zakonnicy reguły Ś. Franciszka. Napady Mongołów w r. 1240 i 1259, zniszczyły te początki kultury. Klasztory ograbiono, zakonników wycięto w pień, drogocenne rękopisy, w których może znajdowały się też pewniejsze wiadomości i o stanie ogrodnictwa ówczesnego w Polsce, spalono. Pastwą pożarów stały się też i zamki drewniane (wyłącznie) i ogrody zamkowe, zresztą pewno nieliczne, a także sioła z sadami i nawet mnogie miasta.

Że jakieś ogrody znajdowały się i przy chatkach wolnych wówczas jeszcze kmieciów, cz. jak ich nazwał prof. Szelański „chłopów-dzie-dziców“, tego ślady odnaleźli w dawnych dokumentach prof. Bujak, Marylski i in. Składały się na nie zapewne mały warzywnik i kilka drzew owocowych, w pobliżu klasztorów w odmianach szlachetniejszych.

Co do miast, to powstały one w Polsce w w. XI, ale zniszczone przez Mongołów odbudowały się w w. XIII. Osadzili w nich królowie

i książęta kolonistów niemców, na prawach magdeburskich, wyposażony w przywileje¹⁾. Mieszczanie ci zajmowali się różnymi rzemiosłami i handlem ożywionym, z Niemcami, przez Wrocław, z Węgrami, przez Koszyce i ze Wschodem przez Nowogród i Kafę (Teodozja na Krymie). Temi też drogami mogły się dostawać do Polski różne nasiona, cebulki, kłącza, a może i drzewa owocowe.

W ciasnych, obronnych miastach ogrodów być nie mogło, ale niektóre z nich, na wzór miast średniowiecznych w krajach cywilizowanych, posiadały za murami błonia (prata), jak Kraków. Na szerszych ulicach, przed domami zamożnych mieszczan były maleńkie ogródki, a raczej zagrodki, tak ciasne, że prócz ławy i stołu, było tam miejsce zaledwie na jakiś krzak róży i parę kepek ziół wonnych, lilji i t. p. Ślady tego widzieć można dziś w Gdańsku, na Frauengasse.

O ogrodach książąt, królów i dworzan, z tej epoki, śladów nie ma. Zapewne zastępowały je nieliczne lipy i dęby, przy zamku, może sady owocowe i nieliczne też kwiaty, hodowane przez kobiety; resztę zastępowały bogate, bujne lasy i knieje, a w nich, ulubione łowy, ta odwieczna zabawa możnych.

Natomiast winnic musiało być wtedy dużo i trwały dopóty, dopóki nie zaczęto wyrabiać wszędzie gorzałki, jak słusznie sądzi M. Wiszniewski, a jeszcze więcej, gdy od końca w. XVI sprowadzano dużo wina z Węgier. W każdym razie trwały przez kilka stuleci, z różnym powodzeniem.

Zaprowadzili winnice, czyli jak wtedy mówiono, „zaszczepili“ zakonnicy, zwłaszcza włoscy i francuscy, którzy bez wina obejść się nie mogli, przywykły do niego, od dziecka. Zresztą wino było niezbędne do mszy św. Królowie i książęta świeccy i duchowni, te poczynania popierali, bo i oni chętnie wino pili. To też na Śląsku założono tyle winnic, że aż wino z nich sprzedawali do Niemiec (Baliński). Były winnice u cysterek w Trzebini (dopiero od r. 1203), które trzymały osobnego winiarza (*custos vineae*), a nawet wsie okoliczne oddawały klasztorowi dziesięcinę w winogronach. Dalej słynęły w Wielkopolsce z winnic: Brzegi, Nisa, Oleśnica, Środa i Wrocław (Baliński). Bulla gnieźnieńska wspomina o winnicach, po raz pierwszy w r. 1136, a mówi też o nich (z r. 1143), Mateusz, herbu Cholewa.

Było ich szczególnie wiele w Sandomierzu, w Zawichoście Bolesław Wstydlivy nadał winnicę klaryskom, wraz z ogrodami i rolą, w r. 1257. Istniały dalej w Pyzdrach, Poznaniu, Płocku (od r. 1234),

¹⁾ Wybornie przedstawił dobre i złe strony tego osadnictwa Baliński: „Starożytna Polska“.

o czym wzmiankują Gawarecki i Grochowski i w wielu innych miejscach. To zapewne upoważniło Szajnochę do twierdzenia, że za Kazimierza W. „Polska była krajem winogronowym“. Co do ilości winnic, być może, ale co do jakości, to opierając się na świadectwie Ruggiero'ego i na własnym doświadczeniu, sądzimy, tak, jak St. Wodzicki, że „wino nasze było liche“.

Nie powtarzamy licznych wzmianek o winnicach, bo do wzmianek tylko ograniczają się źródła historyczne, robiąc wyjątek dla nieco obfitszych wiadomości, podanych z dokumentu prof. Tymienieckiego¹⁾. Mianowicie Henryk Sandomierski, nadał w Zagościu, nad dolną Nidą, winnicę joanitom, z dwoma winniczymi: „Domavi i Zabor“, nad którymi przełożonym był winiarz: „*romanus vinearius Barbez*“, prawdopodobnie, jak wnosić można z nazwiska, prowansalczyk. Winnica ta była położona na stoku wzgórz wapiennych, a musiała być dość duża, skoro ją 3 ludzi obrabiało (najmniej 1 ha przestrzeni). Z niej, jak słusznie przypuszcza Tymieniecki, mogli się rozchodzić dalej winiarze, z hodowlą winorośli obznajmieni. Mogli oni nawet stanowić oddzielną klasę pracowników, jak byli w owym czasie pasiecznicy, ptasznicy, rybitwy i inni. Szlachetne krzewy musiały być przywiezione z korzeniami lub jako wici do mnożenia, z południa, co można przypuszczać, gdyż, różne drzewa owocowe, krzewy i nasiona też się stamtąd do nas dostały wprost lub drogą pośrednią, przez Węgry, a potem przez Niemcy.

Zresztą długo jeszcze potem zakładali winnice świeccy panowie. Tak Bonar, za Zygmunta I, miał winnicę w Krakowie, za bramą Ś. Mikołaja, a jeszcze większą (*vineam amplissimam*) w swoich Balicach. U Jana z Tarnowa, wspomniany jest z r. 1543 winiarz Jan Byskupech (Biskupiec?). Miała też Bona winnicę na stromym spadku południowym, pod zamkiem w Czersku, nad Wisłą, w doskonałej wystawie, jak to dziś jeszcze osądzić można, a biskupi krakowscy posiadali dużą winnicę w Wawrzyńcach. Szczątki jej widział Ambroży Grabowski, jeszcze w początku XIX m.

O ogrodach klasztornych ówczesnych zebrał sporo wzmianek Baliński. Istniały tedy liczne sady w Wielkopolsce, w początku w. XIII. Klasztor w Trzebnicy miał osobnego ogrodowego do uprawy warzyw. Liczne sady, zapewne jabłoniowe i gruszkowe były pod Głogowem, Nisą i Wrocławiem, a Węgrzynów (Pflaundorf), słynął ze śliwek. Dużo warzyw, a między nimi cebuli, hodowano pod Prausnitz (Pruśnice?).

Niektórzy panowie, nietylko przy swych siedzibach, ale i we włościach, zakładali sady, jak np. Jarosław Skotnicki, arcybiskup gnieź-

¹⁾ „Majętność książęca w Zagościu w w. XII“.

nieński, a Wawrzyniec, biskup wrocławski, aż popadł w chorobę, od ustawicznego wachania róż, musiał ich więc posiadać b. dużo. Długosz, który to podaje, nadmienia, że od srożej zimy r. 1364 wiele drzew owocowych pomarzło, więc były to już odmiany delikatniejsze, z obcych krajów, bo swojskie są wytrzymałe. Tenże historyk opowiada, że chory, już przed śmiercią, w r. 1370, Kazimierz Wielki, nadużywał owoców; co prawda mogły one być dowożone np. z Węgier, jak z Francji, już w XIV w. dostarczano ich na stół królów angielskich. Zdaniem Długosza były w sadach polskich wtedy wiśnie, śliwy i jabłonie, że zaś Szajnoch¹⁾, badacz sumienny twierdzi, iż „wycinając lasy troskliwie zaszczipiano drzewa owocowe wśród nich rosnące, „więc cała Małopolska napełniła się wonnemi sady“. Sztuki zaś szczepienia nauczyli zakonnicy, więc drzewostan owocowy, stopniowo przez te parę stuleci powiększał się w obu głównych prowincjach państwa.

Mamy też wiadomości o pierwszym, jak się zdaje, ogrodzie ozdobnym. Kazimierz Wielki upodobał sobie wieś Łobzów, pod Krakowem, na pobyt letni i na łowy pobliskie, w r. 1357 wystawił tam zamek i otoczył go ogrodem. Tu wielki budowniczy mocnej, odnowionej Polski, ale zarazem niemały też miłośnik kobiet, chował Rokiczanek, a później Esterkę²⁾. Prawdopodobnie była tam, obok sadu i warzywnika, część ozdobna, t. j. drogi przeprowadzone w lesie, stanowiącym naturalny park. Gdy po śmierci Kazimierza sad łobzowski zniszczał, odnowił go dopiero Batory.

Założył też Kazimierz w Krakowie „ogród królewski“, podtrzymywany przez następców, aż do czasu przeniesienia stolicy do Warszawy. W tym ogrodzie były rybniki (*piscinae*) i zwierzyńiec, od którego zapewne otrzymało nazwę przedmieście, gdzie obecnie browar, na Groblach Żabikowskich, zwany „Ogrody Królewskie“. Potem posiadała ten ogród Bona, a Henryk Walezy często w nim przebywał. Bona utrzymywała tam ogrodnika i winniczego, a wodę do niego sprowadzono rurami drewnianymi z rzeki³⁾. Z tych wzmianek sądzić można, że bardzo pierwotny ogród, potem urządzony był według rad z dzieła Krescentyna.

Więcej wiadomości o ogrodnictwie z tej epoki, może zgromadzą historycy nasi, o ile za przykładem T. Korzona, zechcą, przy swych badaniach dokumentów, zwrócić uwagę i na sprawy gospodarcze kraju. Wiedząc jednak, jak mało się tem zajmują pierwotne kroniki i jak

wszelkie z tej dziedziny wiadomości są skąpe i ogólnikowe, wątpimy, żeby się dało narysować wyraźniejszy obraz.

Polska z tej epoki miała już owoce i warzywa, przynajmniej na potrzebę właścicieli ziemi, a tych było względnie najwięcej. Były to przeważnie owoce z odmian mniej doskonałych, jak zresztą wszędzie, i warzywa najpospolitsze. Niezwykłym zbytkiem były winnice, zaprowadzone przez zakonników i prowadzone przez cudzoziemców, znających się na tej specjalności, od których się i Polacy uczyli. Kwiatów było niewiele, ale róże, a zapewne lilje i wonne zioła, hodowano. Zamiast ogrodów ozdobnych właściwych, służyły mnogie lasy, udzielające przechadzki i polowania. Pospolite, swojskie drzewa przy domach, dawały cień w lecie, a osłonę od wiatru ciągle. O szkółkach drzew nie ma wzmianek. Zapewne brano płonki z lasu i szczepiono je w sadzie, co się dochowało tu i owdzie, zwłaszcza u włościan, aż do czasów obecnych.

Nasiona musiano zbierać własne. Książek traktujących o ogrodnictwie, nie było, zresztą mogły one być tylko w rękopisach i tylko łacińskie, a oprócz duchowieństwa i niewielu piśmiennych, inni czytać ich nie umieliby, gdyby nawet były i w ręce im wpadły.

¹⁾ „Jadwiga i Jagiełło“.

²⁾ Bielski: „Kronika Świata“.

³⁾ Regestry Krakowskie, z r. 1546 i A. Grabowski: „Kraków i jego okolice“.

OKRES II.

Za Jagiellonów.

Do czasu założenia uniwersytetu w Krakowie, przez Kazimierza W. i zaopatrzenie go przez Jadwigę i Jagiełłę, a zarazem powstania i in. szkół, ciemnota w kraju była wielka. Nietylko kobiety, ale i mężczyźni świeccy czytać nawet nie umieli, jak pisze Andrzej Glaber. Wyjątek stanowiła młodzież, sposobiąca się do stanu duchownego; ta uczyła się teologii, już w XII w. w szkołach i uniwersytetach Bononji, Rzymu i Paryża¹⁾. W wieku zaś XIII i XIV tylu było Polaków, uczących się na księży w tych uniwersytetach, że jak mówi T. Czacki, stanowili w każdym z nich osobny „naród“ (*gens*). Można przypuszczać, że młodzież ta wraz z różnymi wiadomościami, przywoziła z tych krajów do Polski, również i upodobanie do ogrodów, które tam już, wcale niepoślednie, istniały, a być może także niektóre nasiona i rośliny uprawiane. Dowodów jednak na to nie mamy.

Wiadomości niejaki o roślinach, które za Jagiełły uprawiano w Polsce, znajdujemy w „Rachunkach dworu“ króla Władysława, pierwszego więc z dynastji Jagiellonów²⁾.

Jadano tedy w Polsce, jak przeważnie i w innych krajach, bardzo dużo mięsa i ryb, ale nigdy razem. Potrawy musiały być tłuste i korzenne, a jak lekceważono wszelkie pożywienie, poza mięsem, widać z ówczesnego aforyzmu: „Ryba—woda, chleb—trawa, jarzyna—perzyna, a mięso — potrawa“. Używano też sytnego grochu (zielony jadła chętnie królowa Jadwiga) i kasz (jagły, owsiana, manna). Jako przyprawy do mięsa i ryb, służyły: anyż, cynamon, imbir, kwiat i gałka

¹⁾ Wiadomości powyższe mamy też od Józefa Łukaszewicza: „Historja Szkół w Koronie i W. Ks. Litewskiem“, a pozbiierał je w archiwach.

²⁾ Co ciekawsze wyciągi z nich podał dr. J. Peschke: „Kuchnia polska dawna“.

muszkatułowe, gorczyca, a zwłaszcza rodzyнки i szafran. Te specjały (z łac. *species* — niem. *Spezereien*) kupcy lwowscy nabywali w Kafie, kolonji greckiej nad morzem Czarnem, gdyż Lwów miał na nie przyznany monopol. Później jednak konkurowały z nim Kraków i Wrocław¹⁾.

Ogrodowizn w końcu w. XIV było już dużo. Dla dworu hodowano je w krakowskim „Ogrodzie królowej“ i po folwarkach, można ich jednak było sporo kupić i na targach. Jadano je głównie w dni postne; więc z rybami—buraki, nie gardząc cebulą, chrzanem i czosnkiem, co dostawała też czeladź. Jadano też girsz czyli giersz (*Hipposelinum agreste*), dziś nieznany w kuchni, ale Syreniusz zwał go „wdzięczną, przyjemną jarzyną“.

Kapusty świeżej i kwaszonej używali wszyscy w obfitości, to też hodowano jej dużo, a zaś jarmuż i boczne wypustki, po ściętych głowach kapusty, służyły dla dworu.

W poście jadano dużo kucmerki z ryżem (*Sium Sisarum*), bardziej lubianej, niż marchew (wtedy żółta). W częstem użyciu był pasternak, dodatek do ryb i t. p. Pieruszkę miał dwór własną lub kupną, do zup i ryb; rzepa była w powszechnem użyciu, surowa, warzona lub pieczona w popiele, albo wreszcie wędzona, po staremu, w dymie. Rzodkiew smakowała na surowo, z solą, soczewica stanowiła powszechny pokarm, w poście, a trochę rzeżuchy podniecało apetyt.

Ogórki spożywano surowe lub z owocami i miodem (jak dziś jeszcze na Litwie). Prędko też nauczono się je kwaszyć. Melony kupowano (ślady tego są w „Rachunkach“ z r. 1413), ale nie wiadomo skąd pochodziły i jak je hodowano, bo jeżeli były miejscowe, bez przyspieszników u nas do dojrzewania doprowadzić ich nie można; może je sprowadzano z Węgier?

Owoce często były na stole królewskim, a suszone gruszki i jabłka dostawała nawet czeladź; pochodziły one z sadów królewskich (*propria*), lub kupowano je. Czeresnie dopiero w r. 1404 są wspomniane jako też i wiśnie, zwane „wesne“. Figi, jako przyprawę, kupowano w Krakowie, koszt po 3 grzywny, w r. 1394, a funt po skoju (około 1 fr. złot.). Niewątpliwie były to figi przywożone, bo o ich hodowli w odpowiednich budynkach wzmianek nie ma, a wogóle jest ona znacznie późniejsza. Gruszki z jabłkami i orzechami podawano b. często, do obiadu i wieczerzy, kupując je każdorazowo dla dworu. Najczęściej podawano jabłka kupne dla króla, gdy na stoły podrzędniejsze (dworzan), słyż jabłka, pochodzące z sadów królewskich, zatem gorsze odmiany. Suszu używano w poście.

¹⁾ St. Kutrzeba: „Handel Krakowa w wiekach średnich“.

Migdały kosztowały w Krakowie kopę groszy kamień (t. j. 50 fr. za 10 kg.). Orzechy jadano w poście, po rybach, a „Rachunki“ wymieniają raz *nucis gallicae* (może włoskie?). O poziomkach raz tylko jest wzmianka, nabyto ich za 3 grosze (12½ fr.) dla panien dworskich. Nie wiadomo, czy to były poziomki leśne, czy już może ogrodowe. Jest wzmianka z r. 1394, że śliwki z gruszkami i orzechami podawano często dla królowej Jadwigi. Że zam. cukru do owoców używano miodu, dowodzi, że kamień cukru kosztował w r. 1395 aż 12 grzywien (około 600 fr.), gdy barci było dużo wszędzie po lasach.

Pomijamy ciekawe wiadomości o piwie¹⁾ i o winie, które było i własne, bo go w r. 1389 przywieziono na zamek w Korczynie, z Zagóścia „3 ósemki“ (tj. 27 garncy) 23 października. Z nich 2 ósemki wypito przy stole królewskim i rozdano dworskim, a trzecią król podarował Drogoszowi, sędziemu krakowskiemu. Pozatem jednak „Rachunki“ wspominają tylko o winach kupnych, czerwonych i białych, zagranicznych; były tam: austriackie, francuskie, węgierskie, nawet greckie, słodkie. Wino zwykle zaprawiano miodem (lub rzadziej cukrem), różnemi korzeniami i ziołami, a nawet jagodami morwy.

Możni ziemianie żyli jak dworzanie królewscy; mniej zamożni, mieszcianie i osiadli kmiecie—jak czeladź zamkowa, więc oprócz dużej ilości mięsa i chleba razowego, jadalі: jagły, groch, kapustę, rzepę. Nawet robotnikom w polu posyłano na obiad baraninę lub wieprzowinę, groch, chleb i piwo. Żyli więc lepiej, niż nasi chłopci przed wojną.

Prawdopodobnie już królowa Jadwiga, z wykrintnego dworu andegaweńskiego przywiozła do Polski wytwory kuchni włoskiej, więc na jakieś 150 lat przed Boną. A przecież i młodzież, studująca we Włoszech, mogła też przywieźć niejeden przepis kuchenny. Ale nietylko szlachecy, bo nawet synowie mieszczan i chłopów w w. XV, a tembardziej XVI, jeździli na uniwersytety włoskie. Ale od Bony (od 1518) kuchnia włoska na długo zapanowała u nas, owszem przesadzano ją nawet korzeniami.

Potrawy krajowe jednak zostały, tylko sałat i jarzyn przybyło. Z zup (*zuppa*) uznano rosół, ale „żeby zaś wodą lub wiatrem nie śmierdzał“ dodawano doń: pietruszki, kopru, cebuli, czosnku, muszkatu, rozmarynu, pieprzu, grochu, fasoli (lub krup), niekiedy szczawiu lub jagód winnych (kwaśnych, zwanych „agrestem“) i drobno pokrajanych jarzyn. Z tego zapewne powstały, jakby wydzielone z tej zupy uniwersalnej: rosół, szczawiowa, jarzynowa i t. d.

¹⁾ Zob. też E. Majewski: *Roślina i wyraz chmiel* ich pochodzenie i przedhistoryczne znaczenie, r. 1893. Piwo wyrabiano od czasów niepamiętnych w całej słowiańszczyźnie.

Znane też były konfekty różne i słodczyce, a m. in. osobliwy z węgierki (w końcu XVI w.), melonów i t. p.

Oprócz jabłeczniku, wyrabiano z gruszek grusznik (wyborne wino, np. w Szwajcarji obecnej, u nas dziś nieznane)¹⁾.

Do określenia stanu ogrodnictwa za późniejszych Jagiellonów, posłużymy się najlepszymi dokumentami, a są niemi książki, które zaczęto drukować w Polsce w w. XVI i wydano ich wkrótce, stosunkowo, bardzo dużo. Nie ma wśród nich ani jednej wyłącznie ogrodnictwu poświęconej, ale jest pokaźna ilość takich, w których i o tym przedmiocie mówi się to obszerniej, to zwięźle. Nie pisali ich niestety ogrodnicy, tylko dyletanci, mniej lub więcej z hodowlą roślin obznajmieni, często kompilując autorów obcych, zwłaszcza łacińskich i greckich. W każdym razie są one dla nas bardzo cennem źródłem, choć skąpem i nie głębokiem; niejedno bowiem jest podane w tak pobieżnej wzmiance, że z niej trudno stan rzeczy odtworzyć, a domysły łatwo mogą być mylne.

Pomimo to wszystko, głównie z książek tych będziemy musieli czerpać wiedzę o ogrodnictwie, czy rolnictwie ówczesnem, innych bowiem dokumentów, jak obrazy, rysunki, opisy wybitnych przynajmniej ogrodów, zupełnie brak. Stosuje się to i do epok późniejszych, a nawet najnowsza nie obfituje w te dowody, przez oczy do rozumu przemawiające.

Ale przed pojawieniem się druków, były rękopisy cenne, świadczące o ówczesnej umiejętności, lecz wpływu żadnego na postęp mieć nie mogły, jako nieznane i nieczytywane. Do takich należy odnaleziony przez kanon. Polkowskiego w Bibliotece jagiellońskiej, rękopis ks. kanon. Jana Stanko z r. 1472, w którym na 541 stronicach dał zadziwiająco doskonały, na ów czas, spis nazw łacińskich i polskich roślin dzikich i uprawianych tudzież zwierząt, a zwłaszcza ptaków. Rostafiński twierdzi²⁾, że mało równych sobie miała ta książka, w całej ówczesnej Europie.

Wielce ważne było dla polskiego rolnictwa, ogrodnictwa i nauk pokrewnych, dzieło Piotra de Crescenzi, szlachcica tokańskiego, napisane po łacinie, już około r. 1304 (Rostafiński, na mocy porównań), które wyszło w druku we Włoszech, w samym początku w. XVI, a u nas, przetłomaczone, niewiadomo przez kogo, na polski, u Szarfenbergera w Krakowie, w r. 1571, p. t.: „O pomnożeniu i rozkrzewieniu wszelkich pożytków—ksiąg dwanaście“. Zresztą tłumacz (może Andr. Trzeciecki?) nie całe dał dzieło, opuszczając to, co już nazbyt wyraźnie dla polskiego klimatu było nieodpowiednie.

¹⁾ Piszą o tem B. Oczko: *O przymiocie*, a zwłaszcza Siennik, podaje, jak grusznik wyrabiać.

²⁾ „Średniowieczna historia naturalna w Polsce“.

Książka ta stała się popularnym podręcznikiem gospodarczym i rozpowszechniła się, gdyż ślady jej wskazań odnajdujemy u Mikoł. Reya i zielnikarżów. W każdym razie przeszczepiła ona do nas wiadomości ogrodnicze, które odpowiadały stanowi tej nauki we Włoszech, z końca w. XIV, a więc spóźnione były o całe stulecie.

Tu zrobimy uwagę, że może jednak byli tacy, którzy mogli przynieść z obczyzny niezbędne uzupełnienia. Gdy bowiem prawo i medycyna we wszechnicy jagiellońskiej, już w w. XV podupadły, młodzież polska znów musiała szukać nauki w Lipsku, Pradze, Paryżu, a zwłaszcza we Włoszech, gdzie nauczyli się Długosz, Grzegorz z Sanoka, Kopernik, Marcin z Urzędowa i in. A wszak i znakomity polski zielnikarż Schneberger, był w Zurychu uczniem słynnego znawcy roślin, Gesnera.

Książka Krescentyna, jak go po polsku przezwał tłumacz (po łacinie pisał się *Crescentius*), zawiera od księgi II do VII opis ogrodów i roślin użytkowych, a wiadomości w niej, oprócz własnych dostrzeżeń, często trafnych, oparł autor na dziełach Pliniusza Młodszego, Kasjusza, Warona, Paladjusza i Wojciecha Wielkiego, za którym też powtórzył wiele niedorzeczności.

Pomimo to odbija się w niej, jak w zwierciadle, stan rolnictwa i ogrodnictwa włoskiego z w. XIII i XIV. Wtedy już hodowała roślin użytkowych i nawet ozdobnych stała w Italii wyżej, niż w reszcie Europy, mógł więc ten włos, przy swym talencie, być dobrym nauczycielem.

Jakoż istotnie znajdujemy w jego dziele przedewszystkiem wskazania umiejętne o użyciu obornika i in. podobnych nawozów; poleca też nawozy zielone i to rośliny strączkowe, (głównie rzutewkę—*Galega* i lędźwian—*Lathyrus*). Radzi używać, jako nawóz, popiołu, dużą wagę przywiązuje do należytej uprawy ziemi, za pomocą dobrych narzędzi (na owe czasy). Rośliny mają być szczepione tylko na b. pokrewnych, a ze sposobów szczepienia szczególnie poleca kozuchówkę, zna też i zaleca przedplony. W księdze IV wylicza warzywa uprawiane i podaje krótkie wskazówki o ich hodowli. Przytoczmy niektóre. Więc cebule można siać na użytek tegoroczny i na dymkę, a czosnek sadzić. Pietruszka może być siana na jesieni lub na wiosnę. Gdy mowa o burakach i ich uprawie, tłumacz zdradza się ze swym nieuctwem, bo dodaje: „Gruszki na nich szczepione są w naszych stronach kapustnice albo y rzepnice“ (odmian tych dziś w Polsce nie znamy). Banie czyli korbasy (niem. *Kürbiss*), ogórki i cytrule (*Cucumis citrulus?*), „pożywają póki młode y zielone“. Są tu też wspomniane malony (melony) i latuka (sałata), „bez głowy i rzymska“, o głowiastej nic nie mówi.

Szpinak ma być siany jesienią i na wiosnę (jak obecnie), a chrzan sadzony z wierzchołków. U marchwi „połowa sterczy nad ziemią“, zatem miała jeszcze zieloną główkę. W uznaniu jest kucmerka i będzie jeszcze pod koniec w. XVII ¹⁾. U rzodkwi ma się obrywać szeroką *nać*, żeby była słodsza. Brukiew zwie się tu inaczej *napca* (*Brassica napus*), a gorczycę hodowano jako przyprawę do mięsa. Zaznaczmy, że Krescentyn znał pożytki z obsypywania roślin i zalecał je nawet dla bani.

Księgi piąte poświęcone są drzewom płodnym cz. owocowym i wiele tu jest wskazań dobrych. Ale jabłoni może być szczepiona i w gruszę (wiemy, że gdy się to uda, drzewka trwają ledwie lat kilka), a nawet w brzoskwinię! Owoce niektóre mają dochodzić już w lipcu, a tak wczesne odmiany b. nieliczne, znamy od niedawna. Zimowe zaś trzeba zbierać z drabin, *rękami*, (więc słusznie). Radzi drzewa owocowe zasilać „gnojem z popiołem“ (b. dobrze), a nadmiar owoców w lecie zdejmować. Z jabłek, które bywają cierpkie, kwaśne i słodkie, robią jabłecznik.

Z gruszek znowu, Muszkatelki, mają dojrzewać w czerwcu, więc we Włoszech, bo u nas — w lipcu, co stosuje się i do Małgórzałek. Radzi je sadzić co 30 stóp, więc w odległościach, które teraz znów, po wielu próbach, stosujemy. Nalega, żeby drzewa mierzwić, czego długo potem zaniedbywano, a owoce zimowe, zwłaszcza jabłka, przechowywać w plewach. Z gruszek przez gotowanie i wyciśnienie, robi się *juchę* (sos) do potraw.

Śliwy, „drzewo znajome“, mają owoce czarne, zielone i czerwone, te drzewa gnoju nie znoszą. (Przesąd ten powtarzali za nim inni, nawet jeszcze Strumiłło). Mnoży się je z pestek, albo przez szczepienie w brzoskwinię, morele i migdały, (co dobre jest we Włoszech, lecz nie w Polsce).

Wskazówki dotyczące brzoskwiń są dobre na ogół, sięgają jeszcze Paladjusza, ale szczepienie ich na migdałach i to w lutym, w Polsce, jest niemożliwe. Suche gałęzie radzi „obrzezować“, ale niedorzeczne jest wbijanie w drzewo klina z wierzbiny, żeby owoce nie opadały.

Wiśnie są słodkie i kwaśne, a kwaśne „wysoko i prosto wyrastają“, gdy w istocie jest przeciwnie.

Tłumacz mówi, że „wiśnie słodkie, białemi zowiemy“, czy tedy były u nas w tej porze czereśnie ciemnej barwy? I znowu ma się je szczepić w grudniu do lutego, gdy z powodu zimy możemy zaczynać szczepienie rzadko w końcu lutego, a zwykle dopiero w marcu. Tłumacz zatem, widocznie na tych rzeczach się nie znał, bo ich nie dopełnił niezbędnymi poprawkami, których nasz klimat wymagał.

¹⁾ J. Rostafiński poświęcił jej osobną rozprawkę.

W księgach szóstych opisane są „drzewa nieplodne“ t. j. ozdobne. Niedużo ich tu i nie wszystkie (topole, tylko czarna i białodrzew), a za to podane są dęby, u nas wymarzające, włoskie (*Quercus Cerris* i *Q. Illex*). O jaworze i klonie (?) mówi: „jedni zowią *Acer*, a drudzy *Platanus*“, a wszak są to dwa oddzielne rodzaje. Dużo innych tłumacz opuścił, „bo nie są u nas znane“. A szkoda!

Księgi siódme traktują o łąkach, gajach i „wirydarzach“ albo małych ogrodach. O takim ogrodzie ówczesnym (włoski, przed odrodzeniem), daje pojęcie podana w tej książce rycina; musi on odpowiadać pewnym warunkom, które tu podajemy, dlatego, że według wskazań Krescentyna prowadzono u nas ogrody wogóle za ostatnich Jagiellonów. Dowodzi tego opis robót, podany przez Mikołaja Reja w „Żywocie człowieka poczciwego“¹⁾. „Bo gdy przypadnie wiosna, azaż nie rozkosz z żonką, z czeladką po sadkach, po ogródkach sobie chodzić, szczepów naszczepiać, drobne drzewka rozsadzać, niepotrzebne gałązki obcinać, mszyce pozbierać i krzaczki ochędorzyć, okopać, trzaskowiskiem osypać, by chwast około drzew nie rósł... Też gdy młode drzewko rozsadasz, niepotrzebne gałązki precz obrzeż i wierzch, jeśli się wyniosł wysoko. Bo nowo wsadzony korzeń, gdy jeszcze w sobie wilgotności nie ma, gdzie wiele gałęzi na górze, nie może się (właściwie „ich“) wyżywić... To też sobie i wineczko i różyczek możesz przysadzić, bo się łatwo przyjmie. Dostawszy gałęzi winnych, ukopawszy dołek, nasypawszy gnoiu dobrego, a trzaskowisko, połów dwie gałązce na krzyż, środek onych wtłoczywszy w dołek, nadobnie ziemią przyłóż, a końce ku górze wypuść, tedy się bardzo snadnie przyjmie. Chwastu strzeż, bo każdą rzecz zagłuszy“. Są to rady żywcem wzięte z Krescentyna, bo u nas winorośl w ten sposób z trudem można mnożyć, a we włoskim klimacie i tak się przyjmie.

A oto główne wskazania dotyczące, tych ogrodów ozdobnych, według Krescentyna, w których: „ziółka y drzewka rosną wsadzone, aby zielonością swą ludziom czyniły lubość y rozkosz“. Zakładając zaś je: „ziemię oczyścić z korzeni i polać wrzątkiem, by wyniszczyć korzenie (!). Wszystek plac położyć (wyłożyć) darnią subtelney trawy, stosując iedną darń do drugiej (zam. posiać trawy). Maią być nasadzone ziółka rozkoszne y wonne (bazylija, majoran, ruta i in.), tudzież y zioła kwitnące (gwoździki, róża, lilje, kosaćce i in.). Z darnów przegródka podniesiona, ku siedzeniu ludziom, w tyle tej przegródki nasadzić drzew albo macice winney, która ma być rozpięta, dla cienia (więc altana z siedzeniami z darniny). Drzewa maią nie być bardzo gęste. Przy

¹⁾ Doradcą mu zapewne była książka Krescentyna.

tych drzewach nasadzić zioła rozliczne, któreby wonnością y kwiatami lubość czyniły, między niemi ruta, bo gady wygania (dużo ich we Włoszech, ale nie u nas). Między darniem (w trawnikach) nie maią być drzewka sadzone, tylko miejsce wolne, ku przechodzeniu ludziom i ku przewiewaniu wiatrom, a będzie li to można, żeby przez pośrodek szła iaka rzeczka albo potok wody czystey, gdyż takowa czyni lubość y oczom zdrowie“.

Jak dalece jednak tłumacz nie zdawał sobie sprawy ze szkodliwości niektórych rad, dobrych tylko dla kraju gorącego, jak ojczyzna Krescentyna, tego dowodzi ustęp następujący: „Ma też być wirydarz otworzysty od wschodu słońca y od północy, dla czerstwości, ale od południa y zachodu zatworzony, choć wiatr północny owocom szkodzi, ale wirydarze więcej dla lubości siedzenia bywają działane, niżli dla pożytku owocom“. Wiadomo jak włosi bronią się od słońca, którego my nigdy nie mamy za dużo.

W sadzie nasadzonem w prawidłowe rzędy, co 30 do 40 stóp, mają być duże drzewa po brzegach, a małe co 10 stóp w środku, „iako wino, śliwy, brzoskwinie, migdały, morele i inne, lubość z pożytkiem czyniące“, co jest możliwe w Toskanji, lecz nie w Polsce, zresztą „na niektórych miejscach maią być chłodnice (altany) y przechadzki (kryte chodniki) winem albo innemi drzewkami zapuszczone (osłonięte)“.

„A możni wirydarz obmuruią, a od północy zasadzić gay drzew rozlicznych, dla zwierząt, a przy pałacu wirydarz z przechadzką wypisaną inż. Mogą też tu być sadzawice, a rybniki przy pałacu, klatki dla ptaków, a w wirydarzu zaiące i króliki“ (chyba poto, żeby się prędzej drzew owocowych pozbyć, bo je te zwierzęta napewno ogryzą).

„Chłodnice, a letnie siedzenia przy pałacu, nasadzić wierzbami wianami, położyć płatwy, na których gałęzie będą rosły albo na lato nakłaść gałęzi a maiu zielonego (zrobiłyby się z tego prędko szpetne kuczki); ale można te chłodnice robić y z winorośli. To miejsce służy królom y panom na odpoczynek, gdy dosyć uczyni sprawom, które powinien pełnić z urzędu, aby tak czasem odpoczywał, chwalać Boga nawyższego, który iest początek y sprawca wszelkiej lubości y rozkoszy“.

Zatem było to pomieszczenie sadu z ogrodem ozdobnym, założonym z wielką prostotą i ubóstwem pomysłów. Taki ogród miał jednak tę zaletę, że każdy go mógł założyć bez wielkiego trudu i kosztu, kto miał ziemię i trochę drzew pod ręką. Nawet winorośl do ocieniania altan i chłodników mogła się nadawać, choć nie dawała gron dojrzałych najczęściej i nadmarzała w niejedną zimę, aż do śniegu. Ale potem, na wiosnę, ze zdrowej części przykorzeniowej odbijała i w lecie znów mogła całe rusztowanie altany pokrywać.



Zwierzyńce owe, a zwłaszcza ptaszarnie i rybniki, były stosowane u narodów starożytnych, nawet u egipcjan, persów, potem rzymian, arabów i in., a później we Włoszech.

Niemniej silny wpływ wywarło ogrodnictwo włoskie na polskie, niemal od początku w. XVI, za pośrednictwem Bony i jej dworu. Ponieważ zjechała ona do Polski w r. 1518, więc przywiozła wiele z tego, co włosi w ogrodach posiadali, czasu odrodzenia. Ta zabiegliwa dla siebie i b. gospodarna księżniczka, wychowana na wykwiśniętym i bogatym dworze medjolańskim, z sobą przywiozła nie tylko przymioty i wady ludzi odrodzenia, ich ogładę i upodobanie do sztuki, ich przepych i zabiegliwość o dostatki, ale także ich intrygi, przewrotność, mściwość i lubieżność. Jej liczny dwór składał się z różnych urzędników i specjalistów. Między nimi kucharze wprowadzili wiele potraw włoskich do kuchni polskiej, a ogrodnicy, na ich potrzeby, zaczęli hodować rośliny, dotąd wcale lub mało znane. Wiele należało tu „włoszczyzny”: pietruszka natkowa, koper włoski, pory, selery, kapusta (sabaudzka) włoska i niektóre sałaty (rzymska), trybulka, szalotka (zapewne), a dalej kalarepa (*caulorapa*), kalafjory, a nawet pomidory (po mi d'oro), mało wtedy stosowane, choć znane. Karczochy (*carcioffi*)¹⁾ też się teraz z fasolą i sałatą (*insalata*) pojawiły, wraz z melonami i pastekami (arbuzy), a niektóre krajowe, jak szparagi, rozpowszechniły się.

Z roślin owocowych, przywieźli włosi morwę czarną, tak na dworach ówczesnych cenioną i lubianą, morele, smaczniejsze brzoskwinie, figi. Rozpowszechniły się też orzechy włoskie, które może już i przedtem były znane, (w Rosji przez greków wprowadzone, bo tam je „greckimi” zowią); przybyło też i winnic, jak np. w Czersku nad Wisłą, Bonie przez Zygmunta I udzielonym.

W ogrodach kwiatowych zakwitły wkrótce nowe kwiaty, we Włoszech już rozpowszechnione, jak „hiszpańskie tuliby” (tulipany), narcyzy, imperjały (korona cesarska) i imperjały indyjskie (perlice — *Fritillaria Meleagris*), a dalej konsolidy (ostróżki — *Delphinium consolida*), nieśmiertelniki i in. (Bielski). Niewątpliwie przybyły też pomarańcze (skąd mnogość oranżerii, od tej pory w Polsce coraz większa). Zapewne i cytryny, granaty, mirty, oleandry i wiele roślin z nad m. Śródziemnego, m. in. aloesy.

Ogrody ozdobne ulegają tak dalece wpływom włoskim, że u możliwych zwą się dziardynami (*giardino*). Pełno w nich szpalerów strzyżonych z lip i grabów, które często powiązane są u góry gałęziami

¹⁾ Hodowla ich stała się specjalnością włoskich-warzywników, w Czarnej Wsi pod Krakowem.

mi w sklepienia, zwane bindażami. Tu i owdzie były błędniki (labirynty) z grabów, a zapewne i z krzewów. Dla cienia urządza się chłodniki czyli altany, nawet zapewne z winorośli, na sposób włoski, która rodziła kwaśne grona pod gołym niebem, ale cieniu używać mogła. U możliwych w sadzawkach są ryby, a na stawach łódzie, do pływania. Trzyma się dużo ptactwa śpiewającego, w klatkach z „pręcia”. W gęstwinie drzew biegają króliki, zające, sarny, jelenie, w miejscu ogrodzonym czyli zwierzyńcu¹⁾. Nie brakło i parterów kwiatowych, kwiatówami zwanych, a jak twierdzi Syreniusz, włosi przywieźli do nich dużo kwiatów z ojczyzny, ale niemało też pobrali ich z naszych niw i łąk, jak to uczynili również u siebie anglicy, nieco później.

Zdaje się jednak, że właściwych ogrodów włoskich, z tarasami, schodami, posagami i sztucznymi wodami, założono niewiele. Ani rzeźba ziemi naszej, ani obfitość kamieni, przy braku umiętnych artystów, nie zachęcały do tego. Powinienby w tym stylu być urządzone przede wszystkim ogród królewski, na stoku Wawelu, ale niema o tem żadnych śladów, ani wieści. Natomiast mieli włoskie ogrody niektórzy magnaci, założone zapewne przez ogrodników włoskich. Zastępnę z takich ogrodów Balice, Bonara²⁾, w pobliżu Krakowa, który nabywszy ten majątek, ozdobił go pałacem i ogrodem. O tym ogrodzie napisał Mucante, sekretarz legata, kardynała Henryka Gaetaniego, w roku 1596, że „przy pałacu wprawdzie pięknym, ale drewnianym, jest ogród rozkoszny, pełen owoców, takich nawet, jakie w tym kraju są rzadkie, jako to: winogron, fig, brzoskwiń, moreli” (Balicki).

Mieli też piękne ogrody włoskie: Tęczyńscy — w Tęczynie, St. Górka — w Kórniku, Firlejowie — w Lubartowie, Ostrogscy — w Ostrogu, Koniecpolscy — w Podhorcach (z tarasami i balustradami kamiennymi)³⁾.

Ziemianie, nawet możni, zadawali się wirydarzami. Ponętowski i zielnikarze nadawali to miano tylko ogrodom kwiatowym, zwąc nasz ogród ozdobny — „spacerowym”. Prostuje to jednak Łoziński, na podstawie wielu świadectw; twierdzi, że cały ogród zwał się wirydarzem, za ostatnich Jagiellonów (a nawet i później — E. J.), a łączył w sobie ogród użytkowy i ozdobny, zresztą różnych wymiarów. Wirydarz uważano za warunek niezbędny przyjemnego pobytu na wsi i zarazem pożytku gospodarskiego. Że on był przedmiotem szczególnego nieraz upodobania, dowodzi to, co o nim napisał Rey, który na innym

¹⁾ Z. Gloger w „Encyklopedji Staropolskiej”.

²⁾ Bonara, kupca przybyłego z braćmi, z nad Renu, Kazimierz Jagiellończyk zrobił burgrabią krakowskim i żupnikiem wielickim, na czem się zbożcił.

³⁾ Tomasz Święcki: „Opis starożytnej Polski”.

miejscu swej książki „o człowieku pocziwym“ mówi jeszcze o gaju zielonym, „różą obsadzonym, gdzie kierz biały, kierz czerwony nadobnie się mienia; gdzie rozmaryny, maiorany, szpikandry, lewandy, izopy, lilie y piwonie w swoim rzedzie stały, a między nimi fiołeczki, piękna stokroć i lilium konwalium“. Współcześni mu świadczą znów, że cudzoziemskie drzewa, jak wino, figi, pomarańcze, w kwietniu odkrywano lub z piwnic do wirydarza wynoszono.

Teraz, gdyśmy poznali już wpływ włoskiego ogrodnictwa na nasze, wnikińmy głębiej w tę epokę i zapoznajmy się z roślinami hodowanymi i poniekąd ze sposobami ich hodowli. Powiedzą nam o tem zielnikarze, których miała Polska w XVI w. kilku, a m. nimi paru wybitnych ¹⁾.

Niewątpliwie uczonym, europejskiej miary, był Ant. Schneberger, z Zurychu i uczeń tamże słynnego Gesnera, który osiadłszy w Krakowie wydał tam w r. 1557, u Łazarza, swoje dzieło: *Catalogus stirpium quarundam*, które jednak, jako łacińskie, nie mogło mieć dużego wpływu na szerszy ogół. Książka ta zawiera po raz pierwszy (w druku), obok łacińskich dobre nazwy roślin polskie wraz z wiernymi opisami roślin, u nas hodowanych, swojskich i niektórych cudzoziemskich.

Popularne, a więc i wpływowe mogło być dopiero dzieło Marcina Siennika (Siennickiego), „człeka nieuczonego“, który w r. 1568 wydał w Krakowie swój „Herbarz, t. j. ziół tutecznych, postronnych y zamorskich opisanie“, księgę okazałą, rysunkiem ogrodu przyozdobioną. Wszelako Siennik był poprostu tłumaczem i dość słabym kompilatorem głównie Dioskoryda, ale również Pliniusza Młodszeo, Awiceny i czechy Meznego; powtarzał też za nimi różne brednie i wskazania przestarzałe, przeplatając je wszakże uwagami i wskazówkami cennymi o ówczesnem polskiem ogrodnictwie.

Przytoczmy niektóre ustępy.

Cebulę hodowano podługowatą, ostrzejszą od okrągłej (czy nie siedmiolatka?). Naci pietruszkowej używano na sałatę z koprem włoskim, rzeżuchą wodną (zapewne dziką, bo hodowla wodnej jest trudna), boragiem (ogórecznik) i laktuką cz. sałatą właściwą, z dodatkiem octu i oliwy. My dziś takich sałat mieszanych nie jadamy. A że zielnikarze zawsze zwracali uwagę na własności lecznicze roślin, więc dodaje: „używają jej, bo w gorących niemocach serce posila“. „Owoc brzoskwiń *Persicus*, (po niem. *Pferbig*) w naszych krajach iest b. przyjemny, a nie nie szkodzi, kto go miernie pożywa“, zatem były to odmiany włoskie, o jędrnem mięsie, bo delikatne, francuskie, dopiero pewno dostały się do nas

¹⁾ Łoziński: „Życie polskie w dawnych wiekach“.

za Jana III. Zresztą Siennik mówi wyraźnie, że „drzewo to do kraiu naszego nie bardzo dawno jest wniesione“, a nie ma wątpliwości, że „wnieśli“ je włosi, z Boną przybyli. Co do wiśni, to „są białe, są czerwone, gdy żrzące tedy są słodkie (więc czereśnie), a wiśnie czarne są smaku kwaśnego“. Warzą z nich sok, z miodem (zam. drogiego cukru). Co się znów tyczy jabłek, to były i takie, „których owoc nigdy nie wrzeie: albo się uleży albo się musi ususzyć“, bywały też one „kwaśno-słodkie, a wodniste“. Zatem istniały odmiany jakieś twarde, późne i garbnikiem przejęte, których i śladu już w sadach niema.

Gruszki zaś „domowe (więc hodowane) bywają słodkie y cierpkie oraz kamieniste. Pieczone po obiedzie dobre, posypane prochem koryandrowym (kolender), bo bronią dymom z żołądka do głowy wstępować, a gorącościom do oczu; potrawy na dół pociągają“. Że gruszki ułatwiają trawienie, wiadomo, ale w każdym razie były to odmiany nieosobliwe, zaledwie na surowo jadane.

Bez porównania większą wartość wogóle, a pod względem ogrodniczym w szczególności, posiada inny „ziemik“, później wydany u Łazarza, w Krakowie, w r. 1595, p. t.: „Herbarz polski“. Napisał go Marcin z Urzędowa (niektórzy piszą „Urzędów“), † 1573 r. Ksiądz ten i zarazem lekarz, profesor uniwersytetu krakowskiego, nie tylko był przygotowany naukowo teoretycznie, ale zarazem hodował rozmaite rośliny w swoim ogrodzie, w Sandomierzu. Nadto będąc długo na uniwersytecie w Padwie, zapoznał się z ogrodnictwem ówczesnem włoskiem. Widać to z licznych wzmianek w „Herbarzu“. Jednak i ten światły człowiek wierzył na ślepo w starożytne przesady, a Dioskoryda poczytywał za niewzruszoną powagę.

Szkoda, że w opisach swych jest nadto zwięzły, a do roślin ogrodowych małą wagę przywiązuje, mówiąc o nich jakby tylko nawiasowo; na pierwszym miejscu stawiał zioła lecznicze, jak zresztą wszyscy zielnikarze. Nawet warzywa i owoce rozpatruje głównie ze stanowiska ich użyteczności w lecznictwie, a tylko rzadkie i jakby mimochodem czynione o nich wzmianki, pozwalają wnioskować o ówczesnej ogrodowej hodowli w Polsce. Zapoznajmyż się z tym materiałem, choć względnie ubogim.

Czosnek (*Ampelaprasum*) zwie winniczym; „takiego u nas zbytek na winnicy w Sędmierzu“. Więc i on posiadał tam winnicę, obok kilku klasztornych. Anzż „ziółko w Polsce pierwey nie było wiadome“, zatem i tę przyprawę musieli przywieźć włosi. Kapustę zwie inaczej brzoskwią; odróżnia włoską, „w Wenezii zwaną werdzie“ (*vergia*, *verdura* E. J.), zaznaczając, że czech Stephanek zwie (głowiastą) kapusta polska, co by znaczyło, że czesi ją od nas przejęli.

„Cicer, groch włoski, który poczęli sobie siać w ogrodach, w Krakowie, są ziarnka większe, aniżeli bobowe“, a wyliczywszy z niego użytki, dodaje. „Czemuby też polacy nie ięli się siać ich, zwłaszcza, że mniejsza koło nich praca, niż około grochu. Zresztą ten Cicer obficiey rośnie w Polsce, niż we Włoszech. Widziałem, że się rozwdziły wyżej, niż chmiel, tak, żem widział kilkaset strącz na jednej różdze“. Tak wysoko rosną tylko lędźwiany (*Lathyrus* różne), ale te mają ziarna drobne, podobnie jak barani groch (*Cicer arietinum*). Chyba tedy mówił o fasoli, ale ta ma przecież ziarna mniejsze od bobowych, o ile nie miał na myśli bobiku. Najwięcej podobna do opisu jest fasola, którą włosi przywieźli, a prędko się w Polsce, dla swych zalet, rozpowszechniła.

„Ogórki są pospolite, t. zw. *Citrulis* (zupełnie inny ogórek, od uprawnego) żółte, a tak zwie się też ogórek dostały, b. żółty“. „Banie czyli kurbasze (od *Kürbiss*?) są znakomite, a troiakie: wielkie, małe y długie; długie najlepsze ku iedzeniu, okrągłe na naczynia, na bańki, żołądkowi b. pożyteczne (zam. baniek szklanych? E. J.)“. Zatem wyraźnie odróżnić można z opisu dynie właściwe (wielkie), szparagowe (podłużne, we Włoszech i dziś w różnych odmianach hodowane) i tykwy (okrągłe), których posiadamy sporo i wielkości najrozmaitszych¹⁾.

Ponieważ Urzędów pisze, że „poziomki we Włoszech mają w ogrodach“, więc widocznie u nas jeszcze wtedy zadawalniano się dziko rosnąciami.

Goździki hodowali już grecy, a po nich rzymianie, więc też było ich dużo i u nas. Mówi też o nich: „Gwoździki (*Gariophili*), ziele zacne, a z pracą ludzką pochodzą rozmaite: prawie szarłatne, drugdy (inne) czerwone, drugdy bieluchne“. W Padwie widział w donicze alabastrowej „kwiaty wietsze, niż naiwietszy kwiat różany, że złożywszy obie ręce, palce do palców, wszystkie zatrzymał; w Polsce takimem nie widział“. Jest to ciekawe zaświadczenie o istnieniu już wtedy jakiejś rasy olbrzymiej, która potem zaginęła, bo słynne wielkie „Malmaisony“ otrzymano na Rywierze dopiero po połowie w. XIX. Ale też dowodzi to zarazem, że róże ówczesne były znacznie mniejsze od naszych.

O piwonji mówi, że bywa „mężczyzna i zenszczyzna“, co jest bajką. „Phaseolus, groch włoski, także ie zowiemy, są ziarna białe,

¹⁾ Ale melony hodowano też wówczas w Krakowie, bo dowodzi tego notatka z wydatków miejskich z tego czasu: „Za melony wzięto od p. Ciepeliowskiego, burmistrza, groszy 8“. A w w. XVII rajcowie krakowscy wysyłali w darze znakomitym urzędnikom karczochoy, z których słynęła okolica. J. Cuvier „Historja nauk przyrodniczych“.

w królewskim sadzie (w Krakowie), tegoż smaku y mocy, iako y groch“. Ta wiadomość wskazuje, że w ogrodach królewskich hodowano nowo wprowadzone warzywa, które się z nich po kraju rozpowszechniły.

Chrzan jest to „prawie pieprz polski, bo czyni w głowie i w nosie zagryzienie, nie inaczej jako gorczyca“.

Rzepy hodować musiano w Polsce dużo, bo zna jej wiele odmian; bywa „inaksza w krakowskiej ziemi, inaksza w sędimirskiej, inaksza w lubelskiej, inaksza na Mazowszu“, ale nie widział takiej we Włoszech, na które się często powołuje, jak na Rusi, gdzie była „jako donica wielka, ale nie tak smaczna, jako mała“. „Dziwna rzecz, że we Włoszech pieczoną jedzą“. A wszak Cyncynat, taką się żywił, gdy od dyktatury na swoją wieś powrócił. Zresztą jadano we Włoszech „jej latorostki i młode, z sałatami lub piekąc, warząc, z przysmaki rozmaitemi, także kwaszoną, z czego się ludzie w Polsce naśmiewają, gdy we Włoszech iest to pokarm rozkoszny“.

Róż znał tylko trzy: „rajską czyli prawą czerwoną, polną i damascenę białą — ta iest rzadka“.

Według tego świadectwa kompetentnego nie było widać u nas innych gatunków i odmian róż wtedy, bo byłby je wymienił, a wątpić należy, żeby taki hodowca nie wiedział o innych, o ileby istniały.

Niektórym jednak twierdzeniom trudno uwierzyć. Mówi np. „nie nowina migdały w Polsce, są na wielu miejsc w sadach, gdzie kwitną, a rodzą, a zwłaszcza u Jegomości Pana Krakowskiego, na Tarnowie, gdzie bardzo obficie rodzą“. Tymczasem wiemy z długoletniego doświadczenia, od kilku stuleci, że migdał jest od brzoskwini nawet delikatniejszy i u nas przeciętnych zim nie znosi, zwłaszcza jego paki kwiatowe. Wszak, mimo rozwiniętego już i umiejętnego ogrodnictwa, nigdzie w ogrodach prawdziwych migdałów nie mamy.

Przygodnie dowiadujemy się od Urzędowa, że bawełnę siewano wtedy „na każdy rok we Włoszech“, czego teraz nie robią.

Podobnie, jak o migdałach, wyraża się o słodkich kasztanach. „Znaią Polszcze kasztany. Nie mogę zrozumieć, czemu by też nie ięli się szczepić (tj. sadzić, E. J.) tego drzewa, gdy mogą w Polsce czyścić (na pewno, E. J.) bydz y rodzą w wielu miejsc, iako w Krakowie na Kaźmierzu, u Bożego Ciała. W Warszawie są sadów wiele kasztanowych“. Tymczasem nawet w Ogrodzie botanicznym warsz. te marony cz. słodkie kasztany, od r. 1873, gdym tam praktykowałem, przemarały wiele razy, a w r. 1919 zmarły znów dość grube pnie, aż do ziemi. Miał Wodzicki w Niedźwiedziu mały kasztan węgierski, jest też taki w Potyczu, więc może i wtedy były jakieś odmiany odporne, ale dziś ich niema w Polsce całej i w in. krajach o podobnym klimacie.

Jabłek było widać dużo odmian, bo pisze: „gdyby im wypisać wszystkie imiona, a przezwiska, które im w Polszcze wymyślili, byłoby tego wielkie księgi”. Bardzo należy żałować, że taki człowiek jak Marcin z Urzędowa nie zadał sobie pracy, by opisać choć ważniejsze z nich. Jednak jako przykład jabłek słodko-kwaśnych wymienia Winniki, których zupełnie nie posiadamy teraz. Zresztą te liczne odmiany nie były widać wytworne, bo ostrzega, że „zawsze lepiej używać warzonych, niżli surowych, ale gdy surowe iedzą, w końcu po obiedzie mają być dane”. W swym sadzie sandomierskim posiadał jakąś odmianę Treflikową, też obecnie nieznana.

„Grusz też różne są rodzaje, tak, iż nie masz końca imion, a wszystkie są albo szczepione albo płonne. Jedząc surowe, warzone albo pieczone, żywot zatwierdzają”. Zatem nie gardzono ulegawkami, a inne były twarde i obfite w garbnik, jak widać z ich działania na ustrój ludzki. Zresztą „pieczone, po obiedzie iedzone, pokarm potłumiają na dół, do żołądka” (chyba do kiszek).

Ze śliw zalecał — węgierskie.

Morw białych wtedy w Polsce nie było jeszcze, ale zato czarnych trochę „w sadach w Sędzierzu, zapewne y indziej”. Wiadomo, że był to wtedy owoc ceniony wysoko na dworach panujących. Mylnie sądzi, że otrzymuje się morwy białe, szczepiąc latorośli morw czarnych w białą topolę!

„Orzech włoski znają w Polszcze, nie trzeba go wypisować”, to znaczy, że się prędko rozpowszechnił, jako do klimatu dosyć przystosowany. Ale mówi dalej: „brzoskwinię też każdy zna, lecz w tych stronach zimnych nie długo trwa”. Zatem wymarzała, jak obecnie, gdy ją znają zaledwie niektórzy, niezbyt liczni. I on też twierdzi, że suche owoce brzoskwiń trudno bywają strawne, bo miękkich odmian nie było.

Co do agrestu, to musiał być hodowany już w w. XV, a może wcześniej; zresztą rośnie u nas dziko, a owoce ma choć małe, lecz smaczne. „Pierwey bywało (go) dosyć, a jagody przedawano zielone, iako wino (do sosów, zam. octu, jak i niedojrzałe winogrona — E. J.), ieno kosmate; te z przodu są kwaśne, a gdy dostoją — słodkie”. Gałązki agrestu, jak mówi, zawieszano w oknach, by „w dom nie dopuszczać czarów”.

Mniemał, że figi możnaby u nas hodować, „gdyż, w Padwi, gdzie są takie zimna, mało nie iako u nas, trwają i rodzą”. Tymczasem, będąc w Padwie przed kilkunastoma laty, ani jednego figowca nie widziałem; trzeba ich szukać w cieplejszych okolicach Włoch lub na połudn. stokach gór, w północnych Włoszech.

Zato o winogronach naszych powiedział prawdę. Przychodziło już wtedy do Polski „wino węgierskie y pograniczne, to iednak głównie piwo, a miód pią, nie szczepiac (sadząc) winnic, bo rzadko kiedy, dla zimnej krainy doidzie; bowiem, ieśliby kędy mogło bydź, tedy w Sędzierzu, gdzie osobliwe miejsce iest y ziemia, wszakże rzadko doidzie, zaś ieżeli doidzie, iednak lepsze, niż Morawskie bywa”.

Mamy z tej epoki dziełko, którem się Polska może poszczycić i wystawić je śmiało do porównania z innemi, obcemi z tego czasu. Wyprzedziło ono słynną książkę Oliviera de Serres (*Théâtre d'agriculture* z r. 1600), bo napisane było około r. 1560, a wydane w 1588, staraniem słynnego uczonego dr. Wojciecha Oczko¹⁾.

Napisał je Anzelm Gostomski, wojewoda rawski, p. t.: „Notaty Gospodarskie”. Był to tedy senator, a zarazem hodowca, ziemianin, człowiek mądry i doświadczony, w jednej osobie mąż stanu i rolnik wytrawny. Stanowiła też ta książka w naszym rolnictwie epokę, dowodząc jawnie, że stało wtedy w Polsce na poziomie stosunkowo wysokim, szkoda tylko, że nie czyniło potem należytych postępów, aż do trzeciego dziesiątka w. XIX, tj. do powstania Instytutu w Marymoncie.

Żeby ocenić ile był wart Gostomski, dosyć przytoczyć niektóre z zasad, podanych we wstępie. I tak: „Maiętność bez grzechu — cudzem dobrem nie utyiesz”. „To tylko Polszcze przystoi, co się w Polsce rodzi”. Albo: „Królestwo Polskie ma bydła, ryb, zwierza, miodów — dosyć; lnów, solnych, srebrnych, ołowianych, żelaznych gór, a my przemysłu, w takim dostatku, precz puściwszy, tylko w samej roli y najbardziej gmerzem, a dosyć poprostu”.

Ziemianin powinien, według niego, mieć „wieś o stu chłopach, a w tyle dworu chmielnik, ogród przytem za kuchnią. Sad w cynek (w piątkę sadzone drzewa — E. J.), za ogrodem (warzywnym), najmniej we 20 rzędów (jak długich? — E. J.), a iuż rodnych, gładko spólny, bujny, z korzenia wybiegłych, zatym nasiennik pełny a wiernego owocu (t. j. nasion pewnych — E. J.), wirydarz swych ziółek, a przywożnych (obcych). Dalej ma być zwierzyniec lasu, prawie cudnego, ciemny, zielony, cichy, wymierzony po sznurze, przedzielony łąkami i na krzyż (drogami) od płotu; w nim rzeka przez pośrzodek y las lipowy przeciwno — tamże pasieka”.

Według tego opisu można dobrze odtworzyć ówczesny ogród możnego ziemianina, wcale zgodny z radami Krescentyna, lecz do własnych potrzeb i warunków dostosowany. Więc za kuchnią, blisko dworu

¹⁾ Wydanie powtórne, z niezbędnymi objaśnieniami, dał nam Radwański, w r. 1856. Bardzo słusznie nazywa on tę pracę złotą księgą rolnictwa polskiego.

warzywnik i sad od niego odgradzony, a dalej hodowla nasion własnych i wirydarz na zioła wonne — niby ogród kwiatowy. Zaś zam. ogrodu ozdobnego — ładny las, z rzeczką, drogami podzielony i lipnik, a w nim pasieka. Ten plan będzie się utrzymywał jeszcze długo, a i w „Panu Tadeuszu“ można odnaleźć jego linje zasadnicze.

Jak trafnie pojmował podstawy dobrego gospodarstwa, widać z następującego określenia: „Obora jest fundamentem rządowego gospodarstwa, bo gdy jest zwierząt różnych dostatek, rola rodzi i żywność wszystka iest“.

Wreszcie dodajmy, jak cenil rolnika, gospodarza, ziemianina, który według niego ma być: „Na świecie nie gościem, w oyczyźnie nie cudzoziemcem, u przyjaciela — nie osem, u gościa — nie karczmarzem“.

A jakkolwiek tę cenną książkę napisał rolnik, dla rolników, nie mniej są w niej też rzeczy ogrodników dotyczące. Zapoznamy się z niemi.

„Urzędnik (rządca) y dworka (gospodyni) mają tego strzedz, aby conayraniey szczebrzuchy (warzywa) były z ogrodu do kuchni, tak też y ogórki słone (czy i kwaszone? — E. J.), pietruszkę y inne korzenie wszelkie, które się na ogrodzie rodzi“. „Urzędnik na przyjazd pana (na wieś) ma mieć chleb chędogi, piwo dobre, cebule, kapłuny, gęsi, drwa suche; insze rzeczy naidą się lecie na ogrodzie, zimie — na podrunie“ (w piwnicy). A dalej: „Cebulę na czas brać, wiązać (w warokcze); pasternaki, marchwie, chrzany, pietruszki, ćwikły i in. korzenie do żywności rządnie na zimę pochować, a zbytek sprzedać; rzepę przechować w dołach“. Ale „ponieważ na folwarkach gnoią: rzepy, cebule, kapusty, insze ogrodne rzeczy, sadowe także, lepiej to sprzedać albo skarmić, niż zgnoić“.

Z tego znać, jakie warzywa głównie na pokarm służyły, że je przez zimę umiano przechowywać, że je można było sprzedać, więc też zapewne i na rynku kupić. Zresztą rządny ten gospodarz radził nawet „nać rzepną y liście kapuściane po górach suszyć, dla świń na zimę“, czego zgoła nawet teraz nie robimy, a możnaby.

Co się sadu tyczy, to drzewa owocowe mają być okopane, o ile na zimę były obłożone mierzwą (my teraz obsypujemy pnie ziemią, ale możnaby i mierzwą, gdyby była — E. J.). Trawy jednak ani siać, ani zachowywać pod niemi nie trzeba, „bo z rosy wilgoć dawa, więc ususzyłbyś szczep“. Radził tu dobrze, tylko nie rozumiał, że trawa wilgoci nie daje, ale owszem dużo jej odbiera i przez to drzewom szkodzi, „susząc“ je.

Książka napisana jest w listach, a treść jej rolniczo-gospodarczą, ciekawą i względnie bogatą, musimy tu pominąć. Ale w liście 12, znów

mówi Gostomski, jak się dworka ma rzadzić. Więc „suszyć porządnie gruszki, jabłka, wiśnie, śliwy, powidła robić. Ogrodów doirzeć, by ie gnoiem sprawiono w iesieni y na wiosnę“. Zatem zasilano je obficie, niż teraz i w dobrej porze. Dalej zaś: „by ogrodzie rzeczy nie omieszkała siać, gdy czas przychodzi, jako: cebulę, ogórki, pasternak, marchew, pietruszkę, rozsade (tj. kapustę), ćwikłę; sałata też nie wadzi, ale tylko tam, gdzie pan mieszka (czeladź jej zatem nie jadała). Rzepy nie zapomnieć. A tego wszystkiego zaś nasadza y na nasienie, ku swojej potrzebie. Uprzedać też nie wadzi y dobrym ludziom darmo udzielić“. Kładzie nacisk na cebulę, używaną obficie jako przyprawa, na ogórki lubione solone (i kwaszone), rzepę i pasternak, wreszcie ćwikłę — na barszcz.

Że hodowano nasiona, przynajmniej pospolitsze, na swoją potrzebę, widać z tego, co mówi G. „Gdy urzędnik od urzędnika nasienie ogrodne bierze, mają sobie płacić, a kto spisuie w folwarczech (pisarz?), ma im ukazać, gdzie tego (tj. nasion) mają dostawać, gdyż z targu nie każde nasienie wschodzi“. Zatem i na targach sprzedawano nasiona, tylko niezbyt pewne i dobre. „Ogrody siać tam, gdzie pan mieszka, bo siła gnoiu potrzebuia“. Wygląda na to, jak gdyby urzędnicy i czeladź tych ogrodów nie potrzebowali.

Są też wskazania, choć bardzo treściwe, dotyczące ogrodu ozdobnego. „Ogródek pięknie zasiał zioły osobnie pachnącemi: róży nasadzić dla wieńców, zwłaszcza tych (róż), które się Polszcze rodzą, a nie tylko ogrodnych, ale y polnych (ziół), iako: dzięglu, biedrzeńca, macierzanki, ślazów, kopytnika, rumianu i in.“. Więc znów „apteka“, przez zakonników w XI w. do Polski wprowadzona.

Szczególnie dba o to, żeby się nic nie marnowało, ale co się da, było na zimę utrwalone. Tedy mówi jeszcze: „Powidła do kuchni działać, pestki warzone (!) na nasienie odebrawszy (nie wiedział, że warzone są jako nasienie, nic nie warte — E. J.). Konfekty, iako: gruszki, wiśnie, orzechy włoskie, brzoskwinie y in. różne, w cukrze¹⁾ y miodzie mają być smażone. A przecie pestki, na nasienie, w ziemi gnoiney siać albo wsadzić, a potem przesadzić“ (ponieważ myszy je zwykle zjadają, zasypujemy je piaskiem i siejemy na wiosnę — E. J.).

Ocet zaleca robić winny, miodowy i z agrestu.

¹⁾ Cukier (z trzciny cukrowej) był wtedy drogi. Marcin z Urzędowa mówi o nim: „Miewamy go z innych stron, z trzcianki go wyrabiaia. Był pierwey w Indii, teraz w Aegyptcie, Greciei, Hiszpaniei, Portugaliei, gdzie takich trzcín po morzu y jeziorach zaszczepili dosyć“. Mylił się tedy bardzo, bo w Europie trzcina cukrowa nie udaje się, a w morzu — nigdzie.

„Śliwy, węgierki, y wiśnie b. dobre wędzone (tj. suszone w dymie — E. J.). Suszyć się ma też na błoniu, na słomie (więc na słońcu — E. J.), gdzie mało wróbli y chłopiat; zwłaszcza gdy się wiśnie urodzą, przyczyni ich się dla nieurodzaju (co się zdarza w roku następnym — E. J.), kto zaś chce przysmaki wymyślać, weźmie je z Gdańska lub Konstantynopola, lepsze niż przedtem z Wenecyi y Genui wożono“.

Tu mamy cenne wskazówki skąd przychodziły bakalje i in. smakołyki. Gdańsk dostarczał ich, z odległych krajów różnych, morzem sprowadzone. Z Konstantynopola dostawały się do nas przez Kafe i Lwów ¹⁾. Przedtem zaś (zapewne za Bony i może nawet wcześniej), handlowała niemi z Polską Wenecja i Genua, przez Kraków głównie. Czyliż temi drogami nie mogły napływać również pewne nasiona, a nawet kłęby, kłącza, cebulki i całe rośliny?

Zresztą i bezpośrednio miała Polska stosunki z Konstantynopolem. Wszak Władysław Jagiełło wysyłał licznymi statkami pszenicę polską przez Dniepr i morze Czarne do Stambułu, dla głodnych greków, w myśl traktatu, wzamian zaś przywoził stamtąd płody i wyroby południa ²⁾ (jak podaje B. Żegota Cięglewicz). Że między temi płodami były owoce południowe i przeroby z nich, jest prawdopodobne. Ale nie mała część stanowiły zawsze korzenie i przyprawy. Wszak Zygmunt I na Zjeździe w Piotrkowie r. 1527 powiedział, że w jego państwie więcej zużywa się korzeni, niż indziej ³⁾.

Że ogrody jakieś, a zapewne głównie sady, posiadali włościanie, jeszcze w znacznej części wolni, dowodzi plan wsi pewnej, podany przez Oskara Kolberga ³⁾. Są na nim oznaczone drzewa przy chatach, a nawet przy szkole. Jakiego jednak rodzaju były te drzewa owocowe — nie wiadomo.

W każdym razie, podane powyżej wiadomości wystarczają do wyprowadzenia wniosków, że Polska Jagiellonów, zwłaszcza ostatnich, miała warzyw i owoców swoich dużo, a nawet i nasion. Małe jeszcze zaludnienie i naogół niewielkie wymagania łatwo było zaspokoić wytworami, niewątpliwie mniej dobrymi, niż nasze współczesne. Ponieważ zaś było sadów dużo po dworach (jak twierdzi Z. Głoger), więc musiały też istnieć i jakieś szkółki owocowe, ale niema o nich nawet wzmianek. Niewątpliwie szczepiono dużo drzew, zwłaszcza u włościan, na dziczkach, z lasu i z miedz do sadu przenoszonych, bo to się jeszcze

¹⁾ Ciekawe dane o handlu dawnej Polski zebrali: T. Czacki, Giżycki, Kutrzeba.

²⁾ J. U. Niemcewicz: „Zbiór pamiętników historycznych“.

³⁾ W jego dziele „Lud“.

i teraz, tu i owdzie, robi. Ale mogły być i szkółki z siewek, co można przypuszczać ze wzmianki Marcina z Urzędowa, podanej już.

Zapewne było sporo odmian swojskich, co się teraz rzadziej trafia, ponieważ łatwo o szczepy z odmian szlacheśnych i nabyć je można u specjalistów, wtedy zaś więcej brano z tego, co przyroda dała. Tą drogą powstać musiały odmiany staropolskie, z których kilka do naszego czasu dotrwało. Większość zaginęła, bo je zarzucono, gdy poznano lepsze, które można było zdobyć zrazami, czy nawet szczepami ¹⁾.

Że tak było przypuszczalnie, sądzymy, bo odmiany, rozpowszechnione w sadach jeszcze 60 lat temu, któreśmy znali, już dziś nie istnieją, albo są rzadkością ²⁾.

Tembardziej nie istniały żadne szkółki drzew ozdobnych. Mirty, laury, granaty, z Włoch przywożono, zimowano zaś w sieniach i może chłodnych komnatach, wraz z pomarańczami; posiadali je tylko możni, w tej epoce. Widzieliśmy zaś, że ogród strojny (do przechadzki) był cały wykrzesany z lasu lub sadzony w części, ale materiałem swojskim (lipy!), do zdobycia łatwym, zwłaszcza wtedy, gdy lasów było jeszcze tak dużo.

Nie wiemy też, czy w tym okresie istniały w Polsce ogrody publiczne. Bo chociaż za ostatnich Jagiellonów miała już i Warszawa „piękne ogrody“ ³⁾, były to przecież ogrody prywatne. Chyba może był takim, choć po części, ogród, „Chmielnikiem“ zwany (czy w okolicy późniejszej ul. Chmielnej?), który Bona wymieniła za włókę ziemi z m. Warszawą w r. 1553.

Rzeczą jest znamioną i osobliwą, że u żadnego z pisarzy tej epoki nie znajdujemy wzmianek o ogrodnikach - polakach. Musieli to być nieuczeni prostaczkowie, których nauczycielami byli może cudzoziemcy. Ale w spisach dworu włoskiego królowej Bony również ogrodnik żaden nie jest wymieniony, a w każdym razie nie było takiego, któryby na ogrodnictwie polskim piętno swe położył.

¹⁾ Jakie, naogół, owoce darzyły się w Polsce ówczesnej, poznajemy wyraźnie ze sprawozdania o Polsce, złożonego na piśmie, papieżowi Piusowi IV przez Ruggiera, nuncjusza przy dworze Zygmunta Augusta, w r. 1568. Opat ten, który przebył w Polsce 2 lata, pisze: „Powietrze wilgotne i cierpkie, mrozy ostre. Dla tych mrozów ziemia nie wydaje wina, oliwy, fig i tych owoców, które potrzebują (więcej) ciepła. Są winnice, ale wina z nich niewiele i to słabe i kwaśne. Lecz obfituje Polska w zboże i owoce, które wielkiego nie potrzebują gorąca, jako to: jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie“ — (J. U. Niemcewicz: „Zbiór pamiętników“, tom trzeci).

²⁾ Tak wyginęły: Małgorzatka, Muszkatulki, Panny, Winiówki polskie, a co raz rzadziej znaleźć można: Sapieżanki, Hermanki (*St. Germain*), nawet Jedwabnice, Kalwile czerwone zimowe i w. in.

³⁾ F. M. Sobieszczański: „Rys historii i statystyki m. Warszawy“ r. 1848.

Było to zatem ogrodnictwo dość jeszcze pierwotne, ale zato na swojskiej przyrodzie i jej właściwościach oparte; ogrodnictwo czyniące zadość potrzebom skromnym i wymaganiom niewybrednym. Wybitnych orędowników i miłośników, jakich napotkamy później, okres ten w Polsce nie posiadał, ale upodobanie do ogrodów już było znaczne.

OKRES III.

Od Stefana Batorego do najazdu szwedzkiego.

Ten stan ogrodnictwa nie ulega obniżeniu za Stefana Batorego, a za Wazów nawet się ono wyraźnie rozwija, pod wpływem zarówno królów z tej dynastji, jak i francuzów, głównie Ludwika Marji i jej otoczenia, pośrednio zaś przez oddziaływanie ogrodnictwa francuskiego (Andrzej Mollet i in.) na szwedzkie, a przez króla Zygmunta III — na nasze.

Dopiero gruntowne zniszczenie kraju przez napad szwedzki, za Jana Kazimierza, przez ów nieszczęsny „potop“, wywołuje i w ogrodnictwie polskim czasowy upadek. Do tego okresu znajdujemy już więcej źródeł i to różnorodnych, tak dalece, że możemy sobie o ogrodnictwie tamtoczesnem wyrobić pogląd już dosyć jasny, chociaż i tu są tylko wzmianki różnych autorów lub wskazówki pośrednie, jakby przygodne. Dowodzą one, że ogrodnictwu i wtedy jeszcze nie przypisywano u nas tej wagi i znaczenia, jakie miało w Anglii, Holandji, Francji, a również i w krajach niemieckich.

Objąwszy tron, król Batory w r. 1585 polecił ogrodnikowi swemu, włochowi, Lorencowi Bosetto, przerobić ogród w Łobzowie. Składał się on wtedy z kilku wyraźnych części, zawsze jeszcze przypominających rady i wskazania Krescentyna. Więc przy zamku: „szczepy i śliwy“, zatem śliwy nieszczepione, tj. węgierki, a może i lubaszki, zajmujące wraz z winem, 12 kwater. Niezależnie od tego, „w wirydarzu była przegródka, podniesiona z darnów, ku siedzeniu ludziom (darniowe te podwyższenia, były w użyciu i na Zachodzie, jako ławy, przez czas długi), a za nią, przeciw słońcu, nasadzone drzewa albo macice winne, które chłód czyniły“ (zupełnie, jak we Włoszech). Sadzono zaś drzewa

rozkoszne: „bobkowe, cyprys i in.“, jak pisze Bielski, nie wiedząc snąć, że ani laury, ani cyprysy klimatu Polski nie wytrzymują. „Od południa i zachodu ogród był zatworzony (zamknięty) i drzewami obsadzony, bo stąd wiatry pochmurne i niezdrowe wiały“ (co znów jest właściwe dla Włoch, a dla Polski całkiem zbyteczne). Z drugiej strony zamku była sadzawka, obsadzona lipami, tem umiłowaniem drzewem słowian.

Ogrodnik łobzowski miał do pomocy 6 zagrodników. Z takich to, pod obcą ręką, wytwarzali się ogrodnicy nasi. Z tego czasu istnieje ciekawy dokument. Jest to instrukcja wielkorządcy krakowskiego, z polecenia króla, w r. 1585 dana Bosettowi. „Do nowego sadu łobzowskiego, który ma mieć troje kwater, na ogródki dla zieleń, na które rozmaitych ziół potrzeba, jako: róży, rozmarynu, lewand, cyprysu (zapewne boże drzewko), spikandry (ulubiony w wiekach tych i dawniejszych szpikanard — *Spica Nardus*), goździków, fiołków, za złotych 50. Zasię będą w tym sadzie wizerunki 12 kwater, które szczepami: śliwami, wiśniami, morelami, brzoskwiniami i winem mają być obsadzone, wyidzie polskich szczepów gruszkowych 200, po 4 grosze¹⁾, jabłkowych 300, po 3 grosze, wiśni białych i czarnych 300, po 1 groszu. Czeresni węgierskich (czy wprost z Węgier?) 50, po gr. 6, śliw węgierskich i damascen 300, po 1½ grosza, figowych jabłek 200, po gr. 4, moreli 100, po gr. 6, brzoskwiń 150, po gr. 4 (tanio!), czerwonych orzechów laskowych, za gr. 12²⁾, włoskich orzechów 100, po gr. 3. Płonek do szczepienia na potem, za gr. 10³⁾. Wina na sadzenie, z Węgier, zejdzie się 1000 rozdzek (a więc kupowano sadzonki) y czeresni węgierskich być może za złotych 50. Suma za drzewka y ziele wyniesie złotych 227. Stephanus Rex“.

W założonym tak sadzie, oczywiście morele i brzoskwinie skazane były, z powodu klimatu, na wymieranie, a wino — na niedojrzewanie. Znać tu b. wyraźnie wpływ włoski, a może i porady ogrodnika włoskiego.

Plan ten ogólny, podziału na kwatery i na ogródek ziół, był, jak się zdaje, przez samego króla obmyślony. W drugim liście swoim nazywa ten plan wizerunkiem („fizerunkiem“), a jego wykonanie, „budowaniem“ ogrodu. Że „Lorencz“ (Bosetto) mógł tam coś ze swej włoskiej sztuki dodać, jest możliwe, w każdym jednak razie i teraz ogród łobzowski nie był włoskim, ozdobnym, ale raczej użytkowym, a lasy część ozdobną zastępowały.

Że jednak król Stefan o ten swój ogród dbał i miał go nawet w wyprawach wojennych na myśli, są na to dowody. Skrypt, z Gro-

¹⁾ Więc można je było nabyć w jakiejś szkółce krajowej.

²⁾ A przecież leszczyny szlachetnej jeszcze i dotąd mało u nas sadzą.

³⁾ Zatem i dziczki do szkółki kupowano.

dna, 3 februarii 1580 r.¹⁾, do podskarbiego królewskiego zatytułowany „Generoso Hiacinto Młodzieiowski, Thesaurario nostro“ i t. d.

„Naprzód, by ogrodników ośmiu odłączył y naznaczył, którzyby nic innego nie byli powinni, iedno ogrodu (w Łobzowie) pilnować, a Lorynczowi, ogrodnikowi, który ogród w opatrzeniu swoim mieć będzie, ich poda i obrachuie. Budowanie ogrodu jakim by sposobem być miało, yusz iest fizerunek posłany, według którego starać się będzie, iakoby się wolei naszej dogodziło, a osobiłwie, aby na rosthoczy płot. był postawiony.“

Gnoiem pothym potrzeba będzie dobrze nawieszcz.

Lorenzowi, ogrodnikowi, na kupienie ziół, szczepów i to co iest od nas naznaczone, wczas pieniądze dać potrzeba. Stephanus Rex“.

A inny nakaz króla, z obozu, 5 octobris, 1601 r. do burgrabiego Dobrozowskiego i administratora Jana Baptysty Cekiego, by między innemi wypłacili ogrodnikowi w Łobzowie, Wondermanowi (więc następcą Bosetta, niemiec) zł. p. 90 za 2 ćwierci roku.

O ogrodnictwie z początku tej epoki, u nas, dowiedzieć się można czegokolwiek z książki Teodora Zawackiego, p. t.: *Memoriale oeconomicum*, wydanej w r. 1616, stanowiącej pewnego rodzaju poradnik rolniczo-ogrodniczy²⁾. Można przypuszczać, że wywierała ona mały wpływ i była rozpowszechniona między ziemianami. Oprócz tego tytułu, cała napisana po polsku, była dostępna umiającemu i chcącemu czytać ogółowi.

To co Zawacki w tej książce podał, było właściwie tylko okruczem wielkiego dzieła, „O gospodarstwie“, które zamierzał wydać i bodaj, że je już po części nspisał, ale nie skończył. W każdym razie nie ma go, a szkoda, bo w książeczce swojej powołuje się na nie. Dla nas najciekawsza i wielce dla tej epoki ważna, byłaby część III tego dzieła, zatytułowana: Winnica, ogród, sad, ale niestety nie wydał jej.

Przy pisaniu tych rad Zawacki opierał się na „własnei experiencyi dziesięcioletniej (to niewiele!) i na kilkudziesięciu autorach *in economicis*, łacińskich, niemieckich, włoskich, francuzkich, polskich i czeskich“. Cytuje też często szkołę Salernitańską, Teofrasta, Galena i in. i wierzy temu, co oni radzą. Jestto więc w znacznej części kompilacja, pracowita, ale większości wskazań cudzych autor nie sprawdził, to też są tu

¹⁾ Przepisany i zostawiony przez J. Drège'a.

²⁾ Wydał ją powtórnie prof. J. Rostafiński, zaopatrzwszy w pożądane wyjaśnienia, w „Bibliotece pisarzy polskich“. (Wydawnictwo Akademii Umiejętności), w Krakowie, w r. 1891.

nieodpowiednie dla Polski rady, o siewie wielu roślin, delikatnych, zbyt wczesnych, o figach, brzoskwiniach, winorośli i t. p., zapożyczone z autorów włoskich. Radzi np. w listopadzie pniaki sadzić, któreby szczepili na przyszłą wiosnę, choć to, jak wiemy, dobrych wyników nie da. Są zresztą i dobre rady, ale wogóle o ogrodzie napisał mało, zajmując się raczej rolą. Za szkołą w Salerno powtarzał, że „wszelkie owoce, oprócz wiśni czarnych i melonów (choć i te niektórym „obracają się w cholere“), grubą krew mnożą“, zarówno jak „kapusta, cebula, soczewica i iagły“, więc mogło to wpłynąć na zmniejszenie użycia tych roślin, a zatem i ograniczenia ich uprawy.

O tem, jak wyglądały ogrody w Polsce, około r. 1670 — 2 opowiada dobry i umiejętny obserwator Niemiec, Ulrych Werdum, fryzjczyk, który za przedmiot do porównań miał ogrodnictwo swego kraju. W opisach jego znać znawcę rolnictwa i ogrodnictwa¹⁾.

Tedy w Gdańsku, odkąd podróż swą rozpoczął, przedmieście wschodnie zwało się „nowym ogrodem“. Nie wiadomo, czy to był jeden ogród publiczny, czy też wiele ogrodów prywatnych. Zresztą W. mówi, że „oprócz w wielkich miastach, w Polsce mało widzisz ogrodów, bo naród ten, w przecięciu, nie jest dość pracowity, ani dość ciekawy do tej akuranej roboty, jakiej ogrody wymagają. Hodują atoli produkty ziemne, jako to: różne korzenie, buraki, pasternaki i t. p., w wielkiej ilości“. A w innym miejscu. „Ale o ile polacy nie zasadzają (poza miastami) żadnych ogrodów, z wyjątkiem śliw i t. p., którym sama natura rosnać każe, to co do roślin korzeniowych i kapuścianych, są pilniejsi; poświęcają temu dużo pracy i hodują w wielkiej obfitości, zwłaszcza kapustę. Ale mają też pewien rodzaj rzodkwi, którą zwą buraki, tej właściwości, że surowa jest czerwona, a po ugotowaniu biała, „jak śnieg i smakuje b. dobrze“. Wygląda to tak, że we Fryzji buraków takich nie znali. „Ogórki także często jadają, nietylko kwaszone, jako sałata przyprawiane, lecz też do kawałka chleba, z łupiną, a zawsze z ręki, jak jabłka“. Tak jada je lud prosty na Rusi i w Rosji, jeszcze teraz.

„Zresztą naród polski tylko najniezbędniejsze grunta uprawia, a resztę odłogiem zostawia“.

Trzeba pamiętać, że Werdum odbył swe podróże podczas klęski Rzplitej, a i zaludnienie było w Polsce niewielkie, każdy zaś naród, jak i pojedynczy człowiek, robi tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, o wyjątkach nie mówiąc. Pomimo to uznaje dalej, że „Polska jest błogosławionym krajem, z powodu klimatu i bogactw przyrodzonych; jest

też prawdziwą spiżarnią zboża, ma piękne bydło, wytrwałe konie“. Prawdopodobnie uprawiano tylko ziemie najżyźniejsze, a łąk i pastwisk było dużo, można więc było dobrze mierzwić, o czem różni autorowie wspominają i co zalecają.

Pod Brzezunami, w Piotrkowskiem, „w cudnej glebie“, widział Werdum obfitość różnych warzyw, ale sadów mniej w Polsce właściwej. Za to na Podolu, pod Barem i Braclawiem, a na Ukrainie, pod Tulczynem „napotkaliśmy b. wiele, dobrze utrzymanych ogrodów, obfitujących w najwybitniejsze owoce, m. in. w jabłka, które w Niemczech nazywają *Schywelingen* (?), ale o wiele większe, kruche i smaczniejsze“, niż gdziekolwiek jadł. Hodowano też wtedy już, na Podolu, dużo tytoniu i prowadzono nim znaczny handel.

Pozatem są wzmianki o ładnych ogrodach, w ziemi Łubelskiej widzianych, lecz ani jednego opisu, ładność ich uzasadniającego.

Daleko więcej wiadomości, choć również powierzchownych i bardzo treściwie podanych, znajdujemy w „Zielniku“ jeszcze jednym, wydanym w Krakowie w r. 1673. Autorem był Syrenski v. Syreniusz, który również opisał rośliny z uwzględnieniem przeważnie ich własności leczniczych, mało się zajmując innemi.

Niemniej są w tem dziele wzmianki dla nas cenne. Tak więc kapustę „przed kilkanaście lat“, znano w Polsce tylko „głowiastą, a czarną“ (czerwoną). „Teraz, iako y cudzoziemców nabieżało do Polski, zwłaszcza włosków, którzy nam nanieśli rozmaitych ziół y iarzyń, nayduiemy ich więcej“. Jeszcze jedno potwierdzenie, że włosi nam dużo warzyw i ziół przywieźli. Z dalszych opisów można poznać jarmuż zielony i brunatny oraz kapustę włoską. Widać, że się znał na uprawie kapusty, gdyż radzi ją sadzić z 5 listkami i korzenie, przed sadzeniem, maczać w gnojówce, „a im się ią więcej okopuie, tem sporzey rośnie y głowy ma twarde“.

Odróżnia sałatę głowiastą („składaną“), od liściowej, kędzierzawej i rzymskiej, lecz tę ostatnią nazywa endywią, „która bywa gładka i kędzierzawa, a nakryta piaskiem, bieleje“. Zatem chodzi tu nie o sałatę rzymską właściwą, lecz o endywię. Co dziwne, twierdzi, że sadzą ją na grzędach, a niekiedy w polu, między ogrodnemi jarzynami. Zatem sałaty używano widać sporo, a warzywa różne uprawiano nietylko w ogrodzie, ale i w polu, co też stwierdził Werdum, a czego później w Polsce było mało, oprócz ognisk warzywnych, jak Czarna Wieś, Przybyszew i in.

Że i Syreniusz powtarzał różne niedorzeczności za autorami starożytnymi, tego dowodzą liczne zdania, jak np.: „Sałatę białą będziesz

¹⁾ Liske „Cudzoziemcy w Polsce“, Kraków, r. 1876. Życiorys Ulr. Werduma.

miał, gdy w środek iei piasku rzeczno nasypiesz“. A nie ma tu na myśli bielenia przez obsypanie piaskiem, bo je przecież znał, dla endywi.

Cebulę wyróżniał „zsiadłą“ (pełną?), włoską, która wiele główek ma (egipska, czy siedmiolatka?) i askalońską, „którą czechowie, bracia naszy y my oszlochom zowiemy“. Jestto zapewne szalotka. Cebule są „siewane w ogrodzie, w pole przesadzane y dla nasienia na wiosnę sadzone“ (wysadki). A cebula według niego „niewymowney wielkości będzie w baniowe nasienie wszczepiona, a gnoiem na palec obłożysz“!

Zna już i melongene, daje jej dobrą podobiznę i mówi, że rośnie w ogrodach siana (wiemy, że wtedy nie dojrzeje), albo w naczyniu do okna“. I w ten sposób b. trudno ją wyhodować. Pewno tę „gruszkę miłosną“ też włosi przywleźli, ale Peschke nie znalazł jej śladów w ówczesnej kuchni. O owocach, to co i u poprzedników. Tylko poziomki zna trojaki: czerwone, białe i jesienne (a więc powtarzające).

Za to kilka ciekawszych uwag o kwiatach. Goździki odróżnia „ogrodne y polne“, a w ogrodzie bywają jedne wielkie i pełne, drugie niepełne, różnej barwy, cieliste i pstre. „Owa wszystkich około 18 rodzajów (odmian). Śliczny y przyjemny zapach goździków kramnych (kupowane w kramach, zapewne od ogrodników) z 5—6 listków (płatków) złożonych; pełne zaś z kilkunastu „do 20 listków y więcej“. Wyróżnia goździk „mszysty, pospolicie biały“, więc zapewne pierzasty. Nazwy mają łacińskie lub niemieckie (to znaczy, że z Niemiec do Polski się dostały) więc: „panieński, modry, kartuski, brunatny, górny, leśny etc.“ t. j. pomieszał z sobą gatunki i odmiany. „Kwitną w lipcu, ale y ku zimie“, tj. że znano już w Polsce goździki powtarzające. „Bywają flancowane y siane, także w naczyniach, na okna“. Więc hodowano u nas kwiaty w mieszkaniach, ale bliższych o tem wiadomości nie znaleźliśmy. Mnożenie goździków przez rozdzielanie kępek, zna, ale nie wspomina o lepszym sposobie—sadzonkowaniu, tak dobrze już wtedy znanem we Francji i indziej. „Aby nie wymarły, do piwnic chowają i tak przez 2—3 lata też same. Kramne szczepią też w korzeniu“ (?). „W Niedrlandzie (jak widział sam), trwa to ziele wiele lat y w drzewka wyrasta; niekiedy za opatrnością ludzką y w piwnicach czasu zimy kwitną“ (?).

Hiacyntów ma być według niego kilkanaście rodzajów (tj. odmian): są brunatne, błękitne, białe i żółte, „a dwa nayprzednieysze pospolity i wschodni“. Otóż z dodanego rysunku widać, że pospolity, jestto szafirek (*Muscari*), a właściwy (*Hyacinthus orientalis*), zwie spilcza. Lecz w tym czasie już w książkach francuskich i holenderskich znajdujemy dość dokładnie opisanych odmian—po kilkaset (jak u De'la Quintinye'go i in).

Przez fiołki, rozumiał zarówno laki, jak i prawdziwe fiołki „modre i białe“, więc już i ta biała odmiana była znana. Bratki zwa się tu brat z siostrą albo wdówki (*Flos trinitatis*), bo barwę mają trojaką: brunatną, białą i żółtą, ale do ogrodów przeniesione odmieniają barwy“. Były zatem wtedy już w Polsce ogrodowe odmiany, z polnych bratków otrzymane, ale różne od nowszych krzyżówek kilku gatunków, które potem objęto nazwą *Viola tricolor maxima*.

Narcyzy bardzo pomieszał, wymieniając „narciszek pierwszy i trzeci“ (?), dalej żółty i płonny (*Narcissus sylvestris*)“, ale mu nie wiadomo, „żeby te w naszych krainach miały rość“. Przypuszczać jednak z tego można, że były już jakieś narcyzy w ogrodach naszych, może najpewniej narcyz pospolity (*N. poeticus*).

Z pisarzów, którzy wtedy rośliny uprawiane opisywali, było paru, mających znaczenie i to niemałe, dla krajów obcych, mniej dla Polski. W każdym razie trzeba ich tu zaznaczyć, bo chlubę naszej kultury stanowią, a mało są znani ogółowi.

Więc polak-jezuita Michał Bojm S. J. był powiernikiem od r. 1650 cesarza chińskiego Yung-Lie, za którego część dworu wyznawała katolicyzm. Bojm, odwiedzwszy Rzym, złożył generałowi zakonu rękopis swej flory chińskiej, p. t. *Flora sinensis*, wydany tamże przez jezuitów w r. 1656. W tej cennej książce opisał, po raz pierwszy, mnóstwo roślin chińskich, a między niemi i ogrodowe, jak kokosy, *Areca*, figa indyjska (*Carica papaja*), gojawy, pieprz, rabarbar, cynamon, imbir i w. in. Wyprzedził tedy blisko o dwa stulecia badaczy flory chińskiej, na których czele stoi, bez wątpienia, Robert Fortune.

W 1655 z Rzymu pojechał do Siamu i tam wypracował dzieło o medycynie chińskiej, wydrukowane już po jego śmierci, jak i poprzednie, zm. bowiem w r. 1655. (J. Cuvier l. c.).

Jakżeby zaś pominąć, w tem miejscu, jednego z najznamienitszych uczonych polaków, cieszącego się ogromnym rozgłosem i uznaniem ówczesnego świata uczonego, wielowiedza (polihistora), jak go nazywano często, Jana Jonstona? Ur. w 1603 r. w Szamotułach, W. Ks. Pozn. z rodziny z pochodzenia szkockiej, lecz już zupełnie spolszczonej, uczył się początkowo w Ostrowiu, potem w słynnym gimnazjum, w Bytomiu, na Śląsku, a dalej w Toruniu. Wreszcie ukończył kolegum w St. Andrews, w Szkocji, pod opieką prymasa tego kraju.

Powróciwszy do Polski, osiadł w Lesznie, poświęciwszy się medycynie, naukom przyrodniczym i historii. W r. 1628 jadąc powtórnie do Szkocji, odwiedził po drodze znamenitsze akademje, ucząc się na nich. Dał się poznać uczonemu światu, napisawszy wielkie dzieło p. t.: *Theatrum universale historiae naturalis* (Frankfurt). Przebywał potem

w Lejdzie i Londynie, gdzie wydał dzieło o stałości przyrody ((*De Naturae constantia*), poczem przez lat 10 jeszcze uczył się na różnych wszechnicach europejskich. Zapraszano go też do wielu z nich na profesora, ale wolał zostać nauczycielem Stan. Leszczyńskiego, przyszłego króla polskiego. Już też jako podskarbi W. Koronny napisał: „Przewodnik dla młodzieży i krótki zbiór historii powszechnej“. Książka ta, przełożona na niemiecki i holenderski, do początku w. XVIII, przez jakie lat 60, była tam używana, jako podręcznik szkolny.

Bawiąc parę lat w Rzymie i Neapolu, przygotował dziesięciotomowy wyciąg z olbrzymiego dzieła o przyrodzie, Aldrovandiego. W Jenie, pomiędzy 1660 — 67, wyszło jego dzieło historyczne p. t.: „*Polyhistor seu. . . series per Asiam, Africam, Europam, Americam rerum gestarum*, i inne nie mniej znamienite: „*Idea universae medicinae practicae*, używana długo za podręcznik przy wykładach medycyny na różnych uniwersytetach.

Wrócił znów do Polski, a osiadłszy we wsi własnej, pod Lignicą, do śmierci, w r. 1675, pracował jako lekarz i uczony pisarz.

Ogrodników obchodzą dwie jego książki: „*Notitia regni vegetabilis*“, Lipsk, r. 1661 i „*Dendrographia*“, w której opisał mnóstwo drzew, ilustrując rzecz 200 tablicami.

Wiedza jego była wprost ogromna, wykład jasny, styl potoczysty.

Zajrzyjmy teraz do wielce ciekawego, a dla tego okresu niewątpliwie najważniejszego dzieła, o ile gospodarstwa wiejskiego dotyczy, które napisał człowiek b. doświadczony, wytrawny tego gospodarstwa znawca, administrator wielu majątków magnackich. Był nim „urodzony“ Jakób Kazimierz Haur, autor książki, dość obszernej, p. t.: „*Ziemiańska generalna oekonomika, dawnym gospodarzom za memorjał, nowym za instruktarz podana*“²⁾.

Dla historyka naszego rolnictwa, przedewszystkiem, dzieło to, napisane praktycznie, a zarazem z humorem jowialnym i rubaszością, Rabelais'go wielce przypominającą, jest źródłem nieocenionem, ale i historyk ogrodnictwa znajduje w niem dużo ważnego i ciekawego materiału, z pewnością więcej, niż u skąpych w tym przedmiocie zielnikarzów.

Zalecając przeczytanie tego dzieła, bardziej zajmującego, niż wiele romansów, przytoczymy z niego znamienne wyjątki.

Haur dużo się zajmuje warzywami. Rozsadę (to znaczy kapustę) siać radzi „w wielki tydzień, a sadzić na Św. Tróję (zupełnie słusznie);

¹⁾ Pisał o nim dr. Arnold w „Roczniku T-wa przyjaciół nauk“ za r. 1811.

²⁾ Znam wyd. III krakowskie, z r. 1679, wydane *typis Universitatis*.

w tym całym czasie ma być od przymrozków słomą osłaniana. „Dawać nawóz na kapustę, pietruszkę, kuczmerkę, cebulę, marchew, rzepe, ćwikłę, pasternak, ogórki, rzodkiew, czosnek, banie“. My teraz pod wiele z tych roślin nawozu nie dajemy, przy umiejętnie stosowanym płodozmianie, ale te rady H. dowodzą, że mieli wówczas obornika dosyć i pod warzywa go nie żałowali. „Gdy różne wymienione rośliny ma się siać, iako zeydzie zimowa skorupa“, to „ogórki, malony, banie, karczochy, kaulofiory, kaulorapę, selery, siać za doskonałego ciepła. Sieią te rzeczy w osobnych naczyniach, w letniej izbie, a przesadzaią, gdy się ciepło robi“. Zatem inspektów nie używali jeszcze wtedy. Nawet siew maku w marchwi i pasternaku był mu znany. „Rzepe sieią z piaskiem, by rzadziey weszła, a ta iest zdrowa, gdy ią tłusto warzyć“. Cebulowe nasienie „pewne, swoje własne“. Tu znów mamy potwierdzenie, że nasiona warzyw na swoją potrzebę i w tej epoce hodowano w Polsce. „Siać cebulę między ogórkami, a gdy odrośnie, sadzić (po kapuście) we 3 rzędy, dłoń od dłoni“. To każe przypuszczać, że nie uprawiali na zagonach, jak nasze na 1,20 m. szerokich, lecz bardzo wąskich, mniej szcędząc ziemi, a ułatwiając sobie pielienie. Przy cebuli—jedna z tych dyktaryjek lub fraszek swawolnych, w których się lubował; przytaczamy ją dla charakterystyki autora i jego czasów.

„Przygodna też Panna cebula Panom y wdowom, gdy ich do ślubu albo łożnice prowadzą, oczy natrzeć, aby przynajmniej dla ceremoniey płakały“.

Ćwikłę siać, ale można i przesadzać. „Zdrowe są dla człowieka korzenie tak pieczone, iak y warzone, y na boraki do kwaszenia sposobne“. Ogórki siać w początku maja, co 3 stopy, po 2 ziarna i polewać w suszę. „Surowo uchoway Boże zażywać, gdyż to tylko salemym włochoom natura pozwoliła, że go surowego z cebulą y octem winnym zażywaia, ale maią dobre wino, czego polakom neguię“. Jakby się słyszało IMC pana Onufrego Zagłobę! A takich orzeczeń i dyktaryjek tu dużo, jak np. to. co dalej prawi o ogórkach. „Ogórki potrawa żydowska; iedzą ich bardzo dużo na rynku krakowskim stoiać i tak trawia, bo *post coenam passus mille meabis*. Dla tego narodowi temu, frukt ten nie szkodzi“.

Ponieważ jednak Haur czerpał swą wiedzę nietylko z praktyki, ale jak sam mówi, z Warrona, Paladjusza, Kolumelli i in. więc też za nimi i za zielnikarzami powtarza tu i owdzie różne niedorzeczności. Więc np. „rzodkiew iest samiec y samica. By była słodka, nasiona iey w miodze moczyć na noc iedną“.

Na hodowli drzew owocowych znał się wcale nieźle. Radzi gąsienice obierać i palić, bydła do sadu nie puszcząć, gałęzie okrzysywać,

korę skrobać, chwasty niszczyć. Drzewa okopywać przed Św. Janem (więc rosły w darninie), „gnoju samego, coby nie z mierzwą (?), pod macicę posypać y ziemią dobrze zmieszana nakryć“. Nie wiedział, jak i jego współcześni, że drzewa trzeba zasilać nie przy pniu, ale tam, gdzie mają korzenie żywiące, więc pod obwodem korony.

Szczepić każe na wiosnę i w październiku, listopadzie (jesienne szczepienie u nas się źle udaje, z powodu zimy). Każe szczepić przy ziemi (zatem mieli dziczki młode, z siewu), a trzymać szczepy „w szkole na ustroniu, ogrodzone i pniaczki do szczepienia każdego rodzaju osobno; gęsto nie sadzić“. Wie również, że na jednym drzewie można zaszczyć kilka (odmian). Według H. ogrodnik ma być „cyrulikiem¹⁾“ drzew, by rany woskiem zalepiać, a obwiązywać chustką z gliną“. Przepisy te są przeważnie i na obecną dobę, dobre.

Ale znów błędne pojęcia. „Są drzewa samce y samice; samiec pierwey list wypuszcza, bo ma więcej wilgoci. Samica później y mniejsze listy, dla większej suchości, według swego przyrodzenia“. Albo: „gdy korzeń kręty—drzewo nie rodzi, bo on nie może przyiąć ziemney macice“ (?). A gdy „owoc gorzki, nalei przez otwór do rdzenia (drzewa) wody słodkiej, a gdy owoc mieszany (cierpki?), nalać wody z cynamonem, gwoździkami, piżmem y szafranem, wedle gustu. Dziurę kołkiem zabić“. Wiemy, że to pomoże tyle, co umarłemu kadzidło.

Ale o odmianach owocowych i u H. są wiadomości zbyt skąpe: „Jabłka są letnie y zimosttradki (zimostrawki?), te zbierać przed mrozem, każdy gatunek ma swoje imię (lecz jakie?), farby są odmienne. Ze szczepienia najlepsze, ale mogą być z nasienia y z przesadzania“. Więc każde jabłko było dobre dla ówczesnych ludzi, bo i leśne i siewki i szczepione, jakieś lepsze odmiany. Sadzić poleca jabłonie co 20 stóp, nazbyt gęsto, zbyt wiele owoców w lipcu przerwać, żerdziami drzewo podpierać, przechowywać w ciemnym lochu, drzewi zawierać, okna słomą zatkać; często przebieierać. Dowodzi to dobrej jego praktyki.

„Jabłecznik robić ze swojskich, letnich. Tłuką ie na kamieniu, w kamiennej donicy, potem doleją wody y kiszą przy wolnem cieple, w beczie. Im iest starszy, tem lepszy“. Nie był to zatem jabłecznik, z natury swej krótkotrwały, lecz wino jabłkowe. „Ocet z polnych y leśnych (jabłek), iest lepszy“. Widzimy, że ceniono leśne jabłka, których przy dużem zalesieniu kraju, musiało być jeszcze sporo.

Gruszki znów są „drobne iako Muszkatułki; Małgorzatki prędey się dostawiają“. „Delikatne (zimowe) przechowuią w plewach, kłakami owinięte“. Sposób ten stosują jeszcze i teraz niekiedy.

¹⁾ Olivier de Serres, zwal ogrodnika „jubilerem ziemi“ i słusznie.

„Z porzeczek y agrestu robią zdobne płoty w sadach. Do potraw pieczystych smakowite surowo y na konfekty“. Zatem widać, że agrest i porzeczki hodowano na granicach sadów lub ich części.

„Śliwy są różne w smakach, formie y barwie, często choruią (tylko odmiany delikatne—E. J.). Białe niezdrowe, czerwone laksuią“. Z tych krótkich wzmianek, można jednak wyprowadzić pewne wnioski co do ówczesnych sadów, w których drzewa głównych gatunków były w licznych już odmianach i opatrywane, zasilane. Owoce zbierano i przechowywano wcale nieźle.

Hodowli brzoskwiń widocznie nie znał, bo mówi, że się je ma sadzić w styczniu, lutym, marcu lub listopadzie, a u nas sadzić je można tylko na wiosnę. Radzi też owoce przechowywać tak, żeby „pestkę wyjąć, a na jej miejsce smoły ciepłej włożyć, garnek zaspuntować i tak przez całą zimę będzie“. Należy podziwiać naiwną wiarę w powagi starożytne, a zarazem lekkomyślność w podawaniu rad nie sprawdzonych. Ale wie, że się brzoskwinie szczepi na śliwach, co zapewne pierwsi zastosowali ich hodowcy pod Paryżem, gdzie powstała hodowla brzoskwiń pod murami, a klimat wymagał podkładek odpornych.

Haur morele radził też hodować, jak brzoskwinie, ale o hodowli szpalerowej nic nie mówi; musiało jej jeszcze wtedy nie być.

O wiśniach i on podaje tylko, że są różnego smaku, koloru i formy.

Pzywiązuje pewną wagę do pigw, „które są dwojakie: kiedy wielkie—y owoc wielki, kiedy małe—mały“, co nie jest prawdą, bo i na małych drzewkach owoc duży bywa. Ale „od pniaństwa wstrzymuią, przeto tego owocu dla tej wstrzeźliwości, nie tylko w ogrodach, ale w lasach, borach, osobliwie u nas w Polsce, potrzebaby nasadzić y nasiać“. A wszak dowiedli już historycy tych czasów, że w Polsce ludzie nie pili więcej, niż w wielu innych krajach i to nawet przodujących w cywilizacji.

O winorośli cokolwiek szerzej się rozpisal. Każe ją sadzić „na południe, na zimę obsypać ziemią i nawozem nakryć; na wiosnę odkryć i podkrzesywać (ciąć u nas można tylko na jesieni, gdyż na wiosnę płacze) i powiązać przy osobnym płocie (więc szpaler). Ale każe na 30 dni przed dojrzaniem owoców oskubać liście (można za ledwie na tydzień, o ile jagody nie mają popekać). Gdy lato zimne, zrywać grona stopniowo na ocet, które też z agrestu niedojrzałego robiono. Przytem dodaje: „Dawniey węgry rozwozili wino y musieli się z niem prosić—teraz od nas na mil kilkadziesiąt po wino do Węgier jeżdżą. Do miast sprowadzają różne wina, do podziwu, (wylicza je), a to się wszystko dziwnym sposobem w Tokayskie zaraz obróci i w brzuch się leje“. Zatem Polska swego wina wtedy już nie miała, a sztuka kiperska w niej

kwitła. Haur jednak sam był przyjacielem wina, bo pisze: „Pić stare wino, gdy żołądek boli”. Utrzymywał, że winorośl można szczepić na innych drzewach owocowych, a więc sam tego nigdy nie próbował.

O kwiatach wogóle powiada barwnie, że „Boska wszechmocność uraczyła niemi, różnych kolorów, wszelkie stworzenie”. A zaś szczegółowo: „lilie są białe y czerwone (zawojki?). Strączki ich (cebule) sadzić w marcu lub listopadzie (za późno). Róże znał „farby czerwonej, cielistej, białej y żółtej; im się je częściej przesadza (znów w marcu i listopadzie) tem lepiej (?). A zaś „róże sadzone przy czosnku, będą pięknie pachniały, bo czosnek z natury gorący, będzie je zagrzewał”.

„Fiałki są brunatne, białe y żółte; na zimę należy je obwarować słomą”. Były to laki, które na zagonie, nakryte słomą, przetrzymują istotnie lekkie zimy. „Rozmaryn trzymać w naczyniu, by go mróz nie dochodził”, ale siać go, wszczepiwszy nasienie „w przecięte ziarno owsa”, (po co?). „Cyprys, u nas mały krzaczek lepiej w naczyniu hodować, niż na zagonie”; to prawda, bo na zagonie nie wytrzyma zimy.

O goździkach wie tyleż, co i zielnikarze, a z tulipanami krótko się załatwia: „kwatery ozdabiają y oczy delektują y w oknach (więc w doniczkach) się prezentują”. I na tem prawie koniec, a przeto ogród kwiatowy nie bardzo obfitował w gatunki rozliczne.

Drzewa krajowe wymienia, uwzględniając tylko użytki z nich; o ozdobnych wcale nie mówi.

Z pewnym żalem rozstajemy się z tym uciechowym gawędziarzem, obfitym w anegdoty i swawolne sentencje, nie wyczerpawszy całej jego erudycji, znamiennej dla tego okresu. A jest to właśnie smutny czas zepchnięcia Polski pomiędzy kraje ciemnoty naukowej i zastoju pracy umysłowej, który się odbić musiał i na ogrodnictwie także. Bo aż do r. 1675, młodzież możniejsza lub przez możnych wspierana, po ukończeniu nauk w szkołach krajowych, szukała nauki na uniwersytetach zagranicznych: we Włoszech, Francji, a nawet w Pradze, Gracu, Ingolstadtzie, w świetnych tamtejszych szkołach jezuickich. Protestanci jeździli po naukę do Bazylei, Lejdy i Strasburga, Frankfurtu lub Lipska.

Ale gdy się w Polsce rozpowszechniły szkoły jezuickie, nauka w nich ograniczyła się do poznania łaciny i wiedzy scholastycznej; Arystoteles stał się jedynym źródłem umiejętności przyrodniczych i filozofji. Zamiast doskonalić nauczanie, szkoły te kłóciły się z Akademią krakowską, także podupadłą, a wkrótce wielka ciemnota ogarnęła kraj. Rządząca nim warstwa narodu — szlachta, zam. w uniwersytetach, zaczęła się uczyć w palestrze, po grodach i trybunach, a pieniądze rozpowszechniło się. Plebejusze nauki nie szukali, bo i ona wyjątkowo dawała im dostęp do życia publicznego. Ta ciemnota i nieuctwo stały

się jednym z ważnych źródeł naszej politycznej niemocy, a potem upadku. Dopiero Stan. Konarski od 1740 r. i Komisja Edukacyjna od 1773, podźwignęły kraj z tej niemocy ducha, ale już szkód, zrządzonych przez zły system szkolny, naprawić w całości nie mogły.

Tembardziej, że rozlał się nad Polską za ostatniego Wazy „potop”, w postaci wojen kozackich, moskiewskich i szwedzkich. Te ostatnie zwłaszcza zamieniły rdzenną Polskę w ruinę. Pastwą płomieni stały się grody i zamki, dwory i wsie całe; zrabowano, co cenniejsze, spłonęły też liczne mniejsze i większe biblioteki, a w nich rękopisy dzieł niewydanych i pamiątek. Zapewne wiele cennych wiadomości i dla historyka ogrodów w ten sposób też przepadło. A z licznych drukarni, któremi się mogła Polska poszczycić, w poprzednim okresie, zaledwie trzy ocalały¹⁾. Któż mógł myśleć wtedy o zakładaniu ogrodów, zwłaszcza strojnych? Wszak patrzymy na to, jaki w tej dziedzinie zaplował zastój, po wielkiej wojnie, którąśmy przeżyli. Niemniej królowie i magnaci, za Wazów, pozakładali liczne, a niektóre, o ile wnosić można, piękne ogrody, oczywiście przed tym potopem.

Zacznijmy od królów i ogrodów królewskich.

Więc pierwszy z Wazów, Zygmunt III, jest sam miłośnikiem ogrodnictwa. W Łobzowie, sadi sam drzewa „cieniowe” i owocowe. Siał kwiaty, rozmnażał różne rośliny, pielęgnował melony, a zabawa ta była mu w lecie najmilszą²⁾.

Niezależnie od tego założyli ci królowie, zwłaszcza w Warszawie, duże ogrody ozdobne, w stylu włoskim, zmienionym przez francuzów, przed Le Nôtre'm (odrodzenie francuskie), zwłaszcza, gdy upodobanie do ogrodów i znajomość tego stylu przywiozła do Polski Ludwika Marja i jej dwór. Być może, iż nawet ogrodników z Francji sprowadzała³⁾.

Parę tych ogrodów warszawskich, opisał kiepskim wierszem nadworny muzyk Władysław IV, Jarzemski, w r. 1613. Mówi on, że tuż za bramą zamkową był ogród niewielki, z kwiatami, owocami i krynica. Pałac Ujazdowski miał dwa ogrody: za starym dworem — obszerniejszy na owoce i pomniejszy na warzywa, ogrodzone żywopłotem (z czego?). Były tam „figownie, nlsko, w ziemi; te (figi) niewątpliwie korcami możnaby mierzyć”⁴⁾.

¹⁾ Łukaszewicz l. c.

²⁾ Ks. Siarczyński: „Obraz wieku panowania Zygmunta III”. Poznań r. 1858.

³⁾ W każdym razie nie ma ich w spisach rzemieślników i rękodzielników z r. 1642 (ani nawet z 1750), chociaż być może, iż nie zaliczano ich już wtedy do tej kategorii pracowników.

⁴⁾ Taka „figownia”, zrujnowana stoi jeszcze przy murze od ogrodu botanicznego, w Łazienkach, na górze. Ostatnie drzewa figowe pamiętamy w niej. Na zimę na-

O tym ogrodzie napisał Laboureur, towarzysz marszałkowej de Guébriant, która Ludwikę Marję do Polski przywiozła, jako jej ochmistrzyni, że „król Władysław IV ma pałac letni na przedmieściu, z widokiem z jednej strony na rzekę, z drugiej na ogród piękny, jak tylko kraj pozwala”. Że zatem L. we Francji (a może i po drodze), widział piękniejsze, jest z tego określenia widoczne.

Nieco lepiej opisał Jarzemski pałac królewski, później Kaźmierowskim nazwany. Ten był otoczony parkiem, włoskiego stylu, z drzewami, jakby baszty sklepionymi (więc strzyżonemi, ale, jakimi?), z parterami kwiatów, fontannami, posągami Herkulesa, Neptuna i in., z delfinami, wyrzucającymi nozdrzami wodę, z zagranicznymi w kadziach drzewami”. Ogród ten otaczał dzisiejszy uniwersytet i spadał po pochyłości wysokiego wzgórza ku dolinie Wisły. Potężne mury oporowe, do dziś pozostałe, dowodzą, że budowle były kosztowne, więc i na piękne urządzenie tego ogrodu nie szczędzono zapewne pieniędzy. Dziwne tylko, że się jego plan nie przechował, chociaż wiemy, że ogrody królewskie zwane i teraz jeszcze dziardynami, zakładali Zygmuntowi III włosi. Jeden z takich ogrodów, ze zwierzyńcem, bardzo obszerny był w Przemyślu, ale ani w opisach, ani w rysunkach ślad po nim żaden nie pozostał.

Inne ogrody królewskie nie są znane; krakowskie podupadły, gdy stolicę do Warszawy przeniesiono. Ale trzeba tu zaznaczyć wybitną zasługę Ludwiki Marji, która poleciła założyć dwa, pierwsze w Polsce, ogrody botaniczne, bo za takie trudno przecież uważać owe „apteki” — ogródki ziół leczniczych, przy klasztorach dawniej pozakładane.

Pierwszy z nich założyła królowa w 1650 r., czyli w 125 lat po pierwszym w Europie ogrodzie botanicznym, pizańskim. Mieścił się on pod zamkiem, zdaje się, że na płaszczyźnie nad Wisłą. Medyk królewski ówczesny, Andrzej Cnöfflius, podał spis 740 gatunków roślin, które się w tym ogrodzie znalazły; że zaś dzikich roślin z okolic Warszawy znano wtedy 701, więc zaledwie kilkadziesiąt gatunków było obcych¹⁾. Niewiele też brgatszy w gatunki, był drugi ogród taki, nieco później założony „na przedmieściu”, za pałacem Kaźmierowskim, (na dole za uniwersytetem dzisiejszym, gdzie obecnie podręczny ogródek do wykładów botaniki, głównie dla aptekarzy); było tam roślin 750. Pomimo to, Simon Pauli, w specjalnem dziełku współczesnem, o ogrodach botanicznych w Europie²⁾, stawia te ogrody na

krywano ją deskami. Zasłynął też ogród króla w Nieporęcie, pod Jabłonną, piękny i obszerny z r. 1640. (Baliński).

¹⁾ Tomasz Święcki: „Opis starożytnej Polski”.

²⁾ „*Viridaria varia regia et academica*”, Kopenhaga r. 1653.

szóstym miejscu. Pierwszym był paryski z 2121 gatunków, potem w Leodjum, Gronindze, Kopenhadze i Oksfordzie. Przypuszczać należy, że w ogrodach tych warszawskich drzew i krzewów nie było, gdyż dochowałyby się niektóre do naszych czasów, drzewa długowieczne, a śladów ich tam nawet nie ma. Dziwne też, że Jarzemski tych ogrodów nie opisał.

Za królami nie pozostali w tyle możni, liczni panowie. Więc Kazanowscy, obok ogrodu Kaźmierowskiego, mieli swój wspaniały, dochodzący aż do brzegów Wisły i do miejsca zajętego później pod dom T-wa przyjaciół nauk. Były w nim również drzewa strzyżone, a podobno właściciele miewali ze swego ogrodu, nawet w zimie, sałaty i inne przysmaki, jak twierdzi St. Wodzicki. Niewiemy tylko jak i gdzie te nowalje pędzono. Ciekawe i dość ważne jest to, że ogród Kazanowskich bywał czasowo otwierany dla publiczności; byłby to zatem pierwszy ogród publiczny, w Warszawie.

Daniłowicz, gdzie ulica od niego nazwana i biblioteka Załuskich, z popiersiami królów polskich, miał według Jarzemskiego „ogród pyszny, w nim drzewa pod sznur sadzone”, gdzie były łaźnie i altana. A Warzycki, wojewoda mazowiecki posiadał ogród, w którym rodziły się winogrona, „a z boku domu róże, pnąc się po ganku, latem sprawiały chłód i zapach przyjemny”.

Niemniej i na przedmieściach Warszawy porozrzucane były piękne ogrody panów. Około r. 1630 słynął Dwór gdański, za bramą miejską (od ulicy Nowowiejskiej i Mostowej) z dużego ogrodu, sięgającego do Wisły, pełnego drzew, owoców i kwiatów (Baliński).

A jeżeli wyjdziemy poza stolicę, to w Pułtusku „kosztowne ogrody”, założone w r. 1570, spadkobiercy, w tym okresie Wazów, starannie utrzymywali. Szkoda, że ani Baliński, ani Lipiński nie doszli na czym ta „kosztowność” polegała, czy na drogich budowlach i robotach ziemnych, czy na rzadkich cennych roślinach, a może na jednym i drugim?

Niewątpliwie piękne ogrody miał zdrajca, Hieronim Radziejowski, w Radziejowie. W nich to podejmował Ludwikę Marję, w jej podróży na ślub z Władysławem IV, w r. 1645. Gdy obejrzała wspaniały dwór, zaprowadził ją do ogrodów, a Laboureur mówi, że były „wesole i ozdobne; z jednej strony są tam wody, a z drugiej: kwiaty, szpalery i gabinety do odpoczynku i „gry”. „Na końcu ogrodu było otwarcie (widok), odpowiadające pryncypalnej ulicy. Wśród zwierzyńca płynie strumyk; ten kanałem ogrodzonym dostarcza wody”. Ale kto ten i inne ogrody zakładał, kto je utrzymywał zawodowo, skąd brano do ich ozdoby drzewa i kwiaty? — same zagadki.

W Prażmowie, pod Grójcem słynął ogród ozdobny z dębów, którym rachowano do tysiąca lat wieku.

W Radłowie, u marszałka Opalińskiego, Sarnicki porównywa ogród z ogrodami Lukullusa, był bowiem piękny i pełen wykwintu (*locus amoenus et refertus omni genere elegantiarum*). Tenże twierdzi, że ogrody w Słupi były tak piękne i obszerne, że mogły się mierzyć z najpiękniejszymi tego wieku.

W Ujeździe Ossolińskich (dziś słynna ruina Krzystoporów, pod Iwaniskami), Puffendorf znalazł „ogrody wiszące“, geometryczne, ze strzyżonych szpalerów, przed laty conajmniej kilkudziesięcioma założone¹⁾.

Słynne ogrody mieli Denhofowie, w Kruszyńcu, blisko Częstochowy. Zwiedziła je marszałkowa de Guébriant w 1646 r., a jej sekretarz, Laboureur, opisał je b. krótko, dodając: że „jest tam oranżeria, rzecz w Polsce rzadka“. W każdym razie były już u nas pomarańczarnie, które się przechowywały, w formie mało zmienionej, do w. XIX, a niektóre z nich b. stare, widziałem.

Dla ogrodnictwa okolic Krakowa dużo zdziałał Michał Wolski. Przedewszystkiem w Krzepicach, otrzymanych w darze od Zygmunta III, założył słynne ogrody. Lustracja majątków w r. 1636 już zresztą znalazła tam zwierzyniec „in circa 40 do 50 lat zbudowany i b. dobrze rozrządzony, obwiedziony parkanem na 2 mile. Zamnożył (tam) p. Marszałek sad drzewa rozmaitego, przywożąc z Włoch i Niemiec, tak iż tam owoców siła“. Rzadka wzmianka o pochodzeniu tych gruszek i jabłek, które tak Mucantemu smakowały, wiemy bowiem jak prędko i daleko rozchodzą się zrazami dobre odmiany, chociaż nazwy ich zatracano, dając im różne przezwiska przygodne²⁾.

Jak pięknym był ogród Sieniawskich, w Brzeżanach, pod Lwowem, dowodzi jego nazwa Raj. Wszystko, co mogły dać przyroda złączona ze sztuką, tam było: „Gaje, wytryski wód, szumne ich spadki, chodniki i spoczynki, przyozdobione rozlicznymi posągami, a m. in. i pierwszych rodziców, skąd nazwa ogrodu“³⁾. Stamtąd podobno pochodzi odmiana szlachetna jabłka polskiego, zwanego „Rajewskiem“

¹⁾ W „*Res gestae Caroli Gustavi*“.

²⁾ Jeżeli potrzeba na to dowodów, to nie mówiąc o współczesnych nam i naszych co do tego spostrzeżeniach, oddawna w podróżach po Polsce czynionych, przytaczamy zdanie Ł. Gołębiowskiego (w jego „*Domy i Dwory*“), że pierwsze odmiany jabłek i gruszek, przywiezione z Kluniaku i z Niemiec do Polski, przez benedyktynów, istniały jeszcze w r. 1830 w okolicach Sandomierza, „skąd się rozeszły na Mazowsze i Prusy, a teraz do Warszawy, gdzie dostateczny mają odbył przybycie z owocami galary“.

³⁾ Ks. Siarczyński l. c.

(zam. Rajowskiem), które niestety rzadko gdzie się darzy, tak podlega czarnemu grzybkowi.

Słynęły też ogrody w Rembielicach, pod Krzepicami, wojewody Stan. Warszyckiego, z piękną wodą, sprowadzoną z odległej rzeczki Liswarty, a zaś ogród w Dańkowie ze swych ogromnych starych drzew, zapewne lip i dębów.

Posselt i inni twierdzą, że najpiękniejsze w Polsce ogrody, zakładali w swych licznych posiadłościach Radziwiłłowie; obfitowały one w piękne rośliny i wyborne owoce, „jakie mało gdzie widziane być mogą“. A ponad wszystkie zastynał ich ogród w Nieświeżu. Połączono w nim przepych bogactwa z wytwornością sztuki, naśladując to, co książęta w podróżach po obcych krajach widzieli najpiękniejszego. Pełno tam było zagranicznych roślin i owoców, w licznych odmianach. Cała Litwa stąd się zapewne zaopatrywała w zrazy do szczepienia. Były tam też szklarnie, „cieplice i zimowe przechówki“, pod koniec XVII w. Ale szczegółów bliższych, ani spisów roślin z tych ogrodów nie mamy. Tylko Ł. Gołębiowski, z niemałym trudem, zebrał o tych wszystkich ówczesnych ogrodach garść wiadomości. Mniema on, że szlachcie zakładali ogrody zakonnicy lub przynajmniej dawali na nie pomysły, nauczyszcy się tej sztuki w obcych krajach. Nam się zdaje, że to nie jest takie pewne, bo zakonnicy znali przeważnie tylko ogrody klasztorne, zawsze, aż dotąd użytkowe, a nie ozdobne. Ale, bądź-jak-bądź, dla chłodu i miodu sadzono blisko domu lipy. Z nich też oraz z grabów powojów (?) i wina¹⁾ urządzano chłodniki. Obsadzano je również przy kratach z łąt (więc na wzór francuski, czasu Ludwika XIII i XVI) dzielseminą hiszpańską lub indyjską. Ale sądzę, że się G. mylił tu, bo jaśminy (dzielseminy) prawdziwe (*Jasminum*) naszego klimatu nie wytrzymują. Pisze dalej, że gdy ten dzielsemin kwitł—pachniał. Czy nie były to raczej przewiercenie (*Caprifolium*)? Obsadzano je też różami. Do cieniejszej przechadzki służyły bindaże (szpalery, o gałęziach górą związanymi).

Ogrody szlacheckie zwano wciąż jeszcze wirydarzami, a małe wirydarzykami. Odróżniano już jednak pewne ich części. I tak: ogrody warzywne zwano folwarcznymi, dalej szły sady i ogrody fruktowe (więc zapewne rajskie, oddzielone od reszty zagrodą, jak włoskie giardini secretti. Na Ukrainie basztanami zwano pola pod arbuzy czyli kawony i melony. Dalej szły winnice, a u możnych figarnie na zimę nakrywane i nawet treibhausy fruktowe. Zna-

¹⁾ Krzew winny, bo dzikie wino sprowadzono do Francji z Kanady w 1630 r. Wątpimy, żeby się u nas tak prędko rozpowszechniło.

czyłoby to, że pędzono w nich drzewa owocowe, przyspieszając ogrzewaniem dojrzewanie owoców. Ale sztuka ta, dość trudna i wymagająca umiejętności ogrodników, dopiero wtedy była zapoczątkowana w Holandji, skąd zaledwie w następnym wieku przeszła do Anglii i do Francji. Należy wątpić, żeby ją w Polsce znano, bo gdyby tak było, nie zaginęłaby potem, ale raczej rozwinęła się dalej, a przecie i dziś mało gdzie jest znana i stosowana.

Bardziej nam też trafia do przekonania to, co o ogrodach szlacheckich pisze Zygmu. Gloger¹⁾. Rozkoszą dla szlachcianki był ogród wiejski, gdzie hodowała: róże, maliny, agrest, porzeczki, ogórki, szafran (?) do ciast (przywożono go z Włoch—E. J.), majeran do kiełbas, koper do ogórków, szałwę, rzeżuchę, rzepe, rzodkiew i sałaty. Panienki doglądały ruty i rozmarynu na wianki, lilji i lawendy“. Słowem był u szlachcica sad i warzywnik, a gospodarowano w nich według rad Haura i może zielnikarzów niektórych; także trochę niewybrednych kwiatów, a dla chłodu, przechadzki i wypoczynku—lipnik lub las sąsiedni, drogami porznięty. Doglądał zaś tego wszystkiego domorosły ogrodnik, z czeladzi dworskiej wzięty, może gdzie pod cudzoziemcem poduczony, w pańskim większym ogrodzie.

A pańskie ogrody dziardynami zwane, jeszcze tu i ówdzie lub też ogrodami do zabawy, były włoskie i francuskie. Obsadzone były drzewami przy ulicach „w aleje lub w czynek“ (na przemian) albo w szpalery strzyżonemi lub nawet wystrzyżanemi w różne formy. Zdobiono je sztachtetami, labiryntami, arkusami (łuki z drzew wygiętych) w końcach ulic altanami (kioski tureckie), belwederami, z pięknym widokiem, basynami z ciosowego kamienia, z fontannami z nich bijącemi. Tworzono też i kaskady, a ogród przyozdabiano posagami, tu i ówdzie ustawionemi. Bywały też groty czyli jaskinie (włoskie *nymphaea*), wysepki na wodzie i mostki, a potem pustelnie, świątynie, ruiny, pomniki i przed domem pełno doniczek z kwiatami (o ile były szklarnie). W pobliżu domu bywały też kwatery na kwiaty, rznięte w darninie lub wysadzone bukszpanem we floresy, a między niemi miejsca próżne wysypane różnokolorowym piaskiem lub tłuczonymi konchami (moda holenderska).

Ogrodów mieszczańskich istniało dużo w Warszawie, Krakowie i innych miastach. Ogier²⁾ w 1635 widział ich tak dużo pod Gdańskiem, aż do Malborka, że się ciągnęły „naksztalt Paryża“ (t. j. jak pod Paryżem).

¹⁾ *Encyklopedia Staropolska*: „Ogrody i sady“.

²⁾ „Zbiór pamiętników“ J. N. Niemcewicza.

Niezależnie od tego niektóre ogrody były własnością miast. Tak np. w Warszawie (Sobieszczański, Wejnert) już lustracje z lat 1156 i 1569 mówią o ogrodach „przy folwarku“ i na Nowem Mieście. Przy folwarku, zapewne Ź-to Krzyskim, który się ciągnął przez ul. Świętokrzyską i aż pewnie do Mazowieckiej. Siewano w nich „cebule, marchew, kapusty i in. użytki ogrodne“. Więc były to przeważnie warzywniki, ale jeden z dwóch ogrodów folwarku „na włoski obrócono“, gdy drugi obsiewano warzywami. Według lustracji z r. 1660 „ten na rozchód czeladzi obraca się“. Że o warzywa w tym okresie troszczono się bardzo, tego dowodzą nie tylko liczne wzmianki już przytoczone, ale taka chociażby intercyza (kontrakt), z Jerzym Chłoneckim, zawarta w r. 1629, o ogród pod Lwowem, należący do biskupa Jana Próchnickiego, w której zastrzeżono, że „ogrody similiter (t. j. podobnie jak rola, o której jest tam mowa poprzednio), mają być dobrze sprawione, zasiane rozmaitemi szczebrzuchami (warzywa, nazwa ta pochodzi może od *czczbrzuchy*?) dostatecznie. A wszak i Mucante już widywał rą rynku w Krakowie dużo ogrodowizn i legumin, obok owoców. Że warzywniki, zwłaszcza zamożnych, obfitowały we wszelkie warzywa w tym okresie, to po wprowadzeniu ogrodowizn włoskich, staje się pewnikiem.

Posiadamy też spisy odmian owoców, wtedy hodowanych, niestety, oprócz nazwisk, żadnych bliższych określeń tych owoców nie podające. Dziwić to nie może, bo nie było w kraju znawców owoców, chociaż tych, którzy je lubili jeść, były miliony. Wszak i we Francji dopiero w tym wieku XVII pojawili się pierwsi pisarze (Merlet), których mianem owocoznawcy, z pewnemi zastrzeżeniami, już zaopatrzyć można. Więc Ładowski¹⁾ jako pierwsze gruszki, otrzymane z Kluniaku jeszcze, poczytuje Bugi (Bugie?). Ale dopiero Gołębiowski skrzętnie zebrał wszystkie nazwy odmian owocowych, które mu się o uszy obity. Wymienia on z gruszek: Bulby (Gdule), (czy też same co rosyjskie Dule, które w Ogr. Pomologicznym zastałem i hodowałem, ordynarne gruszki letnie?) Panny, Baby, Cegłówki, Owsianki, Rokoszówki, Dawidki, Koniakówki, (nazwa znaleziona w jakimś rękopisie z czasów Zygmunta Augusta), Orjantówki (zapewne Orlantówki, które też z Woli dostałem i miałem w Ogr. Pomolog. Warsz.), „Popadja“ i nasze ojczyście Winiówki, wreszcie Cukrówki, Muszkatułki, Wirgulesy i in. Podkreślone jeszcze i teraz w niektórych sadach b. starych, znaleźć można, inne wyginęły. W spisie tym, co znamienne, oprócz Wirgulezy obcych nie napotyamy, o ile Orlantówka nie pochodzi z Orleanu.

¹⁾ „*Historia naturalis*“.

Co do jabłek, tych było sporo. Zatem oprócz znanych już Oportów, Winniczki czy Windyczki (właściwie Windeliczki, jakaś odmiana klasztorna, średniowieczna, zapewne od *vinum* i *delitiae* nazwana), dalej Betramki, Jeotonki, Maryjki, Pierzgnięta, Mucjany, Lantule, Serby — wszystkie już zatracone, a ze znanych jeszcze: Cyganki, Wierzbówki, Zory (Zorze) czyli Szklanki, Bursztówki, Wanatki (Wenetki), Szczecińskie i Renety, „których tyle gatunków“. Nic osobliwego w tem, bo i dziś każde nieznane, a kształtne jabłko, w życiu potocznem, zwie się renetą, jak każda soczysta gruszka — berą. Owe Renety i inne szlachetne odmiany dostawały się do Polski z Francji, Włoch i Niemiec drogą lądową, ale może też i przez Gdańsk, za pośrednictwem kupców holenderskich, w których ojczyźnie ogrodnictwo wtedy kwitło. Nietylko bowiem tulipanami grała na swych giełdach Holandia, ale posiadała świetne warzywnictwo i owocarstwo i wywoziła ogrodopłody do Anglii już w XIII w. Otóż handel Polski przez Gdańsk rozwinął się w okresie omawianym nadzwyczajnie¹⁾, a zboże i surowce nasze nabywali, za pośrednictwem kupców gdańskich, holarzy, płacąc za nie jedyną w Polsce dobrą monetą, dukatami, które za moich lat dziecięcych „oberżnięte“ chowano głęboko w sakiewkach jedwabnych, bo je dawano córkom z solą i chlebem, wyprawiając je z domu za mąż. Przez Gdańsk też niewątpliwie przychodziły owoce południowe i korzenie, których i teraz dużo zużywano.

Bo zawsze w Polsce lubiano i umiano jeść. A w tej epoce już nietylko mięso i ryby umieją dobrze przyprawiać, ale liczne płody ogrodowe znajdują w kuchni polskiej rozliczne zastosowania. I jak to zwykle bywa, im mniej ludzie zajmują się nauką i sztuką, tem lepiej jedzą, bo do jedzenia więcej wagi przywiązują.

Ł. Gołębiowski skrzętnie zebrał i uporządkował ówczesne wiadomości tego działu dotyczące²⁾, a z nich można wytworzyć obraz tego tak jadano u szlachty, która w tym okresie już doszła do zupełnego opanowania władzy nad krajem i narodem.

Tedy już za Zygmunta III były z warzyw w powszechnem użyciu: kapusta słodka i kwaśna, buraki, rzepa „prosta i niemiecka“, marchew, pasternak, groch włoski czyli „cieciorka ogrodowa (zapewne barani groszek — *Cicer arietinum*) i zwykły, fasola, bób, karpiele (brukiew, jeszcze wtedy nieulepszona), kalarepa (oczywiście i kalafjory), brokole, rzodkiew, dynie (i oczywiście ogórki, rozpowszechnione, jak wiemy od Haura), rzodkiew, szparagi, sałaty, a nawet karczochy i bulwy. Z przy-

¹⁾ Ciekawe o tem wiadomości są w Dr. Jekiela „Historji handlu polskiego“.

²⁾ „Domy i dwory“, Warszawa, rok 1830.

praw zaś: pietruszka, cebula, selery, pory i naturalnie liczne zioła i nasiona wonne, już oddawna znane i używane.

Z owoców pospolitsze były: agrest, porzeczeki i „smrodina“ (czarne porzeczeki), jeryny, kamienice (*Rubus caesius?* E. J.), brzusznice, tarnosiwy (tarki), ulegałki, t. j. „gruszki polne nadgnojone, a wtedy słodkie“, bukiew. Ale prócz tych pospolitych, przeważnie leśnych owoców, do których i maliny zaliczyć można, dobrych dla niewybrednego podniebienia, król miał na wety: orzechy laskowe i włoskie, poziomki, wiśnie (pewno i czereśnie), czernice, różne gruszki i jabłka, śliwki białe i węgierki, winogrona.

Prócz tego rozliczne przetwory owocowe domowej roboty były wszędzie po dworach. Więc różne „suszeniny“, nawet z brzoskwiń, i soki oraz „z różnych fruktów opiekanych kompoty“. A zamorskie wyroby zastępowano swojskimi. Zatem żórawiny używano zamiast cytryn, migdały i piniolo (ziarna pinji włoskiej) zastępowano „łupionemi“ orzechami, rodzenki — wiśniami (właściwie można do tego używać tylko białych czereśni, po ususzeniu do rodzynek podobnych, E. J.). Zamiast cytryn służyły też kwaśne jabłka, w kostkę krajane i miodem słodzone. Pieprz zastępowano pieprzycą (*Polygonum Persicaria*), to jest wywarem z liści i nasion tej rośliny, zamiast imbiru podawano chrzan (!).

A później, gdy nawet szlachta, co możniejsza, przywykła do zbytku, przywożono do nas suszone „brignole bez pestek“ (więc prunelki), wielkie śliwki, truskawki (jeszcze ich nie było, E. J.), przedniejsze jabłka i gruszki, melony, kawony, winogrona, pomarańcze, granaty, brzoskwinie, „przykozy“ (morele), figi świeże i suche, ananasy, daktyle, różki S-to Jańskie (*Ceratonia siliqua*), migdały, konfitury mokre i suche, marmelady i galarety z pigw, moreli i jabłek. Nadto smażone: głóg, róża, dereń, kwaśnica, śliwki czarne i zielone, korzonki ajeru (tataraku), kasztany (słodkie), jabłka rajske, pomarańcze i wszelkie konfekty francuskie, tureckie, kijowskie¹⁾, klasztorne i domowe. Na przyjęcie pani de Guébriant, u kanclerza Radziwiłła, zastawiono stół czterema rzędami, po 20 złotych czar, pełnych konfektów włoskich (*confetti*), a nadto gruszki wielkości niezmierniej, pomarańcze, cytryny i melony (może już własnego chowu?).

Łatwo z powyższego wywnioskować, że miała wtedy Polska pospolite owoce własne; z nich różne przetwory, ale ponadto sprowadzała je w obfitości, jedne z Węgier (wszak stąd nazwa węgierek, które

¹⁾ Ale suche konfitury zaczął wyrabiać w Kijowie dopiero Bailli, kucharz Katarzyny II, francuz tam osiadły.

już wtedy z Bośni szły do Pesztu, a potem przez Korczyn do Polski), tureckie słodczyce, jak dawniej przez Kafę i Lwów, a najwięcej francuskich, włoskich i in. „zamorskich“, przez Gdańsk.

Mamy tedy wcale jasny obraz ogrodnictwa polskiego czasu Wazów. Brak w nim tylko wiadomości o ogrodach włościańskich. Musiały być nieficzne i nędzne (może z wyjątkiem wsi, należących do duchowieństwa i na Rusi). Zaczął się bowiem dla chłopów u nas, a bardziel jeszcze w innych krajach, okres pańszczyźnianej niewoli, najcięższy i najszkodliwszy dla nich i dla kraju. Na cudzej ziemi osiadły, niewolny chłop, ogrodu nie zakładał. Widzieliśmy to sami przed zniesieniem pańszczyzny, t. j. przed r. 1864.

Ze niektórzy panowie już wtedy troszczyli się o swych włościan i ogrody polecali im zakładać, dopomagając w tem, być może, ale śladów tego działania nie ma. Nie ma bowiem w Polsce wojującej i zagrożonej zagładą, już w tym okresie, tej licznej rzeszy miłośników, którzy wywczaszy swoje i lata wysługi, pod koniec życia zabawie i pracy w ogrodzie poświęcali. Spotkamy się z nimi dopiero o cały wiek później. A tymczasem, jak świadczy Quintinye, we Francji wysłużeni urzędnicy i różni zawodowcy, szli na stare lata do swych ogródków *planter les choux*, sadzić kapustę. W Anglii różni aptekarze i lekarze, jak Johnson, Parkinson, posiadali znamienne ogrody, w Holandji rozwijała się manja tulipanowa i powstawały setne ogródki, pełne dziwactw i osobliwości. Nawet w Niemczech rozmaici mieszczenie w Augsburgu, Frankfurcie, Norymberdze i bliskim nam Wrocławiu, pozakładali ogrody, niektóre niezwykle bogate.

Cała zaś ta rzesza miłośników nie mała się w ciągu stulecia przyczyniła do udoskonalenia roślin hodowanych i rozszerzenia zamięłowania do ogrodu.

Pamiętniki i inne źródła nasze, nie zanotowały ani jednego cokolwiek wybitniejszego ogrodnika-polaka. Stan ten był jeszcze w poniżeniu i poświęcali mu się zawodowo tylko nieuczeni prostaczkowie.

OKRES IV.

Za Jana III i Sasów.

Gruntownie przez ów „potop“ zniszczona Polska odżyła i odbudowała się za Jana III. Ograniczając się do naszego przedmiotu, mamy do zaznaczenia wpływ dodatni tego króla, a zapewne i jego żony, na rozwój w tej epoce naszego ogrodnictwa, do którego wniósł nowy pierwiastek. Mianowicie był Sobieski miłośnikiem ogrodu, a po części sam nawet zamięłowanym ogrodnikiem. Kształcił się zaś na dobrych wzorach, był bowiem przez pewien czas muszkietierem Ludwika XIV, jako młody szlachcic, a i żona jego Marja Kazimiera, panna d'Arquien z domu, wdowa po Zamoyskim „Sobiepanie“, z francuskiego dworu pochodziła.

Przebywając tedy w Wersalu, miał Jan III dosyć sposobności zapoznania się z Le Nôtre'm i jego ogrodami, a zapewne i odwiedzania może częstego owego *potager du Roy*, który tak umiejętnie założył i prowadził inteligentny i wykształcony De la Quintinye. Zaiste dobrzy dwaj nauczyciele, zwłaszcza, jak na owe czasy!

Ale i podczas wojen z Turkami, których tak dzielnie gromił, nie uszły jego uwagi różne drzewa ozdobne, które też Polsce przyswoił. Za niego to rozpowszechniły się w rdzennej Polsce dzikie kasztany (*Aesculus*), on z Turcji sprowadził kawaki, t. j. topole włoskie i żywotniki (*Biota orientalis*), za cyprysy niesłusznie brane i tak też nazywane. W starych ogrodach mamy jeszcze niektóre ich okazy, prawie tę epokę pamiętające. Drzewa te z licznych ogrodu królewskich rozeszły się po kraju, a zwłaszcza topole włoskie, łatwo się rozmnażające sadzonkami, a ze strzelistej postaci niezwykle; były one też przez czas długi nieodłącznymi towarzyszkami naszych dworów, które od piorunów broniły. Dziś je zarzucają, bo żyją krótko i szpetnie wyglądają, gdy zaczęną schnąć na wierzchołkach. Innych drzew nie przy-

było jednak, bo styl francuski, który w tej porze zaczął się we wszystkich krajach cywilizowanych ustalać, nie uznawał drzew pojedynczych (chyba strzyżone), a używał ich w masie na gaiki (*bosquet*) lub na szpalery cięte i kolumny przydrożne. Głównie jednak opiekował się król sadami i dużo ich pozakładał, ale obok roślin użytkowych, zwłaszcza aleje lubił i liczne nasadzić.

Pewne, choć ogólnikowe wiadomości o ogrodach króla Jana, podał jeden z jego dworzan, francuz Dalerac¹⁾, a inne skrzętnie z różnych źródeł pozbierał Tatomir²⁾. Więc przedewszystkiem dobra w Małopolsce wschodniej, a na ich czele Olesko, miejsce urodzenia króla w r. 1629, było przedmiotem jego opieki; potem zaniebane i dane w zastaw szlachcie, po śmierci Jana III wykupiła Marja Kazimiera i założyła tam ogród, jednak znów zniszczony i to zupełnie w r. 1689. Zachowała się tylko aleja kasztanami wysadzona, do zamku prowadząca, którą jakoby sam król posadził. Jednak zamiłowanie jego do drzew i ogrodów, jak twierdzi Tatomir, przeszło w pamięć u okolicznego ludu.

O Złoczewie, majątku Marka Sobieskiego, ojca króla, Dalerac opowiada, że w dobrach tych, liczących razem 100 wsi, był na górze zamek oszańcowany, a za nim wielkie sady, podzielone na części, parkanami. Doskonałe z nich owoce zachęciły do rozmnożenia odmian, tak, że i dziś jeszcze okoliczni mieszkańcy mają z owoców duży dochód. Dużo ich suszą w piecach i wywożą na rynek lwowski. Są też sady liczne (futury) wśród lasów pobliskich, bardzo dużych. Włóścianie chodzą koło nich starannie, a założone były podobno pierwotnie przy chatach, które potem znikły, gdy sady pozostały i są w Polsce osobliwością (na Rusi w lasach dość pospolite). Zakładanie takich futorów jest obyczajem ormjan, a dużo ich tam mieszka.

Łatwo się domyślić, że te wyborne owoce były pochodzenia francuskiego, bo z dzieł współczesnych wiadomo, że hodowano już we Francji dużo dobrych odmian gruszek, a z jabłek kalwile doskonałe i liczne dobre renety, jak szara i złota (*R. franche*), rambury i t. p. A wszak i renklody już istniały.

Ale szczególnie polubił król Jan, Żółkiew, majątek swego pradziada. Bywał tam corocznie dla obejrzenia swego gospodarstwa, „ulubionych ogrodów, sadów, winnic i stadnin“. Bawiąc tam, zajmował się jednocześnie polityką i sprawami publicznymi, jak i porządkowaniem ogrodów. Myślał tedy o drzewach pomarańczowych i dzielsaminie hiszpańskim (jaśmin wonny), o tulipanach i in. „kwiatuskach“, więc o prze-

pisach, jak i kiedy je sadzić, ale jednocześnie i o robieniu konfitur z wybornych owoców.

Zostawszy królem, Żółkwi nie zaniebyszał, owszem ogrody powiększył, a zarządzał nimi jakiś włos. Naprost góry, na której stał zamek, oddzielona jeziorem była inna górką, zwana Haraj (ha—raj!), a na niej winnica królewska. Na pochyłości od zamku do jeziora rozciągał się ów ogród, do którego król różne krzewy i kwiaty sprowadzał zza granicy (z Francji, z Włoch?). Z tego Tatomir znalazł już tylko piękną aleję poważnych, bo starych modrzewi.

O 48 klm. od Lwowa odległy Jaworów, otrzymał Sobieski od Jana Kazimierza, jako nagrodę za wiktoryę Zborowską, a miał wtedy zaledwie lat 20. Tu również były drzewa, wypielegnowane przez króla, który się kochał w ogrodzie i pięknych roślinach.

Inny znamienity majątek w tamtej okolicy, Podhorce, nabył król od Koniecpolskich. Dalerac zachwycił się widokiem z tego zamku na niezmierną równinę. Od zamku zaś na zboczu góry było 5 czy 6 tarasów, stanowiących tyleż ogrodów, jeden nad drugim wzniesionych. Ogrody te przyozdobione były grotami i pawilonami na podmurowaniu z cegły, kamiennymi balustradami i schodami, rozchodzącymi się we dwie strony, prowadzącymi z każdego tarasu na niższy. Słowem był to może jedyny w Polsce ogród istotnie włoski, założony przez Koniecpolskich (według czyjego planu?) około r. 1610 lub 1620. Niestety, nie ma rysunków tego znamienitego ogrodu, który już Dalerac znalazł nieco zrujnowany. W końcu w. XIX jeszcze istniały w Podhorcach tylko aleje lipowe i orzech włoski, podobno przez Jana III posadzone.

Nie brak było pięknych ogrodów i w innych posiadłościach królewskich, jak np. w Sieniawie i Wysocku, gdzie St. Wodzicki widział pyszne aleje dębowe i cyprysy (*Thuja*), sadzone przez Sobieskiego. Nawet na wybrzeżu naszym morskim, w Rzućwie, istnieją dziś jeszcze piękne aleje lipowe, sadzone z rozkazu króla Jana¹⁾.

Wilanów, główna siedziba króla, nabyty był od Milanowskich (St. Strąbski twierdzi, że od Krzyckiego) w r. 1677. Zwał się on wtedy Milanów, a wieś ta, wraz z Ręczajami, nadana była w r. 1377 jeszcze protoplaście Milewskich, Stan. de Strzelczykowo, za zasługi. Za Milanów i Zawady zapłacił król Jan złp. 35000, nazwę zaś nową nadał, wpadłszy na nią z napisu łacińskiego, który na świeżo wystawionym pałacu położył²⁾.

¹⁾ Bernard Chrzanowski „Z wybrzeża i na wybrzeżu“.

²⁾ St. Strąbski: „Opis Wilanowa r. 1859“. „Quod vetus urbs coluit, nunc nova villa tenet“, aluzja do posągów, w pałacu zgromadzonych.

¹⁾ „Anecdotes de Pologne“.

²⁾ „Ślady króla Jana III“, Lwów r. 1883.

Plan na pałac dał Józef Belotto, twórca kościoła Św. Krzyża w Warszawie, budowę zaś prowadził Augustyn Locci od r. 1686—8. Jak wyglądała ta siedziba w r. 1700, wiemy z opisu de Beaujeu (w jego *Mémoires*¹⁾. „Wilanów wydaje się raczej mieszkaniem człowieka prywatnego, średniej zamożności i nie dorównywa gmachom, jakie pobudowali mieszczenie, finansiersi lub urzędnicy bogaci, w okolicy Paryża. Ogród, taras, sady owocowe, które otaczają pałac, nie mają w sobie nic nadzwyczajnego, bo brak im wody i cieniu“. Z czasem, oczywiście, dzięki bogatej glebie, madzie nadwiślańskiej, rozrosły się drzewa we wspaniały park.

O ile roboty budowlane wykonali w znacznej części artyści i rzemieślnicy, z Włoch sprowadzeni, o tyle ogrody sadzili jeńcy tureccy, ale i sam król niejedno drzewo posadził, zwłaszcza lipy i topole włoskie, świerki i in.²⁾

Ogród ulegał tak licznym zmianom, że mało śladów dawnego pozostało. Przerobił go gruntownie August Potocki, starając się zachować, co się dało z dawnych części, jak np. szpalery niektóre grabowe. Teraz park jest dostosowany do pałacu. Parter kwiatowy za pałacem jest zwykle i oddawna obsadzany pomarańczami, cytrynami i wielkimi granatami, w kubbach. Z pośród świerków otwiera się widok włoski na kościół, małą kopję Św. Piotra w Rzymie³⁾.

Ogród pierwotny miał plan bardzo niewymyślny, oparty na motywach po części włoskich, a bardziej francuskich, ale do stanu naszego przystosowanych. Materiał też do obsadzenia, oprócz owych drzew włoskich w kubbach, był swojski, z dodatkiem topoli włoskich, kasztanowców i może żywotników, których jednak śladów nie ma, chociaż są to drzewa b. długowieczne.

Potem dokupił król jeszcze sąsiadujące z Wilanowem: Służew Wolice i Powsin, pozakładał w nich sady, a swoim Wilanowem rozkoszował się, mieszkał w nim stale i tam też w r. 1696 bohaterskiego życia dokonał.

Wpływ Jana III na ogrodnictwo polskie nie tylko ozdobne, ale i użytkowe, bo to był dobry gospodarz, praktyczny, musiał być wielki. Nie tylko pod Złoczewem powstały owe liczne sady mieszańskie, ale

¹⁾ „Słownik geograficzny ziem polskich“.

²⁾ Ale wróciło wtedy z niewoli tureckiej dużo Polaków, którzy tam i na ogrodach pracowali. Ci mogli przywieźć z sobą umiejętność hodowli kwiatów, melonów i in.

³⁾ Dr. H. Skimborowicz i Wojciech Gerson: „Wilanów dawny i teraźniejszy“, wydanie ozdobne z licznymi rycinami, r. 1877, u Orgelbranda w Warszawie. Opisy ogrodów są dyletanckie.

cała Małopolska zwłaszcza była ich pełna, pod Wilanowem zaś kwitnie oddawna warzywnictwo, z pewnością na ogrodach królewskich pierwotnie wzorowane.

Nie dość na tem; miał król bystre oko na wszelkie rośliny pożyteczne. Dowodzi tego fakt znamienity, że zaraz po świetnym zwycięstwie, przysłał z Wiednia najdroższej swej Marysieńce w darze parę funtów ziemniaków, zalecając, żeby je w Wilanowie rozmnożono.

Jakoż ogrodnik królewski, Paweł Wieńczarek (jeden z niewielu Polaków, których nazwiska w różnych źródłach znaleźliśmy), nie tylko sam wyuczył się hodowli tych kłębów, ale nauczył też tej sztuki swego zięcia, Jana Łubę (zapewne też ogrodnika), który po raz pierwszy w Warszawie, na Nowolipiu¹⁾, wyhodował większą ich ilość. Ale się wtedy nie rozpowszechniły, bo Nitowicz mówi, że „Polacy długo brzydzili się kartoflami, bo mieli je za szkodliwe zdrowiu“. Łatwo to być mogło, gdyż ówczesne ziemniaki były b. wodniste i mogły nawet zawierać szkodliwą solaninę.

Tembardziej nie utrzymały się już dawniej, gdy je miał do Polski przywieźć Wyben, ojciec rodu Wybickich, duńczyk, który wszedł na służbę wojskową polską za Zygmunta Augusta²⁾. Wtedy Kluziusz (d'Ecluse), słynny botanik, zwany „ojcem kwiatów“, rozpowszechniał ziemniaki z Lejdy po Europie. Mogły się tedy dostać do Danii, a ztamtąd z Wybenem i do naszego kraju.

Dodać można dla uzupełnienia tego ważnego przedmiotu, że w Polsce upowszechniły się ziemniaki później nieco, gdy August III sprowadził tu kolonistów (od nich Saska Kępa, pod Warszawą), Holendrami często u nas zwanych. Ci, rozrzucając po licznych dobrach królewskich i kolonjach, rozpowszechnili ziemniaki, zwane przez nich *tartuffeln* (*tartuffoli* — więc z Włoch do Saksonji przeszły), czyli kartofle po Polsce, Litwie i Rusi. Ks. Krzysztof Kluk gorąco nawoływał do powszechnej uprawy ziemniaków, z których w końcu w. XVIII palono już wódkę.

Ale dopiero w głodowe lata po strasznej wojnie z 1812 r., która Polskę wygłodziła, ziemniaki rozmnożone bardzo, uratowały kraj nasz od braku pokarmu.

Trzeba też oddać sprawiedliwość i królowej Marji Kazimierze, że się przyczyniła pośrednio i ona do rozwoju ogrodnictwa w Polsce, a to sprowadzając zakony, słynne z umiejętnego chodzenia około roślin i ogrodów.

¹⁾ Wł. Korotyński sądzi, że to było pod obecnym № domu 2431.

²⁾ H. Mościcki: „Pamiętniki Józefa Wybickiego“.

Jednym z takich zakonów byli trynitarze. Posiadamy krótki opis ich ogrodu, przy kościele na Solcu, w Warszawie ¹⁾, z tego czasu.

Ogród ten zwano włoskim. Założył go przełożony Erazm, lecz zalewy Wisły, niszczyły go, ale owoce z tego ogrodu szły często na dwór królewski. Według inwentarza klasztoru ogród podzielony był na kwadraty.

„W pierwszym z nich rosły pigwy, a pod ścianą morele i brzoskwinie. We środku rzadkie drzewa: wiśnie jesienne, jałowiec (jaki?), płot bukszanowy z lasek w kwadrat wiązanych (?), orzech włoski i drugi krzewiasty (może *Juglans regia fertilis*?), i piękny kasztan. Ulica winna albo winnica (zatem chodnik nakryty winoroślą, na sposób włoski) z drzewek (?) piętnastu, przy której (?) brzoskwinie i do tego jeszcze figarnia“.

Z tego bardzo niedołężnego opisu, sporządzonego przez kogoś niezbyt biegłego i ze sztuką ogrodniczą nieobeznanego, wnosić jednak można, że ogród był symetryczny, włosko-francuski, a zarazem, że zaczęto u nas wtedy hodować morele i brzoskwinie pod ścianami, co wyraźnie dowodzi wpływu francuskiego.

Niemniej dobrze prowadzone ogrody pozakładały wizytki i sakramentki, przez królowę do Warszawy sprowadzone. Ogrody ich jeszcze dziś noszą pewne tego ślady.

Jeżeli ogrody te zakonne mogły służyć jako przykład i zachęta dla sąsiadów, to wybitne wpływy pod tym względem wywarł w Polsce zakon kapucynów, których do Warszawy sprowadził Jan III w r. 1684. Wkrótce potem powstały ich klasztory w Zakroczymiu, Nowem Mieście, Łomży, w Winnicy na Podolu i w. in.

Nie jeden z tych ogrodów kapucyńskich poznałem, a zwłaszcza warszawski, od lat dziecinnych. Wszystkie były zakładane na jedną modłę. Naogół mało się one, w układzie ogólnym, różniły od ogrodów klasztornych, średniowiecznych, co i dziś jeszcze sprawdzić można tak u nas, jak i w różnych obcych krajach. Okna cel klasztornych wychodziły tu na kwadratowy zieleniec, pełen kwiatów, a zwłaszcza bylin i ziół wonnych. Służył on nie do przechadzki, tylko do ożywienia widoku, czterema białymi ścianami zamkniętego. Do przechadzki i wypoczynku służył najczęściej lipnik, obok klasztoru, od cienistej strony znajdujący się, z szerszym widokiem na okolicę, o ile klasztor znajdował się na wzgórzu, co bywało najczęściej.

Obszerny ogród użytkowy ciągnął się za klasztorem na stoku,

¹⁾ E. A. Iwanowski: „O ogrodach w Polsce“, w książce zbiorowej: „Kilka rysów i pamiątek“, Poznań, 1860 r.

spadając aż na równinę; był on zwykle murem ogrodzony. Brama z folwarczku klasztoru prowadziła do ogrodu; tędy wożono nawóz z pod krów i koni.

Na kwaterach stały rzędami drzewa owocowe, z dobrych odmian, ówczesnych, często z obcych krajów pochodzące. Pomiędzy nimi i na odkrytych miejscach hodowano warzywa, umiejętnie i starannie. Nie żałowano nawozu i podlewania, tak dalece, że wzywano na poradę, np. do sakramentek lub wizytek, znajdowałem ziemię przeazotowaną, jakby zmęczoną, tak, że doradzałem dawki wapna, które jej płodność i czynność przywracało.

Temi uprawami, zarówno jak i kwiatami, hodowaniami w małych szklarniach (głównie typu pomarańczarni), przy samym klasztorze, zajmowali się braciszczowie-ogrodnicy, uczący się jedni od drugich, a dopełniający wiedzy w wycieczkach po ogrodach pańskich lub w innych klasztorach. Zналиśmy takiego typowego ogrodnika w habicie, Ojca Józefa w Warszawie od r. 1860, a potem już jako staruszką, z mleczną brodą, widzieliśmy go w Zakroczymiu i Nowem Mieście, na schyłku XIX w.

Szczególnem staraniem otaczano morele, brzoskwinie i winorośl. Ta ostatnia okrywała w Warszawie wysoki mur szczytowy pałacu Paca, wychodzący na ogród kapucyński. Krzewy, różnych odmian były tu rozpięte do wysokości 2-go piętra i dawały pyszne grona, a dojrzewały w tem wybornem stanowisku, nawet odmiany późne ¹⁾. Często w tem miejscu, zarówno jak doskonałymi renklodami, Ojcowie, licznych dobrodziejów zakonu, który po części żył z jałmużny.

Słynieły też kwiaty kapucynów, którzy mieli sobie za chlubę ich barwnym przepychem i obfitością przyozdabiać swój kościół, zwykle skromny, z brunatnymi ołtarzami, kolumnami i ławami. Sądzę nawet, że niejedną nową odmianę otrzymali, bo sami zbierali nasiona z goździków, lewkonji, astrów i in. rozlicznych kwiatów. Chętnie też udzielali zrazów wyborowych odmian, cebulek lilij i narcyzów, nawet niektórych nasion. Tym sposobem stały się owe klasztory rozsądnymi postępowego ogrodnictwa, w stosunku do otaczającej ludności, a zwłaszcza mieszczań i niektórych dworów. Nigdy nie brakło w ogrodzie kapucyńskim dużej i dobrze utrzymanej pasieki (pod opieką brata bartnika), a często nawet i sadzawki z rybami.

O ile naśladowano króla Jana i zakładano, podobnie jak on ogrody, w rezydencjach pańskich, wiemy tylko ogólnie. Na wyróżnienie jednak

¹⁾ Po zniesieniu zakonów w r. 1864, dyrektor Ogrodu pomologicznego, Jerzy Aleksandrowicz nabył te winorośle i przenieść polecił pod parkan od ul. Nowogrodzkiej. Pielęgnowałem je tam, jak mogłem, ale dużo gron nie dojrzewało.

zasługuje ogród Krasieńskich w Warszawie, założony w 1676 r. przez Bonawenturę Krasieńskiego (czyj plan?), w stylu zupełnie czystym francuskim, potem jednak przerabiany parokrotnie¹⁾. Było tam podobno dużo „roślin egzotycznych“, jak twierdzi Baliński.

Wspaniały ogród w stylu włosko-francuskim założył w 1661 r. Klemens z Ruszczy Branicki, w Stólnicy. Było tam kilka tarasów ziemnych, ze szpalerami, figurami kamiennymi, altanami, błędnikiem, kanałem wodnym, oranżerją i drzewami rodzajnymi (Baliński).

A przecież okazałe ogrody rozliczne, w tej epoce posiadało już niemało królewiat, na Rusi.

Nieszczęsne panowanie Augusta II Sasa, który królem Polski będąc, pierwszy wpadł na piekielny pomysł jej rozbioru, zaczęło się ciężką wojną z Karolem XII, szwedzkim. Znow na tem ucierpiał mocno kraj cały, a więc i ogrody. Wszelako zły ten człowiek, powodowany próżnością, założył ogród, który nie pozostał bez wyraźnego wpływu na ogrodnictwo polskie. A nie tylko na ogrodnictwo parkowe, ale i na inne gałęzie. Sprowadzeni bowiem ogrodnicy, sasi lub inni Niemcy, znali się na swej sztuce i uprawiali ją dla swych pracodawców albo nawet i dla siebie, tworząc zakłady ogrodnicze. Ponieważ zaś z konieczności do pomocy musieli przyjmować Polaków, ci się od nich uczyli ulepszonych metod uprawy i hodowli, rozchodząc się zaś później na służbę po kraju, poprawiali nasze hodowle ogrodowe.

Ambitny król, pragnąc zrównać się z Francją, gdy na wykończenie kosztownego, a na ogromną skalę zakrojonego ogrodu w Dreźnie (*Grosse Garten*), pieniędzy nie starczyło, zapragnął utworzyć ogród ozdobny, niezrównany, w Warszawie. Tak powstał Ogród Saski, którego początek sięga r. 1713, a wykonanie trwało lat 14.

Plan ogrodu spacerowego, a zarazem użytkowego, wraz ze szklarniami i kwietnikami, w stylu symetrycznym, dał budowniczy królewski, Pöppelmann. Pod jego kierunkiem pracowało mnóstwo robotników, zarówno nad pałacem (jeszcze wówczas bez kolumnady), jak i nad ogrodami; ogrodnikiem zaś głównym, wykonawcą planu i zarządzającym ogrodami, był długie lata sas również, ogrodnik Schultz.

Zakładanie było trudne, na gruzach wielu małych posiadłości i ogrodów prywatnych. Dla wytworzenia bowiem obszernej całości, król nabył posiadłość główną pod pałac i ogród od Andrzeja Morstina, bonifratrów zaś, którzy obok mieli szpital, przeniósł na ul. Bonifraterską, dawszy im wzamian 12 tys. talarów i place, na których stoi do dziś dnia kościółek i szpital dla obłąkanych. Skupił też od różnych właści-

cieli posiadłości sąsiednie: pałace, dworki z ogrodami i place, za znaczne sumy i na ich miejscu powstał wspaniały, rozległy ogród, w stylu włosko-francuskim. Pomijamy szczegóły, dotyczące pałacu, teatru od ul. Królewskiej, ujeżdżalni i t. p.¹⁾. Ogród zakładano długo, dużo bowiem budowli trzeba było znosić, a ślady ich fundamentów, przy kopaniu znajduje się i teraz, zwłaszcza od strony ul. Królewskiej, a nawet i od sąsiednich innych. Otwarto go dla publiczności w r. 1727, ale nie cały, gdyż prawie do połowy długości sięgające „ogrody króla i królowej“, służyły jedynie dla dworu.

Po prawej stronie od pałacu (od ul. Żabiej), na podniesieniu, zbudowano dom dla ogrodnika, cieplarnie i ananasarnie, przy których były przyspieszniki, warzywniki i sad, po obu stronach. Wejście dla publiczności znajdowało się przy zbiegu ul. Granicznej z Żabią, a stanowiła je wielka brama żelazna, zniesiona w 1821 r. Stąd nazwa placu „za żelazną bramą“. Do przechadzki publicznej służyły aleje środkowe i boczne, ozdobione licznymi, połączanymi posągami.

W 1724 August II w środku ogrodu kazał postawić piętrową altanę, z galerją na wierzchu; dawano w niej bankiety, w dni uroczyste i wtedy bogato iluminowano. Rozebrali ją Prusacy w 1804 r. w połowie górnej, a w dolnej, murowanej części, mieściła się długo jeszcze słynna cukiernia Lessla, która zniknęła dopiero w r. 1817.

Zupełnej przeróbce uległ ogród za Augusta III, gdy założono szpalery ze strzyżonych lip i kasztanów, a trawniki przyozdobiono licznymi kwietnikami. Zamiast posągów połączanych, umieszczono barokowe te, które odnawiane od czasu do czasu, obecnie istnieją na rogach głównych kwater. Zatem teraz dopiero ogród naśladował pracę Le Nôtre'a, w Wersalu, a naśladował ją tak dalece, że nawet liczne „boskiety“ były w nim urządzone. Skopjował go wiernie Ricaud de Tiregaille w ogólnym wielkim planie Warszawy z r. 1762, a odbitka ta zdobi pracownię zarządu plantacji m. Warszawy. Ogród był ściśle geometryczny z licznymi szpalerami strzyżonymi, zawity i ciasny, więc go później pod naciskiem coraz liczniejszej publiczności, której nie mógł pomieścić, przerabiano, rozszerzając drogi i tworząc nowe.

Po śmierci Augusta III ogród Saski podupadł, jak o tem pisał Zug w 1784 r. W tymże roku nabył go od dworu saskiego dla skarbu polskiego król pruski, za 40 tys. dukatów. Ogrodnikiem mianowano Kryst. Menkego, Prusaka, ogrodnika królewskiego, a właściwie dzierżawcę, bo dano mu małą pensję, ale za to prawo wyłączne korzy-

¹⁾ Ostatnio na ogród angielski według planu i przez Franciszka Szaniora.

¹⁾ Zebrał je i sumiennie podał wraz z dość szczegółową historją Ogródu Saskiego Fr. Szanior, w „Ogrodniku Polskim“ r. 1882, № 18 i dalsze.

stania z ogrodu warzywnego i owocowego, pobierania opłat z cukierni, urządzenia kawiarni i t. d. Wzajemnie miał utrzymywać ogród w porządku. Menke jednak mało dbał o ogród, który dopiero uporządkował nieco jego następca, siostrzeniec i zięć, Jan Ulrich (od roku 1807), ale istotnie poprawił ogród ten dopiero ministerjum spraw wewnętrznych w r. 1816, wezwawszy do tej przeróbki Savage'a z Puław. Ulrich jednak oparł się przeprowadzeniu nowego planu, który mu niszczył szklarnie i rośliny, jako dochód osobisty umówione, musiał tedy ustąpić Janowi Stroblowi. Ten według planu Savage'a zaczął przerabiać ogród na angielski. Nie bardzo się to udało i ogród swój pierwotny styl zdradza dotąd, ale wtedy właśnie posadzono mnóstwo drzew, które dziś już wielkie, bo stare, są chlubą ogrodu Saskiego, jak owe klony, lipy, wiązy i w. in. Drzewa te pochodziły z lasów państwowych.

Gdy i Strobel zaniedbał się, w r. 1823 zastąpił go ogrodnik Al. Zakrzewski, któremu przy oznaczaniu kłębów kwiatowych na trawnikach dopomagały „dla dodania gustu“, księżna Jabłonowska i hr. Wąsowiczowa. W r. 1824 posadzono 150 topoli balsamicznych z Jabłonną, z których obecnie istnieje jeszcze kilkanaście prawdziwych olbrzymów. Z tego też roku pochodzą już bardzo nieliczne w tej chwili stuletnie grochowniki, akacjami zwykle zwane.

Ogród odżył, wypiękniał, a Łuk. Gołębiowski zaliczył go do najpiękniejszych w Europie (w r. 1827). Takim był ogród aż do r. 1831, gdy go zniszczyło wojsko rosyjskie, obozujące w nim.

Nie będziemy się już wdawali w dalsze szczegóły. Długo jeszcze ogród Saski znajdował się w stanie opłakanym, z którego po części wydobył go Piotr Hoser, w 1846 r. mianowany ogrodnikiem, sprowadzony od bar. Hügla z Wiednia. W r. 1849 przeszedł ogród na własność m. Warszawy, a właściwie pod zarząd jej magistratu. Po ustąpieniu P. Hosera w r. 1853, ogród znów pudupał pod względem ogrodniczym, chociaż w r. 1854 przybyły mu dwie ozdoby: piękny wodozbiór, kopja świątyni w Tivoli i wielki wodotrysk, według planu Henr. Marconiego. Wtedy też powstała i sadzawka. Dopiero komisja, złożona z obywateli, zwołana przez magistrat pod przewodnictwem radcy M. Sączockiego, przybrawszy do pomocy Hipolita Cybulskiego, w r. 1875 ogród do porządku doprowadziła. Wtedy to zasadzono owe liczne brzozy i sosny czarne oraz skupiny od ul. Królewskiej. Od r. 1877 ogrodnikiem głównym miasta został Fr. Szanior i ten dopiero przeprowadził radykalne zmiany na lepsze.

Marzył też August II, uganiający się za przepychem i zbytkiem, o urządzeniu, oczywiście za polskie pieniądze, ogrodu wiszących (żeby zakasować Wersal), poniżej zamku królewskiego, w Warszawie.

Miały one schodzić tarasami aż do samej Wisły, a plan ich nakreślił Pöppelmann. Z braku pieniędzy wykonano tylko dwa górne tarasy, a i te są jedną z osobliwości Warszawy.

Drzewa do tych i in. licznych ogrodów, które w tej epoce powstały, brano z lasów, bo o zagraniczne było trudno, a przywożenie ich zdawało na osiach, było kosztowne i wyniki niepewne. Naśladować króla, zaczęto teraz tworzyć ogrody, ale już w stylu francuskim. Takim był wielki ogród Radziwiłłów za pałacem Namiestnikowskim, obecnie rady ministrów naszych, świeżo przerobiony znacznym nakładem. Miał też ładny ogród, choć skromniejszy, minister Brühl, w Młocinach, z pyszną aleją od pałacu do Wisły, zarazem stanowiącą lunetę, przez którą wzrok wybiegał daleko na zarzeczne łąki i mazowieckie, spokojne niwy. Widzieliśmy ją jeszcze około r. 1880, gdy siedziba ta przeszła na własność bankiera Wawelberga.

Stynie do chwili obecnej swemi strzyżonemi cisami, ogród w Posadowie, w W. Ks. Pozn., założony wtedy przez Łąckich. Równych tym, piramid z cisów, nie ma w Polsce nigdzie. A miał te drzewa sadzić sam Le Nôtre, jak niesie wieść, ale nie prawdziwa, bo jak jest dowiedzione przez nowoczesnych francuskich biografów tego wielkiego ogrodnika, raz on tylko wyjeżdżał z Francji, do Włoch, zresztą nigdzie, nawet do Anglii, dokąd go zapraszali monarchowie.

Niematego rozgłosu nabrał ogród Franc. Salezego Potockiego w Krystynopolu (Małopolska). Założony w r. 1756, z pomysłu urządzonymi wodami, na wzór włoski, jak również ogród Mniszchów, w Dukli w przepięknym położeniu.

A wszak wtedy też powstał ów „Wersal podlaski“ hetmana Braniczkiego, w Białymstoku, z którego dziś tylko, wspaniałe jednak, pozostały szczątki. Aleje na pochyłości wzgórza porobiono tam ze świerków i jodeł w hetmańskie buńczuki powystrzyganych.

W tej epoce zaniku nauk i obniżenia pożądań do zaspokojenia tylko potrzeb ciała, w której za uczonego uchodził, kto łaciną mocno, a zgrabnie, szpikował swą mowę; w porze, w której głównie jedzono, pito i popuszczano pasa, nie ukazała się ani jedna książka, zajmująca się ogrodnictwem, czy choćby, wyżej przecie porozrzucane są tylko po pamiętnikach, jak u Paska i in. Można z nich wnosić, że typ ogrodu szlacheckiego nie uległ zasadniczym zmianom. Poza częścią użytkową, nierzadko aż do samego dworu dochodzącą, było w nim blisko domu, często nawet tuż przy jego ścianach, trochę lip i klonów, czasami na środku trawnika świerk pojedynczy, a bardzo rzadko jodła. Napotykalismy też (Śledzianów nad Bugiem) kępy modrzewi, mniej więcej z tego

czasu, tu i ówdzie (Palikije) okrągłe place, obsadzone lipami dla cieniu, w pośrodku z kamiennym stołem i ławą. Do tej rotundy z drzew, prowadziła aleja lipowa. Chłodniki (altany) obszerne, w których przy winie lub miodzie gwarzono z gośćmi, znajdowały się nieopodal domu, okryte chmielem, później dzikiem winem.

Ulubione były szpalery, szczególnie gdzieś na końcu ogrodu, często nawet poza sadem. Widzieliśmy je świeżo w Sinołęce, a przedtem w Dyblinie blisko Wisły, w Wojcieszkowie, i w wielu majątkach w wojew. Lubelskiem. Większość pochodzi z czasów saskich, ale niektóre sięgają panowania Jana III, a nawet są i dawniejsze (w Sinołęce 250—300-letnie). Robiono je z lip, ale zdarzają się też mieszane: z lip, grabów, klonów, rzadziej dębów.

O ile majątek przetrwał w rękach jednej rodziny, uszanowano w nim te piękne pamiątki po odległych przodkach. Niestety, coraz ich mniej, a wielka wojna sprowadziła na nie zagładę: wycięto ich mnóstwo, a reszty wkrótce dokona zbyt pośpieszna i źle przeprowadzana reforma rolna.

Upodobanie w szpalerach było tak znaczne, że w niektórych majątkach prowadzono je od dworu do odległych folwarków lub lasów, jak tego dowodzi szpaler lipowy, w Brzózce, w wojew. Radomskim.

Na zakładanie ogrodów francuskich nie miała szlachta dużo pieniędzy, nie było też z pewnością dość ogrodników, którzyby się na tej nowej sztuce znali, a nadewszystko, którzyby, już założony ogród francuski, pod nożycami umiejętnie używanymi, podtrzymywać umieli.

Magnatom takie ogrody zakładali ogrodnicy cudzoziemcy. Mamy na to dowody. Takim jest nieco późniejszy już od tej epoki, ale stykający się z nią, kontrakt z r. 1773. Zawarł go Feliks Łoś, wojewoda pomorski, z ogrodnikiem Hammerschmidtem, więc Niemcem, a chodziło o założenie ogrodu „włoskiego” w Narolu, pod Tomaszowem. H. podejmował się „założyć ogród we trzy kondygnacje, ulice tak grabowe, jak i lipowe zasadzić, przywiązując do słupów drzewa na arkady (więc w owe arkusy), smereki i drzewa ogrodowe (jakie?) z Lipia ponasadzać (z lasu) w kinkonach (zapewne w *quincunx*, t. j. w piątkę). Zrobić kwatery warzywne w ostatniem (t. j. najwyższem) piętrze potażerji. Bukszpanem ogrodzić kanapy. W salkach pobocznych (czy to były boskiety na wzór wersalskich?) urządzić gry w kołyskę, pierścieni, ptaka, kręgle. Puszkiety (boskiety) posadzać pod murami cyrkularnemi (obchodowemi) y kienką (?). Nasienia na kwiatki y na włoszczyzny ponadawać, inspekt założyć” (więc już był w użyciu, zapewne wszędzie u lepszych ogrodników). Za nasadzenie i wykonanie tego ogrodu N. H. zgodził się dobrowolnie na 540 dukatów. Domyślać się

należy, że tenże ogrodnik dawał plan na te ogrody, choć sad nie jest w dokumencie wyraźnie wymieniony, chyba owe drzewa z Lipia były to szczepy owocowe, może z tamtejszej jakiejś szkółki.

Że w tej epoce napłynęło do Polski dużo Niemców, a zwłaszcza sasków i między nimi mnóstwo ogrodników, mamy tego pewne potwierdzenie w terminologii ogrodniczej, całej jeszcze przed 50-ma laty nazwanej nazwami, z niemieckiej mowy wziętymi (sztamm, flance, kindle, sztobery, trajbhauz, fermerunek, sztych, grift, zam Gericht i b. w. inn.), które staraliśmy się zastąpić polskimi, dziś już dostatecznie rozpowszechnionymi.

Jeden z Niemców zostawił w swym opisie ówczesnej Warszawy cenne wskazówki, jakie w niej były ogrody i co w nich hodowano. Był to dr. Erndtl¹⁾, który przebył w Polsce lat 40, polubił ją bardzo, a szczególnie stolicę kraju. We wstępie do swego dzieła mówi: „*Quem Deus ex polonis amat, illi domicilium Varsaviae concedit*”. Chwali też bardzo Warszawę, a między in: jej ogrody różnego rodzaju. Więc przedewszystkiem znane nam już ogrody klasztorne, a dalej słynny sad Radziwiłłów, aż do Wisły dochodzący (*propter delicatissimum fructuum*), obszerny ogród Wizytek, z obfitymi owocami i warzywami, dopomagający im do wyżywienia się. Piękne też ogrody były przy pałacu Chomętowskich na wzgórzu, wprost pałacu Zamoyskich, wtedy Sieniawskich, za Św. Krzyżem, do którego znów przytykał pałac Bielińskiego, również z okazałym ogrodem.

Wogóle po lewym, warszawskim, brzegu Wisły, ciągnęły się szeregiem bez przerwy pałace, od Krak. Przedmieścia i Nowego Świata, wszystkie z ogrodami (*cum hortis contiguus*), do których miało wolny wstęp słońce wschodnie i południowe; korzystały one z „zadziwiającej hodowli i żyznej ziemi. Obfitowały w różne owoce, według zgody wszystkich; były w nich melony, morele i brzoskwinie najdelikatniejsze”.

„Ale szkodliwe wyziewy, pochodzące z bagien (zapewne płytkie wody, pozostałe po wylewach Wisły), nieraz gubią płodność drzew i na liściach ich oraz owocach powodują plamy”. Zatem i wtedy niepogody przeszkadzały zawiązywaniu owoców, a czarny grzybek silnie napadał gruszki i jabłka. Erndtl ponadto twierdzi, że aura warszawska *est minus favens fructibus durioribus*, co znaczy, że klimat ówczesnej Warszawy nie sprzyjał owocom późnym, a to i dziś o gruszkach powiedzieć można.

Oprócz wymienionych, nad Wisłą, ciągnął się „dla dobroci ziemi” (mada nadwiślańska) długi szereg ogrodów użytkowych, a w nich wielka

¹⁾ Jego: „*Varsavia physice illustrata*”.

hodowla szparagów. Gdy król bawił w Warszawie, z jednego z tych ogrodów nabyto dla niego ich za przeszło 60 tynfów. Ogrody te często zalewała woda, ale były też one, i to liczne, wzdłuż dróg: soleckiej, czerniakowskiej i wilanowskiej i Erndtl mówi o nich: *olera et legumina abundanter producentes*, a więc uprawiano w nich różne zieliny i rośliny strączkowe, wogóle „warzyw jest duży dowóz i duże spożycie, jako to legumin: prosa, bobu, grochu i t. d.“. Ludność dużo używała barszczu, który bardzo chwali, kapusty, zwłaszcza kwaszonej, od Św. Michała, do nowej. Pasternakiem i kapustą białą lub czerwoną kończono obiad, zapewne u mieszczan. Pomimo jednak owych licznych sadów, pańskich i na Solcu, „owoce do codziennego użytku są rzadko, z powodu małej hodowli (*propter parviorum pomariorum hic loci culturam*). Za to śliwki suszone (może owe przywożone), są częstsze na stołach plebejuszów, z kaczkami i prosiętami, oraz pączki ze śliwką w środku, zwane „dominikankami“ (białe z czarnem, jak habity tych zakonników).

Na przyprawę używano dużo cebuli, porów i chrzanu, a nadto pieprzu, imbiru oraz szafranu, zwłaszcza do ryb.

W każdym razie z tego opisu widać, że Warszawa obfitowała w warzywniki, a w niektórych przynajmniej ogrodach i w dobre owoce. Jest bardzo prawdopodobne, że dużo szczepów, w dobrych odmianach, sprowadzali, przynajmniej możni, z Saksonji, która wtedy posiadała już pod Lipskiem zwłaszcza, duże szkółki owocowe królewskie i prywatne. Trudniejszych hodowli mogli nauczyć naszych warzywników nie tylko sasi, ale i inni cudzoziemcy. Przecież Erndtl, chwając życie w Warszawie, które było tanie, a przytem niczem nie skrzepowane, „nawet pod względem religji“ (zgodnie ze znaną polską tolerancją), twierdzi, że trzecią część ludności stanowili obcy przybysze, głównie Niemcy, ale także Włosi, Francuzi, Węgrzy, Rosjanie, Ormianie a nawet Grecy i in. Ileż rozmaitych nowości musiała z sobą, z różnych krajów, przynieść do Polski owa ludność napływowa, często u nas pozostająca na stałe, jak tego różne nazwiska niepolskie dowodzą? Wiadomo przecież, że cukiernikami od dawna byli Francuzi i Szwajcarowie Włoscy, piekarzami i wędliniarzami — Niemcy, krawcami, fryzjerami i modystkami — Francuzi i Francuski; oni to zakładali modne restauracje i kawiarnie. Bliższe badania nad tym przedmiotem możeby pozwoliły natrafić na niejednego szczegóły, ogrodnictwa dotyczący, co też uwagę historyków polecić należy.

Co się tyczy owych śliwek suszonych, tak w Warszawie obfitych, według świadectwa Erndtl'a, to znaleźliśmy pewne dowody, że ich wtedy sporo przywożono z Małopolski, a głównie z pod Jarosławia, Sanem

i Wisłą. Książki poboru i ceł, różnych komór, któreśmy przejrzyli za lata 1738 i 9, obfitują w pozycje dla nas ciekawe i ważne.

Więc co do komory warszawskiej, to różni hodowcy, czy kupcy z Jarosławia (Kiszczyński, Kucharski, Lewicki, Narski, Szydłowski, Zieleniewski i in.), przywozili do stolicy, galarami i skutami, każdy po 10 do 18 korcy śliwek suszonych, w cenie około 5 złp. za korzec, a nadto jabłka, liczone na „gniazda“, t. j. zasieki porobione na galarze, co się i teraz widuje. Gniazdo takie kosztowało przeciętnie po 36 złp. Przywożono też sporo cebuli „buntami“, t. j. wiankami (wpleciona w słomę) i orzechy włoskie, po 4, a laskowe po 1 złp. korzec. W innym miejscu zanotowano przywóz 50 korcy jabłek, ocenionych na 50 złp.

Ale jednocześnie kupcy warszawscy Rafałowicz i Wolff przywozili przez Wieruszów, cytryny i pomarańcze skrzynkami, lecz w małej ilości oraz pistacje. Raz nawet wymienione są 8 ft. tartofli (ziemniaki), a nawet jabłka oraz jabłka rajskie (te dla Żydów), oprócz tego wyliczone są okseft limonji (cytryn), rodzyнки, migdały i kmin, który się przecież w kraju darzył.

Ale natrafiamy tu również i na ślady wywozu, głównie przez komory w Nieszawie i Wieruszowie tudzież w Warszawie.

Tak np. w r. 1739 Michał Kujawski z Zakliczyna wywiózł (*scavit extra Regnum*) 4 wozy śliwek suchych, wartości 320 złp., 1 cukrówkę śliwek za złp. 20 i 1 cukrówkę suszu (może z gruszek?) za 10 złp. od czego opłacił cła złp. 5 i gr. 18. Podobnie też Andrzej Petkiewicz, z Zakliczyna, wywiózł 3 wozy śliwek suszonych i t. d. Przez Nieszawę, Michałowicz, w roku 1738, prócz płótna i wosku, wywiózł na szkucie, 4 wory anyżu, 6 worów kminu, 16 fas śliwek suszonych, Szmulowicz zaś aż 23 beczki i 9 worów śliwek, 2 wory orzechów, 18 worów anyżu, obok potażu, jagieł i pakuł. Od wojewody Tarły z Sandomierza, Zieleniewski wywiózł, obok zboża, potażu i 260 wałów płótna, także 4 beczki śliwek suchych. Wojewodzina ruska wysłała 21 beczek śliwek suszonych, 15 worów anyżu, 3 wory orzechów. Nie tylko z Małopolski, ale także i z okolic Słucka wywożono śliwki suszone.

Mamy tedy pewność, że Polska, w owym okresie, miała w niektórych okolicach tyle śliwek, a nawet orzechów, że je wywoziła za granicę, zaopatruwszy stolicę kraju. Wywożono również kmin i anyż, czego teraz się nie robi, a w każdym razie dowodzi to rozwoju hodowli i było początkiem handlu pewnymi ogrodopłodami, który przy pracy i staraniu można było znakomicie rozwinąć i utrwalić. Są to cenne wskazania i dla czasu bieżącego. Z pewnością więcej i lepiej mogłaby nas, w tej mierze, nauczyć statystyka, ale o tej wówczas nie miało u nas pojęcia, a przecież i dziś posiadamy ją tylko ułamkową.

Że i dalsze prowincje Rzplitej mogły mieć rozwinięte ogrodnictwo, zwłaszcza użytkowe, dowodzą tego wzmianki różne obcych, po Polsce, podróżników. Tak np. Beauplan, opisując Ukrainę za Jana Kazimierza ¹⁾ opowiada, że w pobliżu Dniepru napotkał wiśnie dzikie, „wielkości śliwek“, dojrzewające w sierpniu, tworzące gaje oraz dzikie, krzaczaste migdały (więc *Amygdalus nana*), które, gdy je przesadził do swego ogrodu w Barze, dały owoce większe, smaczniejsze i bardziej soczyste, a same drzewka z karłowych, bujnie się rozrosły.

O zakładach ogrodniczych handlowych, z tego okresu, w Polsce nic nie wiemy. Można by wnosić, że były jakieś w Warszawie, bo Piotr W. bawiąc u nas, jako gość Augusta II, obok cennych obrazów, będących własnością Polski, które dostał od tego sasa, nabył znaczną ilość drzew laurowych, pomarańczowych i cytrynowych, rozmarynu i t. p. Że drzewa te południowe pochodziły pierwotnie z Włoch i przez Dreźnie mogły się dostać do Warszawy, jest prawdopodobne; tu zaś mógł je sprzedać ktoś z możnych, który je nabył. Wszak podobnie stało się z pomarańczami łażienkowskimi, o których będzie mowa później.

I tu także o ogrodach włościan nic powiedzieć nie możemy, bo nie wspominają o nich współcześni.

¹⁾ J. N. Niemcewicz: „Zbiór Pamiętników“.

OKRES V.

Czasy Stanisława Augusta.

Długie panowanie nieszczęsnego ostatniego króla, nie uchroniło Polski od politycznego upadku, do którego doprowadziła jej słabość wewnętrzna i nikczemni sąsiedzi zaborcy, późniejsi ciemnizyiele zagrabionego narodu. Ale Stanisław August był człowiekiem wysokiej kultury, znawcą i miłośnikiem piśmiennictwa i sztuk pięknych, opiekunem nauk i przemysłu. Rozwinęły się też wtedy te wszystkie gałęzie pracy i wytwórczości, wcale pięknie, i gdyby Polska była nadal wolną, a dobrze rządzoną, wkrótce poczyniłaby wielkie postępy, a może nawet zrównała się z krajami, które ją na tych drogach wyprzedziły.

Między innemi zasługami króla trzeba położyć i tę, że przykładem swym wybitnym zachęcił do zakładania nowych ogrodów. Że zaś w jego ślady poszli nie tylko liczni krewni („familja“), ale i wszyscy niemal możni, więc w tej epoce, utraty wolności, zajaśniało w Polsce ogrodnictwo ozdobne, naśladowane, a po części i swojskie. Wkrótce też zjawili się tak wybitni miłośnicy ogrodów, że równych im trzeba szukać chyba w Anglii. Inna rzecz, iż te ich poczynania i wysiłki nie miały trwałości. Przyszły rozbiory, wojna Napoleona z Rosją, potem powstanie z r. 1830 i kraj popadł w nędzę. Niemniej zaś ważnym powodem nowego zastoj w ogrodnictwie po tej epoce, którą co do ogrodów ozdobnych można nazwać złotą, był bardzo niski poziom oświatowy i zawodowy ogrodników polaków, jak tego dowodzą liczne świadectwa współczesnych.

Rozwój bowiem, a potem i świetny rozkwit ogrodnictwa, może się ziścić tylko przez ogrodników, jako twórców i wykonawców. Oni muszą zachęcić do zakładania ogrodów i udzielenia na to niezbędnych pieniędzy, ale też oni jedynie mogą być planodawcami i wykonawcami wszelkich ogrodów, oni jedni potrafią je należycie utrzymać, na koniec oni głównie udoskonalają rośliny i uprawy.

Bez inteligentnych i umiejętnie, a odpowiednio wykształconych ogrodników, stać się to wszystko nie może.

Niemniej, co tylko mogą zrobić w tej mierze miłośnicy, dyletanci, to za panowania Stanisława Augusta i w okresie następnym po upadku Polski, zrobiono.

Król nabrał zamiłowania do ogrodów w swych podróżach, zapewne głównie we Francji, gdzie właśnie wiele ogrodów zakładano i przerabiano wtedy na parki naturalne i sentymentalne. Zapragnął też wytworzyć sobie pod Warszawą taką piękną rezydencję, wśród wielkiego ogrodu, dającą ciszę i wytchnienie, pozwalającą wolne godziny poświęcić cieszeniu się dziełami sztuki i zabytkami, w niej zgromadzonymi.

Tak powstały Łazienki.

Nabył je Stanisław August od Kaspra Lubomirskiego ¹⁾ i w r. 1767 zbudował włoski pałacyk, a otoczył go obszernym parkiem w stylu niby włosko-francuskim, właściwie jednak w znacznej części naturalnym. Mało tam bowiem było szpalerów i drzew strzyżonych, niezbędna zaś geometryczna symetria i prawidłowość, miała zastosowanie tylko przy pałacu, a i to w niewielkich rozmiarach.

Plany na park dał budowniczy i ogrodnik królewski Schuch, wysłany przedtem w podróż po Europie, dla zapoznania się z wybitnymi wzorami ²⁾.

Po powrocie Schuch rażno zabrał się do roboty.

Przedewszystkiem, jak w Wersalu za Ludwika XIV, osuszono i tu bagno, porobiwszy umiejętnie kanały i wykopawszy stawy, któremi przepływa woda, aż gdzieś z pod Mokotowa płynąca. Willa stanęła na wysepce, mając z dwóch stron obszerne wody, od pomnika Sobieskiego kasztanami obsadzone; te zwieszają się obecnie aż do zwierciadła wody gałęziami, tworząc piękne ramy dla stawu, zwłaszcza na jesieni, gdy się ich liście pozłocą, przed opadnięciem. Zresztą skupiny porobiono z drzew swojskich, nie gardząc w mokrych miejscach czarnymi olchami, a natomiast, całkiem niesłusznie, zaniędbując sadzić świerki. Nad wodą

¹⁾ Szymon Zug: „Ogrody warszawskie“, r. 1784.

²⁾ Jan Krystjan Schuch (Szuch) był synem ogrodnika królew. saskiego, urodzony w Dreźnie 1752 r. Ukończył wydział budowlany akademii sztuk pięknych tamże, potem uczył się ogrodnictwa w Holandji i Anglii (w Kew), dalej w Paryżu i Wiedniu (w Schönbrunn). W r. 1773 osiadł w Warszawie. Młodzieniec ten wraz z ogrodnikiem Simonem założył „Mon Coteau“ (Mokotów), park dla ks. Lubomirskiej i w Dęblinie park angielski dla Michała Mniszcha. Ogród ten tak się podobał Stan. Augustowi, że go wezwał na swego ogrodnika. Wtedy Szuch założył park łazienkowski, wystawił pomarańczarnię (starą, przy teatrzyku, nie nad wodą) i in. szklarnie, a nawet ananasarnię, pierwszą w Polsce i figarnię, której mury dotąd

też stanął teatr grecki, gdy w pomarańczarni, stanowiącej dobudowę, przy tymczasowym mieszkaniu króla i ładnym zimowym teatrzyku, pomieszczono rozliczne krzewy i rośliny kwiatowe, głównie nadśródziemnomorskie.

Wszelako wielkie drzewa pomarańczowe, któremi Łazienki zasłany, przybyły do Łazienek dopiero znacznie później, gdy Łazienki od spadkobierców króla, nabył car Aleksander I. Kupił je zaś od Radziwiłłów, z Nieborowa, za dużą wówczas sumę 228,000 rb. Ci zaś nabyli je dla Nieborowa, w Dreźnie, w r. 1808, z ogrodu królewsko-saskiego. Piotr Hoser, założyciel domu Hoserów, napisał o nich (w „Ogrodniku Polskim“ z r. 1889), że w Nieborowie ogrodnik, stary John, wyhodował je tak pięknie, że w gruncie, we Włoszech pięknieby nie wyrosły. Ucierpiały one jednak dużo od przewiezienia, chociaż na specjalnym wozie, tak że „są tylko cieniem tego, czem były w Nieborowie“. A jednak doprowadził je do wybornego stanu ogrodnik cesarski Wanaszek i jego pomocnik Umilanowski, cośmy widzieli i podziwiali. Dopiero, gdy pewien jenerał, rosjanin, został kuratorem Łazienek, dla oszczędności opału pobudować kazał w pomarańczarni piece żelazne i wspinałe te okazy do zniszczenia doprowadził. Gdy w r. 1915, po ustąpieniu z Warszawy, przed Niemcami, rosjan, Tow. ogrodnicze warsz. zaopiekowało się Łazienkami, policzono słoje przyrostowe na paru pniach tych uschłych pomarańcz. Okazało się, że żyły po lat z górą 400, więc pamiętały początek odrodzenia włoskiego. Cyprysy, magnolje i t. p. także bardzo stare, pochodzą prawdopodobnie z doboru, nabytego gdzieś zagranicą, przez króla Stanisława.

Dodajmy, że Łazienek nie przerabiano przez czas dłuższy. Aleksander I nabył wprawdzie Łazienki w 1817, od Teresy Tyszkiewiczowej, siostry księcia Józefa, ale bywał w nich rzadko i na krótko, a ministerjum dworu coraz więcej szczydziło na nie pieniędzy. Podtrzymywało tylko piękne i cenne budynki, mało dbając o ogrody. Doszło

istnieją przy murze od ogrodu Botanicznego w Łazienkach. Inne ogrody, założone przez Szucha, znajdowały się w Młocinach, Pęcicach i Pruszkowie pod Warszawą.

W r. 1791 złożył królowi gruntownie opracowany projekt zakładania sadów i ogródków przy siedzibach włościan, niestety, w czyn nie wprowadzony.

Był to więc jeden z wybitnych ogrodników cudzoziemców, którzy, jak Mac Claire, w polsce osiadłszy, zrosli się z nią i spolszczyli, a takich było wielu.

Za swe zasługi otrzymał Szuch od króla kawałek ziemi, za rogatką wolską, zwany później ogrodem Ohma, dziś do Hoserów po części należący. Miał na nim szkółki drzew owocowych i ozdobnych. Aleja Szucha od niego nosi swą nazwę. Ten budowniczy-ogrodnik zasłużył się bardzo ogrodnictwu, zwłaszcza warszawskiemu. Wiadomości o jego życiu podał F. M. Sobieszczański.

też do tego, że około r. 1870 Łazienki stały się dzikim parkiem, w którym pozarastały pierwotne widoki, tak wewnętrzne, jak i poza Wisłę.

Obok wspaniałych drzew, jak owe białodrzewy i jesiony w pobliżu domku księcia Józefa, powyrastały gaje siewek klonów, topoli i akacji, obnażyły się u dołu nieliczne świerki, zdziczały całkiem olszowe gaje i ładne skupiny nad kanałami, a trawniki zarosły bżowiną i tawułami oraz bujnymi chwastami.

Doszło nawet do tego pod koniec w XIX, że zaczęto sprzedawać publiczności kwiaty, rośliny i owoce, a handel ten wpłynął b. ujemnie na podtrzymanie parku i szklarni, gdyż ogrodnicy musieli myśleć o wytwarzaniu na handel, a nie o utrzymaniu ogrodów w doskonałym stanie.

Pomimo to wszystko park ten nie stracił uroku i nie przestał być chlubą Warszawy i jedyną ucieczką od zgiełku ulicznego, dla jej mieszkańców.

Dopiero w początku w. XX zajęli się Łazienkami tacy ogrodnicy artyści, jak Wacław Zaykowski i Walery Kronenberg (jako jeden z kuratorów z ramienia Tow. Ogr. Warsz. czasu okupacji niemieckiej) i doprowadzili je wkrótce do świetnego stanu. Na poprawę stanu roślin szklarniowych wpłynął dodatnio drugi kurator, Wład. Kaczyński¹⁾.

Łazienki już za Stanisława Augusta, zaraz po ich wykończeniu, były dostępne dla publiczności, na co i carowie zezwolili.

Ale ostatniemu królowi zawdzięcza Warszawa swój drugi ogród publiczny, śródmiejski. Mianowicie Stanisław August w r. 1767 nabył ogród Krasińskich, polecił go przerobić ogrodnikowi Knackfussowi i w r. 1768 podarował m. Warszawie. Stał się on nie tylko publicznym, ale i historycznym, w nim bowiem, aż do r. 1831 odbywały się liczne uroczystości narodowe, a na placu przyległym, przed pałacem Rzplitej, zabawy ludowe. Był on też wtedy i potem jeszcze, przez czas jakiś, salonem Warszawy, bo życie jej kulturalne skupiało się wtedy pomiędzy Krak.-Przedmieściem, placem Teatralnym i ul. Ś-to Jerską, więc ogród Krasińskich, był ośrodkiem. Później zaniedbany, ale jeszcze szczytający się pięknymi kasztanami, stał się miejscem zabawy i omawiania interesów dla żydów, z przyległej dzielnicy, przez nich głównie zamieszkałej. W prostych ulicach nosił ślady stylu francuskiego, aż dopiero po roku 1890 Fr. Szanior przerobił go na angielski, co się jednak nie bardzo udało. Wykopano wówczas sadzawkę (zbyt małą), a z ziemi wybranej urządzono w rogu ogrodu ślimak, z którego nie ma widoku. Drzew rzadkich posadzono wtedy zbyt wiele, tak, że się dziś

¹⁾ Sporo innych wiadomości o Łazienkach podał J. Drège w „Wielkiej Encyklopedji”: „Ogrody w Polsce”.

wzajemnie tłumią. Półkole z grabów strzyżonych dobrze dostosował Szanior do stylu pałacu, którego słusznie nie zasłonił drzewami. Ale bzy i iu. krzewy krzywe i brzydkie, pod ścianą pałacu, szpecą go. Ogród ten jest więcej, niż o połowę, mniejszy od Saskiego.

Za przykładem króla poszła przedewszystkiem jego rodzina. Więc stryj króla, Kazimierz Poniatowski, założył zaraz obszerny ogród „na Książęcem”, na pustych wzgórzach nad Wisłą, sięgający do ulicy, stąd Książęcą nazwanej, do Solca i do Wisły. Park ten widoczny na planach ówczesnej Warszawy, był założony w stylu naturalnym; przeważały w nim drzewa pospolite, a między nimi dużo topoli włoskich. Na wzgórzu, na zrobionych tarasach, założono winnicę, zatem zapewne planował na park i wykonał go jakiś francuz. W oranżerii, najznacniejszej w Warszawie, trzymano wielkie drzewa pomarańczowe, a w paru specjalnych szklarniach hodowano ananasy, które się wtedy u bogatych stały modne¹⁾. Ogród ten kosztował 200 tysięcy dukatów²⁾.

Podobno jeszcze piękniejszy ogród założył tenże książę „na Górze”, t. j. tam, gdzie obecnie Frascati i wreszcie trzeci w r. 1777, przy szpitalu Św. Łazarza (późniejszym), gdzie minaret. Szymon Zugh, który ten ogród zakładał, pisze o nim (l. c.): „Dobrze utrzymane wysady (skupiny) i cienie ogrodu są miłą dla publiczności tutejszej przechadzką”. Zatem i ten ogród był wówczas publicznym.

Ogród „na Górze” nabył potem restaurator Chavot, pomieścił w nim swój zakład i nadał siedzibie nazwę Frascati. W niej to mieściła się słynna loża masonów, patriotów i spiskowców za czasu srogiej tyranji Nowosilcowa i ks. Konstantego. Dopiero w r. 1870 nabyli Frascati Braniccy, a ogród przerobił i wybornie upiększył Józef Stiche, czech, później spolszczony.

A znowu Stanisław Poniatowski, brat stryjeczny króla, podskarbi W. Litewski, w r. 1779 założył swój ogród tam, gdzie dziś sejmowy, na ul. Wiejskiej, również w stylu angielsko-francuskim, z winnicą zwróconą na południe (więc ku ul. Górnej); wytłaczano z niej do 10 oksef-tów wina. Dziś niema po niej śladu. Ogród ten tak był rozległy, że sięgał aż do obecnej szkoły podchorążych.

Brat króla Michał, biskup, w tymże czasie założył w Jabłonnie znaną, ulubioną siedzibę ks. Józefa, jego bratanka. Przerobiła te ogrody później na wspaniały park, Anna z Tyszkiewiczów Potocka.

Ta sama pani w r. 1780 urządziła jeden ze wspanialszych par-

¹⁾ Hodowla ich trwała po różnych dworach do r. 1890,, najdłużej na Litwie. Zarzucono ją, gdy zaczęło drożeć drzewo.

²⁾ Zugh twierdzi, że były w tym ogrodzie ułamki parku angielskiego.

ków w Królestwie, w dobrach wilanowskich, na cześć wnuczki Natolinem nazwany. Roślinność w nim jednak przeważnie swojska, co było wtedy powszechne.

Z innych ogrodów podwarszawskich Zugh wymienia na przedmieściu Fawory (pod obecną Cytadela) piękny ogród Ponińskiego, zwany *Sans Gêne*, dalej ogród bankiera Blanca, a były tam również ogrody innych bogatych bankierów i kupców.

Zasłynęły zaś szeroko Powązki Izabeli Czartoryskiej, w stylu sentymentalnym urządzone, na wzór Małego Trianonu Marji Antoniny. Z mizernej wioski, z olszynką nad błotnistą wodą, po jej osuszeniu, zrobiono park z drogami, wijącymi się po lasku, z ptaszarnią, młynem i różnemi „fabrykami“, t. j. budowlami, stawianemi wówczas w wielu parkach Europy dla efektu teatralnego, jak: sztuczne ruiny, pustelnie, chatki i t. p. Był też i spory sad. Księżna zaledwo zdążyła z tej siedziby unieść i ocalić pamiątki i cenne przedmioty przed hordami Suworowa, który Powązki spalić polecił.

W Izabelinie, za Powązkami, było też kilka ogrodów ozdobnych. Najciekawszy dla nas byłby niewątpliwie park angielski, urządzonego z polecenia pośła angielskiego Wroughtona w Marymoncie, własności pierwotnie elektora saskiego, a potem Rzewuskich. Zugh pisze, że był utrzymany starannie. Ale nie mamy jego planu, ani podobizny.

Na Woli były wybitne ogrody hr. Brühlowej (żony ministra) i Ponińskiego, znów sentymentalny. Był tam między innymi fabrykami stóg siana, mieszczący w sobie wygodny i wykwitnie umeblowany pokój.

Zasługuje też na wzmiankę Królikarnia. Założył ją jeden z awanturników cudzoziemskich, dość pospolitych wtedy na dworze, sam dworzanin Stan. Augusta, kawaler de Tomatis, w zamiarze odstąpienia królowi, zanim posiadał Łazienki. Oprócz parku, na malowniczym spadku ku Wiśle, był tam duży sad i winnica, do której krzewy z Włoch sprowadził. Później stała się Królikarnia własnością Pułowskich.

Z 300 prawie ogrodów wybitnych, które wylicza Wodzicki z tej i następnej epoki, kilkadziesiąt powstało za panowania króla Stanisława. Z nich należy wymienić jeszcze Aleksandrję, w r. 1768 założoną przez hetmanową Aleksandrę Ogińską w Siedlcach, a nade wszystko słynną Arkadję pod Łowiczem, którą w swym poemacie „*Les Jardins*“ opiewał Delille. Była ona dziełem Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej, z r. 1778, która współubiegała się w zamiłowaniu ogrodów, a zwłaszcza pięknych rzadkich roślin, z Czartoryską. Duży ten park, na piaszczystej ziemi, oprócz osobliwych, na owe czasy, drzew, zawierał ogromny amfiteatr, świątynię Djany, pałacyk kryształowy i inne budowle, w rzymskich i greckich stylach. Oczywiście, była i tu winnica i duży sad.

Do poznania stanu ogrodnictwa naszego z tej epoki, dopomagają podróże wykształconych cudzoziemców po Polsce i książki polskich pisarzy z dziedziny rolnictwa i ogrodnictwa. Obcy wędrownicy po naszym kraju notowali to, co ich zajęło lub uderzyło, niewątpliwie porównyując stan rzeczy z tym, który poznali w swojej ojczyźnie, albo zwiedzając inne kraje przed naszym. Naogół wiadomości te są nieliczne, ale i tak warto je przytoczyć, jako cenne wskazania.

Tedy Jan Bernouilli, uczony podróżnik, bawił w Polsce od 1777 — 8 roku, badając głównie stan nauki¹⁾. Jednakże mimochodem chwali ogród Ponińskiego, na Woli, jako niezwykle, choć mały. Obszerniej opisał Powązki, Czartoryskiej. Były tam w lasku zwykłe chaty, umeblowane z takim przepychem, że nie widział nic wspanialszego. W obszernej takiej chacie mieszkała księżna w lecie, w innych zaś jej ośmioro dzieci. Przy każdej chacie był osobny wiejski ogródek, a całość ogrodu, choć pozornie bez sztuki ułożonego, była taka, że z niczem z tego, co widział, porównać go nie mógł. O innych ogrodach są tylko wzmianki.

Wyjątkowo, jak na berlińczyka, życzliwy polakom i obfity w pochwały dla nich, Jan Eryk Biester, w swej „Podróży po Polsce“ z r. 1791 (I. c.), chwali ludność od Poznania aż do Pniewa, że przy każdej chłopskiej zagrodzie jest sad „i inny ogród“, a mieszkańcy umieją zużytkować każdy kawałek ziemi. Tylko ludzi mało, ale byłoby ich więcej, „gdyby chłopci mieli swe prawa“. Co prawda niebardzo je też mieli wtedy i w Prusach. W Warszawie, „z którą tylko Wiedeń może się porównać“, chwali liczne wspaniałe pałace, a przy nich ogrody, chociaż obok tych pysznych pałaców znajdują się nędzne chaty i dworki. Poczem b. pobieżnie opisał niektóre ogrody stolicy.

Niebył też wiele dla nas wiadomości podał anglik William Coxe, który odbył podróż po Polsce, Rosji, Szwecji i in. krajach około r. 1780, chociaż dał obraz krytyczny, ciekawy, ogólnego wyglądu Polski. Znalazł mianowicie cały kraj zarosły lasami, tam nawet, gdzie przedtem były role; handel ograniczony i w rękę żydów. Wiemy dlaczego: szlachcie tracił klejnot rodowy, gdy się handlem zajął. Przywóz był większy od wywozu o 20 milionów złp., a przemysł b. mały. „Król bez władzy, szlachta niepowstrzymywana przez nikogo we władzy i nadużyciach, chłop jęczący w jarzmie feudalnym, niezmiernie bogactwa, obok ostatecznej nędzy“. Warszawa też miała wygląd smutny, z powodu tego przeciwstawienia się nędzy bogactwu, co się przejawiało

¹⁾ „Opis podróży po Niemczech, Kurlandji, Rosji, Polsce“; jeden z 6 tomów poświęcił wyłącznie naszemu krajowi. W zbiorze Prof. Liskego: „Cudzoziemcy w Polsce“.

w całym nieszczęśliwym kraju. Lubo Coxe znał się na roślinach, czego dowiódł w obszernym opisie ogrodu botanicznego grodzieńskiego, to jednak, poza Powązkami, o innych ogrodach przemilczał, czy to że ich nie widział, czy też że po parkach angielskich zlekceważył.

Ale zobaczymy, co piszą o ogrodnictwie ówczesnem skrzętni dziejopisowie Warszawy. Więć np. Gołębiowski ¹⁾ w spisach rękodzielniców z r. 1750 nie znalazł wymienionych ogrodników, pomimo że są tam architekci, chirurgowie i dentyści, a więc także nie „rękodzielniczy” (w r. 1820 było 225 ogrodników w Warszawie). A jednak być musieli, tylko niewiadomo którzy i ilu; zajmowali się uprawą roślin na własną rękę, na sprzedaż. Więcej się dowiemy od F. M. Sobieszczańskiego ²⁾ i Wejnerta. Pierwszy z nich twierdzi, na podstawie świadectwa Niemca Sirissy, że obwód Warszawy był nadzwyczaj wielki z powodu bardzo rozległych ogrodów i pustych placów. Przy 80 pałacach istniały wspaniałe ogrody. Zapewne część owych rozległych ogrodów stanowiły uprawy warzywne, zaopatrujące stolicę. Schultz, inflantczyk ³⁾, stwierdza, że przed kościołem Św. Krzyża sprzedawano, obok ryb, chleba, smażonych kiszek i in., także owoce i jarzyny ogrodowe, co uważa za naturalne, bo „klimat Warszawy jest prawie ten sam, co Drezna; nie brak tutaj okolicom na wybornych owocach, wszakże najlepsze dowożą z południowych prowincji (Małopolska i może Podole, czy południe Europy?), ale też, z powodu odległości miejsca, bynajmniej nie są tanie”. Melony, jak mówi, hodowano w okolicy, oraz znaczną ilość cytryn i pomarańcz, niewątpliwie w pomarańczarniach, których, jak już wiemy, dużo było w ogrodach warszawskich i in. „Jednakże ogólnej potrzebie nie wystarczają, lecz przez Gdańsk z Portugalji i Hiszpanji są dowożone”. Mamy tu potwierdzenie, że Gdańsk był główną drogą wwozu płodów krain odległych do Polski. Dodaje Schultz, że jarzyny i wszelkie ogrodowizny wcale są nieźle, lecz stosunkowo jest ich zamało i zbyt drogie.

Nieznany autor broszury o życiu warszawskiem z r. 1791, narzekał, że to wszystko sprzedawane jest w błocie i z błotem. Warszawa wtedy, jak wiadomo, jeszcze nie miała wszędzie bruków i tonęła w błocie, a w nocy w ciemnościach. Ogrodowizny i owoce krajowe sprzedawano nietylko pod Św. Krzyżem, ale na straganach, zalegających całe Krakowskie Przedmieście, tak że przez nie trudno się było przedostać do domu. Wykwintniejsze owoce sprowadzali wielcy kupcy ówcześni sto-

łeczni, tacy jak Hempel, Janowicz, Prot Potocki, Roessler, którzy sprzedawali w swych sklepach wszystko: „od powozów—do wykałaczek, od towarów bławatnych—do piwa”.

Przejdźmy do książek, które nas zaznajomią nietylko może ze stanem ogólnym, ale po części i z techniką tego ogrodnictwa epoki Stanisławowskiej. Są między nimi i niepolskie, choć o Polsce wyłącznie mówiące.

Zacznijmy od książki, napisanej po francusku, a wydanej po polsku staraniem i nakładem Mniszchowej, podkomorzyny litewskiej (według Estreichera Bibliografji), w Warszawie u Grella, w r. 1767 (jak mniemał J. Drège). Autorem jej był de Rieule, generał „w służbie J. K. Mości” (więc w wojsku polskim). Dzieło to miał autor „kontynuować, jeżeli praca jego aprobację znajdzie”, ale pomimo, że mu Komisja Edukacyjna przyznała za napisanie tej książki 200 dukatów ¹⁾, skończyło się na 3-ch pierwszych rozdziałach, czyli, jak je nazwał de R., memorjałach. Tytuł brzmi: „O gospodarstwie ziemiańskiem, a osobliwie o gosp. ziem. w Polsce”. Znajdujemy tu sporo rzeczy ciekawych dla rolnika, a nieco i dla ogrodnika. Autor był człowiekiem światłym i niepospolitym. We wstępie mówi, że rolnictwo funduje się na 2-ch wielce ważnych rzeczach: na obserwacji i eksperjencji, a więc zaznacza te dwie kapitalne zasady, na których oparły się wszystkie nauki badawcze, zwłaszcza przyrodnicze i przez to w w. XIX tak znamienne się rozwinęły. Uznaje dalej rolnictwo (więc i ogrodnictwo wtedy ściśle z niem łączone) za gałązkę filozofji, lecz „dotąd ono zostawało w głębokiem zaniedbaniu, a przecie ono korzeniem zwać się może, wszystkie zaś inne sztuki, tak wyzwolone, jak niewyzwolone, są gałązkami, a gdy korzeń jest dobrze opatrzone, gałązki mogą się bujnie rozwijać”. Wskazywał, że ten kraj jest nad inne mocniejszy, który więcej wydaje rzeczy do życia potrzebnych (zatem i płodów ogrodowych), bo ma w zależności tych, którzy je od niego kupić muszą. Anglicy pierwsi to uznali i 200 lat temu (?) pojawiły się u nich książki o rolnictwie ²⁾. „To też Anglja od lat 50 stała się śpichlerzem zboża, a Polska nim być przestała. Niech to polacy pilnie uważają, że Anglja mająca 2 razy tyle co Polska ludności (8 milionów przeciw 4), a ziemi 4 razy mniej, wyżywia jednak swą ludność i wywozi tyle, co Polska”. Zatem Anglja

¹⁾ Inne nagrody za książki elementarne otrzymali od Komisji też sami cudzoziemcy (jak podał Bernouilli): Lhulier, Dubois, Condillac, tylko Hube był toruńczykiem.

²⁾ Właściwie rozwinęło się ono dopiero za czasów Kromwella. Francuzi w końcu w. XVI mieli swego „ojca rolnictwa” Oliviera de Serres i jego znamienite dzieło „Le Théâtre d'agriculture” r. 1600.

¹⁾ „Opisanie historyczno-statystyczne Warszawy” r. 1827.

²⁾ „Rys historii i statystyki m. Warszawy”, r. 1848.

³⁾ „Reise eines Lievländers von Riga nach Warschau”, r. 1793.

wytwarzała 8 razy więcej, niż Polska, a nie tylko rolnictwo, ale i ogrodnictwo użytkowe było w niej podobnie rozwinięte. De R. dowiódł rachunkami, że Polska zam. 30 milionów korcy zboża, mogła wtedy wydawać 180 milionów.

Pomijamy inne obliczenia i wskazania, cenne dla rolników i ekonomistów, a wprost nieocenione dla historii rolnictwa polskiego. Co do ogrodnictwa, to zaznacza, że polacy twierdzą, jakoby dobre obce rośliny i zwierzęta u nich hodować się nie dały, a czemuż uprawiają tatarkę, tiutiun (!) z Ameryki, pszenicę turecką (kukurydza). Czemu zaszczepiają sady owocowymi drzewkami, które są prawie wszystkie cudze, a nie własne? A wszak przebywał dość długo w Polsce, by ją poznać. Namawiał do rozmnożenia w kraju winnic, które udają się w Wielkopolsce, więc czemużby się nie udały w wojew. Sandomierskiem, Krakowskiem, Ruskim. Zaznacza, że wszystkie góry w okolicy Lwowa, były przedtem napełnione winnicami.

Memoriał 2-gi traktuje o ziemiach (glebach) polskich, przyczem, jak ciągle, opierał się na dziełach Thulla, Duhamela i Hale'a, trzeci zaś — o nawozach. Oczywiście poglądy na te rzeczy są takie, jakie miała ówczesna nauka. Poleca zalewanie pól i łąk (coby się i w ogrodach nieraz b. przydało), żali się, że w Polsce nie spuszcza się wód zalewających, poleca m. in. po 40 kamieni wapna na mórg roli, błoto z kałuż, gdzie brodzi bydło, popioły i gnoje, a nawet odchody ludzkie.

Zresztą, jako nawozy uważano wówczas: sadze, piasek na gliny, glinę na piaski, sól kuchenną i t. p. Jako nawozy zielone podaje De R. tatarkę, wykę, bób, rozumie się, nie znając działania roślin strączkowych wogóle. Radzi niedojedzony przez owce turnips, wraz z ich odchodami, worywać.

Na tych samych zdrowych zasadach ekonomicznych oparta jest książka Bartłomieja Dziekońskiego p. t. „Zasady o rolnictwie, rękodzielnictwie i handlu” z r. 1790. Napisana językiem trudno zrozumiałym i pełna dziwacznych zwrotów, niemniej posiada istotną wartość. Liberalny i postępowy jej autor, podając rady ku poprawie złego stanu kraju, poleca dla ulepszenia roli: 1) dopełnić ziemię, przez dodanie gliny lub piasku, 2) gnoić i orać starannie, 3) czyścić z chwastów, 4) używać do pomocy narzędzi, żeby robotę wykonywać mechanicznie i śpieszniej. Nadto trzeba: „poprawić drogi, zaludnić miasta i osady, dbać o zdrowie mieszkańców i ich edukację”. A to było przed ostatnim rozbiorem Polski, więc trudno się było do tych, i dziś po części potrzebnych, rad zastosować.

Obok tych dzieł ogólnych, zarówno dla rolników, jak i ogrodników przydatnych, wydawać zaczęto także książki dotyczące pewnych

działów ogrodnictwa. Do nich należą Piotra Świtkowskiego: „Zabawy obywatelskie” z r. 1792, w których podaje, jak sadzić dobre drzewka, by się przyjęły i prędzej rosły. Pobudziło go do napisania to, że „wielu się zniechęca, iż im się drzewka nie przyjmują albo wysychają”. Radzi więc, jak usunąć te „nieprzyzwoitości”, na podstawie napatrzenia się przez lat 20 w Montreuil i Bagnolet, „gdzie wszyscy mieszkańcy są ogrodnikami wybornymi, a kunszt ogrodniczy doszedł tam do takiego stopnia, jak nigdzie na świecie”.

A rady są dobre. „Wykopać drzewko oskardem i widłami ze szkółki, wyjąć całe korzenie, na drogę mchem wilgotnym obłożyć. Doły zrobić 4 × 4 stopy, na dno dać sporo dobrej darniny lub ziemię z dróg publicznych, a potem ziemię lepszą (górną). Drzewka moczyć, korzenie zepsute odciąć, sadzić na jesieni, ale nie w błoto, ziemię koło drzew wyłożyć obornikiem, koronę, do równowagi z korzeniami, przyciąć”. Tak nie postępowano widać, bo twierdzi, że na przycinaniu nie znają się ogrodnicy. „Tak oni obcinają drzewa, jakby byli cieślami; rąbią, a nie obcinają. Dlatego wszędzie widać kikuty, które wysychają”. Czy książeczka ten stan poprawiła, trzeba wątpić, bo większość znaczna ówczesnych naszych ogrodników czytać nie umiała.

Ale najważniejszymi książkami, zarówno dla ogółu ówczesnych hodowców, jak i dla współczesnych, a nawet późniejszych pisarzy-dyletantów, były książki ks. Kluka, również dyletanta. Był to pracowity kompilator autorów niemieckich i francuskich, ale sam też znał się dobrze na niejedynej rzeczy, o której pisał. Co sam hodował, w Ciechanowcu, w plebańskim swym ogrodzie, nie wiadomo. To pewna, że jego książki napisane są językiem zrozumiałym dla ogółu, a zawierają dużo dobrych rad i wskazań. O ile te książki się rozpowszechniły, nie wiemy, nie znając ilości nakładu.

Ks. Krzysztof Kluk, ur. w Ciechanowcu w r. 1739, † 1796, syn mieszczanina, budowniczego, od którego nauczył się rysunku, a potem wyuczył się rycia na miedzi. Retorykę ukończył w Łukowie, nowicjat odbył w Warszawie. Od r. 1763 ksiądz mszalny, zrazu kapelan Osolińskich, potem od r. 1770 proboszcz w Ciechanowcu.

Wykazywał tak znaczne odczytanie i zamięłowanie wiedzy, że Anna z Sapiechów Jabłonowska otworzyła mu do użytku swe bogate zbiory przyrodnicze i bibliotekę, zgromadzone w pobliskich Siemiatyczach i w Kocku. Czytanie obcych autorów zachęciło go do pisania książek, opartych na tych źródłach (głównie) i na własnym doświadczeniu. Tego nabył, pracując własnoręcznie w ogrodzie, przy plebanji założonym, nadto herboryzował często w okolicy.

Zrazu miał pisać tylko o ogrodach, ale w czasie pisania wciągnął

do swego dzieła całe rolnictwo i dużo wiadomości z nauk pokrewnych. Jego podręcznik tak przypadł do gustu ziemianom, że przestali uważać za dobrego gospodarza takiego, który się nie radził książki Kluka. To zachęciło autora, który napisał nadto „Zwierząt domowych i dzikich... gospodarstwo“ (1779—80 w Warszawie), „Wiadomości o rzeczach kopalnych“ r. 1781, wydany kilkakrotnie „Dykcjonarz roślinny“ r. 1786—8 i wreszcie podręcznik botaniczny dla szkół, w r. 1785, na zlecenie Komisji Edukacyjnej. Był to zatem swego rodzaju polihistor; dar jasnego wykładu zjednywał mu czytelników, a przez to wielką popularność. Był to przytem człowiek zacny, opiekun maluczkich i gorliwy kapłan¹⁾.

Najważniejszym dziełem ks. Kluka jest: „Roślin potrzebnych, pożytecznych i wygodnych, osobliwie krajowych albo które w kraju użyteczne być mogą, utrzymanie, rozmnożenie i zażycie“. 3 tomy. Warszawa r. 1777 — potem jeszcze parę wydań.

Nas obchodzi głównie tom 2-gi, O drzewach, ziołach ogrodowych i ogrodach, do którego we wstępie powiada: „Piszę, mniemam, dla tych tylko, którzy nie chcą albo nie mogą, dla wymyślnego ogrodu kosztownych chować ogrodników“. Więc był to poradnik dla ziemian średnio zamożnych, bo drobni rolnicy pewno go jeszcze wtedy nie czytali.

Wypada tu przytoczyć niektóre przynajmniej ustępy z tej ważnej książki, bo to, co w niej Kluk doradzał, z pewnością było wtedy i długo jeszcze później, stosowane w wielu ogrodach polskich, a wielu autorów powołuje się na tego pisarza, jako na powagę.

Więc przedewszystkiem podał plan ogrodu wiejskiego, zowiąc go „wynałazkiem (pomysłem) na ogrody“, a chciał „tyle podać, by ogrody różniły się od zarosłych lasów i łąk“, takich zatem musiało być jeszcze niemało. Plan jest b. niewymyślny: ogród podzielony został na kwatery, po ich brzegach drzewa owocowe, zrzadka sadzone, a między nimi nawet brzoskwinie i morele, co 10' (stóp) (pod gołym niebem!). Ulice „czołowe“ na 10', a „nieczołowe“ na 5' szerokie. Po bokach szpalery, a i główna ulica, „nakryte w arkady wycinane“. W środku i po rogach — pola kwiatowe. Zatem ogród szczelnie zamknięty, bez żadnych dalszych widoków, bez drzew ozdobnych, symetrycznie geometryczny, niby włoski lub też francuski. Takie ogrody widziałem jeszcze np. w Wojcieszkowie, u Platerów (Siedleckie), pod Wyszogrodem i t. d. Na tablicy dał rysunki drzew „wystrzyganych“, zapożyczone z ogrodu francuskiego.

¹⁾ Jego skrócony życiorys nakreślił Antoni Ślósarski w „Ogrodniku Polskim“, r. 1896, str. 332.

A dalej już wskazania praktyczne, więc obszernie mówi o nawozach, rozumiejąc ich znaczenie, ale sądzi że koński jest najgorętszy i najchudszy, więc drzewom szkodzi, a za to ludzki, przez zimę przemarzły, jest najzdadniejszy do wszystkiego. Oczywiście o składzie chemicznym nawozów nie miał pojęcia. Wapno — dobre na ziemie zimne, popioły — na łąki, a błoto z miast i rynków poprawia wymienienie każdą ziemię. To słuszne, jak i zdanie, że „śmiecie izdebne, przegniłe na gromadzie (także i liście?), służą za najlepszy pognój“. Dobry jest szlam odleżały. Zatem rady naogół dobre.

Przechodzi do „pól kwiatowych“ (dość bezładnie). Tu kwatery mają być ceratami (?) wysadzone. Ceraty zaś, herby i floresy najprzejmniejsze z bukszpanu, kwiatami upstrzone“. A jako przykład obsadzenia, podaje: „od drogi lawenda lub izop, strzyżone co wiosna mier nie wysoko, a wewnątrz róże lub jaśmin pospolity. Róże i jaśmin rozwiedzione po kracie na 2' wysokiej, zielono malowanej, może być też i nasturcja, od ulicy stokroć różnych kolorów lub trawa morska, (zapewne miała być — turecka „*Phalaris arundinacea picta*)“. Zatem kwietniki b. ubogie, a w dodatku jaśmin, który u nas przecież wymarza.

Szpalery miały być z grabów, lip lub topoli, zapewne włoskich, ale nie strzyżonych.

„Naczynia do ogrodu“ tj. narzędzia wymienił z nazwami niemieckimi, widocznie kompilując.

Część III poświęcona jest drzewom owocowym, i naogół rady w niej dobre, obok niedorzeczności (opis raka na drzewach). Jak się zaś przedstawiało sadownictwo nasze, gdy pisał, wyraźnie widać z tego, co o niem mówi. Pochwaliwszy inne kraje, że są „przepełnione sadami“, pisze dalej: „u nas wielebym podobno żądał, gdybym pragnął podobnego sadów rozmnożenia. Prostym — milej w cudze chodzić ukradkiem, możniejszym — spokojniej owoce za gotowe kupować pieniądze, i wyjąwszy pogranicze, jedne tylko chyba dwory, klasztory i niektóre plebanje o sadach wiedzą, a gdyby pożytecznie“. Więc sadów było mało, źle utrzymanych a prości wcale ich nie mieli. Bo „co kiedy umiejętna ręka uczyniła sadem, staje się zasadzonym lasem“, czyli dziczeje z braku umiejętnej opieki. Wyjątek stanowią „ogrody wielkich panów“, którzy utrzymywali mniej więcej umiemych ogrodników, głównie obcych.

Na „obryzaniu gałązków“ nic się zacny kanonik nie rozumiał, jak wielu innych, przepisał też z różnych autorów o tem różne niedorzeczności, nie sprawdzwszy, niestety, ich wskazań.

Owocoznawcą też nie był, a sam nie znając się na przedmiocie, poprzepisywał bez ładu i krytyki, z książek niemieckich zwłaszcza, róż-

ne wiadomości, często nawet mylnie lub nieściśle. Zresztą polskich odmian prawie nie wymienia, choć do tej pory posiadamy przecież niektóre b. dawne nawet, jak Sztetyny, Kosztele, Smużki, Bręczki, Moregi, gruszki Ananasówki polskie i in.

Oto parę wybitnych przykładów z rozdziału „O rodzajach drzew w kraju naszym stale pożytecznych“ (?). Bonkreta jesienna ma trwać do marca, a Blankieta (Blanquet)—do grudnia (jestto gruszcza lipcowa, sierpniowa), Isembert ma być podobna do Bré gris (są to synonimy). Z jabłek zaleca Kalwilę białą zimową, ale zwie ją „podługowatą“, więc nie znał tej królowej jabłek, nie nadającej się do naszego klimatu. Pastewną Kalwilę czerwoną zimową obdarza smakiem „przyjemnym“, wymienia jakieś Himbeerapfel—białe(!), Rambur zielony ma być Lederapfel (szara Rtte de Damason). Są tu: Rtte jaune(!) i Werde, a Rta orleańska, nie udająca się u nas, chyba na Podolu, ma być „ze wszystkich największa i najpiękniejsza“. Więc jej nie widział. Śliwki „zagraniczne niemcy jedne zwą Zwetschen, a drugie Pflaumen“, najlepsze są Węgierki hiszpańskie (?). Wiśnie „gnoju nie cierpią“, co nie jest prawdą, a krajowe są czerwone, czarne i „osobnego rodzaju trześnie“ (?). Jest też rodzaj wiśni, który 3 razy na rok wydaje owoce (ślepa wiara w cudzą mądrość), w Bazylei ma ich być dostatkim.

Nie znał się też na drzewach karłowatych, więc szkoda, że się o nich rozpisał. Berberys utożsamia z włoską kaliną. „Maliny dobre będą i z lasu przesadzone, przecież lepsze są biało-żółtawe ogrodowe“. A gdzież są ogrodowe czerwone? Brzoskwinie mogą być na szpalerach, „ale i wypuszczone w drzewa w miejscu opatrzonem, gdy podlewane koziem mlekiem, większe i smaczniejsze rodzą owoce“ (!) Ale przyznaje, że, pomimo osłon, „rzadko której zimie przynajmniej końce nie pomarzną“. Z hodowlą winorośli załatwił się na stronnicy, rozumie się ładajako.

Obok tego jednak jest dużo rad dobrych i praktycznych, jak o suszeniu owoców (dał rysunek pieca do tego), wyrobie powideł, wina z jabłek (mylnie „jabłeczniku“) i t. d.

Na warzywach znał się znacznie lepiej i musiał je sam uprawiać. Zresztą warzywa cudzoziemskie zwie „włoszczyzną“. Twierdzi, że, nakryte, wytrzymują naszą zimę nawet marchew, kapusta włoska, kalarepa. Może się to udać, ale rzadko. Znał tylko 2 odmiany ziemniaków (więc pierwotne, do Europy przywiezione z Ameryki), białe i czerwone. Mówi, że w dobrej ziemi będą wielkie, gdy się na nich ziele podepcze. Chrzan zaleca „siany z nasienia“, gdy ten nasion nie wydaje¹⁾.

¹⁾ Chyba obrączkowany, według pomysłu prof. J. Brzezińskiego, świeżej daty bo z 1913 r.

Hodowlę nasion zaleca, a nawet sam otrzymywał nasiona kalafiorów „pod oknami, w wazonach, napełnionych u dołu gnojem“, czyli w inspekcji. Sztuki tej dokonywali ogrodnicy podwarszawscy już około r. 1875, hodując wczesne odmiany w przyspieszniku. Fasoli miało być do 200 odmian, najlepsza „Speckbohnenn z łupinami gotowana“, więc szparagowa.

Jeszcze parę uwag z części V o kwiatach i ziołach. Mówi o nich niewiele, ale radzi pod nie dawać „niemało gnoju“, krew rozcieńczoną, odpadki rogowe i krwią polewać, gdy zakwitną. Ale mniema, że „jeżeli kolor kwiatu chcesz odmienić, weźmiesz owczego gnoju i przegnótlisz z solą i octem, przydasz trzecią część farby, jakiej chcesz, w bryłkę tego potem, jak pięść wielką, posadzisz korzonki kwiatów białych i wsadzisz w ziemię; polewaj podobną farbą w rzecznej wodzie gotowanej. Co najlepsze, twierdzi, że sam robił to na cebulkach białych kwiatów, polewał je i moczył „w fusach kawy, i dał się widzieć „kwiat kaflowo bregowany“. Jednak tym próbom „nie sprzyjają farby ostre i robione, tylko soczyste i ziemne“. Ustęp ten dosadnie stwierdza naiwność, łatwowierność i małą uczoność tego zresztą cenionego długo autora i nauczyciela rolnictwa i ogrodnictwa, za pomocą książek. W opisie kwiatów dużo mieszaniny i błędów. Osobno wymienia *Corona imperialis* i *Fritillaria* (synonimy), mieczyki pomylił z kosaćcami, które są „angielskie i hiszpańskie“ (a gdzie inne?). Bratki, „zawsze trójkolorowe“, zwą się *Flos trinitatis*, kamelje ogrodowe, prócz białych, mają być jeszcze „pełne, pstre i czerwone“ (gdzież to je widział?). Opisuje piwonje, goździki, laki, aurykle i w. innych. Rośliny pnące zwie trafnie chmielinowemi, my je teraz nazywamy chmielinami, ale *Caprifolium* niesłusznie nazywa różą jerychońską. Jeden z powojników ma być *Clematis nostras* (?).

Z ważnych kwiatów róż, wyliczył: wczesną, damasceńską (ciemno-czerwoną!), cynamonową, stulistną, mchową (zwie ją *Rosa muscata* zam. *moschata*), żółtą pojedynczą i pełną (może *Persian Yellow*?), miesięczną i turecką, „z jednej strony czerwoną, z drugiej żółtą“. Nie znał więc wielu innych, z Azji głównie przywiezionych przez Noisette'a i innych ogrodników francuskich. Ale zato znał różnobarwne lewkonje i astry „pełne, piękne, słonecznikom podobne, białe, czerwone, fioletowe i nakrapiane“. Groszek wonny nazywa „wyką hiszpańską“, za niemcami. A komu mało tych i innych kwiatów, może jeszcze mieć: *Alcea*, *Chondrilla*, *Nigilla*, *Oculus Christi*, *Cauda pavonis*, których nazwy poprzekręcał, a zapewne bliżej ich nie znał.

Pomiędzy drzewami krajowymi pomieścił ligustr, platan i kasztan, a z cudzoziemskich między innymi zalecił: ostrokrzew, lotusowe drzewo

(*Celtis*) i korkodab, wszystkie naszego klimatu nie znoszące. Swoją nieuczoność znał sam Kluk, bo jako człowiek zacny pisze: „Szanuj chęć chociaż w pracy niedoskonałej, przyjmij i pieniążek niosącego na ofiarę temu krajowi, któremu jak największego dobra zawsze życzę”. Niechże go rozgrzeszą za błędy te dobre chęci i uczucia patriotyczne, tembardziej, że w jego książkach wśród plew jest też dużo zdrowego, pożywnego ziarna.

W książce nieznanego autora, wydanej w Warszawie w r. 1773, u Dufoura, p. t.: „Nayskuteczniejszy sposób poprawy powszechney gospodarstwa, w nasz kraj wprowadzenia przez uformowanie krajowej kompanii ekonomiczney“, znajdujemy też kilka ustępów o ogrodnictwie, nie pozbawionych znaczenia dla epoki Stan. Augusta.

Autor, zapewne ziemianin, ale niedość w swych pomysłach praktyczny, który chciał całą działalność na polu rolnictwa uczynić monopolem projektowanego przez siebie T-wa gospodarczego („Stow. ekonomicznego“), znał jednak dobrze warunki przyrodzone naszego kraju. Miedzy innymi dowodzi tego, że wróżył naszemu ogrodnictwu wielką przyszłość, a ziomkom zalecał, żeby nie sprowadzali wina zagranicznego, lecz zadawalniali się jabłecznikiem. Dowodzi to, że napój z jabłek wyrabiano w Polsce ciągle i w tej dobie, chociaż mamy wszelkie zasady do przypuszczania, że to nie był właściwy jabłecznik (sok na pół przefermentowany), lecz wino z jabłek. W istocie posiadamy na nie w sadach materiał pierwszorzędny i zapewne w niedalekiej przyszłości będziemy wytwarzali dużo win wyborowych z jabłek, na czystych drożdżach.

Jeszcze ciekawsze są poglądy i rady autora co do nasion. Chciał on, żeby T-wo, przez niego zalecane założyło (w Warszawie) „magazyn nasion zagranicznych“, potrzebnych w kraju, i żeby je sprzedawało „obywatelom“ według ustanowionej taksy. Czyliż to nie potwierdza, że nasiona wtedy sprowadzaliśmy od obcych, i że działały się w handlu tym nadużycia?

Czuł jednak, że trzeba temu złemu stanowi zaradzić, radził więc, żeby T-wo wydzierżawiło „blisko Warszawy, przy głównym trakcie, jakowąś wieś, w której rozmnażałoby się pożyteczne nasiona“. Jest to zatem pomysł hodowli nasion w polu na dużą skalę, co dopiero urzeczywistniło się w r. 1916—18, gdy hodowcy kwedlinburscy założyli wielkie hodowle nasion na folwarkach, wydzierżawionych od polskich ziemian w wojew. Kąlskiem. Prowadzili je oni pod nadzorem swoich specjalistów, a choć tego sobie pewno nie życzyli, po ich ustąpieniu hodowle nasion utrzymały się i rokuja dobre nadzieje na przyszłość. Polska zaczęła wytwarzać nasiona ważniejsze dla siebie, a nawet dostarczać ich na dalekie kresy.

Nieznany autor radził też w wydzierżawionej wsi (zapewne innej) rozmnażać drzewa (ozdobne?) i szczepy zagraniczne, a więc założyć duże szkółki (również w monopolu T-wa roln.), kładąc pewien nacisk na rozmnażanie morwy, bo był zwolennikiem hodowli jedwabników u nas.

Wszystkie te i inne pomysły (jak utworzenie, dla zachęty pracowników, orderu Św. Izidora oracza) nie spełniły się, dla braku poparcia. Społeczeństwo współczesne nie zdawało sobie sprawy z ważności i konieczności zrzeszeń, nie miało kierowników wszelkich przedsięwzięć podobnego rodzaju, jakie doradzał nieznan autor, i zupełnie było pozbawione wyszkolonych należycie specjalistów Polaków, którzyby mogli dobrze prowadzić hodowle nasion, szczepów i t. p.

Z instruktarzy, w tej epoce wydanych, też niejednego o ówczesnym ogrodnictwie dowiedzieć się można. Pewno najważniejszym z nich jest instruktarz księżny Anny z Sapiehów Jabłonowskiej. Jej „Porządek robót miesięcznych ogrodnika na cały rok wypisany y na miesiące podzielony“ z pewnością był poradnikiem w wielu dworach. Wydała go w drukarni własnej, „pokojoyej“, jak ją nazywa, w r. 1786. Jest to spora książeczka, na każdym kroku zdradzająca kompilację. Właściwie, jak się okazało, jest to w znacznej części tylko kalendarz Bradley'a¹⁾, przetłumaczony na polski, ale uzupełniony własnymi uwagami i radami, z praktyki zaczerpniętymi. Przytaczamy niektóre ustępy, znów dla swego czasu znamienne.

W styczniu radzi pod okna w inspekcje podkładać na noc sukna, by woda z szyb nie kapła na ogórki i melony. Jest to rada dobra, choć dziś kosztowna, a dowodzi, jak wcześniej już wtedy hodowano w przyspieszniku te owoce. Duże drzewa doradza przesadzać z bryłą, wczesną kapustę rozsadzać w lutym na inspekcje, szczepienie radzi zaczynać w końcu lutego, co dla wiśni jest pożądane. Radzi dobrze, jak pędzić w inspekcje szparagi, oraz jak hodować pieczarki czyli „szampignony“. Rośliny trwałołistne w koszach zakopywać na lato. Zaleca polewanie roślin doniczkowych w lecie „mimo deszczu“, doradza żeby, się pilnie w czerwcu, lipcu opiekować nasiennikami, a zbierać nasiona w sierpniu, w dzień pogodny. Dowodzi to, że nasiona hodowano po polipocie, na swoją głównie potrzebę. Rady te są praktyczne.

Charakterystyczne dla epoki jest to, co powiada na wstępie do „Septembra“: „Ogrodnik głową i rękami ma pracować, by nic na zimę nie brakowało w kuchni, do wygody domu i do pożądanego tego porządku, bez którego ogrodnik ogrodnikiem zwać się nie może, ani słu-

¹⁾ „*Calendarium universale or the Gardener's universal Calendar*“, Londyn 1726 r.

gą dobrym Pana, jak prędko o jego nie dba wygodę". Pamiętajmy, że ogrodnik był wtedy niskim oficjalistą dworskim.

W „październiku“ znajdujemy inny ustęp znamieny. „Z wygniecionych jabłek wyrzucić na zagon świeży ziemi fus pozostały, będziesz miał wielorakiego gatunku jabłka (rozumie się po wysianiu, z siewek), które y nie szczepione będą dobre, i tym sposobem przyjdiesz prędko do wielości osobliwych fruktów, tem bardziej, że z późnego zasiania coraz nowe y osobliwe udaia się iabłka, choćby tylko jeden rodzaj ich był wygnieciony na octy lub wódki“. Więc robiono z jabłek ocet i wódkę, a o ile tej rady usłuchano, mogło powstać z siewów niemało odmian swojskich.

Ale też pełno rad złych i niedorzeczności. Do takich należy siew grochu i fasoli(!) w gruncie w styczniu, a w lutym sadzić w szkółce drzewa pestkowe, nawet i brzoskwinie, a ponadto „w ziemię lekką kartofle y tartofle(?)“, dalej w końcu lutego „winogrona i figi“. Twierdzi, że w styczniu „paleniem przynaglone wiśnie frukt daia“. Chyba w Algierze. „W kwietniu oberwiy gałązki melonów, wychodzące nad zagony“ (w kwietniu!). Albo w lipcu: „Posiey ieszcze cokolwiek różnych kwiatów na rawatach(!), żeby ci w auguście (więc za miesiąc!) kwitły“. We wrześniu radzi przesadzać drzewa i szparagi (żeby poschły!). W październiku ma się siać w gruncie ogórki, więc poto, żeby albo się zaziębiły albo zmarzły.

Pomijamy błędnie widać przepisane nazwy kwiatów (*Tritularia* zamiast *Fritillaria*, *Hemerocales*, *Caryophyllata*, *Camedris* i w. innych).

Pomimo to z książeczki tej dużo dowiedzieć się mogliśmy. Więc na sałaty używano różnych ziółek: gorczycy, rzodkwi, rzeżuchy, cykorji i właściwej sałaty, zaprawiając je miętą. Pędzono w przyspieszniku poziomki i szparagi. W kuchni używano: pasternaku, buraków białych i czerwonych, cukrowych korzonków i kucmerki, rzepy i chrzanu, ogórków, dyni i szparagów, a nawet wężyrmordu (zwie go *Scorzonia*), także karczochów i bulwy, kapusty zwykłej, czerwonej i sabaudzkiej, brokułów, kalafiorów, szpinaku, grochu i fasoli. Do zaprawy i przyprawy służyły: cebula, czosnek, szalotka, rokambuł, „do sup“: pietruszka, szczaw, trybulka, pory i tymian, majeran, szatwja, selery. Używano nawet wierzchołków młodego grochu i oczywiście szparagów. Suszono też na ten użytek: majeran, wrotycz, bazylię i miętę. O ile sałat wymienionych brakło, zastępowano je listkami z gorczycy, rzodkwi, cebuli, selerów, „powiązanej“ czyli wybielonej cykorji, *pimpinelli*, nasturcji, trybulki, młodego brodawnika. Zatem obfitość i różnorodność zielenin większa, niż obecnie, gdy przybyły nowe, ale zarzucono wiele z wyliczonych. Kwiatów i drzew znała mniej, niż Czartoryska i Wo-

dzicki. Szklarnie radziła ogrzewać na jesieni i na wiosnę węglem (drzewnym), spalonym na fajerkach, a dopiero w zimie, w mróz palić pod kanałami, zresztą jaknajwięcej korzystać ze słońca, co jest słuszne.

W końcu podaje, ile zagonów różnych warzyw mieć trzeba, bo „mała experientia ogrodników sprawia, że przez siew iedney rzeczy mają nadto, inney—cale nic“. Wylicza dużo roślin szklarniowych.

Czy, prócz nasion na swoją potrzebę, po dworach hodowano też i na sprzedaż, nie wiadomo, może raczej na zamianę z sąsiadami, choć i to wątpliwe, bo nawet dzisiejsi ogrodnicy rzadko się w ten sposób obdzielają wzajemnie. Trudniejsze w hodowli lub wymagające cieplejszego klimatu—kupowano w Warszawie, u kupców. Z. Glogier daje na to dowód z notat, znalezionych w majątku własnym Boćki, pod Szczuczynem, należącym wtedy do Bruyskich. Wysłano tedy z tego dworu niejakiego Kamińskiego, w r. 1730, po zakupy do Warszawy, polecając mu też nabyć po 3 łuty nasion kalafiorów, karczochów, majeranu i melonów włoskich i francuskich. Dowodzi to zarazem, że zamawiający nie wiedział, jak wielką ilością jest 3 łuty kalafiorów. Nie wiemy, kto sprzedawał nasiona w Warszawie i innych wielkich miastach. J. Drège sądzi, że kupcy kolonialni, ale w takim razie ten handel byłby przetrwał w ich ręku do dziś. Jeszcze mniej jest prawdopodobnem, by się tem trudnili krupiarze lub aptekarze.

Natomiast handlarze przygodni, czy też wytwórcy zagraniczni, przywozili je lub przesyłali i oddawali do wyprzedaży różnym mieszkańcom miasta. Dowodzi tego „Taxa nasion wiedeńskich“ (znaleziona przez Z. Glogera z tego czasu) JPP. Jana Heldy i Jana Hendera, ogrodników wiedeńskich, które się znajdują złożone u JP. burgrabiego pałacu księcia biskupa krakowskiego, na Miodowej“ (r. 1764, może nieco później). Nasiona te nie były pewno wiedeńskie, bo cała Austria zaczęła je hodować na większą skalę dopiero czasu wielkiej wojny, nazwy zaś wielu nasion „holenderskie“ dowodziłyby ich pochodzenia. Znajdujemy tam: andywię fryzowaną, *basilicon* włoski, brokoli zimowy, brukiew holenderską, cebulę hiszpańską, siewkę wiedeńską i siedmiolatkę, cykorję kolorowaną, groch rychły hiszpański i szablasy ranny, kalarepę wiedeńską (więc jest b. stara ta wyborna odmiana), kapustę wielką turecką (może bułgarską?), karafioły angielskie białe i brunatne(?) marchew angielską „dózą“, ale żółtą (może też sama, którą hodują w Przybyszewie dziś jeszcze?) i holenderską. Prawdopodobnie nie tylko z Wiednia, przez Morawy, otrzymywaliśmy różne, nieco rzadsze nasiona i ich odmiany. Zapewne szły one z Holandji, przez Gdańsk, z Lubeki (stara hodowla) przez Malborg, z Erfurtu przez Toruń, ale są to tylko domysły.

Mogła była Polska już wówczas wytwarzać u siebie niemal cały materiał potrzebny do zakładania i prowadzenia ogrodów, gdyby posiadała wyszkolonych własnych ogrodników. Niestety byli to ludzie ciemni, prostaczkowie-rutyniści, nauczeni jedynie przez praktykę w ogrodach, niedoskonałą i niesystematyczną, z której mogą korzystać należycie tylko posiadający dostateczne wiadomości teoretyczne.

A szkół ogrodniczych nie mieliśmy wtedy i przez całe niemal stulecie następne. Wprawdzie wielcy właściciele, szczególnie miłośnicy ogrodów, pozakładali u siebie t. zw. „szkoły“, jak o tem będzie mowa w następnym okresie, ale dalekimi one były od szkół istotnych. Natomiast wysoce znamienym i imponującym faktem jest, że Polska, wyprzedzając i to znacznie, inne kraje wszystkie, zaprowadziła w swych szkołach wydziałowych nauczanie ogrodnictwa i rolnictwa, i to już od r. 1780.

Zawdzięczamy ten istotny i pożądany postęp wiekopomnej Komisji Edukacyjnej, owemu pierwszemu na ziemi ministerjum oświaty. Mianowicie ogrodnictwo znalazło się w planie nauk w klasie 3-ej, a rolnictwo w 4-ej.

Ponieważ sprawa ta ma znaczenie historyczne i jakkolwiek, poprowadzona niedość umiejętnie, nie wydała doniosłych wyników, może stanowić chlubę Polski, zajmijmy się nią nieco bliżej.

Jak wiadomo, reformę szkół i znaczną poprawę w nauczaniu narodu zawdzięczamy ks. Stanisławowi Konarskiemu, pijarowi. On to bowiem pierwszy założył w r. 1750 owe szkoły, jak na ów czas postępowe, które dawały uczniom wiadomości z nauk współczesnych, przyrodniczych, matematycznych i wszelkich innych, wpajając w nich jednocześnie miłość Ojczyzny.

Ale, co nas tu musi bliżej obchodzić, obok szkół ogólnych powstały też wtedy i zawodowe, a pierwszą szkołę rzemieślniczą założył w r. 1761, w Opolu, ks. Ignacy Konarski, brat Stanisława, co prawda tylko na 16 uczniów. Były w niej warsztaty, a biegli majstrowie uczyli różnych rzemiosł. Sejm w tymże roku tę szkołę zatwierdził¹⁾.

Jeszcze bardziej rozwinęło się szkolnictwo polskie, gdy na wniosek Joachima Chreptowicza, uchwalony przez sejm z r. 1773, powstała „Komisja edukacyjna narodowa, nad wykształceniem młodzi szlacheckiej dozór mająca“, i majątek jezuicki przeszedł w jej ręce, na rzecz wychowania publicznego przeznaczony, (ale rozrabowany już w znacznej części przez takich, jak Ign. Massalski, Adam Poniński i in. lotry).

Komisja położyła około oświaty w Polsce zasługi ogromne, a mię-

¹⁾ J. Łukaszewicz: „Historja Szkół“; dalsze o tem wiadomości tamże.

dzy in. wyznaczyła nagrody za książki elementarne, z których jedną 150 złp. za książkę o gospodarstwie. Ta miała „obejmować pokrótce całą sztukę ogrodniczą, leśnictwo i rolnictwo“.

W szkołach wydziałowych, 6-klasowych, profesor fizyki, miał w klasie III 3 godz. tygodniowo, z tych 2 na „historję naturalną“, a jedną na ogrodnictwo. Tenże w klasie IV miał 4 godz. na fizykę i 2 na „historję naturalną o rolnictwie“.

Przepisy, ułożone przez Komisję Eduk. dla nauczycieli, były tak znakomite (kto ciekawy, niech je pozna l. c.), że Klewitz, prusak, gdy objął w r. 1805, z ramienia swego rządu, nadzór nad naszym szkolnictwem, napisał: „Zastano przedziwne prawa rządu polskiego, w urządzaniu szkół, w latach od 1783—1790, wykonania tylko brakło“.

Ale i w bardzo licznych, jak na ówczesne zaludnienie Polski, szkołach elementarnych, wprowadziła też Komisja Eduk. nauczanie niezbędnych wiadomości o rolnictwie i ogrodnictwie. Znajdujemy ich program w wybornem dziełku sekretarza Komisji, Grzegorza Piramowicza: „Powinności nauczyciela w szkołach parafjalnych“. Przedewszystkiem przy nauce rachunków podawać miano wiadomości o rozmiarowaniu i budowaniu wiejskiem, a po udzieleniu niezbędnej teorji, uczono w polu mierzyć. Podawano też zasady tych rzemiosł, które wieśniakowi są potrzebne; wiadomości o handlu, targach, zbieraniu kopyt, szczeciny, szmat; słowem, by się nic nie marnowało! Uczono nawet pisać proste listy handlowe!

Co do programu nauczania rolnictwa i ogrodnictwa, napisał Piramowicz: „Im większe oświecenie, tem większe poszanowanie w narodzie dla rolnictwa, tem większe względy dla rolników, więc nauczyciel po wsiach i miasteczkach mówić będzie: 1) O zacności stanu rolniczego. 2) Uczyć z dobrych książek (niestety nie było ich) o rolnictwie i zakładaniu sadów i ogrodów. 3) Stosować naukę do użytku. Będzie czytał im (uczniom) nauki z dobrej książki, ale oraz przy nich radził się (?) starych gospodarzy, ekonomów, czy to, co książka mówi, zgadza się z praktyką. 4) Niech wytyka raczej błędy i okazuje ich poprawę, niżby radził nowości (?). 5) Przed nauką na rozum, wprzód pokazać w polu, łąkach, ogrodach i t. p., roboty tej pory. Niech się z książek wpierw nauczy (?) i potem w polu i t. d. swe przestrogi wypowie i każe przypatrywać się, co i jak się odbywa. 6) Toż mówi o sadach i ogrodach.

Zachęcać i pomagać, ze swej strony, nauczyciel powinien, panów dozorców i pasterzów (pewno dusz pasterzów) prosić, aby pomagali mieszkającym po wsiach i miasteczkach, do założenia sadów około domów, bez uszczerbku roli, opatrując im szczepy, nasionka; a dzieci na-

uczą się szczepić, obcinać, chędożyć drzewa, jak zbierać, chować owoce na swoją potrzebę i do przedania“.

Widzimy, że te wskazania napisał dobry obywatel i pedagog, ale słaby bardzo w praktyce, teoretyk. Nauczyciel, uczący się wpierw z książek i to ubożuchnych w wiedzę, a potem radzący się rząd-ców i pasterzy, oczywiście niewiele mógł nauczyć, a nawet nieraz więcej pewno szkody, niż pożytku przynosił. Działo się tak tem bardziej, że jedna szkoła wyższa lub średnia przypadała na 82744 mieszkańców (na ogólną ilość dusz 8 milionów). Seminarja nauczycielskie istniały zaledwie dwa (w Kielcach i Łowiczu), a nauczyciele parafjalni brani byli z niższych klas szkół narodowych, szkół miejskich i parafjalnych. Komisja Edukacyjna byłaby to wszystko poprawiła, gdyby trwała dłużej, gdyby nie małe jej fundusze, opór zakonników, ciemnota sejmujących, brak zdolnych nauczycieli i ogólny smutny stan polityczny kraju. Wszelako z naciskiem trzeba zaznaczyć, że Komisja nie tylko uznała całą doniosłość rolnictwa i ogrodnictwa dla dobrobytu kraju, ale że nakazywała uczyć tych przedmiotów w polu, na łące i w ogrodzie, a więc uczyć poglądowo i praktycznie, do czego dopiero teraz, i to z dużymi trudnościami, dochodzimy w nauczaniu szkolnem. Co za szkoda niepowetowana, że te wyborne początki nie miały przez setkę zgórą lat, dalszego rozwoju!

Szczegółowy program nauki ogrodnictwa w III klasie był następujący:

1. Ogrody składają się (?) z roślin — więc:
2. Co to jest roślina?
3. W ogrodach są: drzewa, krzewy, podkrzewy i zioła, zatem:
4. Opisanie drzew, jakie i ilarakie są.
5. Co są krzewy i czem się równają drzewu?
6. Co są podkrzewy i ilarakie są ich gatunki?
7. Co są zioła?
8. Rośliny zimotrwałe i roczne.
9. Trojaki być może koniec (t. j. cel) zakładania ogrodów.
10. Do zakładania ogrodów są sposobne wiosna i jesień, ale jesień zdatniejsza.
- 11 — 19 rozmnażanie roślin („szczepienie, kozuchówka, odkłady, puszczalkowanie, ablaktowanie“).
20. Do utrzymania rośliny są potrzebne 4 żywioły: ciepło, woda, powietrze, ziemia.
21. Xiężyc i inne znaki niebieskie żadnych w roślinie nie czynią skutków.
22. Które są znaki dojrzałości w owocach?

23. Jaki jest sposób przechowania śliw, wiśni, brzoskwiń, moreli, i t. d., aż do drugiej pory roku? (!).
24. Czynienia jabłeczników i gruszczyków jakie są sposoby?
25. Co rozumieć przez rośliny kuchenne?
26. Ilorako się one dzielą?
27. Z różnych ogrodów jakie odbieramy użytki?
28. Jakie są sposoby użytkowania z ogroduwizny?
(Czyli punkty 27 i 28 mówić każą o tym samym przedmiocie).
29. Gdzie i jak się przechowują ogroduwizny?
- Dalej kwiaty i zioła dla ozdoby ogrodów:
30. Iloraki jest rodzaj kwiatów?
31. Co przez cebulkowe rozumieć należy?
32. Kwiaty główkowe.
33. Kwiaty łodygowe (?).
34. Które należą do kwiatów chmielinowych?
35. Które są rodzaje kwiatów drzewnych? (Zapewne róże, bzy, jaśminy i t. d.).
36. Które są zioła do ogrodów należące?
37. Jakże zażycie być może ziół i kwiatów?
38. Z ziół świeżych i kwiatów, jaki może być pożytek?
39. Suchych kwiatów zażycie na co jest potrzebne ¹⁾).

Aż nadto jest widoczne, że program ten układał człowiek trochę z botaniką, ale mało z ogrodnictwem obeznany, posiłkując się książką ks. Kluka (rośliny chmielinowe i in.). Nie uwzględniono tu właściwej hodowli ani warzyw, ani drzew owocowych, ani roślin ozdobnych, chociaż i to wiele, że i o nich pomyślano.

Zapewne też mało się uczniowie nauczyli ogrodnictwa z tego programu, a już dobrze, gdy on ich do zapoznania się bliższego z tym przedmiotem zachęcił. Scheidt dodaje, że w tej klasie (3-ej) tłomaczyli oni wypisy łacińskie, do ogrodnictwa stosowane (nie wiadomo jakie, czyżby z rzymskich jeszcze pisarzy?) na język ojczysty, „w czem także postępkowi swego okazywali dowody“.

Niejakiem dopełnieniem mogły być wiadomości ogólne przy nauce rolnictwa, w kl. IV podawane. Mówił tam bowiem nauczyciel: o ziemi i narzędziach rolnych (pług, socha, brony, radło, walce i in.), o chodzeniu około zbóż, o poprawie gruntów i nawozach (też mniej więcej to, co napisał ks. Kluk).

¹⁾ Ten program podał prof. Franciszek Scheidt, w swem sprawozdaniu z pisanu rocznego uczniów Szkoły wydziałowej lubelskiej w r. 1782.

Więc zamierzenia Komisji Edukacyjnej były jak najlepsze. Chodziło jej widocznie o zapoznanie obywateli, o ile w szkołach uczyli się, z zasadami rolnictwa i ogrodnictwa, co każdemu jest przydatne, a często potrzebne tak dalece, że ogrodnictwo wprowadzono obecnie do programu niektórych szkół średnich. Są nawet zamiary, żeby ono było przedmiotem nauczonym i w szkołach powszechnych.

Ale pożytek z rozporządzeń Komisji mógł być tylko wtedy, gdyby ogrodnictwa i rolnictwa uczyli umiejący i z przedmiotem dostatecznie obeznani nauczyciele. Mamy z tej epoki utyskiwania na brak dobrych, liczniejszych nieco nauczycieli, w szkołach wogóle, bo patrzymy na to w odrodzonej Polsce, jak trudno znaleźć ludzi odpowiednich, a zwłaszcza tylu, ilu ich potrzeba. Lecz są też dowody inne, niezbita, bo drukowane, z których dostatecznie można osądzić stopień wiedzy ówczesnych nauczycieli ogrodnictwa, w szkołach wydziałowych. Niektórzy z nich bowiem ułożyli i wydali podręczniki do tej nauki. Zobaczmy, co zawierają najwybitniejsze z tych książek.

Więc profesor uniwersytetu wileńskiego, Kajetan Krassowski, napisał książkę „przez rząd“ tegoż uniwersytetu uznaną za pożyteczną dla szkół¹⁾. Napisał ją, jak mówi, na podstawie książek Kluka, Zielińskiego i Strumiły. We wstępie powiada: „Zacna młodzi!... żaden grunt tak ci się nie wypłaci, jak drzewami owocowymi zajęty, jeżeli tylko umiejętnie zasadzonym będzie“. To prawda, ale jakie przytem miał pojęcia o ogrodnictwie wogóle, widać z tego, co prawi dalej: „Ponieważ staranie około warzywa należy do rolnictwa (?), każda wiejska gospodyni umie się z niem obejść należycie (?), a ozdobne (ogrody) zakłada każdy (?), wedle możności, gustu i upodobań... do czego obejrzanie kilku dobrych wzorów, więcej pomoże niż długie opisy“, przeto on zajmie się tylko nauką rozmnażania i pielęgnowania drzew owocowych. Zatem nawet profesorowie uniwersyteccy nie potrafili wyczuć granicy pomiędzy rolnictwem a ogrodnictwem, nie oceniali właściwości, ani znaczenia różnych działów naszego zawodu.

Pozatem jednak i pogodziwszy się z tem, że tytuł książki jest mylny (bo nie mówi się w niej o ogrodnictwie tylko o sadownictwie), są tu jednak naogół przepisy dobre, ale tu i owdzie zdradza się teoretyk, z praktyką nie obeznany. Tak np. słabe dziczki mają dobrze służyć jako podkładka pod karły, a jabłonie na karły ma się szczepić na głogu. Przycinanie koron ma przyspieszać urodzajność, właściwie zaś opóźnia ją; zna jakieś wiśnie „oktobrowe“ na Litwie; twierdzi, że śliwy z pestek dają dobre odmiany; truskawki (zna wir-

¹⁾ „Ogrodnictwo krótko zebrane“, wyd. II, więc poprawione, z r. 1825.

gińskie, holenderskie czyli ananasowe i jakieś „olbrzymie“) radzi rozmnażać przez rozdzieranie krzów i t. p.

Nie lepsza też była współczesna książka innego nauczyciela ogrodnictwa, na południu Rzplitej, bo w Krakowie, w klasach wyższych szkół wojewódzkich nauczającego, B. Dziekońskiego. Tytuł jej: „Rolnictwo i ogrodnictwo, najnowszymi przykładami, wzorami i planami ekonomiki objaśnione i potwierdzone“, Kraków, u Tekli Gröblowej w r. 1805 wydana. Autor, jak mówi, uczył się z książek. Znowu chwali Kluka, którego jednak dzieło jest za obszerne, choć „najpożyteczniejsze“. „Inni, mniej doskonale piszący, nie mogą być za przepisy wzięci“. Nauki swej dopełnił obserwacją na Litwie i północy Królestwa, a przepisy jego znalazły aprobatę króla i wizytatora szkół.

Wogóle więcej się tu mówi o rolnictwie, niż o ogrodnictwie, ponieważ twierdzi, że „w Polsce, w tych leciech, zaczęło rolnictwo brać wzrost znaczny“. Ale o sadach podał b. treściwe wiadomości, szkoda, że bez rysunków, objaśniających wywody. Odmiany owoców wypisane widocznie z podręczników francuskich (z błędami!); między jabłkami wylicza Brzostówki, odmianę, po połowie w. XIX, przez nas nigdzie nie napotkaną. Są tu i niedorzeczności takie, jak np. do chorób drzew owocowych zaliczenie suchot, albo zalecanie, na nieurodzajność drzew, obcinanie ich gałęzi. W końcu książki, po dziale rolniczym, który tu pomijamy, są przepisy o zaopatrzeniu spiżarni i o przetwórstwie owoców (niektóre niezłe) oraz wyrobie wódek owocowo-kwiatowych. Nasiona radzi hodować samemu, gdyż u ogrodników „kupuje się złe nasiona, bo żeby mieć dużo, nie pasynkują“ (t. j. zaniedbują selekcji).

Naogół chaotyczny zbiór wiadomości, tu i owdzie nachwytnych, nie przetrwionych, ani uporządkowanych. Autor musiał być słabym nauczycielem, a jego książka była wadliwym i niedostatecznym podręcznikiem.

Instytucji naukowych nie miała wtedy Polska, jak i inne kraje¹⁾, ale posiadała w tej epoce kilka ogrodów botanicznych. Więć z woli i kosztem króla, botanik Guilibert założył i prowadził taki ogród w r. 1772, w Horodnicy, pod Grodnem, którego katalogi wydawał, niezależnie od dzieła, które w r. 1785 wydał, p. t.: „*Guilberti Flora lithuanica*“. Był on też jedynym profesorem akademii grodzieńskiej, przez Stan. Augusta założonej, kształcącej „lekarzy i chirurgów“. Jan Bernonilli zastał w r. 1778 ogród w Horodnicy w stanie kwitnącym

¹⁾ Istniał już jednak od r. 1772 pierwszy ogród aklimatyzacyjny, w Brest (Bretonja).

i roślin w nim 2000 gatunków. Widział też u Guiliberta 300 miedziorytów roślin, wykonanych z rozkazu Henryka IV francuskiego, ale nigdy podobno nie opublikowanych.

Prawdopodobnie w Krakowie oddawna musiał być jakiś ogród ziół leczniczych, więc botaniczny w rozumieniu dawniejszym, ponieważ katedra botaniki istniała przy Wszechnicy Jagiellońskiej, prawie od jej założenia. Właściwy jednak ogród botaniczny założył dopiero i uposażył go Stanisław August w r. 1774. Dopomagał też i prymas M. Poniatowski. Dyrektorem pierwszym zamianował król prof. Scheidta, po nim Schultess zarządzał ogrodem do r. 1809, a następnie Estreicher. Senat Rzeczypospolitej Krakowskiej, zapewne z początkowania i orędownictwa Stan. Wodzickiego, który o tem pisał w swojej „*Notice s. l'horticulture*“, łożył na ten ogród i wprowadzał w nim różne ulepszenia, jak urządzenie dla roślin wodnych; nabywał też corocznie, dla z bogacenia doborów, nowe rośliny. Około r. 1833 było ich razem prawie 10.000.

Co się tyczy materiału roślinnego, do zakładania różnych ogrodów potrzebnego, czerpano go zapewne z zakładów ogrodniczych już i wtedy. Ale poza wzmianką o takich zakładach warszawskich Schucha i Lero (L'Hérault?), uczynioną przez St. Wodzickiego, o innych nie wiemy; może coś znajdą następni badacze.

O ile chodziło o jakieś nowe drzewa lub krzewy, nawet dla ogrodników źródłem nabycia były Niemcy i Francja, rzadziej kraje austriackie. „Matki“ te, do rozmnażania, przywożono wozami, wraz z innymi różnymi towarami. W czasie długiej i dalekiej podróży ginęło ich wiele. Wszak opowiadał mi Michał Czepiński, pamiętający prawie tę epokę, że z dużej przesyłki takiej, nabywanej w Alzacji, udawało mu się niekiedy zaledwie tylko parę roślin uratować, reszta uschła w drodze lub zmarła. Może lepiej wiodło się z przesyłkami okrętowymi do Gdańska, następnie otrzymywanymi berlinkami Wisłą; tak sprowadzała do Puław różne nowości Izabela Czartoryska.

Nie wiemy wiele więcej o ogrodach włościańskich z tego okresu. Zapewne nie bardzo się one poprawiły, wobec niezmiennych warunków ich bytu. Że liczni koloniści niemieccy, sprowadzeni i popierani przez Sasów, przynieśli z sobą nietylko ziemniaki, może nieco ulepszone, ale zakładali sady i warzywniki, to jest wielce prawdopodobne, a ogrody stare, któreśmy znali od lat dziecińczych na Saskiej Kępie, pod Warszawą, potwierdzają to w zupełności. Ale chłop nasz mało się na nich wzorował i z nimi się nie łączył związkami krwi, a obcą mu mową długo był od ich poznania i rozumienia odcięty. I jakkolwiek nie brak w tej epoce świetnych ogrodów pańskich, a nawet liczba ich ciągle się powiększa, i chociaż przybyło Polsce wtedy niemało nowych roślin

użytkowych i ozdobnych, tudzież ulepszonych ich odmian, to jednak ogólny stan ogrodnictwa był w niej niski.

Mamy tego aż nazbyt liczne dowody, zarówno u pisarzy swoich, jak i cudzoziemców, sędziów i krytyków naszego narodu.

Zacznijmy od ks. biskupa Ignacego Krasickiego. Jakże ostro, w jednej z satyr, wyszydza w ówczesnych wielu ogrodach ów styl niby włosko-francuski, a tak wypaczony, sparodjowany i pozbawiony smaku. W nich to: „bukspan, z pomocą piasku, cegły, węgla i tłuczonych skorupiek, wydawał na wzór adamaszku kwiaty i floresy“. Albo owe wystrzygane z drzew dziwolągi: „Grał na cytrze Apollo z jodły, złotowłosy“. W liście zaś do księcia Stanisława Poniatowskiego wyśmiewa te zbyteczne i śmieszne „fabryki“: „wiatraki po nizinach, młyn w górze bez wody“.

Ale daleko ostrzejszą krytykę ogrodnictwa użytkowego znajdujemy w jego „Listach o ogrodach“. W pierwszym z nich powiada: „Nie-raz w podróżach (a wiadomo, że dużo jeździł po kraju) ledwo gdzie ogrody porządne przyszło mi widzieć, zwłaszcza dawniejszymi czasy (epoka ostatniego Sasa i początek panowania Stan. Augusta), a jeżeli się jaki znalazł, był zaniedbany i ledwo się okazywały znaki pierwszego założenia. W lecie ledwo gdzie mogłem owoców dostać, a kiedy się zdarzyły, najgorszego były rodzaju; toż samo o jarzynach mówić można; sałaty nawet ledwo gdzie znaleźć było można. Gdy to za powrotem (pewno do Warszawy) opowiadałem, znalazłem słuchaczy nie zdziwionych; jak ja byłem za ogrodami, tak prawie wszyscy, a mianowicie starzy, powstawali przeciw nim, a niektórzy oznaczali zupełną obojętność. „Panom to tylko wielkim mieć ogrody można, nie ślachcie“. On takie pojęcia uważał za „śmieszne, a nieprzyzwoite“ (?), dodając: „jakby pan nie był ślachcicem“, i sądzi, że „bogatszy niech ma ogród większy, wspanialszy, uboższy zaś — w szczupłym rozmiarze, ale porządny, wygodny, zyskowny“. Na to i my dziś możemy się zgodzić w zupełności i do tego dążymy. Zresztą polecając ogrody, praktyczny książę biskup warmiński trafia w słabą stronę ludzką, gdy mówi: „Talerz strączków grochu w marcu sowie koszt opału w szklarni opłaci“. Wyrazy podkreślone świadczą, że znana była, przynajmniej jemu, sztuka pędzenia warzyw w szklarniach, czego się i dziś u nas nie stosuje, poprzestając na przyspieszniku. Ale jeszcze więcej: „Na wsiach, zwłaszcza w Podgórzu (więc zapewne na Podhalu), sady tyle czasem czynią pożytku, jak gdzieindziej folwarki“. Mowa tu zapewne o tych sadach, o charakterze bądź-co-bądź handlowym, z których przywożono do Warszawy i wywożono śliwki, jabłka, anyż, kmin i t. d. Te i dalsze ciekawe uwagi tak kończy: „Ziemianie, gdy się odwie-

dzają... ziewają chodząc z kąta w kąt i zrzędzą, a przecie lepiej zrzędzić nad gruszką, niż nad człowiekiem“.

W liście 9-ym szydził znów z nowomodnej, ale niedołącznie stosowanej angielszczyzny w parkach, gdzie „w ogrodzie o szczupłym wydziale umieścić wszystko pragniemy“.

„Więc nowem wysileniem i kształtu i gustu,
Koło chaty cisowej, piramida z chróstu.
Wyspy kilkołokciowej zakręty przeplata
Coś na kształt rzeczki, którą stróż codzień zamiata;
Ta, mając w spadkach gruzem najeżone łoża,
Chciałaby mruczeć, ale bez wody nie może“.

Ogromnie, zapewne nawet zanadto surowo osądził nasz naród, a między in. i jego ogrodnictwo, Hubert Vautrin. Przytoczymy z jego książki¹⁾ kilka ustępów, bo jednak wydaje się, że miał pewne podstawy do tego, co w niej napisał. Powiada tedy: „Zwłaszcza w okolicach stolicy powinno się widzieć ziemię pokrytą warzywami i drzewami owocowymi. A za murami Warszawy są tylko pola, ogrody zaś w samym mieście, należące przeważnie (?) do cudzoziemców. Ci, wskutek starania, miewają trochę warzyw i owoców, ocalonych od surowości klimatu i zniszczenia przez owady; krajowcy nie są zdolni (?) poświęcić tyle starań i pracy, ile klimat wymaga przy uprawie ogrodów; zresztą nie są spożywcami jarzyn: najwięcej zjadają ogórków i buraków. Miłośnicy ogrodów więcej mają na względzie przyjemność, niż pożytek, więc też widzi się u nich piękne aleje, wodę, kwietniki (parterres), gazon, gaiki, zajmujące prawie całą przestrzeń; warzywnik i sad mają wygląd zaniedbany, a całość trwa, dopóki żyje jej założyciel; następca rzadko posiada upodobanie i środki do podtrzymania lub udoskonalenia tego, co odziedziczył. Jeżeli młody dziedzic chce swą siedzibę przyozdobić, sprowadza, wielkim kosztem, ogrodników cudzoziemców, trudnych do utrzymania na miejscu; ci, nudząc się tu, rozpiją i zaniedbują, do czego doprowadzają też liczne wyjazdy pana. Każdy dziedzic musi na nowo zaczynać tę robotę, i to jest powodem, że, w nielicznych sadach po kraju, widzi się tylko młode drzewa. Charakter lekki dziedziców, ich życie błędne, liczne spadki i wrodzona obojętność sprzeciwiają się utrzymaniu takich przyozdobień, które wymagają ciągłej obecności, starania i wydatków“.

A jednak, „gdyby polak raczył słuchać zaproszeń przyrody, darzyłaby go ona swymi łaskami, które przecież ceni, bo jabłko ofiarowane

¹⁾ „L'Observateur en Pologne“, Paryż r. 1807, ale napisana była w okresie tu omawianym.

w jakichkolwiek okolicznościach, zawsze jest miłe osobie, która je dostaje, bez względu na jej stan, a 60 czereśni kosztuje franka, gdy są należycie dobre“. Więc owoce były b. drogie, a zatem musiało ich istotnie być mało, a przeto dostępnych tylko najbogatszym.

Twierdzi Vautrin, że przez brak ogrodów Polska pozbawia się „przyjemnych pokarmów, użytecznych roślin, rozkosznego cienia, zachwycającej zieleni, które upiększyły wieś“, bo tego same lasy nie zastępują, zwłaszcza, że się na nie składają: „smutna sosna, wąta brzoza i posępna olsza“. A te lasy niszczone nieopatrznie nie tylko na opał, ale na domy, mosty i drogi. To też gdy królowa Marysiénka ujrzała na podwórzu powalony i gnijący wielki dąb, zawołała: „Ah, qu'on ferait cas de cela dans mon pays“!

Dodajmy według ostrych uwag tego obserwatora, że winogrona, na południu kraju i pod Warszawą, bynajmniej nie co rok dojrzewały, a drzewa owocowe na wiosnę próżno kwitły wspaniale, bo kwiaty niszczyły często mrozy, a owoce — owady. Polska nie miała ogrodników, chyba, że ich sprowadziła z zagranicy. Warzywniki były nieliczne, hodowano zaś głównie: buraki, ogórki, pasternak, marchew, kapustę, te dwie ostatnie b. wątle. Groch często bywał czarny i robaczywy, ale ziemniaki „użyteczniejsze tu, niż gdzieindziej, rozpowszechniły się“. Cenne jest to ostatnie zaświadczenie. Co się tyczy warzyw, to V. myśli zapewne o hodowli ogólnej, bo że u panów była obfitość różnorodnych i nawet wykwinnych warzyw, świadczy kalendarz Jabłonowski.

W książce Vautrina jest dużo ocen dla polaka b. przykrych; myślny przytoczyli tylko jego zdania o ogrodnictwie, choć nam to niemiłe, ale *Amicus Plato, sed magis amica veritas*.

Zresztą, że te krytyki V. mogły być słuszne, dowodzi zdanie o tym okresie tak wytrawnego znawcy źródeł historycznych, jakim jest prof. Wł. Łoziński. Wyliczywszy najstynniejsze rezydencje z końca w. XVIII i początku XIX, powiada: ¹⁾ „Był to świat całkiem nowy, odcięty od przeszłości i społeczeństwa, nawet od dawnych tradycji tych ludzi, którzy go stworzyli... Siedziby w XVIII w. były niejako celem same sobie; nie było najczęściej między nimi a ich panami relacji, szczerze odczuwanej cywilizacji, czy też estetycznej potrzeby i prawdziwego ukształtowania.“

...W narodzie młodym, ubogim, surowym jeszcze i mało oświeconym, był to tylko kontrast szydlerczy, a dlatego bolesny, że zbiegał się z najtrudniejszą dobą dziejów naszych“.

¹⁾ W książce: „Życie polskie w dawnych wiekach“, „Zamki i pałace“ r. 1908, wydanie II.

I nieco dalej jeszcze: Nie masz rezydencji bez kosztownego parku. Wołczyn, Białystok, Powązki, Puławy i t. d. przewodzą temu amatorstwu, które w stosunkowo krótkim czasie przechodzi różne fazy smaku, od natury przygwałconej w dworską dekorację, od strzyżonych ścian szpalerów i ciętych w sztuczne formy drzew Wersalu, do szerokich planów i dalekich perspektyw, według nowatorskich projektów anglika Kenta. Najstojniejsze ogrody francuskie (wylicza je) mają swe kopje i parodje w Polsce, tylko że tych drugich znacznie więcej. Bywają między nimi wybryki, dziwactwa i dziecinne igraszki. Powązki, Arkadja, „Małpia kolonja“ ks. podkomorzego Poniatowskiego w Warszawie, (mówi o ogrodzie „Na książęcem“), która miała kosztować 200,000 dukatów, wreszcie pełen najkomiczniejszych sentymentalności i najnieдорzecznijszych konceptów *jardin moral et emblematique* wojewody bełskiego Borchy“.

Zatem chęć błyszczenia i popisu, fantazja i moda, wreszcie często nieudolne i niesmaczne naśladowanie wzorów obcych, a bardzo rzadko szczerze zamiłowanie — te były pobudki tworzenia owych licznych, kosztownych ogrodów i parków. Były to pasożytne rośliny wykwitające na korzeniach obcej cywilizacji i bynajmniej nie stanowiły wyższego stopnia, choćby powolnego, lecz bezustannego rozwoju, jaki można łatwo odnaleźć w stopniowym doskonaleniu się ogrodnictwa wielu innych krajów. Na usprawiedliwienie można powiedzieć, że np. Anglja, przodująca w ogrodnictwie, nie podlegała od czasów Harolda napadom, bogaciła się coraz więcej handlem i kolonjami; od czasu Kromwela pracowała usilnie nad udoskonaleniem rolnictwa i użytkowego ogrodnictwa, gdy ozdobne już było niepospolite za Elżbiety i Henryka VIII. A nade wszystko była tam popierana nauka, była szanowana tradycja i puszczyna przodków, i było szczerze upodobanie do roślin i ich hodowli w całym narodzie. U nas zaś czynników ujemnych nagromadziło się zbyt wiele, a pomiędzy sztucznem, cudzoziemskim ogrodnictwem panów i ogrodnictwem krajowem wogóle, była głęboka przepaść.

Wyrównać ją mogli tylko umiejętni ogrodnicy polacy, popierani w swej pożytecznej pracy przez rząd i instytucje. Ale to się stało dopiero od niedawna i jeszcze w stopniu nie tak wysokim, jakby życzyć należało.

OKRES VI.

Po rozbiorach, do Kongresu Wiedeńskiego.

Utrata wolności i niepodległości kraju, która wywołała w życiu polaków, przez wiele pokoleń, zmiany głębokie, zmagając ich do przystosowania się do nowych warunków bytu, musiała się też zaznaczyć i w ogrodnictwie.

Jakoż zaraz po rozbiorach nastąpiła epoka szczególniejszego, ale tylko w pewnym dziale, rozkwitu naszego ogrodnictwa, mianowicie parkowego; po części też i inne jego gałęzie rozwinęły się u warstw możnych, aż dotąd rządzących. Pozostało ono jednak i teraz, niezłączone ściśle z trzonem twórczości narodowej, nie stało się ani powszechnem, ani demokratycznem, owszem jeszcze na czas pewien będzie i nadal tylko stanowem, szlacheckiem. Bądź co bądź, szlachta, usunięta od rządów kraju i od jego obrony na polu bitew, osiadła teraz na dobre na wsi i z konieczności zajęła się przyozdabianiem swych siedzib, w których wypadło zamknąć się do czasu. Dom i jego otoczenie stały się niejako twierdzą, w której odtąd chronić się będą przed wrogami nie tylko ludzie — właściciele, ale, z nimi razem, tradycje i obyczaje, mowa i wiara. Tu, w zaciszu domowem, będzie rozniecana i przez pokolenia podtrzymywana gorąca miłość ojczyzny, pragnienie wydobywania jej z niewoli. Stąd wyjdą legjony, tu będzie najsilniejsza ostoja powstania listopadowego i styczniowego. Dwór wiejski dostarczać będzie przez długi czas zastępów inteligencji, pomnych na wielkie tradycje Polski historycznej, przechowującej ze czcią pamięć jej społecznych i wolnościowych urządzeń, jej zdobycze kulturalne, jej zamiłowanie wolności i dawny posiew zdrowego demokratyzmu. Przez długą niewolę naród będzie się oczyszczał ze rdzy, ospałości i lenistwa, z pleśni, apatii i biernego poddania się losowi. I tak doczeka zorzy odrodzenia, ale już nie jednej warstwy, lecz całego szlachecko-mieszczańskiego-włościańskiego.

skiego społeczeństwa, które to odrodzenie, lubo jeszcze niezupełne i niedoskonałe, zaczyna się spełniać w naszych oczach.

Że zetknięcie się po rozbiorach, i to bardzo bliskie, z kulturą narodów zaborczych, odbić się musiało wkrótce i na polskim ogrodnictwie, jak się odbiło, w różnym stopniu, na innych dziedzinach bytu narodowego, to jest zrozumiałe. Wpływ ten ujemny może ze strony wschodu, od zachodu i południa był raczej dodatni w naszym zawodzie, a ślady jego łatwo odszukać w roślinach ogrodowych: owocach i warzywach.

Nie miały też wpływ na tę epokę wywarły podróże pewnych miodajnych osób do Francji i Anglii, zapoznanie się z tamtejszymi ogrodami i niepospolitymi ówczesnymi ogrodnikami, korespondencja z nimi, wcztywanie się w ich książki, a niemniej sprowadzanie od nich i z innych źródeł mnóstwa roślin użytecznych i ozdobnych.

Okres, którym się teraz zajmujemy, obfitował, jak żaden poprzedni, w bardzo wybitnych miłośników ogrodnictwa, prawdziwie utalentowanych dyletantów. Zdziałali też oni dla polskiego ogrodnictwa wtedy tak dużo, jak nigdy przedtem, ani później, aż do czasów nam współczesnych, gdy pracę nad rozwojem ogrodnictwa polskiego ujęli w powołane do niej i umiejętne ręce, ogrodnicy wykształceni, polacy.

Na czele tych miłośników-działaczy wypada postawić Izabelę z Flemingów księżnę Czartoryską, matkę może największego polskiego dyplomaty, Adama.

Pani ta, obok wielu talentów i upodobań estetycznych, posiadała też gorące umiłowanie ogrodu i pragnęła zamięłowanie do naszej pięknej umiejętności zaszcześcić i rozpowszechnić wśród ziomków. Zasługi jej są niewątpliwie wielkie, w dziedzinie ogrodów strojnych, ale nie traciła z oczu i celów praktycznych. Wszak ona to zagnęła włościan dóbr puławskich do sadzenia drzew owocowych przy chatkach; ona im dostarczyła szczepów z dobrych odmian, a tym sposobem założyła podwalinę pod owo sadownictwo powiślańskie, od Puław do Kazimierza nad Wisłą, stanowiące aż do ostatnich czasów jedno z głównych ognisk wytwórczości owocowej włościańskiej. Tu najpierw w Królestwie kongresowem włościanie nauczyli się cenić sady i bogacili się na nich; tu rozwinął się przemysł suszenia węgierki i gruszek (głównie Bab czyli Bonkretów letnich), co prawda w piecach dymnych, pierwotnej budowy.

Ale, jak stwierdził Wodzicki, toż samo dobroczynne działanie rozciągnęła księżna na włościan w Sieniawie, w środkowej Małopolsce, i w innych swoich dobrach.

Gdy słynny ogród na Powązkach uległ zagładzie, księżna przeniosła się na stałe do Puław. Była tam forteczka z czasu Batorego,—

której potężne fundamenty kamienne, ze strzelnicami, widzieć można i teraz, na nich bowiem był wzniesiony pałac. Lubomirscy, którzy go stawiali, polecili urządzić wielki park obok niego, zapewne jakimś francuzowi. Plan tego parku, w stylu francuskim, wypracował budowniczy Aigner, pod koniec w. XVIII, i można z niego osądzić, że to był ogród znamienity, ze wspaniałą aleją wprost bocznego wyjścia lewego skrzydła do dziś jeszcze istniejącą, z drożynami, w zakosy, zbiegającymi po zboczu stromej pochyłości, ku dolinie Wisły¹⁾.

Czartoryska poddała park gruntownej przeróbce, zamieniając go, o ile się dało, na naturalny, w stylu parków angielskich, ówczesnych, świeżo przez Kenta, Browna i Reptona wytworzonym. Nabrała zaś do tych ogrodów upodobania w samej Anglii, w której przebyła r. 1790. Z wielkimi ogrodnikami angielskimi, twórcami i z ich najznamienitszymi twórcami, zapoznała się blisko, a zwłaszcza Repton i jego pisma wywarły na jej czułą wyobraźnię wpływ znaczny. Przywiozła też do Puław dwu ogrodników: anglika Savage'a, który już tam na stałe pozostał i Niemca, Pope'go. Oni to według jej wskazówek i życzeń przerabiali dalej i uzupełniali dawny park Lubomirskich, na nowy, który wkrótce nietylko w kraju całym, ale i na obczyźnie zasłynął. Mianowicie Delille dał go poznać Europie, opisawszy wierszem, (zarówno jak Arkadję), po bytności w Puławach²⁾. Zresztą korespondowali z sobą i potem, a gdy otrzymał od niej list uprzejmy, gdy był w Atenach, odpisał, że tam nie znalazł już ateńczyków, bo schronili się pomiędzy sarmatami.

Park puławski urządzano i uzupełniano już od r. 1784 i aż do r. 1830, bez przerwy, nie szczędząc pieniędzy, sprowadzając coraz nowe drzewa i rośliny, doskonaląc, zdobiąc, stawiając w nim budowle, kolumny pamiątkowe, urządzając miłe zakątki marzeń, otwierając nowe widoki na zawiśle i zielone smugi nadzeczne. W pobliżu pałacu był mały, zamknięty ogródek, niby *giardino segreto* z czasów odrodzenia lub ogród kwiatowy, który Repton od parku angielskiego oddzielił był (bo go w przyrodzie nie ma). Tam mieściły się najrzadsze kwiaty i najosobliwsze drzewiny.

Może w skutek tradycji, znacznie później, za ogrodnika Korzyńka, około r. 1880 nagromadzono tam również mnóstwo osobliwych drzew i krzewów, a niektóre z nich wyrosły obecnie we wspaniałe okazy.

Ogółem ze spisów pozostałych widać, że było za rządów księżny Izabeli, w Puławach 260 gatunków drzew, a z tego aż 137 cudzoziem-

¹⁾ Plan ten znajduje się w posiadaniu Instytutu badawczego w Puławach.

²⁾ „Oeuvres de l'abbé J. Delille: „Les Jardins“, Paryż 1824 (nowe wydanie). Poemat wierszem w 4 pieśniach.

skich, a m. in. platany, dęby, tulipanowce, srebrne lipy, sosny wej-
muckie (ale naogół iglastych obcych brak), dęby szkarłatne, trójglicz-
nie, kłęk (*Gymnocladus*), bożodrzew (*Ailanthus*) i w. in. Niektóre
z nich żyją jeszcze, jako olbrzymie drzewa, szkoda, że przyduszone
dziko wyrosłą gęstwiną, na taką bowiem cały prawie park teraz się za-
mienił, pozostawiony bez należytej ogrodniczej opieki, pod zarządem
rosyjskiego instytutu rolniczego, który tam istniał, aż do wielkiej woj-
ny, przez lat kilka dziesiątków.

Dodajmy jeszcze, że podobno pierwszym pomysłodawcą, a więc
twórcą planów zarówno ogrodu w Powązkach, jak i parku w Puławach,
był słynny malarz krajobrazowy Norblin, w czasie gdy nauczał rysunku
dzieci Czartoryskich. Jestto całkiem możliwe, bo przecież liczni artyści
malarze byli twórcami wielu słynnych ogrodów we Włoszech i Francji,
w epoce odrodzenia, a na ich czele Michał Anioł, Rafael i Lionardo
da Vinci. Francuski styl tworzył Le Nôtre, malarz z zawodu, angielski
Kent, malarz herbów. Park w Muskau i in. planowali też malarze.

Podajemy garść wiadomości bliższych o ogrodach w Puławach,
które zresztą przedmiotu bynajmniej nie wyczerpują. Mamy zapowie-
dzianą pracę szczegółową o tym przedmiocie, obecnego kierownika
sekcji ogrodniczej Instytutu naukowego w Puławach, dr. St. Golińskiego,
do niej odsyłamy po szczegóły ¹⁾.

O Puławach pisali różni, swoi i obcy, wierszem i prozą. Ładny
jest opis J. U. Niemcewicza (w „Pokłosiu“, Poznań 1858, tom 4-ty,
str. 158), ale z niego ogrodu odtworzyć nie można. Niemniej chwali
wspaniałe drzewa „w kształtach nagięte“ i „wśród błonia klomby w nie-
ładzie rzucone“.

„Tum kwiatów blaskiem rozlicznym goreje
I pyszne drzewa zdobią te ogrody“.

A upodobania i uczucia księżny odmalowane są trafnie w następu-
jącym ustępie, na podstawie tego, co sama o sobie „w kamieniu wyryć
kazała“. Na kamieniu białym, którego bluszczem okryta połowa... czyta
słowa:

„O lube drzewa, waszem ja sadzeniem,
Słodziłam nieraz ciężkie me kłopoty:
Nieraz pod waszym przechodząc się cieniem,
Lżejszym się stawał smutek i tęsknoty.“

¹⁾ Dla tego zatrzymujemy się dłużej przy tym ogrodzie, ponieważ był on
najstojniejszy, może i najpiękniejszy wtedy, a w każdym razie wywarł wielki wpływ
na kraj cały.

Pomiędzy wonią tchnącemi rośliny,
Słodsze uczucia, weselsze godziny.
W chwilach srogiego dla nas przeznaczenia,
Straciły dla mnie wdzięk inne zabawy,
Wy tylko gorzkie słodzie wspomnienia,
Drzewa, rośliny, kwiaty i murawy.
Patrzac na stary dąb, co was okrywa,
Pamięć na dawne czasy się wracała,
A sadząc krzewy, myśl nadziei chciwa,
Jaśniejsze nieba w przyszłości widziała“.

Czułość nie bez egzaltacji i gorąca miłość ojczyzny, były to wy-
raziste rysy charakteru Izabeli Czartoryskiej. Wszyscy znający ją tak
ją opisują. Władysław Łoziński ¹⁾, L. Siemieński ²⁾, Koźmianowie,
Grzegorzewska i w. in. przyznają jej staranne wychowanie, umysł ży-
wy, i bystry, wytworny, a czuły na wszelakie piękno, gust wykwinny,
bujną imaginację, a zwłaszcza wielkie upodobanie do przyrody i ogro-
dów. Olbrzymia fortuna i poznanie zagranicznych, najlepszych wzorów,
przy pomocy dobrych ogrodników, wytworzyły Puławy, ów „idealny
typ sielskiej siedziby“, jak mówi Łoziński.

Księżna nie poprzestała na swych Puławach, ale do ogrodów
wcieliła umiejętnie całą okolicę, wzorując się na parkach-folwarkach
angielskich. Ślad tego pozostał w owej drodze górnej, zakończonej
niewidocznym z niej murem (ha — ha! Browna), której złudnem prze-
dłużeniem jest szosa w stronę Kaźmierza, tu idąca pod sklepioną ar-
kadą, pod ogrodem.

Słabe i pobieżne opisy Puław dali Kajetan i Andrzej Koźmiano-
wie (ten ostatni twierdził przesadnie, że dla istotnego opisanie Puław,
nie starczyłoby nawet dzieło kilkotomowe). Napuszonym swym sty-
lem, ale zarazem bardzo nieudolnie co do treści, opisał również wier-
szem Puławy J. P. Woronicz (dobry opis świątyni Sybilli). Ale co
ciekawe — i cudzoziemscy poeci, językiem bogów wystawiali również
Puławy. Europejską sławę wyrobił im abbé Delille, z którym księżna
prowadziła korespondencję, póki go do Puław nie zaprosiła. W liście
pisanym do niego do Aten, prosiła go o napis na piramidę kamienną,
na której miały być wyryte nazwiska najznakomitszych pisarzy i po-
etów ³⁾. Ponadto rodzaj talentu i twórczości miały charakteryzować
odpowiednie drzewa i kwiaty. Więc od strony piramidy z nazwiskami
Safony i pani de Sévigné (co za zestawienie!) miały kwitnąć róże, jaś-

¹⁾ Z „Estetyki życia“, Lwów 1872 r.

²⁾ „Historyczność ogrodów“.

³⁾ Zaproponował napis taki: „Les. dieux des champs, aux dieux des arts“.

miny, lilje i fijołki; imiona Anakreonta, Petrarki i Metastasia—ocieniałyby mirt. Tassowi dostał się wawrzyn, Szekspirowi i Rasynowi—wierzby płaczące, cyprysy i cisy, a dla Wergila, Gesnera i Delille'a (co za towarzystwo!) miała księżna wybrać „co tylko wody, gaje i łąki mogą mieć najprzyjemniejszego” (Siemieński). Delille krótko, ale pięknie opisał Puławy, mało jednak mówiąc o ich stronie czysto ogrodniczej. Wychwalał za to skały, groty, pomarańcze i mitry, „do których schronienia (szklarni) prowadzi portyk okazały” i t. d.

Wytworną książeczkę co do formy i treści napisał o Puławach Niemiec, baron E. v. G. i dedykował ją Elżbiecie Czartoryskiej i Marii Annie z Czart. księżnie Wirtemberskiej¹⁾, zaopatrzywszy w piękne rysunki ważniejszych budowli. Znajdujemy tu opis archiwum, kościołka Panny Marii, domku na wyspie, świątyni Sybilli, domku gotyckiego, pomników i t. p.; o ogrodzie samym nic prawie.

Karol Milewski²⁾ powiedział, że „w Puławach są nagromadzone wszystkie piękności, tak, że stały się one jedynym(?) i najpiękniejszym mieszkaniem sielskim w całej Polsce”. W w. XVII należały Puławy do Tenczyńskich, potem do Lubomirskich, dostały się od nich w posagu marszałkowi Adamowi Siemieńskiemu, a ostatecznie z ręką pierwszej żony Zofji Siemieńskiej posiadał je A. Czartoryski, wojewoda ruski, mąż Izabeli z Flemingów.

Milewski chwali przed pałacem, w dziedzińcu (podjazd), piękne kląby drzew cienistych i kwiatów; tu też biła pyszna fontanna. Po obu stronach pałacu stały szklarnie, jak wiemy z książki Czartoryskiej, bogato zaopatrzone w rośliny. Ogrody i park są „jaknajszczęśliwiej pomyślane”. Zaczął je zakładać Niemiec Pope, a dokończył anglik Savage. W miejscu szczególnie obfitem w bogactwa roślinne, księżna umieściła napis: „Drzewom, krzewom, kwiatom, których hodowanie było zawsze mem ulubionem zatrudnieniem”. Oprócz różnych budowli, o których poniżej, były tu groty, chata pustelnika (ów ermitage z czasu francuskiego i hiszpańskiego odrodzenia), a po urwiskach skał, ryte napisy, poświęcone przyjaciółom Puław i zmarłym krewnym.

Zresztą Puławy były siedliskiem, w którym można się było wiele nauczyć, zarówno z muzeów (Sybilla, domek gotycki), jak i z książek, których tu było kilkadziesiąt tysięcy (gdy swoje dołączył T. Czacki, z Porycka) i rękopisów 2000, obok gabinetu kart geograficznych. Była to zatem jedna z najważniejszych bibliotek w Polsce.

¹⁾ „Erinnerung an Pulawy”, Lipsk 1829.

²⁾ „Puławy i ich okolice” w Pamiętnikach historycznych krajowych, Warszawa, 1848.

Księżna zbierała i zwoziła do Puław piękne rośliny; z prawdziwą namietnością. Pisz o tem Michał Radziwiłł¹⁾, że od jego żony Heleny brała roślin dużo i przytacza urywek z listu Czartoryskiej: „Pewno coś nowego z sobą przywozisz, proszę Cię, moja kochaneczko o kwiaty i rośliny trwałe. Tylko przyslij chojnie”, a wysłany jednocześnie ogrodnik „chojnie” wszystkiego nazbierał. Wywdzięczyła się za to C. Radziwiłłowej, posyłając Delilla'owi opis Arkadji, który go w swem dziele „o ogrodach” istotnie pomieścił.

Potwierdza też tę namietność zbierania roślin i Sabina z Gostkowskich Grzegorzewska, w swym zajmującym szkicu, napisanym pięknie i z gorącym uwielbieniem dla księżny Izabeli, już wówczas staruszki²⁾. Zleciła tedy księżna bankierowi Tepperowi, by jej sprowadził morzem, a potem Wisłą, na własnym statku Czartoryskich, kilkanaście sosenek wejmućkich (*Pinus Strobus*). Kosztowało to dużo, bo trzeba było zakupić sporo miejsca na okręcie, napęlić je ziemią, wsadzić młode sosny i tak je do Europy przewieźć³⁾. Spodziewała się ich na wiosnę, a dostała w jesieni. Z jakim zaś oczekiwała ich upragnieniem, dowodzi, że zagniewana na opieszalego budowniczego „Sybilli”, pogodziła się z nim, gdy jej, za poradą księcia Adama, zaniósł sosenkę jedną, z tych, które niespodzianie rankiem tego dnia Wisłą dostarczono.

Przy przejażdżce po parku księżna tłumaczyła Grzegorzewskiej znaczenie każdego kląbu, zwracała uwagę na udatne widoki, przytaczała wiek każdego drzewa, własną zasadzonego ręką, mówiła, że znane jej dzieło „Myśli różne” odwzorowane było na planie, postępie i rozwoju jej własnego ogrodu.

Księżna nie lubiła dawniejszego, starofrancuskiego smaku, jednak w puławskim parku zeszłowieczny gust łączył się z nowożytnymi wymaganiem sztuki ogrodniczej. Rysunek parku był w rodzaju szczerze angielskim, ale wszędzie starofrancuska sentymentalność, duch plastyki i alegorji, czuć się dawały. Na każdym kroku spotykało się wyrzeźbione grupy miłosne, alegoryczne postacie, pamiątkowe napisy i pomniki, romantyczne aleje, obeliski, kolumny, cieniste i miękkie siedzenia, te nieme świadki miłosnych westchnień i poetycznego zapału lub melancholicznych zadumań!

¹⁾ Nieborów i Puławy w pierwszych latach po ostatnim rozbiórce, (Przew. Liter., Lwów, 1889).

²⁾ „Dziesięć dni w Puławach w r. 1828”. Urywek z pamiętnika, Kraków, r. 1898.

³⁾ Dowodzi to, że nie umiano jeszcze opakowywać do drogi drzew iglastych, jak to teraz czynimy.

Raz zastała G. staruszkę-księżnę przy ulubionej pracy, na jednym z kłębów przedpałacowych. Przesadzała kwiaty (koniec maja). Ubrana była starannie, ręce miała powalane tłustą, czarną ziemią, tak samo i przód ubrania. Zatrzymała gości przy tym kłębzie i pokazywała nadzwyczajnej wielkości oleandry, „szczegółowo opowiadała pochodzenie każdej sztuki, wymieniając nazwisko jej po łacinie“.

Pomijamy bardzo ciekawy opis „Sybilli“, zbudowanej na zboczu, na podniosłym fundamencie, w postaci rzymskiej świątyni; było to niepoślednie muzeum pamiątek po królach, wodzach i innych sławnych i wielkich polakach, gdy otoczony pięknymi drzewami „Domek gotycki“, zawierał liczne ułamki architektoniczne. Musimy też zaniechać przytoczenia wybornych sylwetek księżnej Izabeli, której podobiznę z r. 1790 dała autorka (księżna miała wtedy lat 45) jakoteż jej męża, Adama, wojewody ruskiego.

Przytoczymy jeszcze zdanie Grzegorzewskiej, że „Ona to (księżna) zaszczepliła, w społeczeństwie naszym mało znane, zamięłowanie w ogrodach i swoim przykładem zachęciła do niego blizkich i sąsiadów, a przez wydanie dzieła swego o ogrodach, tyle u nas czytanego i popularnego, rozpowszechniała je po wszystkich kraju zakątkach“.

Na założenie i utrzymanie kosztownych ogrodów, budowanie „fabryk“, i pomnikowych muzeów, sprowadzanie kosztownych roślin, mogła sobie pozwolić ta wielka miłośniczka ogrodów. Wniosła mężowi ogromny majątek, zdobyty przez jej ojca Fleminga, który posiadał wielkie dobra w Holandji i miał prawo u nas, bić monetę, z własnym popiersiem.

Puławy uległy silnemu zniszczeniu w r. 1831, z woli Mikołaja I, który nienawidził księcia Adama, byłego Rosji ministra spraw zagranicznych, jego rodzinę, no i wspaniałą tej rodziny siedzibę. Mimo to do naszych czasów przetrzymały się najważniejsze puławskie budowle, ogólny zarys parku, niektóre jego cenne szczegóły (jak droga stanowiąca niby ciąg dalszy szosy pod ogrodem biegnącej), wspaniałe olbrzymie drzewa¹⁾. Warto z nich wymienić klon srebrzysty (*Acer dasycarpum*) i jawory do 1 m. średnicy mające, kasztanowce jeszcze grubsze (największy przepadł), bożodrzew (*Ailanthus glandulosa*) do 0,5 m. gruby, dający czasem nasiona, takąż surmia (*Catalpa syringae-folia*), buki do 40 m. wysokie i 1 m. grube, z odmianami, stare trójigliczne (*Gleditschia*), i kłęk (*Gymnocladus*), olbrzymie orzechy czarne (*Juglans nigra*) 1 m. średnicy do 40 m. wysokości, równie też wielkie platany wschodnie, białodrzewy do 3 m. grube i równe im prawie

topole kanadyjskie, parę dębów po 350 lat mających, ogromny grochownik (*Robinia*), okazałe lipy i t. d. Z iglastych: świerki zwykłe i syberyjskie (*Abies Pichta*), modrzewie i żywotniki (*Thuja occidentalis*). Rzecz dziwna, że nie ma tu rzadszych iglaków, chociaż w Anglii już ich było trochę w epoce zakładania parku puławskiego.

Park puławski, w którym przed pałacem znajdowała się skupina bagienek (*Azalea pontica*), przywiezionych księżnie przez Miklera, służył jako wzór dla możnych, w odwiedzinach przyjeżdżających; na nim też zapewne uczyli się niejednego pomysłu i ogrodnicy. Ale właściwą propagandę stylu angielskiego w Polsce podjęła I. Czartoryska, za pomocą swej książki, p. t.: „Myśli różne o zakładaniu ogrodów“ p. I. C. (parę wydań, II-ie we Wrocławiu w r. 1808 u W. B. Korna, z dobrymi drzeworytami Mansfielda), która się względnie przedko rozeszła po kraju, sięgając wszędzie tam, gdzie się ogrodami interesowano. Czytając ją, widzimy wyraźne wpływy autorów angielskich, zwłaszcza dzieł Reptona, ale są też i myśli własne księżnej.

Znamienne jest, co pisze we wstępie. „Od lat stu albo i więcej, każdy sadził brzydkie ogrody, każdy chwalił w naturze drzewa rozłożyste—u siebie kazał je obcinać. Kto z jednej strony uliczkę grabową wysadził, zaraz najskrupulatniej taką na drugiej stronie nie omieszczał umieścić“. Zresztą nie pisze o ogrodach, jakby pisał ogrodnik, odsyłając do tysiącznych(?) książek, lecz zaleca ogród naturalny, bo dawne, (w stylu francuskim) są „smutne, obojętne i zawsze też samą postać ukazują. Raz założony taki ogród, tak zbrzydnie właścicielowi, że woli przechadzać się w polu, po wsi, w lesie, niż w ogrodzie“, co było rzetelną prawdą. Gorąca miłośniczka piękna w przyrodzie, nie szczędzi pochwał drzewom, tej „najwspanialszej z ozdób, któremi ziemia jest okryta“. Mierzą ją drzewa okrzeseane (cięte), które zwie nawet obrzydliwemi, a chwali bardzo nasze swobodnie rosące: dęby i świerki, brzozy, nawet topole i osiny i zaleca z takich drzew „klómby“ (z angielskiego *clump*) na ziemi podsypanej, by wyżej stały. Są tu podane różne wskazówki, zakładania ogrodów angielskich dotyczące, spisy drzew, krzewów i roślin, a nawet wzory ich układania w skupiny. Naogół jednak, kto się tej sztuki nie nauczył praktycznie, nie bardzo będzie mądry po przeczytaniu tej książki.

Na pochwałę Cz. trzeba powiedzieć, że radziła sad oddzielać od warzywnika, a oba od ogrodu strojnego. Zresztą „niekoniecznie kłąby i ogrody angielskie po wsiach mają być sadzone“. Wskazała różne typy ogrodów, dla różnych celów i zamożności. Więc: 1. Porządne sady. 2. Ogrody angielskie. 3. „Wykształcenie (t. j. przyozdobienie) swojej wsi, jak wypada z okoliczności. Wiadomo, że w Anglii powstały wte-

¹⁾ F. Korzynek podał ich opis w „Ogrod. Polskim“ r. 1886, str. 490.

dy parki zakładane na całych folwarkach (*Garden Farms*). W końcu książki wyliczone są rośliny ozdobne, wszelkiego rodzaju, a jest ich wcale pokaźna ilość. Dla historyka pojawienia się różnych roślin w Polsce¹⁾, „Myśli“ Cz. będą niewątpliwie bardzo cennym źródłem, obok innych.

Równie wielkim miłośnikiem, ale jeszcze większym znawcą roślin i niestrudzonym pracownikiem w szerzeniu postępowego ogrodnictwa w Polsce, był hr. Stanisław Wodzicki.

Postacią tą, zarówno, jak Izab. Czartoryską, możemy się pochlubić, a oboje godni są stanąć obok najzasłużeńszych, na tem polu, cudzoziemców. Oboje nie byli twórcami nowego stylu, ale przyczynili się znakomicie do rozpowszechnienia w Polsce umiejętności ogrodniczej, dobrego gustu i o ile to wtedy było możliwe, szczepili zamiłowanie do ogrodnictwa. Gdyby ich umiano naśladować, a pracę ich podtrzymać i stopniowo rozwijać, pewno dziś stalibyśmy w ogrodnictwie na równi z krajami zachodu. Ale oboje żyli w epoce, w której nie było jeszcze ani czasopism, ani szkół ogrodniczych u nas. Nie było w niej ogrodników wykształconych, którzyby słabe, dyletanckie, stanowe ogrodnictwo polskie umieli podeprzeć, ugruntować i na ogół właścicieli ziemi rozszerzyć. A przecież i wypadki historyczne, które się w tych dziesiątkach lat rozgrywały, stanowiły potężną zaporę w pracy, tak bardzo wymagającej pokoju i spokoju, jak ogrodnictwo.

Stan. Wodzicki był synem Franciszka, starosty grzybowskiego i Zofji z hr. Krasińskich (ur. 1758 † 1842 r.). Po ukończeniu w r. 1782 wydziału prawnego we Lwowie, został stopniowo senatorem i wojewodą, a następnie długoletnim prezydentem Rzplitej krakowskiej. Ten mąż stanu, członek wielu uczonych towarzystw, przy swych licznych, a odpowiedzialnych zajęciach, znalazł jednak dość czasu na studjowanie ogrodnictwa, gromadzenie wielkich, a znamienitych zbiorów roślinnych, korespondencje z wybitnymi ogrodnikami obcymi. Lecz nie dość na tem. Napisał obszerne dzieło, wydawał rocznik ogrodniczy przez lat kilka, bronił honoru ogrodnictwa ojczystego przed napaściami wrogich cudzoziemców. Zaczyn ten obywatel i wielce pożyteczny pracownik, w Niedźwiedziu, swym majątku, założył wspaniały drzewozbiór i szkółki, nagromadził z całej ziemi skarby roślinne u nas niebywałe. Tam to doświadczał wytrzymałości na nasz klimat różnych, nowo sprowadzonych drzew i krzewów, a wiele z nich od tej pory przyswoiło się i rozpowszechniło w Polsce. Jest on dowodem, że je-

¹⁾ Tego rodzaju pracę zapoczątkował oddawna już profesor J. Rostapiński, ale całkowitego dzieła nie wydał.

den człowiek umiejętny, chętny i pracowity może potężnie wpłynąć na rozwój lub rozpowszechnienie się pewnego zawodu w kraju, ba niekiedy nawet i na całej ziemi. Gdybyż obok niego i po nim stał zastęp chętnych i gorliwych pomocników i naśladowców!

Posiadał też hrabia W. i szklarnie, a w nich, sądząc z pozosta-wionych opisów, hodował zdumiewającą ilość przeróżnych roślin. Niektóre z nich przeszły do gruntu, inne są ciągle uprawiane, wiele zaś całkiem zarzucono, dla piękniejszych.

Wszystkie te rośliny sprowadzał nawet z najdalszych stron, nie szczędząc trudu i pieniędzy. Otrzymywał je zarówno z zakładów ogrodniczych: angielskich, francuskich, niemieckich i austriackich, jak od znamienitych ówczesnych ogrodników, miłośników i zbieraczy, z którymi ciągią prowadził korespondencję. Niezmiernie pracowity, w ciągu wielu dziesiątków lat długiego żywota, zostawił taką puściznę ogrodniczą piśmienniczą, jak żaden polak przed nim.

Nie mielibyśmy wyobrażenia jak wyglądały te słynne, na kraj cały, ogrody w Niedźwiedziu, bo syn wyciął prawie cały drzewozbiór, a i inne wszystkie rośliny zmarnowały się, gdyby nie to, że sam swe ogrody opisał¹⁾. Podajemy z tego źródła wiadomości tu potrzebne i znaczenie istotne mające.

Ogród ten znajdował się o 3 mile od Krakowa, już w Król. Polskim (ówczesnym). Nabył Niedźwiedź w r. 1808, lecz plantacje dawały dopiero od 1814, gdy przestał być prezydentem rzplitej Krakowskiej. „W wieku 61 lat miałem odwagę zacząć to przedsięwzięcie, nie mając nadziei korzystania z niego. Jednak dziś (t. j. w r. 1833) mam pociechę odpoczywania w cieniu drzew, które posadziłem. Sosny, świerki, jodły, modrzewie, topole kanadyjskie wznoszą się już na 54 stopy (w wybornej ziemi proszowskiej—E. J.), a klony krajowe i liczne amerykańskie dochodzą 32 stóp“.

Ogrody z warzywnikiem i sadem obejmowały 26 morgów, w rozmaitem stanowisku i gruntach, nad rz. Szreniawą. Od zachodu broniła je aleja z topoli i grabów. Każdy rodzaj drzew tworzył na trawniku osobną grupę.

Za szklarniami były skrzynie i szkółki, inspekt na sadzonki, figarnia, szklarnia na wino i mały „ogród botaniczny“, na kwiaty. Była to część najprzyjaźniejsza do hodowli, bo osłonięta od północy dwiema szklarniami, a od wschodu kościołem. Wielka skupina drzew różnych oddzielała to miejsce od południa, od dużego trawnika, wprost domu,

¹⁾ W „*Annales de l'Institut Royal d'Horiculture de Fromont*“ (r. 1833, tom V, których redaktorem był Soulangue Baudin.

na którym było 8 grzęd, od północy, z ziemi wrzosowej i torfowej, którą zapełniały: azalie, magnolie, kalmje, ostrokrzewy, różaneczniki, *Prinos* i około 100 krzewów kwitnących, z Ameryki półn. i Nepalu. Te „od 7 lat nie były uszkodzone“ przez zimę. Pod glebą na 1—5 stóp głęboko, podłoże stanowi skała (opoka wapienna).

Do domu prowadziła wgłębiona droga. Przerzucił nad nią mostek żelazny do kawałka ziemi za rzeką, około 4 morgów, zajętego przez drzewa różne, jako to: kasztany, kasztanowce, brzozy, jałowce amerykańskie, klony i in.

Na pochyłości wzgórza, gdzie „ziemia coraz żyzniejsza“, udawały się topole i różne wierzby, *Sophora* i tulipanowce. Na wzgórzach przeciwniegiłych rosły świerki, a na łakach skupiny z tawu (*Spiraea*), róż, bżów, *Citissus* i in. uszkodzane jednak przez bydło¹⁾.

Sad i warzywnik razem, za rzeką, osłonięte gęstemi krzewami z trzech stron, a z czwartej — murem. Pod nim brzoskwinie, morele i wino, na wystawie południowej. Grunt tu niski, wilgotny, więc „grusze nie rodzą“, ale jabłonie, duże, przesadzone, udały się. Wszystkie drzewa i krzewy delikatniejsze pod tym murem (i migdały), choć okrywane słomą, nadmarzały, a czereśniowe, nawet wielkie drzewa — wyginęły. Przeciwnie: ocalały drzewa i krzewy delikatne, „na pochyłościach, z podglebiem — skałą“¹⁾.

„Konserwatorium“ (zimna szklarnia), było wysokie 20', szerokie 34', długie 160', zatem ogromne. Zawierało ono 400 krzewów, sięgających do stropu. W kanałach palono tu, gdy woda pod szkłem zamarzała.

Krzewy kwitnące amerykańskie rosły na grzędach w gruncie, ułożone co do barwy i wymagań. Były tu m. in.: *Azalea*, *Cassia*, *Ceanothus*, *Clethra*, *Cupressus* różne, *Fothergille'a*, *Halesia*, *Liquidambar*, *Prunus Laurocerasus*, *Rhododendron* różne, *Ruscus*, *Ilex*, laury, *Tamarix indica* i w. in. Te nakrywał od połowy października skrzyniami inspektoweni, ustawionymi jedne na drugich, aż do wierzchołka krzewów i przykrywał je deskami, zdejmowanymi na odwilż, a przyrzucanymi gałęziami drzew iglastych, na lżejsze mrozy. Pomiędzy krzewami upychano mech, a gdy zima była ostra, otaczano skrzynie mierzwą. Z tego, jak również z prób, czynionych z sadzonkowaniem jabłoni, widać, że Wodzicki był hodowcą inteligentnym i umiał czynić spostrzeżenia.

Ogrodników trzymał polaków, nie znających innych języków. Dla nich to robił wyciągi z zagranicznego piśmiennictwa i dopełniał je

¹⁾ W tem miejscu przytoczył doświadczenia swoje poczynione nad wymarzeniem różnych drzew i krzewów, których jednak tu podać nie możemy.

własnymi uwagami; tak powstał rękopis jego głównego dzieła, które na nalegania znajomych postanowił ogłosić.

W r. 1882 przy sposobności zwiedziłem Złotą, drugą wieś St. Wodzickiego, w pobliżu Niedźwiedzia. Znalazłem tam drogi wysadzone wspaniałymi drzewami i przy pałacu park niewielki, lecz piękny. Do Niedźwiedzia nie pojechałem, bo sąsiedzi jednoznacznie powiedzieli mi, że niema po co. Słynny, jedyny u nas w swym rodzaju drzewozbiór, wycięto po śmierci hrabiego Stanisława, inne drzewa rozdano, ale że były duże, więc po przesadzeniu gdzieindziej, przeważnie zmarniały.

Nie ograniczając się na tem, zapoznamy się lepiej z tym wielkim, a tak dla naszego ogrodnictwa zasłużonym mężem, z niektórych zdań i wyjątków z dzieł, które napisał¹⁾.

Na wstępie do największej i najważniejszej swej książki²⁾ powiada. „Owo zgoła przekonaniem jest mojem, że ile zakładanie ogrodów bywa już mniej więcej, piętnem wysokiego stopnia oświaty ludów i łagodności rządzących, tyle przywiązanie się do tej zabawy jest po większej części u partykularnych oznaką spokojności duszy i niewinności obyczajów“. Sądzi, że „kobiety umieją szczególniejszodobić ogrody, a dojrzałsi mężczyźni — nakierować ogrodniczą zabawę ku publicznemu pożytkowi“. Dziękuje też Bogu, że go natchnął tem powołaniem, „i namawia gorąco ziomek, by się nie wzdragali tego, tak miłego zatrudnienia, które im da duszy spokojność i przyjemność, odradzające się coraz to pod innym kształtem“.

Opisywał zaś tylko to, co posiadał w swym ogrodzie, zarówno w gruncie, jak i w szklarniach, nie pomijając nawet i „gatunków podlejszych, by ich ziomekowie nie zapisywali, bo tylko w ogrodach botanicznych są potrzebne“. W tomie III mówi: „Nie żałowałem kosztów i zabiegów przez lat 20, na zgromadzenie do zbioru na co tylko stać ziemianina“, a „ponieważ się pierwszy w Polsce dotykam tego przedmiotu (co było prawdą), pochlebiam sobie, że praca ta za rodzaj zasługi policzoną zostanie, co tem słuszniej należy, że za druk i papier połowy kosztów mi się nie zwraca“.

Dowodzi to, że ciekawa i pożyteczna książka Wodzickiego niewiele znalazła czytelników. Była ona zresztą, jak sam przyznaje, kom-

¹⁾ Więcej jeszcze szczegółów o St. Wodzickim zebrał J. Drège, i pozostawił w swoich notatach. (Biblioteka Krasieńskich), oraz J. Rostafiński: w pracy: „O dziełach ogrodniczych Stan. Wodzickiego“, Kraków r. 1900, (jako wyjątek z dzieła p. t.: „Słownik polskich imion... roślin“).

²⁾ „O chodowaniu użytku, mnożeniu i poznawaniu drzew, krzewów i roślin“, 6 dużych tomów. Pierwsze 3 wydał między r. 1818 i 20, a pozostałe od 1824—28, w Krakowie.

pilacją blisko stu dzieł rozmaitych, ale przecież opisując tyle roślin, nie mógł się obejść bez pomocy botaników zawodowych. To też, pomimo surowej krytyki, której doznał od jednego z nich, nie ustawał w pracy, „dopóki go który (botanik) nie zluzuje, czego tak łatwo doczekać się nie ma nadziei, bo zamożność i pracowitość nie zawsze wyższym talentom towarzyszy“, a bez nich nie mógłby wydać 5-go tomu, w którym napisał, że dzieło swe dotąd wydał kosztem 20 tys. złp.. Gdyby się zaś sam na to nie był zdobył, „amatorowie dotąd, w hodowaniu roślin, w krajowym języku nie mieliby skazówek“.

Ale amatorowie, a tembardziej niepiśmienni ogrodnicy, nie wiele z prac W. korzystali, co sam uzasadnił (w tomie 4-ym) mówiąc, że ogrodnictwo u nas „nie jest tak upowszechnione jak w Niemczech, a niższe klasy z niego nie korzystają, ale szlachta i kupcy, podróżując po Europie, więcej, jak inny naród (już wtedy!), do ogrodów swoich zaprowadzili najpiękniejsze z angielskich ogrodów wzory“. Nie dość na tem: „Liczne katalogi właścicieli naszych ogrodów“ (niestety zaledwie parę z nich ocalało), „obejmujące mnogie gatunki roślin na sprzedaż wystawianych, jawnym są dowodem, że to hodowanie nie było dla nas obcem. Wielu amatorów są członkami korespondencyjnymi zagranicznych pomologicznych towarzystw“. Żadnego z nich jednak nie nazwał, a szkoda, bo żeby zostać członkiem korespondentem jakiego T-wa pomologicznego, trzeba się wprawdzie dać poznać ze swych prac, zwłaszcza drukowanych i dowieść głębszej znajomości przedmiotu. A tego, sądząc z pozostałej po współczesnych piśmiennej puściźnie — nie było. Stanowczo to twierdzić można.

Potwierdza to i sam W., gdy nieco dalej mówi: „Lepsi ogrodnicy nasi są wprawdzie zagraniczni, mniej więcej uczeni (?). Krajowcy w niewielkiej liczbie tu i owdzie znajdujący się, nie posiadają wprawdzie teoretycznych wiadomości“, ale łudzi się, że „łatwoby temu zaradzić, gdyby Rząd nie pozwalał ogrodnikom wyzwolenia, dopóki się nauką odbytego kursu, w jednym z czterech ogrodów botanicznych nie wykazali“. W tem zdradza się dyletant, bo droga ta do celu doprowadzić nie mogła, jak to każdy, cokolwiek znający się na nauczaniu ogrodnictwa, przyznać musi. Tem więcej rada jego była płonna, że przecie sam zaznacza, iż „ogrodnicy nasi powszechnie wstręt mają do wszystkich dzieł ogrodniczych, teorią się brzydzą, a są zarozumiali“. Jak wszystkie nieuki, a czyliż mało jest takich jeszcze i teraz?

Gdy do pięciu pierwszych tomów swego dzieła, czerpał liczne wiadomości ze źródeł obcych, a głównie z Loudona, w 6-ym stwierdza, że się posługiwał też i źródłami polskimi, a jako takie podaje: Giżyckiego książkę „O przyozdabianiu siedlisk wiejskich“, Szuberta: „Opisa-

nie drzew i krzewów Królestwa Polskiego“, Reicharta, w tłumaczeniu na polski: „Skarb rolniczy i ogrodniczy“.

Główne dzieło Wodzickiego naukowem nie jest i można mu dużo zarzucić, a czuł i sam autor słabe strony, gdy się zastrzegł, że „pisze nie jako botanik, ale jako miłośnik-ogrodnik“. Pomimo to należy mu się uznanie i wdzięczność, w tych bowiem 6-u tomach znajdujemy, po raz pierwszy, w polskim języku podane wskazówki o hodowli tak wielu roślin ogrodowych, nie tylko gruntowych, ale i szklarniowych. A chociaż, do opisów zwłaszcza, dużo czerpał głównie z autorów obcych, niemniej i sam był bystrym dostrzegaczem, znawcą i doświadczalnikiem. Dowodzą tego b. liczne uwagi o zachowaniu się u nas, zwłaszcza drzew nowych i o sposobach hodowli. Natomiast o umiejętnem stosowaniu roślin różnych w ogrodach, prawie nie znajdujemy u Wodzickiego wskazówek. Był to miłośnik-hodowca, zapalony wielbiciel wszelkich pięknych roślin, ale bynajmniej nie twórca ogrodów.

Dopełnieniem niejako tej mozolnej pracy, latami całemi pisanej i drukowanej, był „Dziennik ogrodniczy“, wydawany w Krakowie od 1829 do 1835 r. Tytuł jest niewłaściwy, były to bowiem roczniki, po jednym tomie, mniej więcej, co rok wydawane. Stanowią one niejako ogrodnicze *silva rerum*, znajdujemy w nich bowiem w wielkiej przewadze artykuły, tłumaczone z ówczesnych, obcych czasopism i ustępy z dzieł ogrodniczych. A czasopism tych trzymał z razu ośm, potem aż kilkanaście, takich jak: „*Annales de la Soc. d'Hortic. de Paris, Journal des Jardins*“ (redagowali go wybitni ogrodnicy, jak Noisette, Cels, Hardy i in.), „*Annales de l'Institut Horticole, Bon Jardinier Botanical Register, Neues Allg. Garten-Magazin, Annalen der Blumenvereine*“ i in.

Ale obok tych rzeczy cudzych, są do „Dziennika“ wplecione i własne spostrzeżenia i doświadczenia St. Wodzickiego, jak np. próby rozmnażania grusz i jabłoni sadzonkami (tom II), spostrzeżenia nad drzewami płaczącymi, których dużo najlepszych wyliczył, także i nad chmielinami, wśród których b. zalecał: dzikie wino, które się już wtedy w Polsce rozpowszechniło, bluszcz irlandzki, w ogrodach naszych jako wstęgi szerokie przy ziemi, b. pospolity, surmję (*Bignonia*) i róże pnące, z których *R. Noisettiana* wyrosła mu do 24' wysoko; chwalił też i *Periploca graeca*.

Hodował kasztany słodkie i miał z nich dojrzałe owoce. Słusznie zalecał do hodowli orzechy czarne i popielaty. Wiele też z tych i in. przedtem nieznanych lub mało znanych drzew, za jego sprawą rozpowszechniło się w Polsce. W tomie 4-ym zaznacza, że ogrodnik jego, paląc mchy pod drzewami, urałowal wyniesione już i stojące pod nie

mi, rośliny szklarniowe, od przymrozku czerwcowego. Prawdopodobnie było to pierwsze zastosowanie dymu, jako ochrony od przymrozków wiosennych, obecnie często dla drzew owocowych stosowane.

Znajdujemy tu dużo ciekawych wiadomości, jak o zastosowaniu termosyfonu do ogrzewania szklarni, we Francji, ale głównie opisy nowych roślin, przyczem niestety sporo błędów w określeniach i nazwach cudzoziemskich.

Jak i późniejsze właściwe czasopisma ogrodnicze, „Dziennik” musiał mieć mało odbiorców, a może i czytelników, wogóle. Wodzicki bowiem w jego tomie 2-im żali się, że „różne kraje, od lat 12, sprowadziły nowych roślin 20,000, za pośrednictwem botaników (zbieraczy), które szybko rozpowszechniły się, tymczasem my tylko jedni w Polsce w odrętwiałości zostajemy,... i żadnego ani w literaturze ogrodniczej, ani w zakładaniu ogrodów nie uczyniliśmy postępu. Przeciwnie: Anglicy, francuzi, Niemcy przeszło stoma nowych dzieł w tym roku (t. j. 1829), z bogacili literaturę ogrodniczą tak, że ich postrzeżenia wystarczyłyby na kilka takich, jak ja piszę, „Dzienników”, a przecież i ten nie ma dla siebie pokupu”.

Bezskutecznie też zapraszał amatorów do pisywania do „Dziennika”, nie znajdujemy w nim bowiem ani jednego artykułu, poza jego pracami. A wszak pisanie dla niego wtedy było męką, bo w tomie 4-y (r. 1836) użala się, że „pisze i drukuje jeszcze, choć jest na pół ślepy, bo go nikt nie zastąpił, a gdy inne narody mają ciągle nowe dzieła ogrodnicze i przybywa towarzystw ogrodniczych, nie chciał, by Polska, choć pod tym względem w tyle została”. Na tem kończy jak pisze, swoją 20-letnią pracę pisarską (bo w r. 1816 wydał I-y tom swej „Hodowli”).

Do charakterystyki St. Wodzickiego i jego epoki dodać trzeba jeszcze to, co wypowiedział w artykule „O wpływie oświaty ludów na ogrody i o wpływie ogrodów na obyczaje i szczęście domowe”¹⁾.

„Sztuka ogrodnicza w Polsce postępowała w miarę szczęścia narodowego. Szlachcic był rycerzem, inszej, prócz waleczności, nie szukającym sławy, a gdy bił się kilka lat poza domem, tępił na niewinne dary przyrodzenia; gdy zaś był w domu, pełnił urzędy cywilne i nie miał czasu na resztę. Niepewność praw nie pozwalała znów mieszcza-
nom i włościanom na te zabawy. Wyjątek stanowiło duchowieństwo, które się mogło tym zabawom poświęcić”.

Dalej przebiega w krótkich rysach dzieje rozwoju ogrodnictwa

¹⁾ W „Roczniku” T-wa Naukowego, z Uniwersytetem Krakowskim połączono, tom III, r. 1818.

w Polsce, aż do swojej epoki, o której powiada: „Ten gust (do ogrodów) dziś panujący, pociąga nas do sprowadzania z zagranicy coraz to nowych roślin. Ale komu je pospolicie zawierzamy? Oto nieumiejętnym ogrodnikom, którzy gubią je najczęściej, nie wiedząc, jak je pielęgnować. Byłem i ja, przez lat kilkanaście, w podobnym przypadku, a to mi powód dało, żem się sam uczyć zaczął, dla nauczania moich ogrodników”.

Wniknięcie w dzieje ogrodnictwa polskiego, przekonywa, że brak mu było przez całe stulecia inteligentnych i umiejących ogrodników, którzyby nadawali kierunek całej pracy, doskonalili zawód swój i mieli obok zamiłowania do roślin, zacząć ambicję nie dania się wyprzedzić innym narodom, nie zapożyczania od nich wszystkiego tego, co każdy naród, gdy zechce, wytworzyć może, o ile mu warunki przyrodzone pozwalają. A gdy rządząca narodem szlachta biła się lub urzędowała i nie miała czasu (a może i ochoty) na takie pokojowe zajęcia, jak ogrodnictwo, jakaż niepowetowana szkoda, że nie mieliśmy urządnego i popieranego stanu trzeciego! Wszak z niego to pochodzili najwybitniejsi ogrodnicy, pisarze i twórcy, w krajach Zachodu.

I jeszcze jedno. Czemuż to prezydent rzeczypospolitej krakowskiej, rozumiejąc, jak bardzo nauka jest naszym ogrodnikom potrzebna, nie założył, choć w Krakowie, pierwszej szkoły ogrodniczej? Wszak przed r. 1788 miała już parę pierwszych takich szkół Francja, które wielka rewolucja zmiotła. Inaczej by pewnie dziś stało ogrodnictwo polskie, gdyby już w początku w XIX miało światłych, zawodowych kierowników. Ale nie było poczucia tej potrzeby w ogóle, bo przecież zaledwo na pierwszą szkołę rolniczą (w Marymoncie), kraj się zdobyć potrafił, a ta istotnie podniosła rolnictwo; ogrodnictwo jednak poczytywano wtedy za zawód podrzędny i jego doniosłości ekonomicznej, nie pojmowano.

Pomimo, że W. tak dobrze znał słabe strony naszego ogrodnictwa i ogrodników, jako dobry polak, nie ścierpiał, by je poniżano. Gdy bowiem Hirschfeld, w swoim wielkim dziele¹⁾ i in. pismach, pokrzywdził i zbagatelizował Polskę, odpowiedział mu ostro i wymienił te setki ogrodów ozdobnych, którei się wtedy istotnie Polska mogła popisać; dodał do tego nazwy uczonych, dzieła, spis ogrodów botanicznych, słowem wszystko, co mogło nam opinię poprawić. W nieco zmienionej formie, znajdujemy też same wiadomości w jego *Notice sur l'horticulture de l'ancienne Pologne*, napisanej do Analów, na życzenie Soulange Baudin'a.

¹⁾ „Geschichte und Theorie a. Gartenkunst” r. 1799.

Wszakże nie ukrywał złego stanu przed rodakami, owszem czynił im nieraz gorzkie wymówki za to, że ogrodnictwo zaniedbywali.

Gdyby Polska była miała w każdym stuleciu, choć jednego syna, tej miary, co St. Wodzicki, nie bylibyśmy pozostali zbyt daleko za ogólnym postępem ogrodnictwa.

Oprócz wspomnianych prac drukowanych, pozostały po tym autorze spisy „zimochówków” i „spis roślin ogrodu Niedźwieckiego”, z których pierwszy z r. 1838, a ostatni (trzeci) z 1842. Stanowią one dokument dla chcących sporządzić spis roślin ozdobnych, wówczas hodowanych w Polsce, ponieważ ze szkółek w Niedźwiedziu dużo ich się rozeszło. Szkółki te prowadził ogrodnik Teichler, który we wstępie do ostatniego cennika mówi, że przy porównaniu cen zagranicznych, każdy się przekona, że cena roślin niedźwieckich jest najniższa, a dla bliskości ogrodu botanicznego krakowskiego, rośliny te są dokładnie zdeterminowane.

Sprzedawano też w Niedźwiedziu szczepy owocowe i nasiona, ale spisów ich nie podano. W innym cenniku poleca tanie, a dobre rośliny niedźwieckie ogrodnik W. Koczarski, zapewne jeden w wychowawców St. Wodzickiego.

Ze spisów tych widać, że w Niedźwiedziu, w roku 1820, było na sprzedaż 2300 gatunków roślin ozdobnych, a między nimi dużo szklarniowych. Nie możemy tu wyliczać nawet ważniejszych, żeby książki tym materiałem nie przeciążyć, ale zaznaczamy wagę tego źródła dla przyszłych badaczy szczegółowej historii ogrodnictwa w Polsce.

Gdyby znakomite zbiory Wodzickiego znalazły się pod opieką odpowiednią i były nie tylko strzeżone, ale ciągle dopełniane nowościami, zyskałaby Polska to, co miały inne kraje, dzięki staraniom i ofiarności takich obywateli-miłośników, jakim był Wodzicki. Dostatek jest powołać się w tej mierze na takie przykłady, jak Gaspara de Gabriela — we Włoszech, d'Ecluse'a (Kluzjusza) — we Francji i Flandrii, Tradescantów — w Anglii. Może pobłdził Wodzicki, nie zapisując swych zbiorów, wraz z arboretum, na rzecz kraju, choć i wtedy nie byłoby pewności co do ich losów dalszych, wobec niewoli, w której Polska miała jeszcze tak długą cierpieć.

Popieraczem ogrodnictwa w Małopolsce, ale jedynie w tym względzie, że zgromadził znaczną ilość pięknych roślin, był wojewoda bełzki, Cetner. Miał on w swym Krakowcu (wschodnia Galicja) taki dobór roślin, znacznym kosztem sprowadzonych, że Wodzicki nazwał go pierwszym w Polsce. Musiał być zatem bogatszy i większy, niż w Niedźwiedziu. Ale skarbów tych nie opisał, bo się sam ogrodnictwem nie zajmował; nie wiemy też, czy rośliny sprzedawał, więc było

to źródło obfitości może (spisów nie ma), ale niedostępne ogółowi. Może jednak czerpały z Krakowca te liczne ogrody, które wtedy zakładano w pobliżu.

Niepospolitym działaczem, który wywarł wpływ dodatni na ogrodnictwo litewskie, był uczony botanik, prof. uniwersytetu wileńskiego, ks. kanonik Bonifacy Stanisław Jundziłł. Dziełem jego był nie tylko świetny ogród botaniczny wileński, ale także i książki ważne i pożyteczne; wymienimy z nich: „Botanikę stosowaną, czyli wiadomości o własnościach i użytku roślin w handlu, ekonomice i rękodzielnictwie” (Wilno r. 1799). Było to pierwsze u nas dzieło z dziedziny towaroznawstwa, nauki wówczas zaledwie zapoczątkowanej, wogóle.

Książka ta zawiera sporo wiadomości ciekawych lub dla historii polskiego ogrodnictwa ważnych. Do pierwszych należy to, co powiedział o cukrze, do XVII w. „rzadkim” w Europie, bo wyrabianym z trzciny cukrowej, uprawianej w niewielu krajach podzwrotnikowych. Przy cukrze podaje, że pierwsze „lody” zaczął wyrabiać Conteaux we Florencji w 1650 r., a już w 1676 r. robiło je w Paryżu 250 „limonadników”. Do drugich, to, co napisał np. o ziemniakach. „Kartofla (!) u nas, a przynajmniej w prowincji naszej (t. j. na Litwie) ledwo za mojej pamięci wprowadzone zostały. Niezmiernie jej mnóstwo wszystkie europejskie kraje teraz zasadzają i o pomnożenie odmian starają się. U nas pod nazwaniem kartofli, ziemniaków w całym kraju są znajome, a nazwisko kancedały (?) tylko tu i owdzie, w Grodzieńskiem, słyszeć się daje... Późnych nieskończone jest mnóstwo gatunków”. (Czy istotnie znał tyle, czy też hodowano je tylko na Zachodzie?). „Sadzone co 2—3 stóp więcej przynoszą pożytku” (to prawda); uczy hodowli z nasion, „bo stare wyradzają się”. Twierdzi, że po ugotowaniu, „dają proste, tanie i zdrowe ludziom pożywienie. Robi się z nich mąkę, z niej, zmieszanej z mąką, chleb (zatem chleb wojenny z lat 1915—18, był już wtedy znany), kasze różne, wódkę, krochmal i puder. W naszym kraju są znajome” — nie wiadomo czy to się stosuje do ziemniaków wogóle, czy i do przetworów, do których zalicza „wyborne ciasta, makarony, kasze”. Są też obfitym karmem bydła, a „ugotowane, osolone, z masłem lub olejem, więcej dają pożytku, niż marchew, rzepa, pasternak”.

Buraki (pisze boraki), „nigdzie nie jest tak pospolicie mnożony i jadany, jak w Polsce”. Chwali szczególnie cebulę hiszpańską białą i czerwoną, „wagi do 1 funta”, słodką; szalotkę jada się w sałacie.

Opisuje, jak robić żywopłoty z głogu i to rozumnie, bo w jedną linję. Daje wskazówki o zbieraniu owoców, opisuje też wyrób jabłeczniku, który uważa za cenny napój.

Nie możemy przytaczać wielu innych ciekawych wiadomości, jak np. ta, że cytryny i „apelsyny“ wywożono głównie z Mesyny (za pół miliona lgrów), a handlowały też niemi: S. Remo, Mentona i Nicea; że w Grasse (powyżej Cannes, na Rywjerze francuskiej) było już wtedy 80 „perfumerów“; że morwa powinna się u nas udawać „poniżej Brześcia“ i że z hodowli jedwabników byłby pożytek, skoro ją we Włoszech prowadzą już od XVI w. Zalecał orzech czarny, który widział rozmnożony w wielu ogrodach niemieckich, a który znosi nawet „finlandzkie klima“, cis znajdował jeszcze wtedy w obfitości „w puszczech Preńskiej i Wyszyńskiej“ i t. d.

Jak wysoko cenił ogrodnictwo i jak pragnął, by ono w ojczyźnie zakwitło, tego pozostawił ślad w odczycie, wypowiedzianym na publicznym posiedzeniu uniwersytetu wileńskiego, w r. 1809, „O przymiotach potrzebnych w sztuce ogrodniczej“. Odczyt ten ożywiony jest miłością rodzinnego kraju i, jak na botanika przystało — jego roślinnej szaty. Radził Jundziłł właścicielom, by sami poznawszy doskonale swój zakątek, starali się go przyozdobić. Upatrywał gotowe podstawy ogrodu ozdobnego, w otoczeniu ozdobnym. Są przyległe, kwieciste łąki i smugi, powiada, „są uprawiane łąny zbóż, jest staw i cicha, z niego wychodząca rzeczka, jest grunt nakoniec do zasiania lasu i sadzenia drzew sposobny“. Otóż te miejsca, w myśl „klasycznego pisma Iz. Czartoryskiej“, gdy się połączy drogami i ścieżkami, obsadzi drzewami i krzewami, to widok „rozmaitych wsi i brogów będzie równie powabny, niż (!) gdzieindziej opadających (zrujnowanych) wież i zamków“. Nawet jałowe piaski radził „zasiewać rozmaitych drzew nasionami“, bo powstałe w ten sposób laski i gaiki zastąpią ogród. Więc znów przepisy na wzór modnych wówczas w Anglii orchard — i park-farms.

Wszystko to wydawało mu się rzeczą łatwą dla właściciela, ogrodników zaś zawodowych do tej (im przecież właściwej pracy), zakładania ogrodów, nie radził dopuszczać. Daje bowiem i on nader niepochlebne świadectwo o ogrodnikach ówczesnych. Gdy we wszystkich majątniejszych domach były, jak twierdzi, zbiory większe lub mniejsze „roślin rzadkich i okazałych, te często, zwłaszcza w zimie, przepadały w ręku nieumiejętnych ogrodników, uczących się swej sztuki rzemieślniczym sposobem. Opierali się oni jedynie „na przygodnej praktyce, nie śmiąc powodować się własnym rozumem; „gdy mu się zdarzy nowa roślina, padnie ofiarą złego pielęgnowania“. „Przychodnie (t. j. ogrodnicy cudzoziemcy) jeszcze są gorsi, bo im się więcej ufa, a i oni pozbawieni są pomocniczych wiadomości z botaniki, fizjologii, fizyki, geografii i bez należytej znajomości hodują rośliny, rysują plany

ogrodów, budują szklarnie i treibhauzy. Jeżeli jako dowód biegłości, „dadzą parę wywiedłych, ananasów, to za to w zimie zgubią zbiór rzadkich i kosztownych roślin“.

Te opinie wiarogodnego i uczonego człowieka, pozwalają, według umiejętności, ogrodników, oceniać stan całego ówczesnego ogrodnictwa polskiego, stan wiele do życzenia pozostawiający. Może nie żałowano pieniędzy na zakupy roślin, ale nie wydano ich na kształcenie systematyczne ogrodników, a bez nich żadnego dobrego ogrodu, być nie może. Dziwna rzecz, że Jundziłł, na Litwie, tak samo jak Wodzicki w ziemi Krakowskiej, nie postarali się o założenie szkół ogrodniczych.

W innej prowincji, na Wołyniu, działaczem, który wywarł wpływ wielce dodatni na całą tę ziemię, był Wacław Borejko¹⁾. Odwiedziwszy jego majątek Samostrzały i poznawszy się z nim, Izabela Czartoryska wyrzekła: „Widziałam rzecz osobliwą: botanikę (!) w konтусzu“.

Borejko był istotnie trochę botanikiem i artystą, a dużo ogrodnikiem-miłośnikiem. Wiele o nim mówi, że był członkiem Komisji edukacyjnej i „dozorcą“ szkół pijarskich, w swej prowincji. Członek wielu towarzystw uczonych i ogrodniczych, znał znakomości ogrodnicze Paryża i Wiednia, korespondował z niemi i sprowadzał od nich nowe rośliny. Ogród w Samostrzałach miał być prześliczny; służył też za wzór całemu Wołyniowi, a Borejko do zakładania pięknych ogrodów nie tylko zachęcał liczną rodzinę i obcych, ale i sam dopomagał. Choć nie też obdarzał roślinami ogród botaniczny Krzemieniecki, ale nie skąpił ich również rodzinie i przyjaciółom.

O ogrodach nie pisał, ale natomiast założył u siebie szkołę ogrodniczą, z której „przez lat 30 wychodzili ludzie sposobni“, jak mówi E. A. Iwanowski²⁾.

Z takimi „szkołami“ spotykamy się w tej epoce w wielu innych miejscowościach w Polsce. Szkoda, że nie wiemy czego i jak w nich uczono, ale pewno nie daleko odstępimy od prawdy, przypuszczając, że ktoś ze dworu dawał ogrodnikom niezbędne wiadomości elementarne i ogólne, a miejscowy ogrodnik (lub jak w Samostrzałach może nawet i sam właściciel) obznajmiał ich z botaniką i zasadami ogrodnictwa. W każdym razie była to nauka bardzo powierzchowna i niedostateczna, jeżeli ją sądzić z wyników. Żaden bowiem z tych ogrodników nie zasłużył, by o nim pisał którykolwiek z dość licznych autorów, z tej epoki.

¹⁾ Autor „Pamiętników o Wołyniu“.

²⁾ „O ogrodach w Polsce“.

Dodać należy do zasług Borejki, „że drzewa przyswajał“, a między niemi posiadał platany i tulipanowce oraz laury, ale te zapewne w szklarni.

Nie można też w tem miejscu pominąć Szczęsnego Potockiego, który miał tę zasługę, że rozpowszechnił na Ukrainie sady i dobre odmiany owoców. Utrzymywał on w swym Tulczynie duże szkółki owocowe, z których czerpano materiał na sady, w licznych włościach tego magnata i niemało sprzedawano.

A wszak inne dzieło Szczęsnego, park w Zofjówce, zasłynął nie tylko na kresach, ale w całej Polsce, ba, nawet w Europie. Zapewne pobudził też niejednego ziemianina na Rusi do naśladowania, choć w części, tego, wspaniałego ogrodu.

Zofjówkę (v. Sofiówkę) opisywali różni, mniej lub więcej szczęśliwie. Znany powszechnie poemat Stanisława Trembeckiego¹⁾, napisany napszonym, klasycznym stylem i pełen pochlebstw dla Aleksandra I, daje słabe pojęcie o parku. S. Plater, w „Małej Encyklopedji polskiej“ (w Lesznie i Gnieźnie w r. 1841 wydanej), mówi, że Zofjówkę założono w okolicy równej i jednostajnej, a sztuka musiała zastąpić braki natury. Najlepiej opisał Zofjówkę St. Tchorzewski²⁾; przytoczymy z tej pracy, co dla nas najważniejsze.

Szczęśny Potocki odziedziczył Humańszczyznę po ojcu, w r. 1773 i zaraz zajął się gorliwie gospodarstwem. Podniósł zwłaszcza Tulczyn, w którym założył szkółki drzew owocowych, rozwinął sady i zaprowadził je u swoich włościach, w całej okolicy. W r. 1786 poznał Zofję Wittową, grecką, żonę komendanta Kamieńca, którą tenże, jako Z. Clavone, w 13 roku jej życia nabył. Potocki zapłonął ku niej szaloną miłością, odkupił za dużą sumę od Wittego i ożenił się z nią w 1778 r. Pięknej pani nudziło się w Tulczynie i Humaniu, a gdy raz w r. 1793 odwiedziła z mężem brzegi Kamionki, wyraziła zdanie, że mógłby tam powstać ładny park.

Potocki, w tajemnicy przed żoną, zaczął zaraz jej pomysł urzeczywistniać.

Już w r. 1795 powstawać zaczęła Zofjówka, na cześć greckiej, tak nazwana.

Wiadomo, że podesłana pod żyzne czarnoziemy i popielatki całej Rusi, granitowa płyta czarnomorska, poprzerrywana jest korytami rzek i stanowi często bardzo pięknie, fantastyczne ich brzegi, a nad niemi

urwiska, porośnięte bogatą florą. Te granity zastosowano bardzo umiejętnie w Zofjówce, nadając jej pozory górskiej miejscowości. Sztuki tej dokazał Metzel, gdańszczanin z pochodzenia, inżynier i hydrotechnik, kapitan artylerji polskiej, a Potockiego adjutant. Początkowo roboty powierzył Zarembie, gdy sam, wysłany przez Potockiego, zwiedzał słynne parki w różnych krajach i nabierał nowych pomysłów. Powróciwszy w r. 1797, sam objął roboty. Wtedy to zasadzono mnóstwo drzew swojskich i rzadszych, które Metzel przywiózł: żywotników, kasztanowców, lip i jodeł amerykańskich, srebrnych topoli, jesionów płaczących (wyrosły olbrzymie potem) i włoskich. Główny las z nich, nazwano „lasem greków“. Przybyły też i maszyny do dźwigania wielkich głazów i wykonywania robót wodnych.

Przez pierwsze lata ujarzmiano źródła i tworzone zbiorniki wody. Potem przenoszono olbrzymie głazy, budzące do dziś dnia podziw i układano je według planu. Największe z nich przewożono na specjalnych saniach, w zimie.

Urządzono wielki zbiornik wody dolny, z fontanną na 20 łokci wysoką, a powyżej — wielki staw, t. zw. „morze praśne“, a nad nim największy, trzeci, pod wsią Wójtówką. Na jego to brzegach porzucane wśród zieleni, stoją domki potomków tych, którzy przy zakładaniu Zofjówki pracowali, a którym Potocki nadał za to części ziemi, w nagrodę.

Liczne niespodzianki i efektowne scenarje utworzone kosztem kilkunastu milionów złp., nie wliczając w to bezpłatnej roboty pańszczyźnianej. Drogę wjazdową obsadzono topolami włoskimi. Wielki wodotrysk bił ze środka stawu, na tle drzew rozlicznych. Ze skał ułożono to dzikie złomy, w kształcie tarasu nad wodą („skała Leukadzka“), to znów pieczary („grota grzmotów“), w których z hałasem spadała woda lub też przed wejściem do nich zlewała się z góry, jako przezroczyści, wspaniałe welon („prześcieradło Wenery“). Tak było przed „grota Wenery“, niby przedsionkiem do greckiej świątyni, wspartym na czterech potężnych granitowych kolumnach. Indziej znów na odłamek skał stała nad wodą altana, do grzyba kamiennego podobna. Posągi Merkurego, Apolina, Belizarjusza i t. p. ustawiono w miejscach efektownych. „Wyspa miłości“ na wielkim stawie, obsadzona była topolami włoskimi, a wogółności drzew nasadzono zbyt wiele, które w dobrej ziemi tak się prędko rozrosły, że napełniły ogród cieniem i uczyniły go miejscem smutnem, melancholijnem, w braku obszernych polanek, które stanowią zasadniczy warunek pięknego parku. Drzewa i in. przedmioty w nim, wtedy tylko są piękne, gdy je można podziwiać w należytej perspektywie, oświetlone pełnem słońcem, rozrosłe

¹⁾ „Sofiówka w sposobie topograficznym opisana“, Lipsk r. 1806.

²⁾ „Perła dzikich pól“, w „Ziarnie“ r. 1904 № 49 — 52, z licznymi, b. dobreimi obrazkami z fotografii.

w całej okazałości, o ile rozporządza każde, dostateczną przestrzenią.

Wkrótce też smętna Zofjówka sprzykrzyła się Zofji Potockiej. Trzeba jej zresztą przyznać, że po nieco burzliwym życiu, po śmierci męża, kilkanaście lat jeszcze żyła w jego majątku, wychowując dobrze dzieci, pomagając szczerze ubogim, gospodarując umiejętnie na podniszczonej Humańszczyźnie.

Syn Aleksander, zaniedbał Zofjówkę, a gdy w r. 1831 musiał się schronić za granicę, ogród stał się własnością cara Mikołaja I.

Z Ukrainą i z Rusią wogóle związany był jedyny prawdziwy artysta i twórca-ogrodnik, jakiego przed tem Polska nie miała; był to Mikler.

Zwał się on właściwie Djonizy Mac Claire, a był z pochodzenia irlandczykiem, urodzonym w Fairfield w r. 1762 (hrabstwo Rosconnen). Studjował w akademji w Dublinie, głównie przyrodę, ogrodnictwa zaś parkowego w Londynie u lorda Bedforda, w porze, gdy wielcy mistrze styl angielski już w całym kraju wprowadzili. Otrzymał też tytuł (udzielony może przez grono twórców ogrodów) *projecturer*, t. j. projektodawcy parków. Potem dużo podróżował po Europie, przez co wiele się nauczył, wyrobił w sobie doskonalsze poczucie piękna i pogłębił umiejętność.

Do Polski przybył około r. 1790, do ojca, który wtedy był majorem naszej artylerji, z Izabelą Czartoryską, która go zabrała na 3 lata. Miał on z jej zalecenia założyć ogród w Korsuniu, dla księcia Stanisława Poniatowskiego, lecz gdy to do skutku nie dochodziło, król wyznaczył mu pensję tymczasową. Zaopiekował się i zajął nim zbliżka Adam Chreptowicz i jemu to założył pierwszy, swego pomysłu, ogród w Polsce, mianowicie „na Potkańskim“, w Warszawie, przy ul. Długiej; publiczność tłumnie go odwiedzała, ale niedługo istniał ten stylowy park angielski.

Jednocześnie stał się doradcą Izabeli Czartoryskiej, w Puławach i Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej, w Arkadji.

Z tych prac i pomysłów dał się poznać zaszczytnie naszej arystokracji.

Jakoż niebawem księżna Michałowa Lubomirska zabrała go z sobą na Wołyń, gdzie w jej majątku, Palestynie, założył tak piękny park angielski, że całe możliwe sąsiedztwo, na wyścigi, zaczęło mu powierzać u siebie roboty. Więc w ciągu kilkunastu lat następnych, spod jego umiejętnej ręki wyszedł cały szereg udatnych ogrodów mniejszych, jak w Ożeninie, u Jełowieckich i większych parków, jak w Porycku, Czackiego Tadeusza, w Boremlu i in. Zwiedzając okolice, znalazł w uroczysku, nad brzegiem Słucza, dziko rosnące w obfitości bagienko czarnomorskie (*Azalea pontica*), którego trochę zawiózł w darze Izabeli

Czartoryskiej i ta je posadziła na głównym trawniku przed pałacem puławskim, a resztę zawiózł do Anglii i tam korzystnie sprzedał. Wtedy to ożenił się z siostrą poety Milтона, w 1797 r. i przywiózł ją na Wołyń. Ale gdy tam stracili małą córeczkę, przeniósł się na Podole.

Tu i na Ukrainie należy szukać śladów jego najznamienitszej twórczości. Tam to od 1800—1805 utworzył takie parki angielskiego typu, wspaniałe, jak: w Bałaszówce i Obodówce — Sobańskich, Sitkowcach — Jarosława Potockiego, Zaborsku — Czarnieckich, Chotomowie — Chołojewskich, Kątach — Olizara, Woronczynie — Krupińskiego, Czerwińszcach — Czarnieckich, Horynce i Beresteczku — Platerów, w Bałabanówce, Laszkach, Kodniu i w. in. Znalazł jeszcze czas na pobyt na Wołyniu, gdzie założył piękne ogrody: w Mizocz, Słobytcie i Krzywini — hetmana Jabłonowskiego, dwa w Dubnie — Michałowi Lubomirskiemu, w Szpanowie i Podłużnem — Radziwiłłom, w Gródku, Zaborsku, i w. in.

Po śmierci żony, Angielki, w r. 1805 pojechał M. do Krakowa, tam pojął drugą żonę, polkę — Narodosławską i nabywszy na Wołyniu Olszanę, w niej osiadł. Wówczas właśnie, między r. 1806—9 Tadeusz Czacki zużytkował jego wiedzę i sprawność do założenia przy liceum w Krzemieńcu ogrodu botanicznego. Zaopatrzwszy go w pieniądze, wysłał po rośliny do Rosji, Finlandji, Szwecji i Anglii. Z wielkim znanstwem wybrał ich i przywiózł tyle, że ogród krzemieniecki wkrótce zasłany bogatymi zbiorami.

W wycieczce na Podole założył park w Sewerynowce — Orłowskiemu i w Czerniatynie — Witosławskiej. Odtąd do r. 1829 przebywał już wyłącznie prawie na Wołyniu, gdzie z wydatniejszych jego twórców trzeba wymienić parki: w Kołodnem — Świejkowskich, w Gródku — Esterhazy'ego, w Kowalówce — Bolesława Potockiego, Dermaniu, — Jabłonowskich, w Sietniczanach, ogród francuski, przerobiony na angielski i b. w. in.

Na usilne prośby swej pierwszej orędowniczki, ks. Lubomirskiej, już jako 78-letni starzec, przyjechał do Palestyny w gościnę, do niej. Podczas tego pobytu utworzył jeszcze piękne ogrody w Czarnym Ostrowiu i Korosteszewie. Przeździecki, który te szczegóły podaje ¹⁾, mówi że b. wielu jeszcze innych ogrodów Miklera, nie wyliczył.

Jak wyglądały pierwotnie te ogrody pomysłu i wykonania Mac Claire'a, o tem nie mówi ani Przeździecki, ani nikt inny, ze współczesnych. Z czasem zmieniły one swój pierwotny zarys, zaniedbane przez ludzi nieumiejętnych i zarośnięte samosiewkami, jak to bywa w każ-

¹⁾ Al. Przeździecki: „Podole, Wołyń, Ukraina“, Wilno 1841, w tomie 2-im.

dym parku, choćby tylko nieco zapuszczonym. Wiele też z nich zupełnie zaginęło (wielki przewrót w państwie rosyjskim od 1917 r. pewno mało śladów po nich zostawił).

Lecz oto pomiędzy r. 1876 a 85, udało mi się być w paru z tych parków (jak w Ożeninie, Sewerynowce i in.) i z uważnego rozpatrzenia się, w tem, co jeszcze zastałem, wyrobić sobie pojęcie, o rodzaju i wielkości talentu ich twórcy.

O ile z tych przykładów wnosić mogę, był Mikler twórcą ogrodów, dużej miary. Nietylko umiętny ogrodnik, lecz i prawdziwy artysta, malował swe potężne obrazy, przy pomocy drzew, w łonie przyrody, jaką na miejscu zastawał. Potrafił przedziwnie wyzyskiwać piękne ułamki i elementy miejscowego dzikiego krajobrazu, a ująwszy je w ramy skupin drzewnych, umiejętnie zastosowanych, pokazać je ze strony najlepszej. Wierny naukom wielkich mistrzów: Kenta, Reptona, Londona, Aitona i in. przystosowywał park do warunków przyrodzonych, wcielał go w tę przyrodę i łączył z nią zręcznie i umiejętnie, zagarniając nawet odległe widoki tak, że się zdawało, iż stanowią nieodłączną część ogrodu, choć się znajdowały często daleko poza jego granicami. Kto widział, chociażby w Sewerynowce, z okien pałacu, trzy ogromne stawy, piętrami schodzące w dal, głęboko, ujęte w oprawę potężnych, dekoracyjnych skupin, ten mógł zrozumieć, jak szeroki polot miała twórczość tego artysty, jak on umiał wybornie posługiwać się dość ograniczonym materiałem, przy wielkiem poczuciu harmonji mas drzewnych, ich barw i efektów słonecznego światła, zalewającego zadrzewienia, obszerne murawy i zwierciadła wód.

Ale umiał też tworzyć i ogrody mniejsze, jak w Ożeninie, na Wołyniu, pozbawione widoków zewnętrznych, a jednak zajmujące i urozmaicone, co jest tem dziwniejsze, że posługiwał się wyłącznie drzewami leśnymi, z iglastych, tylko świerkami, bo o inne, rzadsze, przy trudności dowozu, nie było łatwo. Niewiele też używał drzew pojedynczych i tych wybornych podkrzewów i bylin, które w początkach w. XIX, a zwłaszcza około 1840 r. już były na usługi ogrodników-artystów angielskich i in.

Ale i ten wielki artysta, dał Polsce tylko to, co sam zdziałał. Szkoły nie utworzył, wybitnych naśladowców polaków, po sobie nie zostawił. Szkoda to niepowetowana, bo łącznie mógł zapoczątkowany przez niego, rozwinąć się typ parków przyrodzonych, na pierwiastkach polskiej przyrody opartych i do niej w różnych prowincjach naszego kraju przystosowanych. Nic też nie pisał, a przecież jego wskazówki, na tak długiej i różnorodnej praktyce oparte, miałyby znaczenie doniosłe dla potomnych ogrodników-twórców.

Lecz nietylko na Rusi, ale w całej Polsce założono, w tym okresie, lub też przerobiono zdumiewającą ilość ogrodów ozdobnych. Planowali je i wykonywali po większej części ludzie nieznani z nazwiska, może ogrodnicy, a pewno i miłośnicy. Jestto tem dziwniejsze, że kraj wysysany był przez państwa rozbiorowe, zwłaszcza przez prusaków, a pomiędzy r. 1807—12 przez intendentów Napoleona (głównie dał się we znaki Daru), który nie szczędził krwi naszej i mienia.

Wszystkich tych ogrodów wyliczać nie będziemy, nie ma bowiem ani ich planów, ani opisów, chociaż przy dalszych poszukiwaniach, może się jakieś plany znaleźć, o ile ich nie zniszczyły burze, które nad niešťęsnym krajem tyle razy srożyły się. Jednakże o niektórych z nich, wymienionych przez Wodzickiego lub nawet jako tako opisanych przez innych autorów, należy poczynić wzmianki. Niektóre z nich wniosły nawet do ogrodnictwa krajowego pewien postęp.

Otóż pod Warszawą awanturniczy dworzanin Stanisława Augusta, de Tomatis, założył Królikarnię, a ślady parku pozostały tam dotąd. Znajdowała się tam winnica obszerne i sad, którego szczątki jeszcze widzieliśmy, gdy właścicielem był anglik Fanshave. Z tej to winnicy mogły pochodzić dobre łozy (z Włoch sprowadzone pierwotnie), które w wielu ogrodach warszawskich znałem za lat dziecinnych.

Rozkosz, późniejszy Ursynów, założyła Elżbieta Lubomirska, właścicielka Wilanowa, gdy się z córką jej miał ożenić Stanisław Potocki. Wybrała tedy między Służewem, a Wolicą wólkę lasu, częścią na nizinie powiślańskiej, a częścią na wzgórzu położoną i wśród gaju wystawiła pałacyk, a przeznaczywszy go na miesiąc miodowy młodej parze, dała mu nazwę „Rozkosz”. Ustronie to zakupił później Julian Ursyn Niemcewicz, przyjaciel Potockich, nazwał „Ursynowem” i znacznie przyozdobił. Była tam piękna aleja lipowa, która przetrwała do wielkiej wojny, a przed zgrabnym pałacykiem, kwietniki. Między pałacykiem i oficynami ciągnęły się znów dwie aleje lipowe, a za nim kwiaty i całe zbocze wzgórza, porośłe leszczyną. U spodu wzgórza wydrążono grocie, w kształcie ruiny, a przed nią bił źródło, sączący się po kamykach do stawku. Nizinę zdobiły jesiony, jedne z największych, jakieśmy widzieli (około r. 1875), świerki i modrzewie.

Po śmierci Niemcewicza dzierżawił Ursynów dr. Malcz (od 1832 do 1840¹⁾).

¹⁾ Trochę szczegółów z tego czasu podał Ludwik Pietrusiński, w „Wieńcu”, z r. 1858, str. 368, gdy odwiedził Malcz, z poetą Brodzińskim. Droga szła obok Gucina, małego domku na wzgórzu wśród ogrodów, założonego przez Stanisława Ignacego Potockiego, który tu schyłek życia przepędził, a nazwał siedzibę od imie-

Mokotów (*mon coteau*), w pobliżu Warszawy, założyła na wzgórzu, nad równiną powiśla, Izabela z Czartoryskich Lubomirska, marszałkowa w. koronna. Potem przeszedł do Artura Potockiego, od niego do Aleksandra, a wreszcie do Anny Dunin-Wasowiczowej, która go z zaniedbania znów wydobyla, nie szczędząc pracy i pieniędzy. Były tam rozliczne drzewa, krzewy i kwiaty oraz duży sad, a domek gotycki i pawilon maurytański stoją do dziś, smutne i odrapane.

Opis wierszem tej siedziby Jana Ludwika Orańskiego, obfituje w porównania i przenośnie, ale daje b. słabe pojęcie o całości, zwłaszcza pod względem ogrodniczym ¹⁾.

Wasowiczowa też przyozdobiła Natolin, dawniej bażantarnię, czyniwszy ze zwykłego gaju jeden z najładniejszych parków, pod Warszawą. Nazwała go od swej córki, Natalji, później Potockiej.

Otwock (Otocko) marszałka Bielińskiego, założony na sztucznej wyspie, rokołą (*roccola* skałka, choć nie ma tam ani śladu kamieni) zwanej, nad pięknym, głębokim jeziorem powiślańskim, był rodzajem parku francuskiego, nie strzyżonego, z dziczyzną, na wzór angielski (*wilderness*), połączonego. Zdobiły go potężne dęby, lipy, klony, wiązy, buki, które na wybornej madzie silnie i prędko rosły. Wspaniały był wielki trawnik od tylnej strony pałacu, otoczony dekoracją z lip i dębów, z aleją przez środek gąszczu, dającą daleki widok na żyzne łąki nadwiślańskie. Prześliczne są wielkie różne drzewa swoje, nad samym brzegiem jeziora aż do wody zwisające gałęziami, ale osobliwych drzew obcych próżnoby tam szukać.

Niezbyt od Warszawy odległe Arkadja i Nieborów, pełne były okazałych, ale całkiem zbytecznych budowli różnych.

Założyła je Helena Radziwiłłowa ²⁾, na piaskach łowickich, nie szczędząc kosztów, a w sprowadzaniu roślin ścigając się z Izabelą Czartoryską. Właściwie park w Nieborowie był założony jeszcze przez przy-

nia wnuka. Przyjaciele tego działacza zasadzili gaik, każdy po jednym drzewie. W Służewie były wtedy liczne ogrody warzywne włościan, „prawie wyłącznie z uprawy włośczyzny żyjących“.

¹⁾ „Mokotów“ poemat, Warszawa r. 1826, dedykowany hr. Annie Dunin-Wasowiczowej.

²⁾ Delille, czyniąc zadość prośbie Izabelli Czartoryskiej poświęcił Arkadji sześć wierszy w swoich „Ogrodach“:

„Sous un ciel moins heureux, le Sarmate à son tour.
Presente aux yeux ravis plus d'un riant séjour.
Tel brille ce superbe et riche paysage,
Qui fut de Radziwill l'ingénieux ouvrage.
Là, tout plait à nos yeux, le coteau, le vallon
Et la belle Arcadie a meritée son nom.“

masa Radziejowskiego, w końcu XVII w., a Michał Radziwiłł nabył go od Ogińskich w 1774 r. Lecz Helena, jego żona, znamienita znawczyni i miłośniczka ogrodów, zachowała umiejętnie charakter ogrodu francuskiego, a zwłaszcza ów tak charakterystyczny, dla twórców sztuki Le Nôtre'a, kanał ze stawem, obramowanym trawnikami, w którego wodach przeglądają się potężne lipy. W ogromnej pomarańczarni, do której nabyto w Dreźnie owe sławne pomarańczowe drzewa, odstąpione później do Łazienek, znajdowało się mnóstwo roślin ozdobnych, które ciągle zasilala jak i cały ogród księżna Helena, nowościami nabywanymi w wielu miejscach, w czasie wycieczek za granicę.

Michał Radziwiłł zamiast opisu w swych wspomnieniach, dał garść anekdot o swojej rodzinie i o Czartoryskich ¹⁾. On to jednak kupiwszy Arkadję, podniósł w niej park do świetnego stanu, a z Nieborowa przeniósł różne dawne zabytki, tworząc z nich muzeum, co było pewnego rodzaju współubieganiem się z Puławami.

Pomimo lekkiej ziemi łowickiej, drzewa w obu posiadłościach wyrosły w prawdziwe olbrzymy, a utrzymanie parków było przez czas długi, wzorowe.

Liczne i znamienite ogrody ozdobne powstały wtedy w Małopolsce: niektóre z nich słyną i obecnie. Należał do nich już i ogród w Końskich, Małachowskich, ładnie położony, z dalekimi widokami z pałacu, stojącego na wzniesieniu. Liczne parowy zagajono tu umiejętnie, co przetrwało do r. 1885, gdy Końskie nabył Tyszkiewicz, a mnie na poradę, co do odnowienia parku zaprosił. Piękne też parki założono w Kozienicach i Włostowie — Karskich. Wybitnie piękne miały być parki w Olesinie (wojew. Lubelskie) Stanisława Potockiego i w Celejowie — Seweryny Potockiej.

Słynny ogród posiadał Zajaczek, w Opatówku, pod Kaliszem, a park w Kocku — Anny Jabłonowskiej, znawczyni i miłośniczki, zaśląnął szeroko ze znacznego doboru rzadkich drzew, krzewów i kwiatów. Jeszcze do końca w. XIX pozostały tam dobre tradycje i znany był Kock (już wtedy Żółtowskich) z wybornych owoców, osobliwych roślin w szklarniach i znamienitej hodowli ananasów. Należy się również wspomnieć pakrowi w Podzamczu. Założyła go Zamoyska, jedna z córek Izabelli Czartoryskiej, z dużym smakiem i znajomością rzeczy. Ozdoba parku są nietylko kilkusetletnie świerki, przez poprzedników posadzone, ale dziś wielkie już orzeszniki (*Carya*), żółte i czerwone kasztanowce, orzechy czarne, surmje i in. Dużo drzew najrzadszych, a między niemi

¹⁾ „Nieborów i Puławy w pierwszych latach po ostatnim rozbiórce“, w „Przewodniku nauk literackich“, Lwów, r. 1889, zeszyty 1, 5 i 7.

i odmian na miejscu otrzymanych, zasadził w końcu w. XIX Feliks Rozyński, główny nadleśniczy podzamecki, twórca słynnych na cały kraj, ogromnych szkółek drzewnych. Miejsce w Krępie, w którym moskale wzięli do niewoli Kościuszkę, obsadzili Zamoyscy w około olszami.

Inna Zamoyska przerobiła francuski ogród w Klemensowie ordynackim, na park angielski. Obok niego wyrosły piękne sady i zasłynęła hodowla drzew karłowatych, brzoskwiń i winorośli, w ogrodzie obmurowanym. A jakże nie wspomnieć o jeszcze jednym dziele Izabeli Czartoryskiej — parku w Samokleskach (wojew. Lubelskie), wielce malowniczym i pełnym drzew rzadkich oraz roślin ozdobnych?

Świetny park posiadali Suchodolscy w Dorohusku, a generał Wincenty Krasieński — w Opinogórze.

W Galicji było znamienitych ogrodów wtedy tak dużo, że nie mogąc ich wyliczyć, ograniczyć się musimy tylko do najważniejszych.

Więc na granicy śląskiej, w Żywcu, powstał wspaniały park górski, obfity w okazałe drzewa, założony przez Andrzeja Wielopolskiego, a później znakomicie podtrzymywany przez arcyksiążąt Albrechta i Karola Stefana.

Jeden z najważniejszych, w całym kraju, ogrodów, powstał wtedy, w Medyce, nad wielkimi stawami, połączonymi z odnogą Sanu. Założyła go Zofja Lubomirska, ale zasłynął jeszcze bardziej, przeszedłszy potem w ręce Pawlikowskich, nie tylko z pięknego położenia, lecz z bardzo cennych i bogatych doborów roślin. Od 1830 r. szkółki w Medyce założone, stały się głównym źródłem nabywania pięknych roślin, dla Galicji, a zwłaszcza słynne były tamtejsze kwiaty szklarniowe. Było tam podobno około 5000 kamelii, otrzymywano też nowe odmiany georgiń, które jednak zaginęły.

W cenniku i spisie roślin z r. 1841, podpisanym przez ogrodnika Błaszka (czecha), znajdujemy około 6000 gatunków i odmian roślin. Do nazw łacińskich dodane są polskie. Między innymi licznymi, było tam na sprzedaż 80 gatunków akacji, 30 aloesów, 70 amyrylek, 100 azalii, 25 ukośnic (między in. *Begonia semperflorens*, ale wtedy jeszcze do kwietników nie stosowana), 450 odmian kamelii, liczne gatunki i odmiany pomarańcz i cytryn, 340 Erica, 40 Ficus, 40 Fuchsia, 20 Gladiolus (m. in. *blandus*, *psittacinus*, *versicolor*), dużo oleandrów, 50 pelargonji, 20 Pteris, 100 Rhododendron, 280 odmian róż, z nich Aimé Vibert, Hardy i parę innych hodowane i obecnie, inne zarzucone. Z palm jednak podano tylko Chamaerops i Latania (po 5 — 10 złp. sztuka), inne jeszcze się nie rozpowszechniły. W każdym razie przytoczone szczegóły, dają pojęcie o niezwykle bogactwie zbiorów roślinnych, w Medyce. Była tam również szkoła dla ogrodników.

Obszerne ogród Potockich, w Łańcucie, przerobiono wówczas na park angielski, a znalazło się w nim dużo drzew obcych, które czasem wyrosły w potężne, wspaniałe okazy, będące dziś jeszcze ozdobą tego znamienitego ogrodu. Są między nimi sosny wejmućkie, surmje (*Catalpa*), trójgliczniki, orzeszniki, dęby i in. Ale iglastych z tego czasu mało, bo je zaledwie wtedy Douglas, Michaux i in. zaczęli nadsyłać do Europy, głównie z Ameryki północnej. Oczywiście były i tu wielkie, zasobne szklarnie, sady i warzywniki.

Zresztą posiadamy wyjątkowo dokładny opis zamku i ogrodu w Łańcucie, który dał Al. Horodyski w Gazecie Polskiej, z r. 1827 № 7. Chwali piękne położenie faliste, z wodami, gajami i łąkami. Park założono umiejętnie (jaki ogrodnik?), a drzewa w zespołach, czy pojedynczo, powiększyły urok tego miejsca. Widział tu pyszną katalpę, „niepospolitą“ ozdobę, dalej platan, trójgliczniki, orzech czarny i popielaty, *Quercus discolor* i *Q. tinctoria*, piękny klon cukrowy (*Acer saccharinum*), jesion jedno- i drobnolistny, tudzież mannowy (*Fraxinus ornus*). Piękna grupa *Pinus Strobus*, której to sosny używano na maszty, a jak dodaje, w Myślenicach, pod Krakowem, zasiano od lat 18, cztery morgi lasu tą samą; lasek ten „wydaje już płatwowe drzewa, na chudej glinie“. Dalej były tu akacje i *Gingko*.

Pomarańczarnię na 130 stóp długą i jak zamek wysoką, postawiono według planu Aigner'a, z jońskim przedsionkiem, na kolumnach. Mieściło się w niej kilkadziesiąt pomarańcz, do 16 stóp wysokości, w koronie 10 stóp średnicy, przy obwodzie pnia 20 c., obciążonych owocami. W rogach — 2 cyprisy, na 20 stóp wysokie. Zdaje się, że urządził ją Jan Zulauf, nakształt szenbrunskiej. Ogród ten, rodem z Fuldy, kształcił się na dworze księcia Oranji. Były tam liczne inne rośliny szklarni zimnej, które wylicza, a między in. wspaniała magnolia, „lecz nie tak pyszna, jak w Krakowcu“, (u Cetnera). Piwonję drzewiastą (*Paeonia arborea*), trzymano nie w gruncie, lecz w szklarni.

O pół godziny drogi od Łańcuta była też druga szklarnia, a w niej ogromne laurowisnie, „po 2 sążnie w koronie mające“. W cieplarni, (prócz ananasarni oddzielnej) rosły: sagowce, kawa, wanilja, *Sagus*, daktylowce, *Eugenia pimenta* (angielskie ziele) i wiele in.

Ogród ten ciągle dopełniany i doskonalony, należy i teraz do najślawniejszych w Polsce¹⁾.

Okazały park, pod koniec XVIII w. założyła Lubomirska w Krzeszowicach, nieopodal Krakowa, słynny z dalekich, a pięknych widoków,

¹⁾ Opis mój, Łańcuta, po wycieczce w roku 1922, podałem w „Ogrodniku“ i „Przeglądzie ogrodniczym“.

który potem przeszedł na Potockich. Jest tam wielka osobliwość, potrójne aleje ze strzyżonych grabów i przewspaniałe, sadzone przez Chłopickiego dęby. I tu znajdowały się bogate w rośliny, szklarnie oraz duże sady.

W Wielkopolsce do znamienitych należała Winnogóra, H. Dąbrowskiego, wodza legionów, w której obok ładnego parku, znajdowała się porządnie prowadzona winnica, na 10 ha. jedna z największych w Polsce. W Goli, Potworowskich, obok pięknego do dziś parku, słynęły w szklarniach, wielkie, starannie wyhodowane mirty, granaty, oleandry i in. podobne.

Ale najznamienitszym może stał się Gołuchów, pod Pleszewem, założony przez Izabelę Działyńską, córkę ministra i dyplomaty, Adama Czartoryskiego. Były tam wszystkie działy ogrodnicze, niezwykle starannie utrzymane, a istniała również i szkoła dla ogrodników.

A obok Gołuchowa, w równym rzędzie należy postawić Kórnik, najbogatszy w rzadkie drzewa w Polsce, założony w końcu XVIII w. przez Teofilę z Działyńskich Potulicką i około r. 1840 przerobiony i niezwykle zubożony przez Tytusa, a zwłaszcza p. Jana Działyńskiego. Jan D. był pierwszorzędnym miłośnikiem i znawcą drzew, więc też dobór iglaków jest w Kórniku jedyny, bogaty, różnorodny, a okazy również nadzwyczajnej piękności.

Na Litwie też przybyło dużo okazałych ogrodów. W Neplach, blisko Bugu, zasłynął ogród Niemcewiczów, z kilku tysięcy roślin szklarniowych. Gdy około r. 1880 był w Neplach, jako doradca jenerała Kierbedzia, który je wtedy nabył, widziałem tam jeszcze dużo starych kamelji, jako resztki owych zbiorów. Była tam za Niemcewiczów winnica, ale grona rzadko dojrzewały. Park na piasku, dosyć pospolity.

Za to słynny z piękności był park Chreptowiczów, w Szczorsach, z potężnymi później drzewami. Może plan nań dał Mikler, ale go nie zakładał, bo na Litwie nie był. Dubrowlany — Gintrow, też zasłynęły ze zbiorów roślin i wspaniałych drzew. Toż samo trzeba powiedzieć o Towianach — Radziwiłłów.

Duży, ale niezbyt piękny park, założyła Anna Jabłonowska w Wysokiem Litewskim, na lekkiej ziemi. Widziałem go około r. 1885, gdy należał do Potockich, ale już pierwotne zarysy utracił. Istniały tam wówczas pędzarnie brzoskwiń, którym domorośli ogrodnik nie bardzo mógł dać rady. Szczycił się ogród Bułhaków w Nowej Dobośni, olbrzymiemi lipami i zasobnymi szklarniami. A wszak, wracając na Ruś należy zanotować, że poza pracami Miklera założono tam jeszcze inne wybitne ogrody. Zwłaszcza nad malowniczymi rzekami, które poprzerywały płytę granitową i przyozdobiły fantastycznymi ska-

łami swe brzegi. Inne parki znalazły się na zboczach parowów lub między wzgórzami, wśród których, w dolinie, płyną strugi lub rozlewają się często wielkie jeziora; wyborna ziemia wszędzie sprzyjała szybkiemu i bujnemu wzrostowi drzew. Więc przedewszystkiem park Potockich, w Peczorze, pod Braclawiem, zasłynął daleko, nie tylko z malowniczego położenia, pięknych widoków i obfitości potężnych skupin, ale także z kaskady do 15 m. wysokiej, co stanowi wielką u nas osobliwość. I tam szklarnie napełnione były pięknymi i rzadkimi roślinami.

Albo znów Maków Raciborowskich (później Orłowskich), blisko Kamieńca Podolskiego. Prześliczny z rysunku i stanowiska, z rzadkimi drzewami, sprowadzonymi przez Odessę, takimi, jak tulipanowce, osobliwe dęby, czerwone buki i inne. Nieopodal od niego, w Michałowie, przy pomocy i poradach botanika Antoniego Andriejowskiego, założył ogród niezwykły, Mikołaj Makowiecki. Nagromadził w nim wielkie mnóstwo osobliwych i ciekawych roślin, zarówno w szklarniach, jak w gruncie. To zamięrowanie przeszło na jego wnuka Stefana, znakomitego znawcę, miłośnika i hodowcę roślin¹⁾. Bolszewicy w r. 1918 zniszczyli park ten drogocenny, do cna; nawet śliczne i urozmaicone rośliny cebulkowe wyrwali i podeptali nogami, a po wielkim doborze drzew i bylin, śladu niema.

Nieco wcześniej założył Wincenty Potocki park w Niemirowie, słynącym z węgierki, na doskonałej ziemi. Przerabiano go i dopełniano ciągle, aż do bolszewickich wandalizmów, tak, że stał się prawdziwą chlubą Podola. I chociaż z nazwy należy przytoczyć tu takie, parki jak w Antonówce, Potockich, Pohrebyszczu-Wierzchowni, Rzewuskich (okazałe palmy), w cudnym Romanowie, pomijając b. wiele innych na Ukrainie. Na Wołyniu zaś nie podobna choć dłuższą wzmianką nie zaznaczyć ogrodu w Antoninach, o 20 klm. od Zwiahla. Założyła go w r. 1800, dla Marji z Sanguszków Potockiej, jej babka, Klementyna z Czartoryskich Sanguszkowa, według planu ogrodnika Sokołowskiego. Są tam wspaniałe aleje lipowe, grabowe i świerkowe obok gaików z różnych drzew i obfitych kwiatów. Była tu dawniej bagnista nizina, którą osuszono, a przeprowadzone przez park kanały zasila woda z rzeczki Iskopeci; nad niemi przerzucono kilka mostów kamiennych, t. zw. „kozackich“. W r. 1803 wystawiono szklarnię zimną, cieplarnię, ananasarnię i figarnię, potem pałac i na pobyt dla księżnej Klementyny „domek chiński“.

Park i ogrody rozwinęły się wspaniale, szczególnie pod umięję-

¹⁾ Można poznać i ocenić jego wiedzę z licznych artykułów w „Ogrodniku Polskim“ pomieszczonych. Obecnie redaguje „Przegląd ogrodniczy“ lwowski.

tną ręką Wincentego Zieńkowskiego (od 1846—1856 r.), a później Trzyckiego (czechy)¹⁾.

Zasługuje również choć na krótkie omówienie wielki park w Białocerkwi. Niegodziwemu hetmanowi Branickiemu podarował Stanisław August ten majątek w r. 1775. Gdy ten przeniósł się tam z Lubomla Wołyńskiego, wnet założył za miastem park i nazwał go Aleksandrią, na cześć swej żony Aleksandry z Engelhardtów (siostrzenica faworyta Katarzyny, Potemkina). Urządzanie trwało do r. 1788, zakładał zaś park, według swego planu i gustu inżynier Metzel, twórca Zofijówki. Słynne białodrzewy, które, gdym w r. 1881 był w Białocerkwi, przedstawiały się jako prawdziwe olbrzymy, posadził car Aleksander I i jego rodzina, w r. 1818, gdy odwiedził Białocerkiew. Zresztą drzew osobliwych znalazłem tam mało (lipa wielkolistna, *Virgilia lutea* i parę innych, między niemi), ale za to wspaniałe dąbrowy. Radzono się mnie, czy warto pobudować nowe szklarnie dla prześlicznej palmy, *Latania borbonica*, w gruncie starej palmiarni, w duże drzewo wyrosnąć i dla *Ficus elastica*, podobnie w gruncie niskiej cieplarni, podpierającego jej walący się dach oszklony, ramionami, w olbrzymie dwa U rozchodzącymi się. Ogrodnikiem od 1815 r. był tu ogrodnik z Berlina, Gens (zwano go Jens), do starości. Dopiero ogrodnik Renger, czech rodem, od r. 1882 czy 3, podniósł podupadłe ogrody. Były w Białocerkwi wielkie figarnie i ananasarnie, a ja sam widziałem b. grube i stare morele i przepyszna kratę wina na murach; dojrzewał tam nawet Czausz turecki.

Na założenie i utrzymanie tych ogrodów szły wielkie pieniądze, których dostarczały plony z żyznej ziemi, a trudnych nieraz robót dokonywała pańszczyzna. Rośliny do nich sprowadzano głównie z Odesy i Rygi. Korzystały też ze szkółek w Rydze i drogi z morskiej, liczne piękne parki, założone wtedy w Inflantach polskich.

Książki ogrodnicze, niezbyt liczne w tym okresie, wyszły z pod pióra dyletantów, z jednym wyjątkiem. Niektóre z nich są b. mało warte, jak Wacława Sierakowskiego: „Postać ogrodów, która do dwóch zmysłów: smaku w owocach i powonienia w kwiatach ściągają się” (Kraków, 1798 r.). Sam ten tytuł dziwaczny zapowiada, co może znaleźć się w treści. Napisał ją „dla mającej gust w ogrodach szlachetnej młodzieży”, a to dlatego, „bo wszyscy lubią ogrody: Kupiec od swych banków odchodzi uprawiać swój ogród. Rzemieślnik, iż cały dzień nie może odstąpić warsztatu, aby we faierkach (t. j. zapewne

¹⁾ Więcej o tem szczegółów podał p. F. K. w „Ogrodniku Polskim” r. 1882 na str. 25.

w doniczkach) mieć u siebie kwiaty, stara się. Na wsi zaś sąsiad się nad sąsiada przesadza i na wydoskonalenie ogrodu ni kosztów, ni pracy nie żałuje”. Czy tak ogrodnictwo naprawdę było przez wszystkie stany umiłowane, wątpić się godzi, bo jeszcze i teraz przecie takiego zainteresowania się nie ma.

Błędy i bałamuctwa w tej książeczce zawarte pewno nikogo nie nauczyły sztuki ogrodniczej, a raczej szkodę przynieść mogły. Lepsza nieco jest książka W. S. (cypiona): „Zabawy plantacji miejskich” z r. 1806; kompilacja Pliniusza i Kłuka, a może i innych, bo choć pełna dziwactw i błędów naukowych, zawiera jednak i wskazania dobre¹⁾. Do nich zaliczyć można spisy drzew ozdobnych, do różnych celów (czy aby wszystkie wymienione były wtedy w ogrodach naszych?). Jako bluszcz, podał dzikie wino. Wiadomości o drzewach i odmianach owocowych podał z Lennego. Odmian jednak polskich nie ma tu; jako ojczyznę sztetyn podaje Pomorze, co jest możliwe. Wiadomości o warzywach wypisał znów z jakiejś książki niemieckiej. Ciekawa jest mieszanina wczesnych warzyw, podana tu, a zapewne wtedy stosowana w praktyce, w ziemi nawiezionej „dobrym wystawym gnojem, woranym”. Snać na przestrzeni pół morga jesienią: 1/2 ft. nasienia marchwi, po 3/4 ft. pietruszki i pasternaku, po 1 f. cebuli, maku (!), buraków czerwonych, po 1/4 szpinaku i łobody, po 1/2 f. trybulki, kopru, anyżu, gorczycy, czarnuszki. Nasiona te zmiesza się razem z 2 korcami ziemi i posieje. Grunt trzeba potem „utłoczyć”, a leżąc pod śniegiem (o ile jest), wzejdą o 7—8 tygodni wcześniej (?), niż wiosną siane. Tylko buraki mogą łatwo zmarznąć, a zbyt gęsto wzeszłe rośliny trzeba przerwać, o czem nie mówi. Szparagi kazał sadzić „co pół łokcia” (!).

W obszernej książce ks. J. Siarczyńskiego: „Sztuka ogrodnicza czyli o ogrodnictwie” (Kraków, r. 1805, u Tekli Gröblowej), zmieszane są rady dobre i złe. Czerpał z książek niemieckich, jak sam się przyznaje, „bo naszych książek mamy ileżkolwiek, ale nie dosyć”. Szkoda, że nie umiał wybrać dobrych źródeł, bo jakkolwiek słusznie twierdzi, że odmiany księżycy nie mają związku z ogrodnictwem, to jednocześnie doradza nasiona tulipana, lewkonji, goździków, rozmięczyć w gorzałce lub krwi ludzkiej (!), a przedziwne kwiaty będziesz miał. Lubo twierdzi, że „z samego opisania wątpię, aby kto potrafił

¹⁾ Jak mało rozumiał się na nauce, dowodzą takie zdania: „Rośliny naciągają wilgotne powietrze, wodorem zwane”. Drewno, masa ściślej, rdzeń nazwana; łuby mają się do niego, jako łupież (skóry) na zwierzętach”. „Sprawa nutrycji (żywienia) w roślinach odbywa się lustrowaniem wilgoty (!) pożywnej, w kształcie pary, za pomocą ciepłoty ziemi, przez słońce” i t. d.

doskonale zakładać ogrody“, podaje jednak przepisy o zakładaniu ogrodów ozdobnych, bodaj z Krescentyna.

Chrzan radził mnożyć z nasion (wiadomo, że ich nie wydaje), a „żeby był przyjemnego smaku, moczyć nasiona w wódce osłodzonej“. A zaś „przeciw robactwu... pod gałęzią najniższą (drzewa), w pniu dziurę robić do jądra i nasypać w nią ziemi z żywym srebrem“. Inspekt kazał zakładać w dole ocembrowanym, 6 stóp głębokim!

Do rad dobrych zaliczyć trzeba, żeby nasiona do siewu, co 3 lata zmieniać, siać i sadzić nie gęsto i t. d.

Treściwym podręcznikiem miała być książeczka, nieznanego autora: „Doświadczony ogrodnik“ (Wrocław, u B. Korna r. 1815), poświęcona tylko drzewom owocowym. Twierdzi on we wstępie, że „wszystko, co to dziełko zawiera, zasadza się na własnem doświadczeniu autora, prawie 50 letniem“. Szkoda tylko, że o nauce nie miał pojęcia, a i sam był słabym spostrzegaczem. Ale to, co wypróbował, podaje dobrze, jak: żeby wiśnie szczepić od połowy lutego, drzewa pestkowe sadzić co 14 — 20 stóp, a ziarnkowe — co 30 stóp i nie głębiej, niż rosły poprzednio.

Ale za to naucza: „Główne prawidło do zrywania wszelkich drzew owocowych jest: tam naturze wsparcia i pomocy dodać należy, gdzie sama do celu od nas zamierzonego dojść nie może“. Sądził, tedy, że przyroda potrzebuje w swej cudownej pracy, ludzkiej pomocy i wsparcia!

Na chorobach i „robactwie“ też się znał nie lepiej.

Niemaló rzeczy, ogrodnika obchodzących, znajduje się w książce pijara, ks. Ładowskiego, wydanej w Krakowie w r. 1804, p. t.: „Historja naturalna kraju polskiego“. Zebrał je „z pisarzów, godnych wiary, z rękopismów i świadków oczywistych“. Podajemy niektóre ustępy ważniejsze i pewne znaczenie dla swego czasu mające. Ułożona jest alfabetycznie. Więc „agrestem obsadzano przedtem kwatery, ale że drzewa suszy, sadzą go na ustroniu; lepiej go sadzić w jesieni“ (słusznie!). *Amadotte* są gruszki zimowe przednie, trwają do lutego; sadzą w wielu ogrodach, tak, że stały się prawie krajowemi“. Odmiana ta francuska ustąpiła z sadów obecnych, przed lepszymi, ale musiała wtedy być znana, z wieloma innemi, z Francji sprowadzonemi. Anyż wtedy tak obficie widać uprawiano „między Pińczowem, Buskiem, a Wiślicą, że czasem jeden kmieć może przedać do kilkunastu korcy i cóż dopiero mówić o intracie Panów szlachty!“ Wiemy, że go wywożono około połowy XVIII w. z Galicji, a potem się i nad Nidą widać rozpowszechnił, gdy dziś ta hodowla jest prawie zarzucona, niesłusznie.

Autor pisze, że „aprykosi utrzymują się po wielu ogrodach“, co do naszych czasów dotrwało w Sandomierzu. Odróżniał arbuzy białe

i czerwone. „Na Podolu i Ukrainie całe ogrody i pola niemi napętniają“. Była to zatem owa uprawa basztanowa, która później przeszła na Besarabję i Chersońszczyznę.

„Chrześcijanek“, gruszek (*Bonchrétien*) najwięcej hodowano jesiennych, dziś zarzuconych; trwały one, jak mówi, do marca. „Brokoli“ siane w różnych porach, służy do stołu, za specjał. Teraz brokuły ustąpiły miejsca lepszym od nich i wydajniejszym, kalafjorom.

Mniema, że brzoskwinie z odstającym od pestki mięsem, są „samice, a gdy się mięso trzyma — samce“ (!). Bulwy używano do kuchni. Cebulę uprawiano wszędzie, „a zwłaszcza na Podlasiu, gdzie uplatają ją w wieńce i rozwożą po różnych stronach“. Zналиśmy takich cebularzów, roznoszących cebulę, głównie czerwoną, wplecioną w warokocze ze słomy, jeszcze około r. 1855. Między typami warszawskimi Piwarski narysował i takiego handlarza ulicznego. Twierdzi, że cyprys widział w Kocku, przeniesiony z lasu, „więc musi się znajdować w Polsce“. Wiemy, że mógł to być jedynie jałowiec.

„Drzewa zagraniczne: cytryny, pomarańcze, morele, pigwy, brzoskwinie, kasztany, figi i inne, rodzą się (?) i utrzymują w kraju naszym, w dobrej ziemi i na zimę dobrze opatrzone. Takich wszędzie pełno po ogrodach pańskich i tych, którzy się w tem kochają“. Że „w ziemi“ tylko pigwy, morele i brzoskwinie udawać się mogły i to w określonych warunkach, wogóle przyjaznych, wiemy to doskonale, więc twierdzenia te mijają się z prawdą. Natomiast cytryny i pomarańcze posiadano w wielu miejscach, bo i sam później widziałem po licznych dworach owe „oranżerje“, od pomarańcz nazwane. Były to jak gdyby wielkie izby, z oszkloną przednią ścianą i pułapem wygiętym lub w tył spadającym. We Frascati, w Warszawie, istnieje jeszcze taka, zarówno jak ogromne tego typu 3 budynki, w Łazienkach.

Groch pomieszał z fasolą, bo odróżnia: „cukrowy, pospolity (łuskowy?) wielgogroch, zielony i „w różnych kolorach, wiele go do Gdańska i dla flisów wychodzi“. Więc wywożono groch, ale nie fasolę, bo tę na większą skalę w polu zaczęto u nas hodować dopiero czasu wielkiej wojny, pod okupacją niemiecką, gdyż Niemcy zabierali groch, a fasoli nie. Za to na Podolu siewano jej dużo i przedtem.

Z gruszek wymienia niektóre odmiany polskie lub zdawna przyswojone, jak: Małgorzatki, Jakubówki, Pasówki i Panny (są to synonimy), Gdule i Dawidki, które dawia (t. j. dławia) i ledwie jeść się dadzą. Wszystkie te małe lub cierpkie gruszki, dziś już u nas zatracono. Ale obok nich „w Polsce w ogrodach rozmaite gatunki gruszek rodzą się i zażywają się prosto z drzewa (takie, jak wiemy, nigdy nie są tak smaczne, jak dojrzałe w leżeniu), w cukrze smażą lub

w piecu suszą na zimę". A do suszenia nie wybierano, jak dziś, wyborowych, stąd też długo jeszcze używaliśmy (na wilgę) suszu na pół spalonego i pełnego kamyków, z Jedwabnic, Pomarańczówek, Bab i im podobnych.

Że „kalafjory siane w styczniu w inspekcji i przesadzane, dają nawet czasami nasienie“, to jest prawda i ogrodnicy warszawscy, odkąd zapamiętam, tym sposobem otrzymywali własne nasiona kalafjorów erfurckich, a i ja sam raz je miałem w ogrodzie Pomologicznym.

Na Żuławie kapusta bywa tak wielka, że głowa ma 5 piędzi (75 — 80 cm.) cyrkumferencji“. Z głabów robią mąkę i chleb smaczny pieką, z przymieszką żytniej, w czasie głodnym“.

Że „karczochy w krakowskim są sławne na całą Polskę“ (od czasu Bony), to już wiemy.

Ziemniaki czyli kartofle, zaleca zwać je „jabłkami ziemnymi“ (*Erdäpfel*), co dowodzi, że się istotnie powtórnie z Niemiec do nas dostały. Uważa je za strawę posilną, osobliwie dla pracujących, „bo krew mnożą i sprawności mężczyznom udzielają“. A przecież zawierały wtedy jeszcze mało mączki. Twierdzi, że z nasion u nas udać się nie mogą, co dowodzi, że tej łatwej sztuki nigdy nie wykonywał. Charakterystyczne dla ówczesnych odmian jest to, że „pieką z nich ciasta różne i chleb, ale nie każdy żołądek potrafi je strawić“. „Kartofle surynamskie (czy nie bataty?) zaprowadzone są do kraju przez księżnę wojewodzinę bractawską (Jabłonowską), które są 3 razy większe od pospolitych i po wielu miejscach już są rozmnożone“. Ze to jest możliwe, dowodzi, iż Hipolit Cybulski hodował bataty w ogrodzie botanicznym warszawskim w r. 1871 — 3 i miał z nich dojrzałe kłęby, o ile lato było ciepłe.

Łubin odgoryczony zwał kawą krajową, zwłaszcza po zmieszaniu z paloną cykorią.

Pod wyrazem „Małopolska“, za Sarnickim wspomina, że około Sandomierza było tyle winnic i sadów, że miasto wydawało się jakby w lesie położone. A dalej: „Łatwiej by ziemia nasza obfitowała w winnice, gdyby pagórki, leżące na południe, chciano uprawiać, jak dziś widzimy w Wawrzeńcycach“. Zatem były i tam winnice, ale niewiadomo, jak obszerne i jak prowadzone. „Ale mniej o to dbamy, mając Węgry bliskie, które, według Opalińskiego, są piwnicą polską“.

„Z marchwi robią powidła, które gdy zcukrzeją, mogą służyć za konfitury. Melony „kandalupy, o mięsie zielonem“, radził słusznie, dla przyspieszenia, nakrywać „szklanymi kapeluszami“, t. j. dzwonami. Ale ta uprawa w Polsce dotąd nie jest stosowana.

Migdał „panowie chowają po figarniach“ i tak być mógł, ale nie w gruncie, jak pisał Urzędów i inni.

Ogórki „pospolite“ odróżnia od holenderskich zielonych i białych. Zatem były to zapewne ogórki krótkie, wcześniejsze od dużych holenderskich; kazał je siać środkiem zagona, na podłożonym oborniku i końce „długich chmielin przycinać, bo podłe rodzą owoce“. Rady dobre. Najobficiej rodziły w Sandomierzu, Pacanowie i Brześciu Litewskim, „gdzie za 3 grosze, kopę dostanie“. Były tam zatem większe uprawy warzyw, a za to w Przybyszewie jeszcze się może nie były rozposzechniły, bo o nim wzmianki nie ma.

Orzech włoski „dobrze się u nas utrzymuje osobliwie w Podgórzu (na Podhalu)... jarosławianom wielki czynią pożytek, co wszystkim wiadomo“. Wiemy z percept, że to oni właśnie dostarczali orzechów do Warszawy i na wywóz.

Co do pietruszki, to „w Pomorskiem, we wsi Walichnowie, rodzi się długa na łokieć, a gruba jak pięść; ledwie nie takąż w Kacicach, pod Krakowem“. Tymczasem nawet do Francji, pietruszkę korzeniową, której uprawę zaniedbano, wprowadził powtórnie ogrodnik Margueritte, z Nowego Sadu, pod Warszawą, któregośmy jeszcze znali ¹⁾.

Piwonję chińską już u nas hodowano, bo wymienia pojedyncze i pełne, różowe i białe ²⁾. Poziomki znał tylko dzikie.

Rzepa z Czernowa, pod Toruniem, tak była sławna, że ją do innych krajów wywożono, podobnie jak z Rumsk, na Kaszubach. „Przyznać trzeba, że w smaku jest delikatna i zdrowa“, powiada.

Twierdzi, że śliwki surowe posyłało od nas statkami do Gdańska. Trufle, które zwie tartoflami lub gdulami, wyszukiwały wieprze lub psy, na sznurku uwiązane. „Przedają je w sklepach, na funty, dość drogo, do przypraw“. Były to więc trufle krajowe (*Elaphomyces granulatus*), które przy nas jeszcze pewien żydek, z pieskiem wyuczonym, zbierał pod wielkimi dębami, w Otwocku.

Wiadomości te uzupełniają, choć w części, wiedzę naszą o ogrodnictwie tego okresu. Dodaje do nich to i ową, inną podobną książeczką, bardzo widać rozpowszechnioną, bo mały przed sobą jej wydanie V-te z r. 1808. Te „Doświadczenia w gospodarstwie, ogrodnictwie i rękodzielnach“, napisał nieznany autor, dość zresztą bezładnie.

¹⁾ Zob. G. Ghibault, „*Histoire des legumes*“, Paryż 1912 r.

²⁾ Ciekawe co mówi o piwie, które jest napojem odwiecznym słowiańskim, a w Polsce je wybornie robiono. „Klemens VIII, wielce kochający naród polski, od czasu jak zaczął pić piwo, w Polsce, będąc nuncjuszem, tak sobie upodobał ten trunk, że zostawszy papieżem, prosił, by mu z Polski posłano takich, którzyby mu robili piwo w Rzymie“.

Zaleca on smarowanie kory drzew starem sadłem, bo wtedy „robactwo strzęsione, na nie nie włązi”. „Betki czyli szampiony mieć można, założywszy w piwnicy inspekt, złożony z gnoju, końskiego, gołębiego i ziemi”. Zaleca słusznie nacinanie kory, wzdłuż, na drzewach pestkowych i zasilanie drzew ługiem popiołowym, nalany w dół, zrobiony koło drzewa. Jest to więc pierwszy krok do zasilania nawozami mineralnymi, lecz nie pełnymi, stosowanymi dość szeroko w naszych sadach, obecnie. Doradzał zresztą drzewa nieplodne (powinno być już nie rodzące) zasilac polewką z wody, z dodaniem pomiotu gołębiego, owczego, mierzwy i ługu popiołowego, co już stanowi nawóz zupełny i było radą doskonałą, tylko, że mało kto jej słuchał wtedy, a jeżeli posłuchał, podlewał drzewa tuż przy pniu, gdzie korzeni żywiących zwykle nie ma. Dobrze podał autor, jak z nasion ziemniaków otrzymywać nowe odmiany. Kwiaty od przymrozków radził bronić polewając ziemię, między nimi, wodą. Istotnie wywiązane w ten sposób opary, mogą, w małym stopniu, stanowić ochronę.

Gdybyśmy teraz chcieli określić ogólny stan pojedynczych działów ogrodnictwa w Polsce, w tej epoce, to z przytoczonych powyżej wiadomości i in. nie podanych tu, dla utrzymania zwartości tej książki, wynika, że warzywnictwo było dosyć rozwinięte.

W ogrodach magnatów hodowano nawet warzywa rzadkie i wymagające umiejętności; u ziemian nie brak było warzyw pospolitych. Pod Warszawą, Krakowem, a może i in. miastami, jako też w pewnych ogniskach, gdzie warunki sprzyjały, były nawet większe hodowle.

Mieszczanie, w swych ogródkach, które się dotrzymały, nawet w Warszawie, do okresu jej rozwoju budowlanego, po r. 1880, a tem bardziej w miastach mniejszych, jak Płock, Lublin, Radom, Kielce, siewali warzywa na swoją potrzebę. Tylko włościanie, o ile sądzić można, ze skąpych wzmianek, warzyw nie uprawiali. Kapusta i u nich nie była osobliwością, ale nawet buraki i ogórki, miewali oni tylko w pewnych okolicach kraju.

Znane były po dworach przyspieszniki, nie szcędzono pod warzywa nawozu. Nasiona łatwiejszej hodowli były własne, inne nabywano w sklepach Warszawskich i może na rynku, choć to nie jest pewne. O przetwarzaniu warzyw, a zwłaszcza ich suszeniu, wiadomości nie ma. Ziemniaki zapewne w ogrodach też już uprawiano, ale uprawa nie była wczesna, ani przyspieszana. Te znane nie były, bo nikt o nich nie wspomina.

Owoców było miejscami tak dużo, że je wywożono (śliwki, jabłka z Małopolski), tu i owdzie na miejscową potrzebę dosyć, ale naogół zamało. Ilość odmian znaczna, przeważnie obcych: francuskich,

włoskich i niemieckich. Swojskie, niezbyt liczne, hodowano po dworach, w sadach na Powiślu i t. p. Ale jakie odmiany były rozpowszechnione, nie wiemy, z książek, a wyliczane przez niektórych, nie są pewne. Nie mieliśmy bowiem żadnego owocoznawcy, ani przedtem, ani wtedy, jeżeli rozumieć przez to zawodowego pomologa. Nikt się naukowo na odmianach nie znał, a choć St. Wodzicki w swej „Notice” napisał, że hr. Jan Uruski, *est un pomologue fameux*, to przecież na potwierdzenie tej sławy, Uruski żadnego dowodu na piśmie nie pozostawił.

Tylko o nielicznych odmianach z tej pory, dało się zebrać wiadomości. Więc tenże Wodzicki pisze iż jabłka Tyrolki (*Rosmarin*), sprowadził z Roveredo, (Tyrol południowy), że bywały u niego dość ładne, ale bez smaku, co i my też później stwierdziliśmy; za mało one u nas mają ciepła i wilgoci w powietrzu. Kalebasy płockie (*Grumbkower Winterbirne*), pierwsze, któreśmy jeszcze widzieli nawet, miał przywieźć i posadzić w Płocku ogrodnik Goetz, czasu zaboru pruskiego (od 1795—1807). W Płocku też widzieliśmy z owej epoki, jak dęby wielkie, Królewny, gruszki nie mające sobie równych do pieczenia i na wyroby cukiernicze. Jabłka w wielu odmianach, a zwłaszcza Sztetyny, Rapy, Rambury i liczne Renety, bliżej zresztą nie skreślane, były wszędzie. A z nimi razem, Moregi, Burty, Mnichy, Grzechoty i in. pochodzenia swojskiego lub niepewnego.

Ze śliwek ogromnie rozpowszechnione węgierki, głównie nad Sanem i Wisłą, czereśni stosunkowo mało, wisien dzikich b. dużo; pod Warszawą chętnie je hodowali koloniści sasi, mianowicie na piaskach.

Ze szkółki istniały w Mało- i Wielkopolsce, wiemy już. Z nich pochodziły szczepy lepsze, ale bardzo też dużo szczepiono u siebie, na dziczkach z lasu wykopanych i do sadu przeniesionych, co u włościan jeszcze i teraz się praktykuje.

Drzewa do parków brano swojskie z lasów, może też były i jakieś ich szkółki. Zagraniczne przywozili możni, nie żałując nieraz pieniędzy, bo przywiezienie, w dobrym stanie, wozami lub wodą, kosztowało dużo, droga trwała długo, dużo roślin ginęło. Z zagranicy też pochodziły chmieliny, byliny, róże i różne rzadsze kwiaty.

Co do tych ostatnich, to do dawniej znanych i hodowanych, przybyło teraz dużo kwiatów nowych, bo obfitowały w nie już ogrody i zakłady ogrodnicze. Wszak przywieziono ich dużo z Azji i Ameryki. Tak, z cebulkowych, obok znanych zdawna w Polsce tulipanów, hiacyntów, koron cesarskich, narcyzów, lilji białych i t. d., pojawiły się teraz amarylki, tacety, zonkile, tuberozy, różne lilje i in. Przybyło bylin, pod wpływem ogrodników angielskich, powstały bogate doборы róż.

Sztuka układania z kwiatów wiązanek i ubierania nimi wazonów, miała nawet już wtedy w Polsce niepospolitych zwolenników, prawie artystów.

Na potwierdzenie tego mamy dziełko hr. Morskiej, rzadkość bibliograficzną, gdyż wydane tylko w 50 egzemplarzach. Jest to „Zbiór rysunków wyobrażających cenniejsze budynki wsi Zarzecza (Galicja) częścią z natury zdjętych lub uprojektowanych, z opisem budownictwa wiejskiego w sposobie holenderskim i angielskim i ogólnymi myślami o przyozdabianiu siedlisk wiejskich”, przez M. M. wydane w Wiedniu 1836 r. z portretem autorki. 40 tablic przedstawia budynki zarzeckie, te mogą zająć budowniczych. Dla nas zaś ma wielkie znaczenie ostatnie 10 tablic kolorowych, które przedstawiają wiązanki i wazony z kwiatami, tak dobrze odtworzone, że bez trudu każdy z nich poznać można.

Zresztą w „małym doborze kwiatów”, na końcu książki pomieszczonym, znajdujemy 100 odmian róż, a między in. Kosińskiana, Poniatowski i in. widocznie w Polsce wyhodowane, a dziś zaginione. Dalej jako kwiatowe rośliny, są tu wyliczone: pełne czereśnie, jabłonki rajskie, czeremcha, bzy i in., dalej dość liczne byliny, dobrane barwami i miesiącami kwitnienia, a wreszcie kwiaty roczne. Między letnimi są: Celosia, Chrysanthemum coronarium, ostróżki, groszek wonny, w różnych barwach, balsaminy, pełne maki, nasturcja. Georgiń wyliczyła 100 odmian, prawie wszystkie dziś zatracone. Inni autorowie z tego czasu też dużo kwiatów wyliczają, nie brakło więc materiału na kwietniki; jak zaś one wyglądały można sądzić z obrazków w „Myślach” Czartoryskiej. Najczęściej były to niby skupiny koliste, wśród trawnika, z różnych roślin kwiatowych, dobierane co do wysokości (najwyższe w środku) i barw. Ale były też znane, nie wiadomo od jak dawna, i proste grządki kwiatowe, przy domu lub przy głównych drogach.

W szklarniach, nawet przy zamożniejszych dworach, utrzymywano pomarańcze i cytryny; granaty i mirty, laury, kamelje i in.; przeważały rośliny trwałościowe, nadśródziemnomorskie. U możnych zaś, oprócz wymienionych, istniały wielkie zbiory roślin szklarniowych, jak sądzić można z dzieł ówczesnych i katalogów. Rośliny niektóre wymieniano z ogrodami botanicznymi krajowymi, a bodaj nawet i z zagranicznymi.

Nasiona doskonalsze sprowadzali, przynajmniej możni, z zagranicy. Mamy na to dowód w spisie nasion, posłanych „do Sofiówki, ogrodnikowi Oliwie”, w r. 1798, który w wiernej kopji podał Stefan Makowiecki w „Ogrodniku Polskim” r. 1893, str. 290. Jest tam długa rzepa „bardzo słodka” i andywja (endywja), cebula biała hiszpańska, Habewurzel (owsiane korzonki?) białe włoskie selery, trybulka, biała melda (lebioda), szpinak angielski, cukrowy korzeń, kapusta brunśwička (już

wtedy!) wężymord zwany tu Skorcionera, „galareppa” podziemna (za-tem brukiew), kalafjory angielskie ranne i cypryjskie najlepsze, ogórki anyżewskie długie zielone i groch inspektowy b. ranny i fasola jakaś do pędzenia, Trbpun (Treibbohne) nazwana, melony z białym mięsem. wiedeńskie, zimowe, tulczyńskie (więc własne z dóbr Szczęsnego Potockiego), arbuzy astrachańskie i wiele in. Ciekawi zechcą ten spis porównać z nowoczesnymi cennikami nasion, a zobaczą, że w magnackich ogrodach w Polsce nie brakło wtedy warzyw, nawet bardzo wybrednych i wymyślnemu smakowi dogadzających.

Taki był stan ogrodów u zamożniejszych, ale jeżeli o całym ówczesnym ogrodnictwie zdanie wydać chcemy, musimy się oprzeć na świadectwie tak kompetentnem, jakim są bez wątpienia słowa Stan. Wodzickiego. Stwierdza on tedy, że pomimo wielkiej ilości okazałych ogrodów, o czym była już mowa, rozwój ogrodnictwa wogóle był słaby, „z powodu ubóstwa właścicieli i wyczerpania skarbu publicznego, aż do r. 1815”. Że państwo żadnej opieki nad ogrodnictwem nie rozciągało, ani mu też pomocy nie udzielało, to jest zrozumiałe.

A jednak doniosła sprawa nauczania ogrodnictwa była już zapoczątkowana w szkołach wydziałowych, niestety bez dodatnich następstw i zabory te poczynania unicestwiły. Były wprawdzie w kraju dość liczne tak zw. szkoły ogrodnicze, u prywatnych, możnych właścicieli, co kilkakrotnie wzmiankowaliśmy. Brak nam materiału do ściślejszej oceny tych „szkół”, ale mamy wszelkie prawo sądzić, że były to tylko usiłowania, udzielenia ogrodnikom swoim, pewnych niezbędnych wiadomości elementarnych ogólnych i zawodowych. Wiedząc jednak jacy byli nauczyciele amatorowie-ogrodnicy, dyletanci, nie zdziwimy się, że nie wypuścili z tych szkół choćby nieco wybitniejszych wychowanków. Nie było zresztą dla tych „szkół” ani odpowiednio przygotowanych nauczycieli, ani jakiegoś planu nauczania, ułożonego przez ludzi, świadomych potrzeb zarówno uczniów, jak i krajowego ogrodnictwa, uczniom zaś brakło ogólnego, niezbędnego przygotowania, na którym musi zawsze opierać się nauczanie w szkołach zawodowych.

Może jedyny wyjątek stanowiła szkoła dla ogrodników, w Medyce. Założono ją jednak dopiero w okresie następnym, bo w r. 1831, a w r. 1835 urządzono w niej kurs 4-letni, pod kierunkiem czecha, Józefa Blaszkę, głównego ogrodnika. W ciągu 4 lat, choćby nauka odbywała się tylko w zimie, można nawet analfabetów dużo nauczyć, według planu i systematycznie pracując. Ale brak nam o tej szkole szczegółów, a żaden z jej wychowanków nie dał się poznać swemi pracami, tak, żeby choć nazwisko jego przetrwało do naszego czasu.

Zresztą w całej ówczesnej Europie szkół ogrodniczych nie było właściwe. Ale za to były ogrody państwowe, instytucyjne i prywatne, nieraz wzorowo prowadzone przez ogrodników ze średnim lub nawet wyższym wykształceniem, a sama umiejętność ogrodnicza, stała wyżej, niż w Polsce. Pod kierunkiem tych światłych ogrodników i w tych znamiennych zakładach, kształcili się praktycznie ogrodnicy i pomocnicy, zanim objęli samodzielne stanowiska.

Niektórzy z tych przygotowanych cudzoziemców pracowali i w Polsce, sprowadzeni przez możnych panów. Ale nie dbali oni o to, żeby polskich swych pomocników uczyć. Nie mieli w tem żadnego interesu. Byli od tego zapewne wyjątki, ale nieliczne i na ogół mało znaczące. Zresztą sprawa ta wymaga dalszych studiów, które może wykażą, jak ona stała istotnie. Tu wydajemy sąd, opierając się na wiadomościach, przez współczesnych pisarzy podanych.

Pomijając milczeniem ogrodnictwo u włościan, jeszcze zaniedbanych i bezrolnych, zaznaczamy z przyjemnością, że w tej epoce dużo dróg publicznych i nawet prywatnych było obsadzonych drzewami i to w różnych prowincjach Rzplitej. Przeważały lipy, a szczątki tych alei, lubo potem tępione i niszczone przez ludzi i czas, do dziś można widzieć w różnych miejscach, a nadewszystko w majątkach panów, które długo znajdowały się w rękach tej samej rodziny.

Warto jeszcze przytoczyć tu niektóre wiadomości o ogrodnictwie podolskiem. Podole bowiem było najbogatszą częścią Polski, lecz nie umiano z niego należycie korzystać. Wyborna ziemia, w połączeniu z gorącym słonecznym latem, sprzyja tam hodowlom ogrodniczym, owoce zaś podolskie, jak piszący to stwierdził naocznie, niejednokrotnie, są równie piękne i smaczne, jak tyrolskie. Ksiądz Wawrzyniec Moraczyński podał o tej dzielnicy cenne wiadomości ¹⁾, z których ważniejsze tu zanotujemy.

Więc w r. 1814 w Winnicy, przy tamtejszem gimnazjum, obok gabinetów fizycznego i mineralogicznego, utrzymywano też w znacznej ilości ogrody botaniczne. Wiadomo, że w Winnicy kapucyni, w ogrodzie klasztornym, hodowali wyborne owoce, a między niemi i winogrona.

Chłop podolski żywił się kukurydzą, żytem, krupami i „ogrodowizną”, t. j. kapustą, burakami i ogórkami (dodajmy i cebulą). Kobiety trudniły się ogrodami, zasiewały je i pełły. Stan chłopcy był ciężki; ksiądz M. wyraża też kilka życzeń w sprawie poprawy losu włościan,

¹⁾ „Statystyczne, topograficzne i historyczne opisanie g. Podolskiej“ r. 1822. 3 tomy.

jako to, żeby rekruci „nie służyli więcej nad lat dwanaście” (!), żeby poddany mógł się wykupić za pieniądze, żeby go bronić od wyzysku żydów i t. d., a w końcu, „żeby panowie zrzekli się nazawsze na rzecz chłopów chałup, sadów, ogrodów i roli, już odmierzonej, A pisał to na 42 lata przed uwłaszczeniem włościan. Zdania tego było już sporo polaków.

Pasiek było w lasach i sadach tyle, że siódma część miodu i wosku wystarczała na miejscowe potrzeby, resztę zaś sprzedawano do Brodów, skąd szły do krajów południowych. Miód, lipiec, wykupywali do Kijowa „sławni konfiturnicy” zamiast cukru. Zresztą do handlu wywozowego należały też i owoce, które szły na Polesie, Litwę, Chersońszczyznę i do Kijowa, tu głównie na konfitury, „które potem rozchodzą się po całej Rusi” ¹⁾.

„Gdyby uporządkowano winnice na wybrzeżu Dniestru, „mogłyby zastąpić przywóz wina z Mołdawji”. W istocie, około r. 1880 widziałem całe wozy winogron, przywożone na targ do Jampola, we wrześniu, ale winnice były w zaniedbaniu, nieumiejętnie cięte i hodowane. Podobnie „jabłka przerobione na jabłecznik zastąpiłyby przywożony francuski cidre. Wynikałoby z tego, że do nas ten napój przywożono, co wydaje nam się bardzo wątpliwem, bo jabłecznik od niezbyt dawna jest przedmiotem handlu (w butelkach) i to ograniczonego, nawet w krajach, w których stanowi napój odwieczny.

Ale bardzo słusznie mówi autor, że wyborne wiśnie i czereśnie podolskie potłuczone i przefermentowane z pestkami, po przepędzeniu przez alembik, zastąpiłyby likiery marsylskie i wódkę pestkową francuską. W istocie też później przerabiała je na wiśniaki likiernia w Uładowie.

Obcokrajowcy osiadali na żyznem Polu i prowadzili tam hodowlę ogrodów, której nie umieli ująć w ręce polacy. Tak w Kamieńcu i Mohylowie podolskim, wołosi i grecy hodowali winne grona, różne owoce i delikatne jarzyny kuchenne. A później wszak przyszli bułgarowie, znakomici warzywnicy. Były tam ogromne plantacje tytoniu, „tak dobrego, jak stambulski”, a samo Podole zużywało go 8000 pudów, Ksiądz M. opisał hodowlę tytoniu, nie różniącą się od dzisiejszej, prawidłowej, w wielu krajach; postępowano też z nim, jak widać z opisu (str. 185) bardzo umiejętnie.

„Zamiłowanie do sadownictwa i rozszerzenie sadów, zawdzięczają mieszkańcy Bracławia, Winnicy i okolic, Szczęsnemu Potockiemu, z Tulczyń, który żadnych nie żałował kosztów na sprowadzanie ogrodn-

¹⁾ Bailly, cukiernik Katarzyny II, nauczył ich wyrobu, miaszczan kijowskich.

ków doskonałych i założenie szkół drzew najwyborniejszych z Francji, Włoch, Austrii, a nawet rozdawał sąsiadom i osadnikom najlepsze drzew owocowych gatunki (odmiany), co było dla niego rozkoszą. Staneły więc wkrótce w okolicy wyborne ogrody owocowe, co się rozpowszechniło”.

Pokój w tej porze dopomógł, że i szlachta, osiadająca na gruntach miejskich, pozakładała futory (zaścianki), a w nich sady śliwowe, wiśniowe i jabłoniowe; (grusz było mało). Z panów przodowali w tej mierze Chołoniewscy i Grocholscy, a Józef Kalasanty Zagórski, w Łuce, założył piękne sady, z drzew, sprowadzonych z Francji; miał też zbiór znaczny przedniejszych kwiatów i ziół zagranicznych. Podobnie wyborne sady miał Bykowski, w Zarzańcach i Jakaszyńcach. Mieli je i Potoccy, Jakowski — w Brańowie, Leszczyński — w Machnówce, Korzeniowski — w Bochennikach, a prócz kapucynów winnickich, słynęli z wyborowych owoców, dominikanie w Tywrowie i trynitarze w Brańowie. Żydzi, z jabłek, gruszek i śliwek, wyrabiali napoje, ale tych używał tylko lud prosty, który sam „tych trunków” robić nie umiał.

Były też za czasów ks. M. wielkie szkółki owocowe, wdowy Eichlerowej ¹⁾, w Głuskowcach — Adama Orłowskiego, a w nich takie gruszki jak: Bergamotka, Blanza, Wirgulesa, Salisbury, Windsor, la Motte i in., a z jabłek: Kanadyjskie, Kalwile czerwone, Gołabki, Rambury, Renety złote, czerwone, perłowe, Kantówki, Kardynalskie, Gulderling, mołdawskie Dominest, Sztetyny, Tyrolki i in.

Z wybitniejszych ogrodów ozdobnych wylicza: w Kuryłówce — Iwanowskich z pomarańczarniami i szklarniami, wielkim kosztem założonemi, w pięknym położeniu, sztuką przyozdobionem; wspaniały ogród Orłowskich w Rowie, w Sewerynowce, słynne morele obok pięknego parku; w Hołodkach — Sarneckiego, z widokiem na cztery powiaty, a obok parku drugi ogród na owoce i trzeci na zioła. Dalej w Morafie — Dziekońskich był ogród ze szpalerami i drzewami owocowymi, opasany murem z basztami; w Borówce — Mańkowskich wielki ogród angielski i liczne sady u mieszkańców. Lecz w Kamionce były wtedy tylko futory z sadami, bo winnice zaprowadził dopiero później, Wittgenstein.

Obfite, choć nie wyborowe owoce u włościan, zakupywali kupcy z Rosji (zwie ich „Filiponi“) i świeże lub suszone, do miast wielkich wywozili. Obok siedzi, całych w sadach ukrytych, były jednak, jak podaje ks. M. inne, bez jednego drzewa owocowego. Pomimo to taniość była taka, że wiadro (około 14 litrów) przednich wisien, zwa-

¹⁾ Miał też duże szkółki Józef Zagórski, w Łuce.

nych tureckimi, płacono po 10 groszy. Z samego powiatu Bracławskiego wywożono do tysiąca wozów jabłek rocznie do Moskwy i Petersburga. Winnica otrzymała nazwę od gorzelni i browarów, których w niej było sporo dla taniego opatu z sąsiednich lasów. Niemirów prowadził duży handel ziołami leczniczymi, hodowanymi w okolicy. Więc były początki przemysłu ogrodowego i wywozu owoców do Rosji, ale nie umiano tych gałęzi należycie rozwinąć i wyzyskać.

Od r. 1815, do likwidacji powstania z r. 1863.

Minęła, jak cudne marzenie, epopeja napoleońska, a z nią rozwiły się nadzieje odbudowania wolnej Polski, pokładane napróżno w wielkim wodzu i cesarzu, który skinieniem zwał na jedne trony, by na ich miejsce wznosić inne. Na kongresie wiedeńskim przypieczętowano i uznano ostatni rozbiór Polski.

Odtąd rozdarta na trzy nierówne części, nieszczęsna ojczyzna nasza żyć musiała w niewoli u trzech drapieżników, ograniczona przez nich w życiu politycznym, ekonomicznym i społecznym, wprowadzie z niejednakowem napięciem w każdym zaborze, ale bądź-co-bądź bez przerwy. Prawa, obyczaje i wszelkie urządzenia państwowe tych narodów rozbiórczych, a zwłaszcza ich stan ogólny, pod względem oświatowym, kulturalnym i ekonomicznym, wywierał przez te lat sto, w wielkiej mierze, swe wpływy i na nas. Że pomimo tego możnego nacisku i ucisku, pomimo więzów, które ją zewsząd krępowały, nie pozwalając rozwijać się należycie, nie zatraciła Polska swego ducha, obyczaju, języka i wiary i nie pozbyła się nigdy żądzy odzyskania wolności, to zawdzięcza niepożytej sile wewnętrznej, którą Bóg wlał w dusze ludów, do dalszego życia przeznaczonych. „Płomienisty“ duch narodu polskiego, jak go trafnie określił książę Uchtomskij, nie tylko rozpałał i podtrzymywał szczery patriotyzm i niewygasłe pragnienie wolności w duszach Polaków, ale zapalał umysły wielkich naszych poetów, pisarzy i innych twórców, do wydawania z siebie takich dzieł, że nie tylko na Polaków działały, jak pieśń Tyrteusza na zwyciężonych Spartan. Te epopeje, poezje, obrazy historyczne polskie szły na świat cały, przypominały bez ustanku niesłychaną krzywdę, Polsce wyrządzoną i budziły uśpione sumienia ludów, które nas poczytywały już po nieudaniu się powstania listopadowego i styczniowego, za naród umarły.

I oto, z woli Bożej, wielka wojna strzaskała trzy rozbiórcze mocarstwa, a zwycięzcy powrócili wolność Ojczyźnie zaszej, oby trwała po najdłuższe wieki!

Ale zanim wyzwolenie nadeszło, naród nasz przeżywał różne koleje i przemiany. Żeby żyć, jak wszystkie twory ożywione, musiał się przystosowywać do nowych warunków, oduczał się mozołnie swych dawnych wad, nabierał sprężystości, a krzepił duchową odporność i wogóle podlegał głębokim przemianom, tak wewnętrznym, jak i zewnętrznym. A nadewszystko, o ile o życie ekonomiczne chodzi, zaczął się zajmować bardziej, niż dawniej, przemysłem, co już nastąpiło po raz pierwszy za sprawą Lubeckiego i Łubieńskiego, potem Steinkellera i in. pomiędzy rokiem 1815—1830, a następnie, choć z trudem i bardzo wolno, również i handlem.

Jednocześnie pod jednakowem dla ogółu Polaków jarzmem niewoli, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, równały się coraz bardziej stany i zacierały pomiędzy niemi granice, przedtem zazdrośnie strzeżone, zwłaszcza w stanie szlacheckim. Ten tracił stopniowo swe dawne znaczenie, gdy natomiast wyrastał i nabierał coraz większej mocy i znaczenia stan trzeci, tworzący się z mieszczan i podrzędnej szlachty. Dorabiał się on pracą i oszczędnością, kształcił coraz bardziej i wyżej swe dzieci, aż stał się głównym kierownikiem spraw narodowych.

W końcu epoki, w którą teraz wkroczyliśmy w tej książce, staje się samodzielnym nareszcie i lud wiejski. Teraz zacznie on uprawiać własny zagon, przywrze do ziemi z żywiołową siłą, będzie jej dogadzał, pielęgnował, w potrzebie nawet stanie w szeregu jej zbrojnych obrońców i choć bardzo powoli i nieznacznie, ale coraz więcej, stopniowo poczuwać się będzie do swej polskości. Ta ostatnia pożądana przemiana odbywa się jeszcze. Patrzymy na nią i pragniemy jaknajprędszego jej skutecznego. Ogrodnictwo polskie podlega w tym okresie przemianom i wahaniom, ale już teraz rozwija się coraz więcej w miarę tego, jak Polacy zaczynają nareszcie pojmować jego znaczenie ekonomiczne, a niektórzy i kulturalne. Bo epoka ta jest bezpośrednią poprzedniczką nowego całkiem okresu, zaczynającego się po roku 1875, gdy ogrodnictwo nasze nabrało takiego pędu, że za lat kilka dziesiątków, bodaj równa się z postępowem ogrodnictwem Zachodu.

Tymczasem jednak w okresie, o którym mówić mamy, brak nam ogrodników z wyższem wykształceniem, którzyby kierowali cały zawód na właściwe tory i wskazywali mu właściwe drogi postępu, aż do rozkwitu. Stan ogrodniczy długo jeszcze jest lekceważony i stawiany, co najwyżej na równi, z pospolitemi rzemiosłami. Ogrodnikami zostają synowie czeladzi i gminu. Jeszcze przed r. 1880 spotykaliśmy sami

po dworach wiejskich t. zw. „ogrodowych“, którzy w jednej osobie byli zarazem strzelcami, kucharzami, ba, nawet usługiwali do stołu. Większość nie umiała nawet czytać, więc nic dziwnego, że umiała tylko tyle, ile się nauczyła na praktyce, przy równie ciemnym ogrodniku dworskim, a w najlepszym razie w zakładach ogrodniczych. Te jednak przecież szkołami być nie mogły, a ogrodniczka uważały jako robotnika, który tyle tylko i tego mógł się nauczyć, czego się dotykał, co sam wykonywał.

Możni wysyłali niektórych zdolniejszych ogrodników na naukę praktyczną za granicę. Zналиśmy niektórych z nich. Ale za granicą może dużo skorzystać tylko człowiek oświecony, zawodowo już przygotowany i językiem kraju, w którym się uczy, dostatecznie władający. Jeżeli byli tacy, to bezwarunkowo stanowili nieliczne wyjątki. Szukać ich należy w zaborze pruskim i austriackim głównie, bo mniej ich się znajdzie w rosyjskim. W tym stanie rzeczy jeszcze i w tym okresie umysłowymi kierownikami ogrodnictwa naszego są miłośnicy-dyletanci. Oni to głównie piszą i tłumaczą książki, oni zakładają nawet szkółki, a tu i owdzie ogrody szklarniowe, oni sprowadzają nowości, mając do pomocy ogrodników, nauczonych jedynie przez praktykowanie w ogrodach i zakładach ogrodniczych.

Ale pojawiają się już i światlejsi ogrodnicy, nawet tacy, którzy sami pisać nie umiejąc, dyktują swe książki inteligentom. Powstają też coraz częściej zakłady ogrodnicze, ale należące do ogrodników-cudzoziemców i przez nich prowadzone, a zaspakajające zapotrzebowanie roślin, kwiatów, nawet nasion. Cudzoziemcy ci przeważnie spolszczają się, jeżeli nie sami, to w drugim pokoleniu. Wywierają oni na ogrodnictwo nasze wpływ silny i przeważnie dodatni, a zarazem pobudzają rodaków naszych do współzawodnictwa. Ogrodnictwo bowiem zaczyna w różnych swych działach dawać zyski, a polacy przekonują się, że bez pomocy zagranicy można się obchodzić, że ogromna większość produktów ogrodowych daje się wytworzyć u nas i to w dobrym gatunku. Są to wszystko przygotowania do okresu, w którym ogrodnictwo polskie rozwinęło się i utrwaliło, chociaż wielka wojna wstrząsnęła niem potężnie i pchnęła na pewne tory, może wygodne, ale zbyt ciasne.

Ostatni tedy perzod, który tu poznać mamy, jest przejściowym i przygotowawczym; daje on zadatki i podstawy do tych prac w całej obszernej dziedzinie ogrodnictwa, na które patrzymy, które notuje prasa i sportrzega każdy, kogo te sprawy zajmują¹⁾.

¹⁾ Z konieczności uwzględniamy tu najbardziej Królestwo Kongresowe. Mamy nadzieję, że prace następców naszych dopełnią tę próbę wiadomościami z innych zaborów.

Wierni przyjętemu planowi, przedewszystkiem rozpatrzmy książki z tej epoki, bo one są zwierciadłem tego, co mogli umieć ludzie, zajmujący się ogrodami, co w nich i jak hodowano.

Na pierwszym miejscu postawimy Józefa Strumiłły „Ogrody północne“, 3 tomy, wydane po raz pierwszy w r. 1826, w Wilnie, a po raz szósty w r. 1862, już po śmierci autora. Była ona, aż do nowych książek, pisanych już przez ogrodników zawodowych, od r. 1876, głównym podręcznikiem ogrodniczym na Litwie, a po części i na Rusi, któremu wierzono jak ewangelji¹⁾.

J. Strumiłło (*1774 †1847) był urzędnikiem miejskim w Wilnie i z wyborów—sekretarzem szlachty pow. wileńskiego. Był to szczery i gorący miłośnik roślin ozdobnych, a zwłaszcza kwiatów, na których hodowli z czasem poznał się stosunkowo najlepiej. Hodował je obok warzyw i drzew, w swym ogrodzie wileńskim, którego już tylko szczątki widziałem w r. 1890; wtedy już był on otoczony domami i sam pod budowlę rozprzedawany.

To, co Strumiłło hodował sam, przez czas dłuższy, z tem się zapoznał dostatecznie i mógł innym dobrze radzić. Dużo jednak w jego książce jest błędów, a nawet rad szkodliwych, nie miał bowiem przygotowania ogrodniczego, ani, co niezbędne dla takiego autora, przyrodniczego. Tak np. sądzi, że drzewa owocowe mogą dostać suchot, że mech jest chorobą, że chmury dzielą się na żółtawe i czerwone, które są b. niebezpieczne „bo ogień z takich chmur wyrzucanego pioruna niełatwo daje się ugasić, zaś chmury ciemno-czarniawe wypuszczają pioruny rozłupujące i rozwalające mury, drzewa i t. p.“ Do motyli zalicza mszyce, a jako szkodniki roślin wylicza w porządku następującym: pająki (?), świerszcze (?), osy, koszenile, niedźwiadki, glisty, pędraki i mrówki. Do nawozów mineralnych zaliczał kości, do roślinnych popiół, a z mineralnych zalecał tylko sól kuchenną. Zasad choćby ówczesnej fizjologii, też nie znał. Píše np. o soku roślinnym: „Wielu mniema, że na zimę sok uchodzi do korzeni, a na wiosnę znowu powraca i wchodzi do gałęzi, ale tak nie jest, bo przecież drzewa mogą zamarzać“. Sądzi też, że „woda po zamarznięciu (a więc lód z niej powstały) tem więcej pomnoży się w objętości, im większe zimno“ i t. p.

Układ też książki jest chaotyczny, a dużo w niej tłumaczeń z autorów francuskich. Cały tom 3-ci są to *miscellanea* z książek

¹⁾ Stwierdził to J. I. Kraszewski w swoich „Listach“ do „Gazety Polskiej“ w r. 1878 czy 9-ym, z powodu nowej wówczas książki „Sad i ogród owocowy“ E. Jankowskiego.

i gazet ogrodniczych obcych, jak w „Dzienniku“ Wodzickiego. Ale pomimo tych licznych błędów i usterek, jest w tej książce dużo rad dobrych co do drzew owocowych, hodowli warzyw w ostrym klimacie (między in. pomidorów, już wtedy), a zwłaszcza kwiatów, których dużo na sprzedaż hodował; nawet o georginjach na 2 lata przed śmiercią wydał osobną broszurę. Te praktyczne wskazówki, mieszczące się pierwotnie w tomie 2-im, w kalendarzu, opracował obszerniej i wydał osobno, w r. 1830 jako „Rocznik ogrodniczy“; jest on lepszy od kalendarza Jabłonowskiej.

Nieliczne, ale ciekawe i ważne są zdania Strumilly o ówczesnem ogrodnictwie litewskiem (bo to znał lepiej). W „Ogrodach“, wydanie z r. 1844 (wstęp do części 5-ej tomu II), mówi: „Niemąło w kraju spostrzegamy dworów zamożnych, gdzie dom i budowle, dla braku drzew i ogrodu, jałowy i ponury przedstawiają widok“. A dalej: „Wiesz miłujemy, ale dla upiększenia naszego siedliska jakże jesteśmy obojętni, owszem, niedbali! Niepowściągnięta chęć zysku wycięła nie tylko lasy, ale gaje i zarośla. Nietylko chałupy i wsie całe, ale same nawet dwory zawsze nagie, bez drzew i życia, smutny widok napół zdziczałej pustyni oku przedstawiają¹⁾).

Niemniej dopatruje się dużej różnicy na lepsze (w r. 1844), w porównaniu z czasami poprzednimi. „Któż nie pamięta, — powiada —, że około r. 1810 chińskie bzy (znaczy to *Syringa vulgaris*) były tylko w wazonach albo pod nakryciami. Jaka różnica między dawniejszemi a teraźniejszymi pelargonjami!“ A cóżby się pokazało, gdyby z owemi pelargonjami z r. 1844 zestawić teraźniejsze doskonałe odmiany, co do barwy, ilości, wielkości i układu kwiatów?

Że szkółek drzew było na Litwie mało, dowodzi ostrzeżenie Strumilly (w tomie I) żeby „nie nabywać drzewek od ogrodników wirtensberskich i in., jeżdżących po kraju z drzewkami, bo oni oszukują“, co poparł aż sześcioma punktami. Błaga tych ogrodników wędrownych (później francuzów i szwajcarów) dotrwała u nas prawie do końca XIX stulecia, t. j. do czasu, gdyśmy posiadli znaczną ilość dobrze prowadzonych szkółek, w różnych dzielnicach.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje książeczka nieznanego autora z r. 1825, zatytułowana: „Flora i pomona“, czyli dokładna nauka o drzewach i kwiatach, wsparta na doświadczeniu i pismach rozmaitych

¹⁾ Nieznany a powierzchowny krytyk „Ogrodów północnych“, w „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych“ (Wilno, r. 1835, str. 146) wyrzuca Strumille, że nie podał choć „abrysu“ parku angielskiego Ad. Chreptowicza w Szczorszach. Że były wtedy na Litwie okazałe ogrody panów, już wiemy, ale były to nieliczne rodzynki w wielkim chudym placku.

autorów, wydana we Wrocławiu, skąd można wnosić, że ją napisał jakiś doświadczony ogrodnik. Byłaby zatem pierwszą książką napisaną przez ogrodnika polaka. Dowiadujemy się tego ze wstępu, napisanego przez jakiegoś P., pracodawcę nieznanego autora. Głosi się on miłośnikiem pięknych ogrodów, a stał się nim po zwiedzeniu ogrodów w Pradze, Dreźnie, Berlinie i t. d., botanicznego w Krakowie i „najpiękniejszych ogrodów ojczyzny“ w Puławach i Nieborowie. „Sprowadzałem“, pisze, „do założonego w swych dobrach ogrodu różne zagraniczne rośliny, a ogrodnik mój, rodowity polak, który przez niejaki czas bawił w Wejmarze, dopomógł mi do tego. On to w godzinach wolnych napisał tę książkę ogrodniczą, opartą na własnem, długoletniem doświadczeniu“. Sam zaś autor w przedmowie powiada, że przez lat 30 szczepił i pielęgnował drzewa owocowe i poznał ich naturę oraz doświadczył różnych sposobów „przez sławnych panologistów podanych, jak i własnych“.

Jakoż rady tu podane, o ile samych drzew owocowych dotyczą, są naogół wyjątkowo dobre, co czyni książeczkę wartościową. Tak np. twierdzi autor, że sucha ziemia pod sad, zasługuje na pierwszeństwo przed mokrą, bo drzewa lepiej w niej rodzą; że siewki bez kolców i z dużemi pąkami, często dają dobre odmiany nowe; że pestkowe należy szczepić od połowy lutego, do połowy marca, a zaczynać od wiśni, ale trzeba przycinać pestkowe lepiej dopiero w kwietniu i w. in. Za to mętne są opisy cięcia karłów, brzośkwiń i winorośli, co się i w wielu innych książkach ówczesnych powtarza, a to tembardziej, że nie ma tu żadnych rysunków objaśniających.

W każdym razie książeczka była dobrym poradnikiem i, o ile ją czytano, mogła wpłynąć dodatnio na stan sadów.

„Gdy już to dziełko napisałem“, mówi autor, „wpadło mi w rękę pismo nieznanego niemieckiego, pod literami M. G. P. (może Megenburga—E. J.), o kwiatach, w V wydaniu, przeto pomnożyłem dziełko trzecią częścią o kwiatach“. W istocie temi opisami, zresztą nielicznymi kwiatach, książeczka się kończy. Znajdujemy tu krótkie opisy: hiacyntów, tulipanów, jaskrów, anemonów, aurykli, goździków, róż, lewkonji, laków, lilji, kómos, tuberoz, rozmarynu, tacytów, szkarłatów, słoneczników, balsamin, rezedy, dzwonków, fiołków, lwiej paszczy i kilku innych, bardzo treściwe i bez podania odmian. Nie jest to zbogacenie książki, ale dało powód do dopełnienia jej tytułu.

Przyswojeniem polskiemu piśmiennictwu ogrodniczemu dzieł Chrystjana Reicharta o ogrodach (z ogólnej pracy tegoż „Skarb rolniczy i ogrodniczy“ — „*Land und Garten Schatz*“), przysłużył się Jan Rychter. Wydał tę książkę w Wilnie, w trzech tomach, od 1824 — 6.

Ostatni tom całę nazwiskiem tłumacza podpisany, poświęcił tenże Michałowi Oczapowskiemu, profesorowi gospodarstwa wiejskiego, w uniwersytecie wileńskim.

Prawnik z zawodu i burmistrz m. Erfurtu, Chr. Reichart, żył pomiędzy 1685 i 1775, a dzieła swe wydał w pierwszej połowie XVIII w. Objąwszy gospodarstwo po ojcu, rolniku, musiał się nauczyć gospodarstwa wiejskiego i ogrodnictwa, a nauczycielem jego był Engelhardt. Zresztą i samo miasto jego rodzinne było zdawną siedzibą ogrodników, a wkrótce miało zasłynąć z hodowli nasion, do której właśnie Reichart swych współobywateli zachęcił. Był to gruntowny praktyk i obserwator, posiadający znajomość nauk przyrodniczych, rozumie się na ówczesnym poziomie wiedzy.

Pomimo to, książka R. dla czasu, o którym tu mowa, była już przestarzała, ale ją uzupełnił prof. rolnictwa i technologii w Erfurcie, Völcker i wydał po raz szósty, dodając różne spostrzeżenia i doświadczenia jakiejś osoby, w praktyce ogrodniczej biegłej. Sam też, pod względem naukowym uzupełnił dzieło, w przypiskach.

Otóż J. Rychter przetłumaczył na polski to 6-te wydanie i znów je dopełnił swemi przyczynkami, ujętymi w nawiasy. Wiadomości zaś swe czerpał, jak się przyznaje, z Kluka, Strumiły („radcy i kawalera, którego poświęcenie się udoskonaleniu na Litwie uprawy pożytecznych drzew i roślin na rzetelne poważanie rodaków zasługuje”) i z Zigry.

Była to więc praca niejako zbiorowa, mająca za kanwę dzieło Reicharta, z którego pierwszych wydań czerpał już i Kluk¹⁾.

Wstęp do uprawy roślin ogólnej uzupełnił Völcker z przewybornego dzieła Albrechta Thaera, z którym polaków zapoznał Oczapowski w r. 1818, wydawszy je w tłumaczeniu p. t.: „Zasady rolnictwa rozumnego”²⁾.

O ile książka R. była istotnie czytowanym poradnikiem u nas, mogła wywrzeć wpływ dodatni na ogrodnictwo polskie. Po raz pierwszy w niej znajdujemy wskazania, z ówczesną nauką zgodne i na jej znajomości oparte.

Rozbierać jej nie możemy. Ale przytoczymy kilka ważniejszych dla nas z niej wiadomości. Tak np. mądrze pisząc o hodowli nasion, na czym się znał zapewne specjalnie, zaznacza autor, że uszlachetnia się nasiona przez dobór roślin na nasienniki. Ale „najprędzej do celu prowadzi sztuczne zapłodnienie, do kwiatów stosowane często, lecz do warzyw i owoców rzadko dotąd” i opisuje, jak to trzeba robić. Nie

musiano chyba iść u nas za temi radami, bo nie zostawili nam poprzednicy, swojskich odmian warzyw i owoców, przez krzyżowanie otrzymanych.

Skarżył się też, że w żadnej gałęzi nie zdarza się tyle niesumienności, co przy nasionach. Hodowcy nasion nie troszczą się, mówi, o ich wewnętrzną wartość, ale żeby jaknajwięcej zebrać i móżdż tanio nasiona sprzedawać. Nadają też różne nazwy jednej odmianie. Bodaj że dzieje się to jeszcze i teraz, gdy się do hodowli nasion wzięło tylu niepowołanych. Wogóle w dziele tem są różne wskazania pożyteczne, jak np. o przechowywaniu warzyw przez zimę i o ich utrwalaniu, a zwłaszcza przez suszenie na słońcu i wietrze tudzież w piecach.

Ślubszy jest tom 2-gi — o drzewach owocowych. Tak np. zaleca się tu sadzić drzewa tą samą stroną do słońca, którą były zwrócone w szkółce, bo jak mówi profesor (!) Völcker, uzupełniacz R. „z tej strony mają słoje bardziej ściśnione, a fibry gęstsze, a tem samem na zimno wytrzymalsze. Albo, że „uryna i gnojówka, użyte na ziemię spulchnioną, mogą drzewa zniszczyć, a zwłaszcza wiśnie”. Chyba przy nadużyciu tych nawozów, o co zwykle nie ma obawy. Najślubsze są rozdziały o karłach i ich cięciu oraz o brzoskwiniach.

Bądź-co-bądź te duże 3 tomy, stopniowo przez kilka lat wydawane, świadczą o zainteresowaniu się liczniejszych polaków ogrodnictwem, wymagały bowiem sporego nakładu, który musiał się przecie zwrócić wydawcom. Nie była to zresztą jedyna książka tłumaczona, bo w tym samym niemal czasie (r. 1825) wyszło z druku Jana Hermana Zigry, „Ogrodnictwo zastosowane do klimatu północnego” (3 tomy w jednym, dużym), przetłumaczone przez Walentego Szacfaiera i wydane w Wilnie, u Zawadzkiego.

Ogrodnik Zigra miał swój zakład w Rydze, a nawet w swej książce pomieścił cennik swych roślin i nasion, co jest rażące. Dla nas jednak cennik ten jest wskaźnikiem odmian owoców i warzyw, które wtedy hodowano, Ryga bowiem była źródłem nabycia roślin dla wielu prowincji polskich, co poświadczają Giżycki, Przeździecki i in.

Z trzech różnych książek Zigry¹⁾, Szacfaier zlepił tę książkę, dość chaotycznie, pisze zaś o niej we wstępie: „Lubo w pracy mojej uprzedzony zostałem od szan. autora „Ogrodów północnych” i nie chce z nim walczyć, mniema, że czytelnik straty nie poniesie, czerpiąc z tych dwóch źródeł.

Jakoż istotnie, pominąwszy rozwlekłość i brak rycin, „zbytecznych” jakoby, „bo nieświadomy rzadko z nich trafnie korzystać zdoła”

¹⁾ Sam się do tego przyznał, w swym „Dykcjonarzu”.

²⁾ Nadto artykuł o niem też Oczapowskiego w „Dzienniku Wileńskim” 1818 r.

¹⁾ „Handb. d. Gartenkunst. Der nordische Baumgärtner i Der Blumenfreund”

znajdujemy tu dużo rad praktyka, zresztą nieuczonego. Nie mogąc ich przytaczać, zaznaczamy, że ziemniaki tak się już w Polsce rozpowszechniły, że tłumacz powiada: „Uprawa ich tak łatwa i powszechnie znana, że nie ma potrzeby mówić o nich”. Pomidory już umiano hodować i na północy. „Siewa się je w inspekcie w kwietniu (zapóźno!), przesadza w grunt w maju, poczem przywiązuje do kołków; dają owoce wielkie i piękne. Ale można siać i wprost w gruncie”. I w istocie mamy teraz odmianę Żmudzką, która siana w gruncie, wydaje dojrzałe owoce. Podał kilkanaście odmian poziomek, a z truskawek — prócz wirginijskich i chilijskich olbrzymich, mączystych, dających rzadko owoce (bo są często dwudomowe — E. J.), szwajcarskie, holenderskie i wielkie śliwkowe. Wiadomo, że wtedy jeszcze i na Zachodzie posiadali odmian bardzo mało. Podał nawet uproszczony sposób pędzenia truskawek „w treibhauzie”, ale nie wiadomo, czy kto je u nas wtedy pędził.

Jak mało jeszcze znano odmian kwiatów, dowodzi to, że w cenniku wylicza 8 odmian astrów (tylko ani jednej rasy!). Groszek pachnący wyróżnia jedynie: czerwony, niebieski i biały. Nie ma tam też żadnych odmian bratków, ale jednak ilość kwiatów letnich dochodzi do stu, a poza tem sporo jest bylin i roślin ozdobnych z liści, jak *Canna flaccida*, *rubra*, *lutea*, *Cineraria maritima* i in. Jest i heljotrop i *Lobelia Erinus* i georgiń 25 odmian. Róż kilkanaście w cenniku, z nich mchowa biała po 25 rb. krzaczek, ale w tekście wyliczył przeszło 250 odmian (ze 30-stulistnych, z 50 *Rosa gallica*), z których zaledwie kilka dochowało się do naszego czasu. O goździkach rozpisał się szeroko, bo są godłem „niezmiennej, żywej i czystej miłości”. Laki i tu jeszcze nazywa „fijołkami”.

Długa lista roślin szklarniowych zawiera też palmy: *Areca*, *Caryota*, *Chamaerops*, *Cocos*, *Corypha*, *Rhapis* i daktylowiec: te więc mogły się już wtedy znajdować w polskich szklarniach, a potem może i w mieszkaniach.

Żeby wykazać, że rośliny szklarniowe i rzadsze nasiona były dostępne tylko zamożniejszym, podajemy tu niektóre ceny Zigry. Funt nasienia kalafjorów angielskich kosztował rb. 40 (a przecie rubel był wtedy wart z 5 razy tyle, co przed wielką wojną). Kapusty brunświekiej — 10 rb., rzodkiewki — 4 rb., cebuli — 15 rb., kukurydzy Quarantino — 10 rb., a nawet koniczyzny białej 2 rb.¹⁾ Łut lewkonji — 10 rb., a 100 ziarn wyborowych goździków — 100 rb.!

Jodły balsamiczne kosztowały po 10 rb., jak i sosny Wejmuckie,

¹⁾ To jest blisko 500 rb. ówczesnych, korzec, gdy w latach nieurodzaju przed r. 1914, dochodziła u nas cena do 100 rb. tylko.

akacja kulista po 6 rb., a różowa po 10 rb. Róże po 5 rb., nawet stulistne po 2 — 4 rb. Wino pachnące, krzew po 2 rb.

Wybitnem dziełem tej epoki, stanowiącem niejako dopełnienie „Myśli” I. Czartoryskiej, jest książka wydana w Warszawie r. 1827: „O przyozdabianiu siedlisk wiejskich”, 2 tomy. Autor nie podpisał się na niej, ale z innych jego dzieł i wzmianek wiemy już, że był nim Giżycki. Jemu też zawdzięczamy ważne dzieło o handlu w dawnej Polsce.

Giżycki mieszkał w Sochaczewskim (Giżyce), tedy znał najlepiej te okolice Królestwa, ale przed napisaniem swej książki, zwiedził, jak sam powiada, wszystkie części Polski. Powodem zaś do napisania tego dziełka było, że „właściciele nie dbają o porządne zabudowania i przyozdobienie swych siedlisk, a chciałby dopomódz w tem głównie małym siedzibom”. Był to zamiar chwalebny.

Przy pisaniu oparł się na doświadczeniu z urzędnika siedziby własnej, inne wiadomości czerpał od anglików, francuzów i Niemców¹⁾.

Pomimo, że książka jest ułożona pracowicie, ale napisana rozwlekle i niepopularnie. Sądzymy, że z tego powodu nie wywarła tego wpływu, jakiego pragnął niewątpliwie autor. Dla nas najcenniejsze są uwagi tego wykształconego krytyka, wypowiedziane o stanie ówczesnych ogrodów w Polsce.

Był on tedy zdania, że Polska nadewszystko potrzebuje pomocy sztuki. „Jej przestrzenie bez widoków, piaszczyste wydmy, smutne jej bory i martwa wegetacja, domagają się ręki umiejętnej, któraby im nadała cechę życia i udzieliła wdzięków”.

Jakkolwiek ostry, a niesłuszny ten sąd, o wyglądzie kraju, na innem miejscu złagodził, nie uchodziło jednak wypowiadać takie zdania, zwłaszcza temu, kto jak G. poznał Polskę w podróżach. Jakże bowiem mógł nie odczuć bogactwa i piękności tak wielu okolic kraju, gdy polska przyroda tak jest nadobna nawet na piaszczystym Mazowszu, w krasie brzoź i dębów, jarzębin i kalin. Na wzgórzach okrywa ziemię lśniący kobierzec mącznic, na nizinach — cudne wrzose. Od słońca połyskują i mienia się, chwiane wiatrem, fale żyta; srebrzysta gryka napełnia wonią powietrze, złocą się łubiny i czerwienieją koniczyzny. A ileż to mamy okolic piękniejszych, falistych i wzgórzystych, z mnogimi zwierciadłami jezior i wstęgami rzek i strumieni, nad którymi dumają poważne olchy i wierzby płaczące, z rozwianemi warkoczami? Ale słusznie całkiem i zgodnie właśnie z tą urozmaiconą przyrodą, radził w Polsce zakładać ogrody naturalne, a nie geometryczne,

¹⁾ Wymienił: Chambersa, Reptona, Loudona, Grahama, Thouin'a, Ballty'ego, Viarta, Girardina, Hirschfelda.

na których założenie i odpowiednie zaopatrzenie, ani pieniędzy, ani marmurów dosyć nie mamy. I tu zbija sam siebie, gdy mówi: „Czem byłaby Polska tak urządzona, mamy przykład między Warszawą i Błoniem, gdzie są rozsiane folwarki, staranniej urządzone i przyozdobione plantacjami lub gaikami, naturalnie wdzięcznymi. Gdyby je połączyć plantacjami, okolica cała, przyozdobiłaby się. Wioski kolonistów Niemców, przedstawiają też przyjemne widoki, bo są przy nich ogrody i kępy drzew“. Zresztą sam wylicza dużo miejscowości odpowiednich na ogrody, takich jak brzegi głównych rzek i jezior, na Wołyniu—okolicie Szumska i Zasławia, na Podolu i w Galicji — brzegi Dniestru, Sanu, Wisłoki, Dunajca, dalej Śląsk, krakowskie, Góry Świętokrzyskie i t. d.

Rady jego są raczej ogólne, ale często dobre, jak, żeby tworzyć widoki wewnętrzne w ogrodach, gdy nie można zewnętrznych; na równym gruncie robić sztuczne falistości¹⁾, nie psując jednak ogólnego zarysu. Ze skupin drzew (zwie je „kupkami“), urządzać kontrasty, zestawiając np. brzozy z kasztanami, modrzewie z akacjami, jarzębiny z iglastymi i t. p.

Idąc za anglikami, odróżniał: 1) przyozdobione całe włości, 2) tylko siedziby i 3) tylko pewne miejsca, jak brzegi jeziora, zalecał zaś głównie typ pierwszy, co jest w wykonaniu trudne, kosztowne i wymaga dużo gustu, obok wprawy. Ponieważ, jak przytacza, siedziby „chałupników“, t. j. robotników rolnych, obejmowały około 77 sążni ($\pm$ 300 mtr.) ziemi, więc sądził, że można było na nich urządzać ogródki warzywno-kwiatowe, ale to było tylko jego pobożne życzenie.

Zdania jego o najwybitniejszych ogrodach polskich musimy przytoczyć, jako świadectwo, jak się wtedy przedstawiały. Na pierwszym miejscu stawiał Łazienki, „wspaniałe zwierzyńce, w stylu symetrycznym (?), którego dobrem dopełnieniem jest ogród botaniczny (przed 8 laty założony), w rodzaju angielskiego *pleasure ground*“. Są tu widoki odmienne, a tak piękne, że równych nie masz w Polsce“ (?). Ogrody puławskie są „jakby oddzielną krainą, utworzoną cudem, by była przedmiotem podziwiania“. Ale twierdzi, że nie ma w Polsce dostatków takich, żeby można zakładać ogrody, równe puławskim, lecz w części naśladować je można.

Arkadję zwał ogrodem chińskim (czemu?), a o Zofjówce powiedział, że „jej skarbem są struktury z granitu, tak ogromne, że Egipt i Grecja przyjęłyby je do swoich pomników“. Wilanów „jest ogrodem pierwszego rzędu“, a Jabłonna „znakomitą willą angielską“. Za wzór

¹⁾ Zastosował to Barillet Deschamps we Francji, ale dopiero po r. 1860.

stawia Mokotów, a Olesin w Lubelskiem, „jest obrazem idyllicznym, skreślonym najumiejtniej“.

„Dla włości małych sad jest plantacją najwłaściwszą“. Jakoż zdaje się, że ten typ przetrwał, aż do połowy XIX w. Podał też G. plan ogrodu, urządzonego na 6 ha, lecz nie wiadomo gdzie, wcale dobry, który sam wykonał.

Zalecał drzewa pojedyncze, ale na dużych trawnikach, zaznaczając, że London, zwiedzając Puławy, krytykował, że tych drzew było za dużo. Jakże by się dziś zdziwił, zobaczywszy tam gęstwinę, istny las stanowiącą.

Był zwolennikiem sadzenia drzew owocowych w parku i przytacza nawet taki „sad ozdobny“ generała Giżyckiego w Mołoczach, na Wołyniu, po którego brzegu rosły krzewy kwitnące, a po drzewach owocowych pięły się chmieliny. Słusznie zarzucono dziś tę złą modę, bo przy niej cierpiały dużo drzewa owocowe i sam park również. Pod skupiny radził ziemię regulować (pisze „rajolować“), co się też robi istotnie, z dobrym skutkiem.

W innym miejscu ubolewa, że „znikły ogrody, założone w tylu okolicach Polski, ścięto drzewa zasadzone zwycięską ręką Jana III, lubo łączyły się z niemi wspomnienia, zaszczytne dla narodu“. Mawiając, że żywotniki (*Thuja*) sprowadził ten król do Polski z tureczczyzny, dodaje, że podobno w Radziejowicach był przed laty szpaler „z Thujów (!) kilkadziesiąt łokci długi“.

Według jego wskazań używano wtedy na trawniki w parkach obok rajgrasu angielskiego, także mątwy (*Holcus lanatus*) i trawy kupkowej (*Dactylis glomerata*), obu dziś nie siewanych na gazonach, jako grubych i kępiastych. Ale słusznie zalecał, po skoszeniu, polewanie gnojówką i walcowanie.

Giżycki obiecywał jeszcze wydanie tomu 3-go — o szklarniach, z rysunkami i 4-go — o drzewach, krzewach i roślinach ozdobnych, co byłoby ciekawe dla nas. Jednak nie przyszło do tego, bo zapewne książka jego nie interesowała ówczesnych i nie miała pokupu.

Ale napisał też inną pracę: „Ogrodnictwo zastosowane do potrzeb ziemianina“¹⁾, która jednak wyszła z druku dopiero w 1866 r. i była przestarzała już wtedy. Nie zubożyła ona ogrodnictwa polskiego, jako napisana językiem trudnym i pełna nieudanych określeń (posada zamiast stanowisko, truskawnia zam. truskawczarnia i in.), przeładowana balastem botaniczno-geologicznym, nie bardzo umiejętnie kompi-

¹⁾ Między r. 1832—45, bo się trzyma układu Wawrzyńca Jussieu'go †1836 r., a zaznaczając srogą zimę z r. 1801, mówi, że do r. 1831 takiej nie było; że Baublis, dąb w „Panu Tadeuszu“ opisany, istniał jeszcze przed 20 laty, a spalił go jakiś chłop w 1825 r., wykurzając zeń lisa.

lowanym i nieuzasadnionymi podziałami kraju na strefy, przyjazne i nieprzyjazne ogrodnictwu. Mianowicie, powyżej linii idealnej, przechodzącej od źródeł Warty do ujścia Pełtvi do Bugu i przez źródła Bohu do Jahorlika — mają się według G. nie udawać szlachetniejsze drzewa owocowe. Tymczasem ileż to mamy wybornych sadów w Kongresówce, na Wołyniu, na Litwie nawet, nie mówiąc o Ukrainie i Podolu, powyżej Winnicy!

Ale lekarstwo na niski stan ogrodnictwa widział słusznie w założeniu szkół ogrodniczych, lecz ich niestety nie założono wtedy jeszcze. W każdym razie z wielu ustępów tej książki ocenić można G. jako prawdziwego miłośnika ogrodów i gorącego patriotę.

Cenną, po akademicku napisaną książkę, dał prof. Michał Szubert (wydał w Warszawie u Glücksberga w 1827 r.) p. t. „Opisanie drzew i krzewów leśnych“. Oparł ją na własnych studiach w przyrodzie i na literaturze naukowej przedmiotu. Poprzedziwszy krótkim wstępem botanicznym, opisał przedewszystkiem drzewa i krzewy swojskie, dając wskazówki dotyczące gruntu, stanowiska, siewu, sadzenia i użytków, nie pomijając ważniejszych szkodników drzew. Dopełnił to opisami drzew i krzewów cudzoziemskich, u nas rosnąć mogących, rozumie się, znanych wówczas. O bluszczu powiada, że „w Mokotowie po sztucznych ruderach rozkosznie się rozpina“. Niestety nie wytrzymuje bluszcz ostrych, a tak zmiennych zim naszych, a kto by otrzymał odmianę na klimat polski odporną, zasłużyłby się niemało swojskiemu ogrodnictwu strotnemu. Wogóle książka Szuberta swą fakturą naukową różni się dodatnio i wybitnie od ówczesnych książek ogrodniczych.

Nieznany tłumacz B. W. przełożył na polski. J. S. Kechta: „Uprawę wina w ogrodach, a szczególnie na zimnych górach“, r. 1830, a był to pierwszy w polskim języku, podręcznik do hodowli krzewu winnego, rozumie się wachlarzowym systemem Kechta, dziś jeszcze stosowanym. Były i wtedy winnice „znane w kraju“, jak mówi tłumacz, przytaczając niektóre, jak Mostowskiego w Tarchominie, w Wiązownie, też blisko Warszawy, w instytucie w Marymoncie i w Ogrodzie botanicznym warszawskim.

Ciekawe jest, że Kecht, z zawodu nauczyciel berliński, przepowiedział, że kraj południowy między Dniestrem i Wołgą, może całą Rosję w wino zaopatrzyć, co się ziściło.

Nie wiele była warta książka „Gospodarz galicyjski“, kompilacja z Thaera, przez H. G. H., pomiędzy r. 1840 — 7 wydana. Kompilator nie mógł dobrze swego zadania spełnić, niewiele bowiem umiał¹⁾.

¹⁾ Radzi np. „dla wstrzymania pędzenia drzew w tłustej ziemi, zerznąć część

Nie zajmując się tedy tą i innymi tego rodzaju książkami, musimy więcej miejsca poświęcić dziełu Michała Czepińskiego: „Powszechne ogrodnictwo“, 3 tomy, wydanemu po raz 1-szy w Warszawie, w 1841, a po raz 3-ci w Krakowie, w 1868 r., z dopiskami i uzupełnieniami Karola Langego.

Czepiński, którego, gdy był już starcem, emerytem-ogrodnikiem, dobrze i dość długo znał autor niniejszego, urodził się w Kłodawie w 1800 r. i tam ukończył szkołę miejską. Dr. Brandt, spostrzegłszy, że chłopiec ma zamiłowanie do ogrodnictwa, umieścił go na praktyce, w Wilanowie, gdzie przebył dwa lata, pod ogrodnikiem Barthlem. Hr. Potoccy wystali go swym kosztem zagranicę, gdzie przebył 5 lat, od 20—25 r. życia. Pracował w wybornych zakładach: u Baumanna — w Bollwiller (Alzacja), Simona Louis Fr. — w Metz, Jamina, w Bour la Reine, pod Paryżem, potem już krótko był w Anglii i Niemczech. Praktycznie nauczył się dużo i dobrze, z tych źródeł, gdzie, jak opowiadał, tak pracowano, że go nieraz koledzy kładli na wóz, obok drzewek i z oddalonej szkoły do zakładu przywozili.

Po powrocie, założył w Warszawie własny ogród, na rogu Hożej i Marszałkowskiej i hodował w nim szczepły, róże oraz rośliny szklarniowe, na które miał wielki zbył. Ale zalewy zmusiły go sprzedać tę posiadłość (na gmachy monopolu tytoniowego Leopoldowi Kronenbergowi), a wtedy przeniósł się do ogrodu Izby obrachunkowej (obecnie Ministerjum kolei i ogród szkolny w Alei 3-go maja), który wydzierżawił w r. 1846. Działalność swoją ukończył w r. 1870, poczem już tylko chodził po ogrodach, opowiadał swoje przeżycia i cieszył się żywym rozwojem naszego ogrodnictwa, głównie pod wpływem sił młodych, a już naukowo przygotowanych.

Mając liczne stosunki z zagranicą, z pierwszorzędnymi zakładami, głównie francuskimi, sprowadzał dużo roślin, a między niemi cenne nowości. Wypadały one drogo, do czasu przeprowadzenia kolei W.-Wiedeńskiej, więc do 1855 r., rośliny bowiem długo wiezione wozami, albo mocno w drodze cierpiały, albo nawet ginęły. Zdarzyło się nawet raz, że z całego transportu tylko kilka róż nowych ocalić potrafił. W każdym razie ma on zasługę wprowadzenia i rozpowszechnienia w kraju wielu nowości, a zwłaszcza dobrych odmian owocowych. Zgromadził je w słynnym, przed 30 jeszcze laty, sadzie w Łowiczu, dla siostry Barczyńskiej przez niego założonym i w starości dogładanym. Umarł w Warszawie w 1886 r. Czepiński słabo władał piórem i wypie-

kory z pryncypalnych gałązek“. Sądzi, że „gdy jabłoni ma zawiele pokarmu, a zbyt nie soki na jakimkolwiek miejscu, zatrzymują się, stamtąd wyrastają robaki!“

sać się nie umiał. Książkę swoją, o ile wnosić można, albo podykto-
wał botanikowi Leśniewskiemu, albo ją L. do druku całą poprawił.
Zapewne przez wdzięczność za to, jemu ją Czepiński dedykował.

Pomimo, że dzieło to zawiera grube błędy naukowe, pomimo zby-
tecznej gadaniny, jest ono cenne, jako na dobrej i długiej praktyce
oparte. Było też przez kilka dziesiątków lat cenionym i rozpowszech-
nionym podręcznikiem w Królestwie, tak jak „Ogrody północne“ Stru-
miły—na Litwie. Większość rad i wskazówek, jeszcze i dziś stosuje
się w ogrodnictwie, choć wiele też udoskonalono i dodano, po napisaniu
tej książki. Tylko gdziekolwiek o teorię przyrodniczą chodzi, trzeba
być dla autora wielce pobłażliwym, żałując w każdym razie, iż się wda-
wał w te sprawy, nie znając się na nich ¹⁾. To też ta część ogólna
książki jest najłabsza. Warzywa opisał na ogół dobrze i według jego
wskazówek można je poprawnie hodować.

Tom 2-gi zawiera opisy i przepisy hodowli roślin ozdobnych, a po-
dał je alfabetycznie tak, że po *Abutilonie* idzie *Abies* i *Acer*, po *Achil-
lea* i *Achimenes*—*Aesculus*, co dobre w encyklopedji, niewłaściwe jest
w podręczniku, w którym trzeba rośliny zgrupować, choćby ze względu
na ich zastosowanie w ogrodach. Ale opisy są dobre, tylko zakrótkie.
Mało np. mówi o różach, choć sam zaznacza, że jest ich znanych 70 ga-
tunków i 2000 odmian (wtedy; dziś więcej). Są tu też podane ogólne
wiadomości o pędzeniu niektórych kwiatów.

Może najlepszy jest tom III, o drzewach owocowych, bo wskaza-
nia co do ich hodowli są na praktyce oparte, chociaż nieraz mylnie
wyjaśniane, jak np. że „nacięcia podłużne kory wstrzymują drzewo od
bujnego wzrostu“, gdy w rzeczy jest wprost przeciwnie. Sądzi mylnie,
że „czarny kolor ścian w słońcu, jest najlepszy“, gdy wiemy już od-
dawna, że jedynie zalecony jest biały, i słusznie. O cięciu drzew kar-
łowych wiedział C. więcej, niż poprzednicy, ale bez zasad naukowych,
sam go dobrze nie rozumiał, więc innych nauczyć nie mógł. W do-
datku, tak do tej części, jak do innych, nie podał rysunków, bezwzględ-
nie niezbędnych, o ile czytelnik ma cokolwiek z tej teorii skorzystać.
Nawet i on wyraża takie zdanie, jak to, że „z gruszy (karłowej) trzeba
obłamać wszystkie nieużyteczne (?) pędy, aby się drzewo niepotrzebnie
nie wysilało“. Ale wie, że morele są smaczniejsze z drzew nieszpale-
rowych. Sznury poziome zwą się tu, dość nieszczęśliwie—połogami

¹⁾ Píše np.: „próchnica czyli ziemia roślinna“. „W gruntach bagnistych znaj-
duje się kwas octowy“. „Grunt gliniasty jest ten, w którym znajduje się 40—60%
gliny, oprócz piasku i rudy żelaznej“. „Gdyby się poruszyło ziemię za suszy, to by
się ją jeszcze bardziej wysuszyło“ (a jest przeciwnie) i t. d.

(połogi). Bardzo słaba za to i pełna błędów jest część tego tomu,
o chorobach drzew. O cięciu wina pisze całkiem bałamutnie. Zresztą
o krzewie winnym wydał, już do 80 lat wieku dochodząc, osobną bro-
szurę, także niewielkiej wartości.

Z przeglądu tego widzimy jedno. Zarówno autorowie i tłumacze
przygodni, jak i mnóstwo zmuszonych do zajęcia się ogrodami, czuli
potrzebę podręczników. Z tego poczucia powstały te, zresztą nieliczne
książki, z których ważniejsze poddaliśmy przeglądowi. Zarazem dają
one wskazówki, jakie mogło być ogrodnictwo polskie, w tej epoce.
Że było dalekie od stanu pomyślnego, nie mówiąc o doskonałości, to
jest widoczne.

CZASOPISMA.

„Dziennika“ St. Wodzickiego za czasopismo uważać nie możemy,
ponieważ jego tomy wychodziły nieregularnie i nawet nie corocznie.
Lwów, jak co do szkół, ma tu w Polsce pierwszeństwo, gdyż w tem
mieście pojawiła się w r. 1830 pierwsza „Gazeta ogrodnicza“, która do-
szedłszy zaledwie do 20 kilku numerów, uschła, z braku piszących,
a zapewne i czytających. Nie lepiej się powiodło miesięcznikowi, p. t.
„Iris“, którego w r. 1868 i 9 ukazało się tylko numerów 15, chociaż
to czasopismo zajmowało się poza ogrodnictwem i pszczelnictwem, także
sztukami pięknymi. I takie połączenie nadobnego z pożytecznem, nie
mogło pismu zapewnić dłuższej trwałości.

U kresu wreszcie epoki, tu omawianej, bo w r. 1870 również we
Lwowie, wyszło 6 numerów „Flory“, zajmującej się botaniką i ogo-
dnictwem.

Dopiero „Bartnik postępowy“, założony w r. 1875, we Lwowie,
przez prof. Teofila Ciesielskiego, dotrwał do wielkiej wojny, pomieszcza-
jąc artykuły ogrodnicze, różnej, a wogóle nierównej wartości, gdy treść
główną wypełniało pszczelnictwo.

Istotnie pierwszym czasopismem ogrodniczym, o poziomie europej-
skim, okazał się dopiero „Ogrodnik Polski“, dwutygodnik, wydawany
w Warszawie od 1879—1899 pod redakcją E. Jankowskiego, przy
współdziale br. Wł. i J. Kaczyńskich i br. Al. i F. Szaniorów.

SZKOŁY.

Widzieliśmy, że w okresie poprzednim wielu magnatów założyło
t. zw. szkoły dla ogrodników, przy swych ogrodach. Niektóre z nich
przetrwały i dłużej, t. j. przez część tej epoki, o której jest mowa.

Niektórzy dobrzy obywatele, odczuwając potrzebę uczenia ludu, założyli teraz, własnym kosztem, szkoły gospodarcze, w których i ogrodnictwa uczono. Tak, Dominik Moniuszko (ur. 1787 r.), w majątku swoim Rutkowszczyźnie, w Mińszczyźnie, w r. 1824 założył szkołę o 2 oddziałach dla chłopców i dziewcząt, w której obok rolnictwa, leśnictwa i pszczelnictwa, uczono również i ogrodnictwa. Jako pomocnicze przy nauczaniu, urządził przy niej ogrody: owocowy, warzywny i lekarski tudzież aptekę i pracownię (chemiczną?). Ulepszone narzędzia sprowadził od Evansa, z Warszawy.

W to społeczne przedsięwzięcie włożył M. całe swe mienie i część swej szlachetnej duszy, wraz z wysokim uzdolnieniem. Pragnąc istotnie dobra włościan, przy wszystkich chatach pozakładał im sady. Ale sąsiedzi go bynajmniej nie popierali, chłopci zaś dla szkoły byli coraz obojętniejsi, bo dorośli nie rozumieli, jakim była nieocenionem dobrodziejstwem. Upadła też, wychowawszy jednak niejednego włościanina.

Ten sam przyjaciel ludzi, założył drugą szkołę, w innym swym majątku—Pocieczole, ale chłopci za to zrazu nawet godzili na jego życie, zapewne, że im dzieci do nauki od pasania odrywał, ale potem jednak byli mu wdzięczni. Nieznany autor tej wiadomości¹⁾ twierdzi, że „każden z nich zna się najdoskonalej na uprawie roli, na ogrodnictwie, umie obchodzić się z lasami i t. p.“. Trudno temu uwierzyć. D. Moniuszko, stryj wielkiego muzyka, zmarł 1848 r.

W tymże czasie ks. Ireneusz Ogiński, założył w swym Retowie, na Żmudzi, „instytut rolniczy“²⁾. Zapewne uczono w nim i ogrodnictwa, podobnie jak w Instytucie marymonckim, gdzie nauczycielem był Wojciech Jastrzębowski.

A wszak i w politechnice warszawskiej, pierwszej w Polsce, przy nauce technologii, udzielano też pewnych wiadomości, z ogrodnictwem związanych. Mianowicie prof. J. Koncewicz, a po nim Teofil Rybicki, uczyli tam o wyrobie jabłeczniku i gruszczniku, zalecając słusznie te napoje. Dalej była też mowa o przygotowaniu soków owocowych, konfitur i octu z owoców. Nareszcie dawali wskazówki jak przechowywać w stanie świeżym ogrodowizny, opierając się na wskazaniach nauki ówczesnej³⁾.

Pierwszą jednak właściwą szkołę ogrodniczą założono we Lwowie r. 1855, przy ogrodzie botanicznym. Ale prowadzona nieumiejętnie, trwała krótko i była bez wpływu na nasze ogrodnictwo.

¹⁾ W „Tygodniku Petersburskim“ r. 1840 № 96.

²⁾ Podaje to H. Kirkor w „Encyklopedji Orgelbranda“.

³⁾ Al. J. Rodkiewicz: „Pierwsza politechnika polska“ (1825—1831), Warszawa r. 1904.

INSTYTUCJE OGRODNICZE LUB POMOCNICZE.

Tu znów na zaznaczenie zasługują ogrody botaniczne, na nowo niejako tworzone lub rozwijane. Więc przedewszystkiem ogród taki licealny w Krzemieńcu, pod umiejętnym zarządem prof. Bessera tak się od r. 1810 rozwinął, że w r. 1823 posiadał 12,000 gatunków roślin, był zatem z polskich, najbogatszym. W katalogu z r. 1816, po łacinie wydany¹⁾, Besser wylicza osoby, które żywe rośliny temu ogrodowi darowały. Są tam: Branicki, T. Czacki, St. Wodziński, Boreyko, Ratomski, Izidor Sobański, St. Jundziłł, prof. Oestreicher, z ogrodu bot. krakowskiego, Razumowski, Steven, z Nikity, Schott, z Wiednia. Bardzo ich dużo wniósł z sobą ogrodnik Grabowski, reszta pochodziła z siewu. Naogół jednak ogród krzemieniecki był zamożny w rośliny gruntowe, lecz ubogi w szklarniowe; przeważała flora całej Rusi, a nie tylko Wołynia. Gdy zamknięto liceum, ogród podupadł, a resztę roślin z niego zabrano, jako zaczątek ogrodu uniwersytetu Św. Włodzimierza, do Kijowa, w r. 1838.

Właściwy ogród botaniczny w Krakowie miał powstać jeszcze w r. 1774, pod kierunkiem prof. Jana Jaśkiewicza²⁾. Ale Hugo Kołłątaj opowiada, że w r. 1780, ks. dr. Kazimierz Stępowski zapisał na ogród botaniczny złp. 5000. Komisja Edukacyjna, reformując uniwersytet krakowski, dodała do tego niezbędne kilkanaście tysięcy złp. i tak powstał ogród, na Wesołej, pod kierunkiem prof. Franciszka Scheidta. Rośliny rozmieszczono według układu Lineusza. Scheidt skąd mógł, sprowadził zioła i krzewy. Stanisław August, zwiedzając ogród w r. 1787, zastał go już w stanie rozwoju.

Po Scheidcie pracowali nad tym ogrodem Koleim, profesor botaniki na wszechnicy jagiellońskiej, a zwłaszcza Czerwiakowski. Temu udało się na głównego ogrodnika pozyskać Józefa Warszawicza, dobrego znawcę roślin i praktyka, a słynnego już zbieracza roślin amerykańskich, któremu na tem polu żaden z polaków nie dorównał.

J. Warszawicz, ur. 1812 r. na Litwie, praktykował w ogrodzie botanicznym wileńskim, pod Jundziłłem młodszym. Wziął udział w powstaniu z r. 1830, jako oficer, a po jego stłumieniu, uchodzi do Berlina, gdzie pracuje do r. 1845. Tak się wyróżniał znawstwem roślin, że Van Houtte wysłał go do Ameryki środkowej, jako swego zbieracza, czyli jak zwali takich — kolektora. Jakoż przywiózł mu stamtąd cały skarb roślin nowych, które Van Houtte rozmnożył i z zyskiem sprzedał.

¹⁾ „Catalogus plantarum horto botanico gymnasii volhyn. cremencii cultarum“.

²⁾ Podają to tłumacze „Historji nauk przyrodzonych“, J. Cuviera.

Stosownie jednak do umowy, część tych roślin W. zabrał w r. 1850, do Berlina i tam na swoją korzyść sprzedał. Naukowo opracowali ten zbiór: Dietrich, Klotzsch i Regel, nadając 15 gatunkom nowym przydomek „Warszewicza“¹⁾.

Teraz poznał Warszewicza, Aleksander v. Humboldt i oceniwszy jego wiedzę i zapał, polecił zarządowi ogrodu botanicznego berlińskiego, na którego koszt wysłano Warszewicza, w r. 1851, do Gwajakwilu, gdzie zapadł od razu na żółtą febrę. Silny ustrój jednakże przemógł tę śmiertelną chorobę, z którą jeszcze raz potem walczył, a zabrawszy się energicznie do pracy, z Gujany, Ekwadoru, Gwatemali i in. tych zabójczych dla Europejczyka krajów, zebrał samych nowych storczyków kilkadziesiąt, które potem określił z Reichenbachem. Były przytem gesnerowate, palmy i bardzo wiele innych, a między nimi zebrana po raz pierwszy, w Kordyljerach, china (*Cinchona chinae*). Z temi cennymi zbiorami wrócił do Berlina, w r. 1853, część z nich sobie zachowawszy, według umowy.

Otóż do Krakowa, po objęciu stanowiska przez Warszewicza, dostało się dużo tych cennych nowości, jako też i inne, wymienione za zdobyte, z innymi ogrodami Europy. Ogród zaś botaniczny krakowski postawił Warszewicz tak wysoko, jak potem już nigdy chyba nie stał.

Nowy ogród botaniczny w Wilnie powstał za sprawą ks. Stanisława Jundziłła w r. 1799 i jemu też zawdzięczał swój niepospolity rozwój. Dotrwał do r. 1831, t. j. do zamknięcia uniwersytetu przez Nowosilcowa.

Ks. St. Jundziłł, wybitny botanik i krzewiciel ogrodnictwa na Litwie, sam opisał dzieje powstania i stopniowego rozwoju tego ogrodu, aż do czasu swego wyjścia na emeryturę, w r. 1825, w „Pamiętnikach“²⁾ St. Jundziłł (1761 — 1847) zrazu był profesorem historii naturalnej w Szkole głównej litewskiej, później zaś prof. zoologii i botaniki na uniwersytecie w Wilnie. Z chudopachołka, przez pracę, stał się sławnym i znacznym. Filozofję ukończył u pijarów, w 1783, do których zgromadzenia potem należał. Botaniki uczył go Niemiec Forster, prof. akademii wileńskiej. Dopełnił tej nauki studiując Giliberta „Florę litewską“ oraz dzieła Syrenjusza, Lineusza, Lamarck'a i dużo herboryzując. W r. 1791 wydał swe pierwsze dzieło: „Opisanie roślin w W.

¹⁾ Są tu: Alonzoa, Begonia, Canna, Cattleya, Marantha, Philodendron, Solanum i in.

²⁾ Wydał je Antoni Kurpiel w Krakowie, w r. 1905 p. t.: „Pamiętniki ks. Stanisława Jundziłła.

Księstwie Litewskim naturalnie rosnących“. Jadąc za granicę w r. 1792, wstąpił do Krakowa, gdzie go prof. Scheidt po ogrodzie botanicznym oprowadzał. Dalej poznał bogate zbiory roślin w Wiedniu i Schönbrunie, a w Dreźnie zaznajomił się „ze światłym ogrodnikiem Seidlem“. Będąc na studjach w Wiedniu, w tym czasie, udzielał lekcji botaniki ks. Izabeli Czartoryskiej, która „do wygórowanej pasji ogrodnictwa łączyć chciała gruntowną roślinną znajomość“. Wtedy też Cetner, wojewoda bełski, chciał mu poruczyć zarząd „bogatego swego ogrodu w Krakowcu, i tam plebanję korzystną ofiarować“. Ale wtedy właśnie car Paweł I zatwierdził J. na profesora nauk przyrodniczych w Wilnie, dokąd w r. 1798 powrócił i już pozostał.

W r. 1799 przystąpił do zakładania ogrodu botanicznego na Sorokiskach, w Wilnie, bo pozostały po Gilibercie, był bardzo zniszczony i liczył w gruncie i szklarniach zaledwie 200 gatunków roślin i to pospolitych¹⁾. Ilość tę powiększał J. ustawicznie, zakładając wciąż nowe działki ogrodu, budując szklarnię i muzeum botaniczne, na co wszystko z trudem wypraszał pieniądze niezbędne. Tak np. w roku 1801 rozmnożył sporo roślin z nasion, które mu dał francuz, Truchy, domownik Platerów, miłośnik roślin i te, które otrzymał z Krakowa od prof. Scheidta. To stanowiło podstawę zbiorów, ale dalej sprowadzał corocznie nowe rośliny z Paryża, Wiednia, Montpellier, Hali, Warszawy, z Gorek, pod Moskwą, przywiózł trochę roślin ogrodnik Bogatko, napływały też one zarówno z Berlina, jak z Dorpatu i Charkowa. To też gdy w r. 1799 było ich tylko 492, to w r. 1822 ogród wileński posiadał gatunków roślin 6000.

Pisze Jundziłł, że ogrodników zmieniać musiał ciągle, bo byli nęłogowi lub niedbali. Dopiero książę generał Czartoryski przysłał mu Pipera, z Wiednia, a ten był pilny i pracowity.

Mnóstwo roślin dostarczali mu bogaci ziemianie. Tak hr. Choiseul'owa nabyła dla ogrodu wileńskiego bogaty zbiór w Elblągu, sporo też przysłał mu Besser, z Krzemienia. Etał ogrodu był b. skromny, bo do r. 1809 wynosił zaledwie 900 rb. i dopiero rektor Jędrzej Śniadecki wyjednał drugie tyle. Publiczność zrządała w ogrodzie wielkie szkody, a kurator ks. Adam Czartoryski czynił wymówki, że ogród nie jest założony w stylu angielskim. Lecz J. był zdania, że na kwatach więcej roślin zmieści, co jest prawdą, a i uczyć się z nich łatwiej młodzieży.

¹⁾ Gilibert przeniósł do Wilna rośliny z Horodnicy, w 1784 r. założył pierwszy ogród botaniczny, tamże. Potem do roku 1787 zarządzał nim prof. Jerzy Forster.

Gdy się Piper zaniedbał, starając się tylko o nasiona, które mu wolno było zbywać na swoją korzyść, musiał sam Jundziłt bardzo pracować, aż sobie przybrał do pomocy imiennika Józefa Jundziłta. Jego to wysłał na Żmudź, gdzie zebrał dużo roślin i zielnik przywiózł. On też zarządzał ogrodem od r. 1825 — 1829, potem Wizel, ogrodnik z Krzemieńca, aż z braku pieniędzy i opieki, ogród niszczał. Ślady jego widziałem jeszcze w końcu XIX w. Wracając z Karlsbadu, gdzie się leczył, w r. 1826 zatrzymał się St. Jundziłt w Warszawie i poznał z Szubertem. Tu również na Faworach (potem Cytadela), widział piękny zbiór roślin gener. Rautenstraucha i jak go nazwał niewłaściwie (bo tem nigdy nie był) „pomologiczny“ ogród Ulricha, przy ul. Ceglanej.

Ogród botaniczny uniwersytecki w Warszawie, zawdzięcza swe powstanie, w r. 1819, prof. Michałowi Szubertowi; on go tu rozwinął znamieniem, poświęciwszy się temu swemu dziecku tak dalece, że nawet wykładów trochę zaniedbywał. Zdaje się, że wskutek tego był lepszym dyrektorem ogrodu, niż profesorem. Należał on do tych ludzi, którzy stawiają sobie w życiu tylko jeden cel, ale dla niego umieją znieść i poświęcić wszystko. Takie umiłowanie idei, niezłomna wytrwałość i nieugięta praca, dały w tym razie krajowi instytucję, którą się mógł poszczycić przed obcymi, która ułatwiła naukę studentom, a zarazem wywarła wpływ dodatni na nasze ogrodnictwo.

Niektórzy dyrektorowie ogrodu byli opiekunami ogrodników; z ogrodu tego wyszło sporo dobrych hodowców, zwłaszcza roślin szklarniowych; tam też uczył się poznawać rośliny wielki zastęp młodzieży przyrodniczej i aptekarskiej, za paru odradzających się uniwersytetów warszawskich.

Dzieje tego ogrodu, ze źródeł archiwalnych, starannie spisał i podał prof. dr. Januariusz Kołodziejczyk, w książeczce p. t.: „Stulecie ogrodu botanicznego warszawskiego“ (Warszawa r. 1919). Najważniejsze wiadomości z niej przytaczamy, dopełniając i własnymi uwagami, z czasów nauki swojej w tym ogrodzie, pomiędzy r. 1869 — 1873.

Przy obejmowaniu dawnej „Botaniki“ t. j. ogrodu uniwersyteckiego, za pałacem Kazimierowskim, zastał w nim Szubert tylko 500 gatunków roślin. Zakupił tedy, co było można, w ogrodach warszawskich i otrzymał dużo roślin z Podzamcza, a głównie z Puław, od ks. Izabeli Czartoryskiej. Przy objeździe kraju w 1818 r. obfite żniwo miał w Niedźwiedziu, gdzie, jak mówi, „tak liczny i piękny znajduje się zbiór, jak rzadko nawet za granicą, w ogrodzie partykularnym znaleźć można“.

W pół roku po objęciu ogrodu, miał już 3000 gatunków, lecz szczupłość miejsca i brak szklarni przeszkodziły rozwojowi. Wszczął więc starania o przeniesienie ogrodu na grunt Łazienek, a gdy car

Aleksander I na to zezwolił, od r. 1819 zaczął z budowniczym Kado i ogrodnikiem Akiermanem nowy ogród botaniczny urządzać tam, gdzie dotąd istnieje. Dostał potem dzielnego pomocnika, głównego ogrodnika Gotlieba Günthra (z Berlina) i przy swej zabiegliwości, w r. 1824 posiadał już 10000 gatunków (spis drukowany). Ogród wtedy już odznaczał się pięknem położeniem i troskliwym utrzymaniem tak roślin pojedynczych, jak i całości.

W dalszym ciągu napływały wciąż nowe rośliny, jako dary dobrych obywateli, jako to, prócz wymienionych, od hr. Mierzejewskiego z Nepel. Ale najwięcej zbogacił ogród przez nasiona lub nowe rośliny, sam Szubert, podczas kilku wycieczek po kraju oraz po Niemczech, Francji, Holandji, Austrii. W sprawozdaniach dla komisji wyznań i oświecenia, czynił nieraz uwagi i dla nas tu nie obojętne. Tak np. chwali drzewa pomarańczowe i cytrynowe w Sans-Souci, pod Berlinem, ale „nie wyrównują one nieborowskim ks. Radziwiłła“, które to potem do Łazienek się dostały.

„Co do krajowych ogrodów, nie bardzo się zbudowałem; możniejsi nasi panowie na wielką skalę zakładają ogrody, ale o ich należytem utrzymaniu i polepszeniu wcale nie myślą; klomby zarastają chwastami, drogi są nieczyszczone, a trawniki zostawione samym sobie, brzydki sprawiają widok... Nie zdarzyło mi się żadnego krajowego widzieć w tej podróży ogrodu, któryby tak porządnie był utrzymywany, jak ogrody w Puławach, Wilanowie, Krupkach (Króbkach) i Nieborowie“.

Antoni Waga, a zwłaszcza Wojciech Jastrzębowski, który z obowiązku swego zwiedził całą Polskę, ogromnie dużo roślin krajowych S. dostarczyli, jak również i Dogiel, nauczyciel z Sejn, z flory litewskiej.

Ogród botaniczny stał się wkrótce ulubionym dla warszawiaków, którzy go „aż do natłoku“ nieraz przepełniali. Ale obok swych zadań naukowych, miał on jeszcze młodym ogrodniczkom (których było po 9 do r. 1862) zastępować szkołę. Zarząd ogrodu miał nawet prawo „wyzwalania ogrodników z ogrodników“, a Szubert marzył o założeniu szkoły ogrodniczej, lecz, by wyszkolić nauczycieli dla niej, „potrzeboby i w uniwersytecie zaprowadzić kursy ogrodnictwa, które dziś na dowiedzionych zasadach fizyki i chemii jest oparte“, są słowa tego światłego męża. Więc wyprzedził myślą to, co w postaci Wyższej szkoły ogrodniczej stało się faktem dopiero w r. 1913.

Pragnął on też rozpowszechnić w kraju dobre odmiany warzyw i owoców. Dopomógł mu do poznania odmian owoców wyborowych sad, należący do ówczesnego ogrodu botanicznego, w którym znajdował się „piękny i niemal kompletny (?!), zbiór odmian owocowych, sprowadzonych z niemałym nakładem z Francji“. Domagał się dla ich

rozpowszechnienia, założenia szkółek drzew; te miały powstać tam, gdzie dziś jest park Ujazdowski, ale rok 1830 zamiary te pogrzebał.

Na małej części wzgórza, Kałwarją zwanego, w ogrodzie botanicznym była owa „szczupła winnica“, o której wspominaliśmy poprzednio. W części gruntowej posadzono mnóstwo drzew i krzewów obcych, a między innymi także niektóre „zaaklimatyzowane“, t. j. ze szklarni w grunt wysadzone i tam zimujące. Robił też próby z zimowaniem roślin czułych, pod nakryciem z doniczek, mchu i liści; dzięki tym i innym takim próbom, obecnie wiemy dokładnie, jakie z roślin i jakiego na zimę wymagają zabezpieczenia u nas.

Oprócz tego S. szczerze rozdawał rośliny i nasiona roślin pożytecznych znawcom i miłośnikom, w całym kraju. Były między nimi wszystkie użytkowe, a między innymi trawy do utrwalania piasków.

Pomijamy smutny okres upadku, który trwał aż do czasu, gdy ogród botaniczny przeszedł pod zawiadywanie Szkoły głównej, w r. 1862, a właściwie od r. 1864, gdy dyrektorem ogrodu zamianowany został profesor botaniki opisowej w Szkole głównej, Jerzy Aleksandrowicz († 1894 r.), Mąż ten, któremu ogrodnictwo i pszczelnictwo polskie niemało zawdzięcza, ukończył uniwersytet w Petersburgu, uczył przyrody w gimnazjum realnem warszawskim, potem był profesorem kilku przedmiotów przyrodniczych w akademii medyko-chirurgicznej warszawskiej i anatomii w szkole sztuk pięknych. Zarządzał ogrodem botanicznym długo jeszcze bo do r. 1878, a pomologicznym do r. 1886. On to bowiem, przy pomocy kasztelana Dembowskiego, założył rządowy ogród pomologiczny w Warszawie, w r. 1869, na części dawnego folwarku Ś-to Krzyskiego (misjonarzów), wymienionym przez ministerjum oświecenia z władzami wojskowymi, za ogrody, należące dawniej do instytutu rolniczego w Marymoncie. Do nowo-utworzonego, pierwszego na ziemiach polskich, ogrodu pomologicznego, przeniesiono część drzew owocowych z Marymontu, resztę nabyto u James Bootha, we Flottberg, pod Hamburgiem, u dr. E. Regla w Petersburgu, od A. Leroy w Anglii.

Ogrodnikiem głównym ogrodu pomologicznego był Jakób Koch (w Marymoncie od r. 1861) przez lat parę, potem autor niniejszej pracy od r. 1874 do 1886. Dzieje tego ogrodu wychodzą poza okres czasu, objęty w tej „Historji“ ogrodnictwa polskiego.

Alexandrowicz był dyrektorem i prawdziwym opiekunem ogrodu pomologicznego, aż do chwili, gdy go z tego stanowiska usunął, w roku 1886 kurator Apuchtin. On też był założycielem pierwszej istotnej szkoły ogrodniczej, przy tymże ogrodzie (1879 — 1886) i uczył w niej botaniki, przez cały czas istnienia. On, wraz z Piotrem Hoserem (ojcem) i pułkownikiem Kucyńskim, jako główni założyciele, wyjednali zatwier-

dzenie ustawy i pozwolenie otwarcia pierwszego w kraju T-wa ogrodniczego warszawskiego, w r. 1884, co narażało duże trudności, wobec wrogiego usposobienia władz rosyjskich dla wszelkich tego rodzaju towarzystw, po zamknięciu Tow. rolniczego w r. 1863, uznanego za państwowo szkodliwe.

Był też, wielce popularny i powszechnie lubiany dyrektor Alexandrowicz, i aż do śmierci swej pierwszy prezes Tow. ogrodniczego warsz., opiekunem ogrodników, zwłaszcza młodych i do dalszego kształcenia się dopomagał im radą i swemi wpływami.

O ogród botaniczny troszczył się ciągle; podniósł go na właściwy poziom naukowy i utrzymywał na nim, dopóki starczyło środków, które i za Szkoły głównej, a tembardziej za uniwersytetu rosyjskiego, bardzo były skąpe. Ciasnota znów miejsca, nie pozwalała na rozszerzenie lub też przekształcenie ogrodu, na modłę nowoczesną. Ochraniano jednak troskliwie drzewa, zwłaszcza osobliwe, za Szuberta posadzone, dopełniano ciągle rośliny, zarówno gruntowe, jak i szklarniowe.

W tej pracy dzielnie dopomagali dyrektorowi w części gruntowej, Hipolit Cybulski, a w szklarniach — Karol Sparmann.

Cybulski, syn ogrodnika-warzywnika, z Warszawy, zanim został z konkursu starszym ogrodnikiem ogrodu botan. warsz. uczył się długo, przez praktykę, w różnych ogrodach miejscowych, oraz botanicznych obcych, przeważnie niemieckich. Był to niepospolity znawca flory krajowej, a po części i obcej, hodowca pracowity i umiętny. Zasłużył się on później i w nauce, swemi spostrzeżeniami nad porą kwitnienia roślin i dojrzewania różnych nasion¹⁾. Starannie też układał coroczne katalogi wymienne, nasion posiadanych, dobrze prowadził t. zw. seminarjum, t. j. zbiór nasion do wymiany i przez tę wymianę otrzymywał corocznie wielkie mnóstwo nasion różnych roślin, które umiejętnie wysiewał, a przez to zbiory ogrodu stale zbogacał. Tak było przynajmniej w czasie naszej praktyki, w ogrodzie botanicznym, w latach 1871 — 3.

Z usposobienia figlarz, wychodząc na przechadzkę, za miasto, często brał w kieszeń garść zmieszanych nasion, różnych ziół obcych i wysiewał je tu i owdzie, by w ten sposób zwodzić początkujących botaników, którzy mogli się chełpić później znalezieniem tych nowości we florze polskiej, w pobliżu Warszawy.

Karol Sparmann, sas rodem, dobry znawca roślin szklarniowych i naogół niezły ich hodowca, utrzymywał szklarnie w stanie poprawnym; później jednak nieco się zaniedbał, zajmując się dużo pobocznymi pra-

¹⁾ Spostrzeżenia te „fitofenologiczne“, ogłaszał potem, w „Pamiętniku fizjograficznym“.

cami. Umiął też sobie znaleźć protektorów, którzy go wydzwignęli na ogrodnika w Carskim Siole.

W tej epoce powiększono ilość szklarni, które jednak, jeszcze za naszej w ogrodzie praktyki, opalane były kanałami.

Po ustąpieniu Aleksandrowicza, ogród botaniczny warszawski, pod zarządem prof. Fischera v. Waldheima, podupadł, co do ilości roślin, a hodowlę w nim podtrzymywał jeszcze H. Cybulski. Gdy i ten ustąpił i od r. 1887, zaczęto, dla zyskania funduszy, sprzedawać kwiaty i rośliny, ogród naukowo spadał coraz niżej. Cybulski walczył tam jeszcze do r. 1893, w którym ustąpił.

Pod dyрекcją prof. Bielajewa (1897—1901), późniejszego ministra oświaty, ogród odżył nieco i powiększył się o 2 szklarnie i o alpinetum, mało podobne do wzorowych tego rodzaju zbiorów roślin górskich, w pierwszorzędnym ogrodach europejskich. Ale za czasów ostatniego, przed wojną dyrektora, Chmielewskiego (z rusina-unity, prawosławny), doszedł do takiego zaniedbania, że nie tylko prasa, ale nawet policja karciała to niedbalstwo.

Nowy okres rozwoju, o ile on jest możliwym na tym starym i ciasnym terenie, nastąpił od r. 1917, gdy ogród botaniczny dostał się pod zawiadywanie na nowo otwartego uniwersytetu warszawskiego, a jego dyrektorem został prof. Zygmunt Wójcicki, znakomity znawca flory polskiej i jej wielki miłośnik, któremu jako inspektor, w pierwszych latach dopomógł niemniej znakomity botanik i filopatolog polski, prof. Józef Trzebiński.

Ogród botaniczny uniwersytecki we Lwowie, założony staraniem wielkiego męża stanu, namiestnika Gołuchowskiego, pod kierunkiem prof. Łobaszewskiego, przez ogrodnika Baura, w r. 1854, ciasny i niebogaty, zajmuje skromne miejsce między innymi. Podniósł go prof. Marjan Raciborski, ale to już w XX wieku. Inne, małej wagi, pomijamy.

Należy się tu jeszcze wzmianka Instytutowi gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie, który trwał od r. 1820 do 1863¹⁾, z coraz większym pożytkiem dla krajowego rolnictwa i wydał cały zastęp wykształconych rolników.

Jeszcze w roku 1836 Instytut nie stał na wysokości akademii rolniczej, jak to stwierdza jego ustawa²⁾, według której miał kształcić „zdatnych gospodarzy praktycznych wyższego i niższego stopnia“.

¹⁾ Założony był staraniem Staszycy, Mostowskiego, Potockiego St., Lubeckiego i in. Zamknięto go w r. 1831, ale Rada administracyjna otworzyła go znów w roku 1836.

²⁾ „Urządzenie instytutu gospodarstwa wiejskiego (w Marymoncie). Ustawa, zatwierdzona przez Radę Administracyjną Król. Pol. z dnia 13. X. 1835 r.

Jakoż przyjmowano do tej szkoły uczniów, po ukończeniu 4-ej klasy szkół średnich. Stopniowo jednak poziom podniósł się, dzięki głównie szeregowi wybitnych profesorów. Instytut miał też kształcić „czeladź gospodarką i wszelkiego rodzaju robotnika: parobków, karbowych, dozorców robocizny, owczarzy, gorzelników, ogrodników i t. p.“. Widzimy z tego, jakie było stanowisko ówczesnych ogrodników i jak ich traktowano. Dla tej „czeladzi“ istniała szkoła wiejska, do której przyjmowano synów włościan, w 12—13 roku życia. W szkole tej przebywali lat 7 (uzdolnieni — krócej). Uczono ich praktycznie, między innymi i ogrodnictwa, systemem pytań i odpowiedzi.

Młodzież ze szkoły wyższej uczono między innymi uprawy warzyw w polu, na wielką skalę. Ważniejsze warzywa były też włączone do ogrodu botanicznego, przy zakładzie. Nadto był tu ogród warzywny i owocowy, „pod dozorem umiejętnego ogrodnika, który obowiązany będzie oswajać uczniów praktycznie ze sposobami rozmnażania drzew owocowych i chodzenia około inspektu“.

Żaden wybitniejszy ogrodnik z tej szkoły nie wyszedł, ale uczniowie Instytutu nabrali upodobania do ogrodów, bo ich tego nauczył Wojciech Jastrzębowski, człowiek zasłużony rolnictwu i ogrodnictwu polskiemu¹⁾.

Gdy Instytut w Marymoncie zamknięto, przeniesiono z niego młodsze drzewa karłowe i inne do ogrodu pomologicznego, na ul. Nowogrodzką, w r. 1869. Ostatnim ogrodnikiem w Marymoncie był Krumbeck. Hoch, który go zastąpił i jego pomocnik Niemiec Meier, byli już ogrodnikami ogrodu pomologicznego, przez pierwsze lata jego istnienia.

Z myślą założenia szkół ogrodniczych nosili się, jak wiemy, zarówno Jundziłł, jak Szubert, ale do ziszczenia tych pomysłów nie doszło wtedy.

WYSTAWY.

Na pierwszej, większej wystawie „płodów przemysłu krajowego i rosyjskiego“, która była urządzona w salach ratusza, giełdy i banku polskiego w Warszawie, w r. 1845, nie było ani jednego przedmiotu

¹⁾ Prof. Wojciech Jastrzębowski (1799 — 1882) ukończył uniwersytet w Warszawie, w którym od roku 1829 był adjunktem przy katedrze nauk przyrodzonych, w kilka lat potem prof. przyrody w Instytucie Marymonckim. Na tem stanowisku pozostał do r. 1858. Główna jego zasługa, to szczepienie zamięłowania do przyrody, a zwłaszcza do ogrodnictwa i leśnictwa, wśród młodzieży. Wykład ogrodnictwa,

ogrodniczego¹⁾. Ale w r. 1849 odbyła się pierwsza wystawa kwiatów, owoców i ogrodowizn, w Warszawie, w październiku. Na niej to Krystjan Ulrich otrzymał upominek srebrny od komitetu, za roślinę *Burchelia capensis*, jak gdyby to był eksponat najważniejszy. Zdaje się, że dużo pełniejsza i ważniejsza była druga wystawa kwiatów, urządzona w gmachu instytutu poprawy zaniedbanych dzieci, w r. 1850²⁾. Znak wystawy „wyzierał przy wyjściu z Ordynackiego na Nowy-Świat“. Okazy mieściły się w 4 salach, a w wystawie wzięli udział: hr. Zamoyscy, ogród botaniczny, ogród saski (ogrodnikiem był tam jeszcze Piotr Hoser, ojciec), Eckert — z ul. Krochmalnej, Czepiński — z izby obrachunkowej, Buczyński — z ul. Bonifraterskiej, Ulrich, Szpital Dzieciątka Jezus, zakład św. Kazimierza — na Tamce, Karol Scholtze — z Szop Niemieckich, hodowca winorośli hr. Ksawery Pułowski i „wspaniałe, powszechnie znane ze swego bogactwa szklarnie wilanowskie“. Byli też tam br. Bardeci, niedawno ze Szwajcarii sprowadzeni p. ordynata Zamoyskiego; ci wystawili zbiór róż kwitnących.

Czepiński dał owoce, kwiaty i warzywa, Hoser, wielki miłośnik flory — dużo roślin ciekawych, „które publiczność nieraz podziwiała w ogrodzie Saskim“. Ulrich popisał się paulownią, mieczykami gawdawskimi (wtedy jeszcze nowe), ogromnymi brzoskwiniami, hodowanymi w szklarni i karczochami, tak pielęgnowanymi „jak słynące z okolic Krakowa“. Śliczne winogrona pochodziły od Scholtzego, a rzadkie kwiaty — od Buczyńskiego i Eckerta.

W latach 1853 i 6 br. Hoserowie urządzili piękne wystawy kwiatowe, w swoim zakładzie, przy al. Jerozolimskiej, a „Kurjer“ i „Gazeta Warszawska“ zachwycaly się nimi³⁾. Wystawy pomieściły się w szklarniach, a były na nich: lilje i astry, róże „paryskie“ i ułanki, paprocie i cyprysy i w. in. Wazony pełne kwiatów, festony z widłaków i rzadkie rośliny. Wystawy te „wzbudzały zachwyt u płci pięknej (były bowiem nowością) i zachęcały do hodowli“.

Na wystawie płodów rolniczych w r. 1867 wrześniowej⁴⁾ dział ogrodniczy był b. okazały. Wyliczymy uczestników, bo to zarazem wykazuje, jakie wybitniejsze ogrody istniały wtedy w Warszawie. Więc obok Bardetów, napotykalmy tam Zbranickiego, zdolnego ogrodnika

spisany, jakoby wiernie, i wydany przez Majewskiego, jednego z uczniów J., jest słaby i zawiera dosyć błędów. Potem J. był komisarzem leśnym w Feliksowie, pod Ostrowem Łomż., gdzie miał szkółki drzew. Uczniowie bardzo go cenili i kochali.

¹⁾ Zobacz „Spis“ tej wystawy.

²⁾ Sprawozdanie „Kurjera Warszawskiego“, r. 1850, 2 września, w № 230.

³⁾ „Kurjer Warszawski“ r. 1855, № 224 i „Gazeta Warsz.“ r. 1856, z 1 września.

⁴⁾ Sprawozdanie „Kurjera Warszawskiego“.

hr. Potockich, z Wilanowa, Jana Margueritte'a, z Szop Polskich, który dużo szlachetnych owoców francuskich do nas sprowadził i drzewa karłowate umiejętnie hodował.

Obok Ulricha, był Franciszek Wilmann, warzywnik, Jakób Rau z Jabłonny, J. Czarnecki, z folwarku Ś-to Krzyskiego, Antoni Babicki z ul. Wilczej, córka Michała Czepińskiego, Magdalena Barczyńska z owocami, z Łowicza, Kazimierz Górecki, z instytutu panien, na Wiejskiej, Konstanty Stopczyk (melony!), St. Miłobędzki z Sielc, pod Warszawą (szparagi!). A z poza Warszawy owoce Antoniego Wiktora, z Trębek, K. Scholtzego wyborne winogrona. Dopełniały całości okazy ze szkółek: Fr. Kosińskiego, z Wielunia, St. Ścibora z Puław, Marc. Czuleńskiego, z Sielc.

W katalogu zaś wystawy rolniczej z r. 1870 w Warszawie, oprócz wymienionych, są wymienieni tacy hodowcy, jak pastor P. Beczkowski z Iłowa (szkółki i owoce), Józef Brykner (piękne owoce z Powiśla w Warszawie), prof. Wojciech Jastrzębowski z Feliksowa, pod Ostrołęką (dziczki, drzewka) i in. Ale warzywnicy z Woli i Czystego Świecilli nieobecnością, co się i potem wielokrotnie powtarzało.

Bardzo piękny i bogaty był dział ogrodniczy na wystawie rolniczej, na placu Ujazdowskim, w r. 1874, ale i ta wyłącznie ogrodniczą nie była, natomiast na wystawach prowincjonalnych przez T-wo rolnicze, przed r. 1683 urządzanych, były też i okazy wytworów ogrodowych.

Pierwszą, ale wspaniałą i bardzo udatną wystawę czysto ogrodniczą, urządziło T-wo Ogrodnicze Warsz. dopiero w r. 1885, korzystając z budynków po wystawie rolniczej, również na Placu Ujazdowskim.

WARZYWNICTWO.

Jeszcze w w. XVI, pod wpływem Bony, powstałe warzywnictwo krakowskie, stopniowo zajęło Łobzów, Krowodrzę i Czarną Wieś i zachowało do dziś swą dobrą tradycję, stając się jednym z najstarszych ognisk warzywnictwa w Polsce. Bodaj że najstarsze jednak takie ognisko stanowi Przybyszew, nad Pilicą. Umiejętną hodowlę cebuli, ogórków i in. warzyw, zaszczytli tu benedyktyni płoccy, którzy mieli opactwo w pobliskim Borowie, od r. 1396. Ale bodaj że i cystersi sulejowscy wywarli tu również pewien wpływ na okolicę, ich prepozytura bowiem istniała w Mogielnicy już w XVII w.

Ognisko to z Przybyszewa promieniowało aż do Promny i Gór, a nawet przerzuciło się na drugą stronę Pilicy. W r. 1913 było tam ogółem pod warzywami przeszło 500 ha, ale wtedy uprawy warzywne

sięgały już pod Nowe Miasto i prawie do ujścia Pilicy do Wisły, obejmując głównie mady i czarne ziemie nadrzeczne.

Dawniejsi włościanie benedyktyńscy zamienili się zczasem w umiejętnych warzywników. Obecnie każda osada, obejmująca około 4 ha gruntu, podzielona jest w ten sposób, że około 1 ha czarnoziemnej mady służy pod ogórki, z wyższego gruntu, żyzniejsze kawałki pod cebulę, a reszta na inne warzywa i ziemioplody rolne. Ale zboża dla rodziny i owsa dla koni, niezbędnych do rozwożenia warzyw po miastach, nie wystarczało przed wojną, kupowano je, lecz było z czego, bo rodzina sama z 5—6 osób obrabiała cały grunt, z którego, z przestrzeni $\frac{1}{2}$ ha, zbierało się rocznie około 1500 kóp ogórków i około 650 pud. cebuli, tak dalece, że z 1 ha osiągnano dochodu od 350 do 700 rb.

Ludność tedy zamożna, okrzesała przez częste podróże z warzywem do Warszawy i Łodzi, stała się tak przedsiębiorcza, że przybysze-wiaci pierwsi zdobyli się na kilku własnych instruktorów ogrodniczych (od r. 1917—18) i to do różnych gałęzi. Liczono zaś tych warzywników około 500.

Odwieczna uprawa ziemi jest też w Przybyszewie odmienna nieco od zwykłej. Orze się tu w zagony o 2 spadkach, 6 skibowe, wypukłe, idące z północy na południe. W głębokich bródach zbiera się wiosną woda, ale w lecie wypełniają je sznury ogórków, znajdując tu pożądane ocienienie dla owoców i wilgoć. Owoce te są średnie, kształtne, ustalone jako osobna odmiana, dobre na mizerję i do kwaszenia. Na suchym grzbiecie zagona sadi się dymkę cebulową, na pozostałej zaś ziemi różne warzywa i trochę nasion, zresztą nienajlepszych, do ostatnich czasów ¹⁾.

Na Woli i Czystem powstało około połowy XIX w. też wielkie ognisko warzywne. Do r. 1836 warzywnicy poza Warszawę z tej strony nie wychodzili, dość było bowiem wolnych gruntów w obrębie miasta.

Wszak i na folwarku Ś-to Krzyskim, do r. 1864 uprawiano zboże i ziemniaki, a po zniesieniu zakonów—warzywa. Zresztą cała ta część miasta wyglądała do powstania z r. 1863, jak wieś i pamiętamy dobrze wiatrak, a naokoło łany zboża, przy obecnej ulicy Wilczej i Koszykowej. Na ul. Chmielnej warzywniki przetrwały do r. 1875 i wogóle otaczały wiankiem całe miasto właściwe, poza okopy nie wychodząc.

Jakoż lustracja z r. 1660 nie wykazuje ani jednego warzywnika na zachodzie warszawskiego obwodu. Wola i Czyste były od r. 1750 majątkiem jenerała artylerji, Brühla, w r. 1785 przeszły do Ponińskich, a od nich do Biernackich, gdy rosjanie zniszczyli pałac w r. 1831.

¹⁾ Część tych wiadomości podał nam ks. Pogorzelski, proboszcz przybyszewski.

Otóż pierwszy przedsiębiorczy warzywnik warszawski, w r. 1834 wziął w dzierżawę wieczystą kawałek gruntu na Woli. Był to Witowski. Za nim poszli Kaszyński, w r. 1836, Świniarski w r. 1840 (z ul. Smoczej) i jednocześnie Witanowski. Jednocześnie też prawie, bo w r. 1840 osiadł na Czystem Jan Kuferski i za nim liczni inni jak: Kubalski, Rząca, Zajkowsy. Wszakże w samej Warszawie utrzymały się jeszcze spore warzywniki, do r. 1870 i dłużej nawet, jak np. Lisowskiego na ul. Wielkiej, Kaczyńskich, przy Marszałkowskiej, A. Babickiego, na Wilczej i in. Słynęły też wtedy szparagi Piklikiewicza z ul. Hożej, na śmieciach, które mu straż ogniowa, jako naczelnikowi, w dwukołowych karach, dowoziła.

Warzywnictwo na Woli i Czystem rozwinęło się doskonale, pomimo gruntu — lekkiej bielicy, z głęboką wodą. Uczyniła to obfitość taniego obornika i śmieci, z Warszawy dowożonych, łatwa obróbka ziemi lekkiej i możność dostania kawała tej ziemi, w dzierżawę, za niezbyt wysoki czynsz wieczysty. Umiejętność uprawy polegała zrazu głównie, na wykonaniu robót we właściwej porze, na obfitem nawożeniu tudzież na utrzymaniu ziemi w czystości. Zresztą panowała tu wszechwładnie rutyna, warzywnicy synowie uczyli się od ojców, a ich dzieci, od nich, bo na pożytek i rodzin i kraju, warzywnictwo było zawodem dla wielu rodzin, przez kilka pokoleń dziedzicznym.

Pewne udoskonalenia zdarzały się jednakże. Tak np. Kubalski (ale już w końcu wieku XIX), zaczął pędzić ogórki w małych szklarniach i polewać warzywa beczką, na dwu kołach, okracając zagon. Wprowadzili też ci warzywnicy, choć wolno i z oporem, nowe odmiany do hodowli, lepsze od starych, np. cebulę żytawską, zamiast holenderskiej, a nawet otrzymali niektóre odmiany warzyw miejscowe. Tak np. wytworzył się nowy typ kapusty warszawskiej, czyli wolskiej i rzodkiewka do połowy biała. Józef Zajkowski otrzymał cebulę wolską, krzyżówkę madery z holenderską, czy żytawską i t. p.

Warzywnictwo podwarszawskie otoczyło pasem całą stolicę, już pod koniec opisywanego okresu. Dopomogli do tego włościanie wilanowscy, słuźewscy, powsińscy i in. przeistaczając się stopniowo i w naszych oczach, na warzywników i czyniąc coraz większą podrywkę zawodowym warzywnikom wolskim, którzy się o to bardzo gniewali, oczywiście bezskutecznie.

Warzywnictwo to jednak do czasów ostatnich nie było oparte na nauce, a nawet nie zastosowało metod hodowli, od w. XVII znanych już we Francji. Nie było tu więc urządzeń do podlewania (wiatraki, pompy motorowe, rozpraszanie wody rurami po ogrodzie). Hodowla w szklarniach, tak korzystna i pewna, nie istniała. Nowe odmiany mało

kto z nich próbował, przetwórstwo warzyw nie przychodziło w pomoc, gdy rynek był niemi przesycony i trzeba było powracać nieraz do domu, z niesprzedanym towarem. Zamożność jednak była, ale nie myślano o kształceniu się i doskonaleniu zawodowym, a tem bardziej nie łożono na takie przedsięwzięcia publicznego użytku, jak zakładanie i utrzymywanie stacji naukowej warzywniczej.

Co się tyczy odmian w tej dobie pod Warszawą i w innych ogniskach hodowanych, to znaleźmy je, a zresztą podają je współczesne podręczniki i cenniki nasion. Więc buraki były okrągłe, słodkie, białe-czerwone, później zaś nieco gorzkawe, ale bardzo ciemne, egipskie; cebula holenderska, jasno-żółta (innych barw na rynku nie uznawano), kapusta magdeburska, później zaś brunświcka; marchew holenderska i nantejska oraz karota paryska, na inspekcje. Groch karłowy i cukrowy; fasola biała („szabelbon“), cukrowa szara, turecka i in. Ogórki holenderskie średnie, potem odmiany rosyjskie i własne, z holenderskich otrzymane. Sałata berlińska, twardogłowa, azjatycka, kalafjory rfurckie i francuskie (Salomon, Lenormand). Rzadszych warzyw hodowano mało, bo na nie pokupu nie było. Nawet brukselka pojawiać się zaczęła w większej ilości, pod koniec okresu.

Przemysłniejsi jednak warzywnicy podwarszawscy zaczęli hodować dużo nowalijek inspektowych; trochę z nich wysyłali nawet (później) do Petersburga. Oni też pobudowali dobre piwnice i urządzili strychy, starając się przechować do wiosny cebulę, świeżą kapustę, do N-Roku kalafjory i t. d.

Nasion trochę uprawiali na własną potrzebę, strzegąc ich zazdrośnie, by się nie dostały współzawodnikom, zwłaszcza odmian wczesnych.

Wielką wadą tego warzywnictwa było, że hodowcy sami z warzywem na targ jeździli. Ponieważ zaś targ był nie urządzony odpowiednio, więc by dobre miejsce dostać, wyjeżdżali z warzywem, zwłaszcza odleglejsi od miasta, już po północy i biedowali aż do południa prawie, by po przespaniu się znów do targu przygotować i na noc jechać. Niektórzy takie życie wiedli po lat parę dziesiątków, jak mi to opowiadali i na co sam patrzyłem. W ogrodzie tedy zastępować ich musiała rodzina lub też zamiast męża, do targu jeździła żona. W tych warunkach o prawdziwym postępie nie mogło być mowy.

W ciągu tej epoki ogromnie się wzmogła w Polsce uprawa ziemniaków. Już Giżycki odróżnia ogrodowe, które zwie patatami, jako smaczniejsze od wodnistych polnych, „którymi się żywi lud wiejski“. Twierdzi on, że włościanie z Powiśla, uwolnieni od obowiązków gruntowych (zapewne pańszczyzny), tyle sadzili ziemniaków, że mogąc się niemi wyżywić, ustąpili z gospodarstw rolnych, poprzestając na małych

ogródkach, przez co podupadła uprawa zbóż. Większy zaś właściciele, chcąc się ratować, zaczęli z ziemniaków wyrabiać wódkę, a zniżywszy bardzo jej cenę, przyczynili się do zdemoralizowania ludu (propinacje).

Zresztą autor ten mniemał, że dobre odmiany otrzymuje się nietylko z siewu (czem się później tak wślawił nasz Dołkowski). Uważał słusznie ziemniaki za wyborne warzywo i przepowiedział, że zajmą w ogrodach niepoślednie miejsce, gdy się je doprowadzi do doskonałości, przez pilną uprawę. Że ocena ta była słuszna, dowodzą takie książki późniejsze polskie, jak praca Tymoteusza Łuniewskiego o ziemniakach.

Lepsi warzywnicy warszawscy już około r. 1850, a nawet wcześniej, hodowali w przyspiesznikach dużo melonów Prescottów, jako też siatkowych wielkich, dla cukierników, do smażenia w cukrze. Nie brak było i arbuzów, chociaż, jak mówi Giżycki, już od r. 1840, dowożono je z Pobereża. Później dowóz tak się wzmógł z Besarabji i Chersońszczyzny, że po r. 1875 stopniowo hodowli tej zaniechano.

Ale poza temi ogniskami, z których wywóz do stron dalszych nie był urządzony, w wielu okolicach kraju brak warzyw uczuwało się dotkliwie; miejsce ich zastępowały: mąka, kasza, ziemniaki i leguminy, t. j. groch i po części fasola. Tak było w Suwalszczyźnie, na Podlasiu i w okręgach fabrycznych. Ponieważ zaś suszono warzywa potrochu tylko w domach prywatnych i na swój użytek, więc handel tym wybornym towarem, wtedy jeszcze nie istniał. Nawet dowóz z Rosji i Niemiec był bardzo nieznaczny, bo o warzywa mało względnie dbano, przy taniości mięsa, ryb, kaszy i mąki. Niemniej przeto, pod koniec okresu, żydzi skupowali i wywozili już trochę wczesnych warzyw. Potem dopiero, pod koniec XIX stulecia, niektórzy ogrodnicy podwarszawscy, jak: Wilmanowie, Zaykowscy i in. zaczęli hodować na wywóz do stolic Rosji kapustę wczesną warszawską, trochę nowalijek i pomidory. Ale też i Rosja nie została nam dłużna, wywożąc do nas cebulę, kwaszone ogórki, nawet pietruszkę i t. p. Sprawy te jednak wychodzą poza okres tu omawiany.

Włościanie po r. 1864 zaczęli hodować nieco więcej warzyw, ale tylko pospolitych i w odmianach bardzo lichych. Była to więc kapusta szara (świętokrzyska), buraki na pół białe, marchew żółta lub długa czerwona. Nasiona mieli przeważnie własne, zbierane, jak się urodziły, bez doboru i wyboru, i nawet sprzedawali je na rynkach. Były one nie drogie, lecz wydawały rośliny nędzne.

Postęp, za sprawą instruktorów i przy pomocy wyborowych nasion, sprzedawanych paczkami gotowemi, z szafek, przez warszawskie sklepy nasion, nastąpił dopiero na przełomie dwóch stuleci XIX i XX. Odmiany lepsze, polskie, warzyw, wytworzyły się też później, pod wpły-

wem przypadku, a rzadziej umiejętnego krzyżowania, ale na ogół i dziś jest ich niewiele.

Należy tylko jeszcze wyróżnić warzywnictwo w klasztorach męskich i żeńskich. Była tam stara tradycja i przechodząca od jednych do drugich umiejętność hodowania; była też względna łatwość otrzymywania nowych, a cennych odmian, z klasztorów i prepozytur tego samego zakonu, przy wzajemnych odwiedzinach i przenosinach oraz przy wizytacjach. Że zaś w klasztorze trzymano konie i krowy, nie brakło tedy obornika, owszem nieraz nawet ogrody nim przeładowywano. Przy staraniu braciszków i siostr ogrodników, przy podlewaniu i porządnem utrzymaniu, udawały się warzywa (i śliczne kwiaty). Podziwialiśmy też, już za naszych lat młodości, te klasztorne ogrody, które dostarczały obficie roślinnego pokarmu na liczne dni postne. Z klasztorów ziemianie okoliczni, „dobrodzieje“ zakonów, nieraz dostawali dobre nasiona dla swych ogrodów. Wyhodować je było nie trudno, bo każdy, byle pracowity „ogrodowy“, radził sobie z tą uprawą, z ogrodniczych bodaj najłatwiejszą. Zresztą do zamożnych dworów sprowadzano lub z wycieczek zagranicę, przywożono dobre nasiona warzyw, które tam smakowały i te domorosły ogrodnik też wyprowadzał, szkoda tylko, że nazwy prędko zatracił albo przekręcał, a dziedziące się temi sprawami nie zajmowali, bo rzadko kto się ogrodem naprawdę interesował.

SZKÓŁKI I SADY.

Jeszcze do r. 1870 i nawet nieco później, stwierdzaliśmy, w licznych po kraju wycieczkach zawodowych, że szkółkarstwo stało u nas na niskim poziomie. W sadach pełno było drzew od samej ziemi rozgałęzionych na kilka grubych pni lub konarów, krzywych, często zaś widocznie uszlachetnionych na dziczkach, z lasu wykopanych i do sadu przeniesionych. Nawet i obecnie resztki tych drzew stuletnich, więc z owej epoki, w starodawnych siedzibach ziemian, widzieć można. W kraju było szkółek zamało, a w wielu okolicach wcale nie istniały.

Po przeprowadzeniu kolei, która połączyła dawną Polskę z resztą Europy, zaczęli możniejsi sprowadzać szczepy z Francji (z okolic Paryża, rzadziej z Orleanu), z Niemiec (z Erfurtu, Hamburga, Berlina i Nadrenji), a zaś na północy kraju — z Rygi.

Co do włościan, ci prawie wyłącznie, i to nie wszędzie, posiadali sadki, złożone z lubaszek, węgiełek i wisien, sadzonych odrostkami korzeniowymi, rzadko zaś z grusz i jabłoni, z miedzi wykopanych, do sadu przesadzonych i zaszczepionych szlachetnym zrazem, pochodzącym

z plebanji lub ze dworu. Wyjątek stanowiły wsie, posiadające sady z nakazu i obdarowania przez właścicieli włości, jak było np. w dobrach Czartoryskich, Brzozowskiego, Chreptowicza i in.

Najznamienitsze szkółki owocowe powstały w Warszawie. Mieli je Ulrichowie, już przed r. 1830, przy ul. Ceglanej, M. Czepiński na Marszałkowskiej, br. Hoserowie, od r. 1855, w alei Jerozolimskiej i nie o wiele później br. Bardeci, w Sielcach. Od r. 1860 cieszyły się powodzeniem szkółki mecenasa Moszyńskiego, w Targówku. Miał też dobrą szkółkę pastor Beczkowski w Iłowie, pod Mawą, nie licząc pomniejszych lub na własną potrzebę po dworach zakładanych i przeważnie niedbale prowadzonych. Cała ich ogólna wydajność roczna, zapewne nie przewyższała kilkudziesięciu tysięcy drzewek, przytem bardzo nierównej wartości, tak co do samej hodowli, jak i co do odmian. W niektórych bowiem z tych szkółek (Bardet), rozmnażano dużo odmian francuskich i in. nie sprawdzwszy, co one są warte i czy klimat polski zniosą. Ginęło też drzewek młodych dużo, inne wydawały owoce bez wartości, a umiejętność przeszczepiania mało była znana i jeszcze mniej stosowana.

Największą zasługę, w rozpowszechnieniu dobrych, rzetelnie sprawdzonych odmian, mają pod koniec tego okresu br. Hoserowie. Później takich szkółek, pod umiejętnym kierunkiem i kontrolą będących, powstało znacznie więcej. Wpływ tych zakładów jest wyraźny i widoczny w tem, że niemal wszystkie sady, po r. 1860 założone, w okolicy Warszawy, składają się z odmian szlachetnych. Nie można tego powiedzieć o dalszych sadach, na prowincji. Tymczasem jeszcze w r. 1840 Giżycki czynił szkółkarzom warszawskim zarzut, że chociaż ogrodnictwo w Warszawie jest kwitnące, to jednak, „nie wyjawiał się w niem cel rozszerzenia w kraju dobrodziejstw hortykultury, ani przodkowania dobrem przykładem“.

Sadząc z wielu pozostałych okazów, drzewka w szkółkach warszawskich były dość prawidłowo wyprowadzane. Nie można tego powiedzieć o szkółkach dworskich, z których najczęściej wychodziły szczepy krzywe i cienkie, ale i te dostawszy się w dobrą ziemię, rozrosły się w duże drzewa. Sadów, o ile z opisów i pamiętników wnosić można, nie brakło przy dworach, w związku z tą samostarczalnością, na której się opierało życie szlachty przez cały już wiek XVIII, a tembardziej potem. Sady te były mniejsze lub większe, stosownie do zamożności i potrzeby, ale każdy ziemianin chciał mieć owoce w lecie, a różne z nich przysmaki i nalewki — ciągle. Nadmiar owoców posyłano krewnym i znajomym, do konwiktów, do miasta, gdzie się uczyli synowie, a coś niecoś sprzedawano po sąsiednich miasteczkach, na jarmarkach i odpustach.

Przeważały owoce letnie, z gruszek: Jedwabnice, Pomarańczówki, Panny, Winiówki polskie, francuskie i saskie, Cebulki, Witarnie i t. d.: z jabłek: Oliwki, Papierówki, Różanki, Mnichy i in. Było ich tyle, że na targach każdy mógł je tanio nabywać. Za to owoców zimowych zawsze było mało; nie umiano ich przechować, a niemało się do tego przyczyniali dzierżawcy nieco większych sadów, żydzi z miasteczek. Ci zbierali owoce przed połową września i chcąc się ich prędko pozbyć, rzucali wszystkie nagle na rynek, że zaś obchodzono się z temi owocami źle, a często je nawet strząsano lub obijano kijami, więc do dłuższego przechowania przydatne nie były. Rozumie się, że istniały wyjątki, ale te nie mogły zaspokoić zapotrzebowania, więc też na istotną zimową potrzebę służyły owoce, sprowadzane z Węgier (mało) i Tyrolu południowego, w coraz większych ilościach.

We wschodniej Małopolsce i na Rusi było sadów więcej, nawet przy sadybach włościańskich (świadczy o tem Giżycki i inni). Istniały też liczne futory t. j. sady wśród lasów liściastych, na Wołyniu i Podolu, które jeszcze nieraz widywałem. Drzewa, na żyznym gruncie wyrastały tam ogromne i rodziły dobrze, ale często cierpiały od owadów, gnieźdzących się chętnie w zaciszu i od grzybków. Nawet, jak podaje Giżycki, za poradą Morela, urządzono taki *verger agreste* w parku mokotowskim i belwederskim.

Niezależnie od tego, co sadzili ludzie, w lasach Małopolski wschodniej i Podola rosły dziko czereśnie, różne w barwie, wielkości i smaku owoców. Wyróżniano Czerechę, stożkowego wzrostu, z owocem krwawym, krzyżówkę czereśni z wiśnią, która i dziś pod tą nazwą cenią jest w okolicy Lwowa i na Pokuciu.

O sadach litewskich, z początku tego okresu wiemy nieco z doskonałego opisu w „Panu Tadeuszu”. W Soplicowie bowiem

„Był sad, drzewa owocne, zasadzone w rzędy.
Ocieniały szerokie pole, spodem grzędy”.

Opis Mickiewicza jest tak dobry, że według niego można odtworzyć szlachecki ogród litewski, z owego czasu. Poeta znał widać tych ogrodów dużo, a patrzył na nie bystre okiem miłośnika przyrody i gienjalnego spostrzegacza. Dokładniej jednak, niż sad, opisał warzywnik, pominawszy ogród ozdobny, którego miejsce, jak często było u ziemian i dawniej, zastępował las. Pewnego zaniedbania części ozdobnej, dowodzą też owe „pokrzywy”, na podwórzu rosnące, co się i dziś zdarza, ale powinno ustąpić przed staraniem i umiejętnością.

O sadach przy zaściankach, w poemacie mowy nie ma. Jak wyglądały sady na Litwie pomiędzy r. 1820 — 5, mówi nam miłośnik ich

i znawca Michał Kątkowski, właściciel Muły, pod Smorgoniami, wychowanec uniwersytetu wileńskiego¹⁾. Chociaż istniały liczne sady dawniejsze, zakładano dużo nowych, nie dla zysku, lecz z zamiłowania. Ojciec K. chociaż na dzierżawie (dożywotniej), założył sad na 14 morgach i nigdy go nie wypuszczał żydom lub kacpom (ci skupowali owoce dla stolic rosyjskich, od czasu prawie zagarnięcia Litwy). Założenie zaś nie było łatwe, bo szkółki nie istniały, a ogród Strumiły, w Wilnie, był w zarodku. Ogrodników umiejętnych też brakło, jeżeli się zaś trafił przybłąkany niby ogrodnik, Niemiec, prędko się na nim poznano i przepędzono. Uczono tedy parobczaków uszlachetniania drzew, a zrazy sprowadzano z różnych stron, otrzymując też nowe odmiany, z siewu.

Takim sposobem ojciec K. wyhodował 30 odmian śliw, z pestek, które mu przywieziono z zagranicy. Szkoda, że nie było owocznawców, którzyby te odmiany ocenili, nazwali i lepsze od zatracenia uchronili. Kątkowski wspomina dalej, że w 3 klasie gimnazjum wileńskiego uczono początków ogrodnictwa, według książki Kajetana Krasowskiego (była o tem już mowa). To też malcy, przyjechawszy do domu, na wakacje, biegli do sadu nie tylko dla owoców. Robili różne próby i popisywali się przed domownikami swą ogrodniczą mądrością. Stąd i służący dworscy znali sztukę uszlachetniania drzewek, co było ułatwieniem w ich rozpowszechnieniu po wsiach.

Pod koniec tego okresu zaczęły powstawać pierwsze, wielkie sady handlowe, na dawnych kresach, w Mohylowszczyźnie i Witebszczyźnie; złożone z Antonówek, Półaportów i t. p. Zczasem marszałek Hieronim Kieniewicz, jak mi opowiadał, posiadał taki sad, z 40,000 jabłoni złożony. Jabłka szły do Petersburga, skupowane przez specjalnych agentów.

Powoli też różnicowały się pewne okolice kraju, w których rozwinęła się większa hodowla pewnych drzew owocowych. Tak np. Sandomierskie zasłynęło z jabłek Brzeczek, galarami w dużej ilości do Warszawy Wisłą spławianych. Węgierki rosły obficie w Sądeckiem i w żyznych nizinach nad Wisłą, także i nad Nidą. Wyborne gruszki darzyły się na prawym brzegu Wisły, zwłaszcza pod Czerwińskiem i Płockiem (Kalebasy płockie i Królewny). Czereśni dużo posadzono na Woli i Czystem, a nawet i w samej Warszawie.

Gdyby ten ruch był ujęty w pewne prawidła, na nauce oparte i należycie popierany, zyskalibyśmy już teraz takie „komory owocowe” jakie oddawna, z wielką korzyścią, posiadają Czechy.

¹⁾ W artykule: „Pogląd na zakładanie sadów”, „Ogrodnik Polski” rok 1880, strona 249.

Delikatniejsze drzewa owocowe w tej epoce były hodowane po magnackich dworach, pod murami, na południe wystawionymi, a nawet, jak w Białocecku, u Branickich—pod zboczami tarasów ziemnych, południowych. Ogromne, stare morele, widziałem jeszcze około r. 1885, choć bardzo uszkodzone. Ponieważ zaś Ulrich hodował piękne brzoskwinie, w szklarniach, może i to było naśladowane, choć o tych hodowlach wzmianek nie ma. Na Podolu, od Żwańca, pod Jampolem i Kamionką, darzyły się pod gołym niebem nawet, brzoskwinie, gdy morele rozpowszechniły się później w Zaleszczykach, a i w Sandomierzu było ich sporo w parowach. Nawet w Warszawie rosły spore drzewa, zwłaszcza w ogrodach klasztornych, które jeszcze przed powstaniem z r. 1863, widywałem u kapucynów i misjonarzy; na zimę owijano gałęzie ich słomą. W ostre zimy drzewa te nadmarzały lub całkiem ginęły.

Co się tyczy winorośli, to Piotr Potocki, założył pod Jampolem obszerną winnicę, jeszcze w r. 1804, którą widział później Giżycki. Około r. 1880 podziwiałem na rynku jampolskim, na jesieni, całe wozy winogron, dobrze dojrzałych. Pochodziły one z winniczek włościańskich, niewielkich, lecz licznych, które bezwątpienia chłopci założyli na wzór owej winnicy Potockiego i z niej zapewne mieli sadzonki szlachetnych odmian. Ale krzewy były puszczane niejako swobodnie, bez umiejętnego cięcia, na zimę zaś nakrywano je ziemią¹⁾.

Dużą winnicę założył około r. 1860, Wittgenstein, w Kamionce (znał ją i opisał Przeździecki).

Ale i pod samą Warszawą powstała około r. 1824 winnica, która nabrała rozgłosu. Píše o niej „Gazeta Polska“ (r. 1828 № 161), że krzewy te posadzono w Tarchominie na wydmych piaszczystych (t. zw. „Szwedzkie góry“, na prawym brzegu Wisły), przed 4 laty. „Te przetrwały twardą zimę ostatnią, pięknie i bujnie rosną i okrywają się obfitemi gronami, które doskonale dojrzewają“. Krzewy te sadzono w spore doły, od południa, co 6 łokci, dowożąc do nich po furze ziemi gliniastej, lecz chudej (może mady, a ta jest żyzna). Wyhodowano je w szkółce tarchomińskiej, z sadzonek *Chasselas de Fontainebleau*, z Francji sprowadzonych, „a częścią także z siewu ziaren tych winogron“. Między winoroślą posadzono też brzoskwinie i morele. Zatem sadił i opiekował się plantacją jakiś ogrodnik z południowej Francji, gdzie taki sposób hodowli jest powszechny. Drzewa, na zimę, okrywano słomą (co, jak wiemy, nie wystarcza), a winorośle—ziemią.

¹⁾ Niektórzy włościanie tamtejsi posiadali też i spore sady. W Międzyborzu Giżycki znał chłopą, który osiągał do 20,000 złp. za czereśnie i in. owoce, od kupców z Litwy i Rosji.

Powodzenie tej winniczki na folwarku Marysin, zachęciło do założenia drugiej, na folwarku Świdry.

Ponieważ zaś krzewy winne przetrwały w r. 1827/8 takie mrozy, „że piasek był na 6 stóp przemrożony“ i wydały bujne grona, więc zachwycony właściciel sprowadził wielorakie „wczesne winorośle z Bordeaux, Burgundji, Szampanji i Węgier“. Wtedy to, naśladowując ten przykład, rząd kazał założyć winnice w Belwederze i Marymoncie, z odmian, z Węgier sprowadzonych. Nie ma po nich śladu, ale tarchomińskie tak zasłynęły, że przyjmowano tam uczniów na naukę hodowania winorośli¹⁾; opłata roczna wynosiła 30 złp. od ucznia, „na wynagrodzenie najstarszych ogrodników czyli winiarzy“. Zatem musiało ich być najmniej dwóch. Uczniowie mieli się też uczyć wytłaczania wina „według najświeższych udoskonaleń, a nadto hodowli warzyw i ich krajania (więc chyba do suszenia) tudzież robienia „liścianek“, t. j. zapewne kiszzonek z liści, tak obecnie w gospodarstwie wiejskiem rozpowszechnionych.

W tym też czasie (r. 1821) francuz Léraud, założył pod Tarchominem również, na nabytej wydmy piaszczystej, winnicę, z której grona sprzedawał w Warszawie i z tego się utrzymywał; nawet wino próbował wyrabiać. Szczątki tej winnicy znalazłem około r. 1880; stare krzewy, odkopywane, miały korzenie tak grube i głębokie, że zapewne sięgały na jakie 10 m. wskroś wydmy, do żyznej gleby, pod nią będącej.

Raport tego Lérauda, złożony Tow. Ogrodniczemu Francuskiemu w r. 1829, podał St. Wodzicki, w przekładzie w swym „Dzienniku ogrodniczym“. Dowiadujemy się z niego, że L. sprowadził w r. 1821 winorośle z odmian białych i czarnych z nad Mozeli, jako sadzonki; powtykał je na pochyłości południowej wydmy, a te zaraz w pierwszym roku wyrosły do 20—24 cali. Na zimę nakrywał je liśćmi, a potem ziemią (my robimy odwrotnie, żeby nie gniły). Od r. 1826 zaczął tłoczyć wino, którego, z 20 sążni kwadratowych otrzymał 160 butelek, a w r. 1828 — beczkę, i bardzo je chwalił. Zainteresował się tą sprawą hr. Mostowski, minister spraw wewnętrznych i pierwszy w Polsce udowodnił, że możemy pod gołym niebem hodować „Chasselas“. Możemy, ale dojrzewa tylko w bardzo ciepłe lata.

Lepsze, bo dojrzałe i uznawane za „kuracyjne“ winogrona, otrzymywał Karol Scholtze, ze swej hodowli przy fabryce świec i mydła, w Szopach Niemieckich, pod Warszawą. Założył ją około r. 1860, po części na murach fabryki, ogrzewając nadto rurami z parą powrotną, a po części pod drewnianymi parkanami, do 2 m. wysokimi. Hodo-

¹⁾ Podał to B. (anzemer?) w tejże gazecie, z 20 maja 1828 r.

wał Chrupkę złotą, Wczesne lipskie, Malingre, Chrupkę czerwoną i in. Winogrona te były istotnie smaczne i jako lecznicze poszukiwane. Płacono funt po 2 złp.

Inny hodowca, Benedykt Ostrzykowski, założył kratę winorośli na murach swego domu, na Nowolipiu, w Warszawie, w r. 1856. Prowadził ją sam do śmierci, (r. 1882), notując pilnie spostrzeżenia nad kwitnieniem i płodnością krzewów; wynik tych spostrzeżeń z lat 15 podał w sprawozdaniu z wystawy rolniczo-ogrodniczej, w r. 1874.

Po wielu miastach dawnej Polski hodowano winorośl na murach, zwłaszcza w okolicach cieplejszych. Niemało takich winniczek miały klasztory w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Winnicy, Berdyczowie i t. d. Taką kratę wina widziałem jeszcze, przed zniesieniem zakonów, w roku 1864, u kapucynów warszawskich. Okrywała ona tylną ścianę dawnego pałacu Pacy, a krzewy sięgały drugiego piętra, obwieszone pysznymi gronami, które pod tym ciepłym i od wnętrza ogrzewanym, przez mieszkania, murem, dobrze dojrzewały. Zresztą pielęgnował je ojciec Józef, znamienity ogrodnik praktyk, świetny hodowca kwiatów, do ozdoby kościoła i warzyw—dla zakonników. Po zniesieniu zakonu, dyr. J. Aleksandrowicz zakupił cały ten dobór winorośli, w r. 1869, dla ogrodu pomologicznego. Posadzono je, niestety, pod parkanem, od ul. Nowogrodzkiej, gdzie zaledwie niektóre wczesne odmiany dojrzewały, aż do chrupiek (*Chassetas*) włącznie. Potem wyginęły.

W Tarchominie prowadzono krzewy nisko, metodą i formą, stosowaną w winnicach francuskich. U Scholtzego i w ogrodach klasztornych stosowano system palmetowy, Kechta, jak się zdaje, nie bardzo ściśle przestrzegając jego wskazówek. Posługiwano się jego książeczką, jak również broszurą J. G. Bornemana, straszną polszczyzną przetłomaczoną, przez kogoś i wydaną p. t. „Uprawa wina około budynków, murów, chłodników i drzew“ (Leszno r. 1842).

Szlachetna rozrywka i pożyteczne zajęcie jakim jest hodowla winorośli, przestało u nas prawie istnieć, odkąd zaczęto do Królestwa dowozić winogrona Besarabskie, tak tanie, że nasza hodowla, w każdym razie kosztowniejsza, przestała się opłacać. Wszakże tu i owdzie pod murami pd dworach i klasztorach, a potem w nielicznych szklarniach większych właścicieli, na murach fabryk i t. p. ocalały jeszcze kraty winne, niestety przeważnie nieudolnie cięte.

Co się tyczy odmian owoców, to posiadała wtedy Polska wszystkie lepsze, hodowane na Zachodzie, ale dużo z nich ginęło, nie wytrzymując klimatu, wiele późniejszych nie dojrzewało, niektóre nie mogły dostosować się do gleby i klimatu. Wiadomo, że srogie zimy dziesiątkowały takie sady, a często (w wilgotnych ziemiach) pozosta-

wały w nich tylko kilka procentów odmian najodporniejszych. Działo się to w naszych oczach jeszcze, np. po ostrej zimie z 1870/1 i tak zniechęcało niektórych właścicieli, że albo wycinali sady całkiem, oddając ziemię pod ziemniaki, albo sadzili najlichsze nawet odmiany, byle tylko na klimat odporne.

Pięknie zapoczątkowane przez St. Wodzickiego spostrzeżenia nad odpornością drzew ozdobnych, w owocarstwie nie znalazły naśladowców. Inteligencja tym przedmiotem się nie zajmowała, a ogrodnicy ówczesni nie mieli tyle wiedzy, ile do tej pracy potrzeba. Nadewszystko zaś mało kto zachowywał etykiety przy sadzonych drzewkach, więc gdy rodzic zaczęły, właściwej nazwy odmiany nie znał. Jeżeli ją zaś nawet zachował, nie potrafił sprawdzić, czy odmiana ta jest prawdziwa, a mniej sumienni szkółkarze pod szumnymi nazwami sprzedawali lichy towar. Sprawdziłszy to sami, nawet w ogrodzie pomologicznym warszawskim, po r. 1874.

Najbardziej znane i wymieniane w książkach z tej epoki, oprócz już wymienionych, były następujące odmiany. Jabłka Rajewskie, które Giżycki zwie „Rajskimi“, a znalazł je we włościach nad Dniestrem, we wschodniej Małopolsce; podobno pochodziły ze wsi Raj, pod Lwowem. Dalej Wenetki, zapewne siewki polskie z Tyrolek, może zresztą z Banatu sprowadzone, bo tu i owdzie zwano je Banatkami. O Bursztówkach polskich, jako niewątpliwych siewkach z miśnijskich, znajdujemy sporo wzmianek; dziś je zaczynają znów rozmnażać. Mołdawskie, ogromne Sabłuki, pospolite były u chłopów na Rusi. Cebulki (może Kuzynki — *Purpurroter Cousinot*) powszechne były w Małopolsce, a Koralliki (Czeskie panieńskie?) — na Podolu. Były też Rapy, Moręgi czyli Smużki, Grzechoty, Wierzbówki i in. prawdopodobnie pochodzenia polskiego, obok licznych renet, cudzoziemskich. Zresztą każde nieznane, a lepsze w smaku jabłko, zwano renetą, podobnie jak każdą rozplywającą się gruszkę — berą (właściwie masłówką). Ale z gruszek były pospolite zapewne polskie: Ananasówki jesiennie, Okręgliczy, Ogonatki, Cukrówki, Pasówki jesiennie (obok letnich, czyli Pannien) i wiele innych.

Ze śliwek, nie licząc lubaszek i adamaszek żółtych, tudzież węgierek, pospolitych nawet u włościan, Giżycki podkreśla Morelki, „żółte, małe, słodkie, dobre do suszenia“, więc zapewne Mirabelki francuskie i oczywiście różne odmiany szlachetne, ale obce, a na ich czele wyborne Renklody zielone.

Co do wiśni, to niewątpliwie polską jest Szklanka, którą nawet owocoznawcy niemieccy zwą *Polnische Glaskirsche*, dalej „Czerecha“ kleparowska, z pod Lwowa i Nadniestrzańska; o nich obu mówi Gi-

zycki „mnożyć je troskliwie“. Ale dużo też było siewek miejscowych, z wiśni i czereśni, lecz wyginęły, nie opisane naukowo i nie rozmnożone tak, żeby się mogły rozpowszechnić. Niestety bowiem i w tej, już bliskiej naszych czasów epoce, nie mieliśmy ani jednego owocoznawcy, któryby o tym przedmiocie mógł pisać, przygotowawszy się do tego teoretycznymi i praktycznymi studjami.

Że mieliśmy dużo odmian obcych, dowodzą spisy, podane przez ówczesnych autorów, ale tak dalece byli oni nie obeznani z przedmiotem, że poprzekręcali mnóstwo nazw. Można tedy przypuszczać, że przepisywali z książek cudzoziemskich.

Jednakże pod koniec tego okresu cenniki najważniejszych szkółek krajowych, zawierają już dużo odmian dobrych, ale (oprócz Hoserów) pomieszanych z bezwartościowymi. W wybraniu conajlepszych i rozmnażaniu ich, ma dużą zasługę Wincenty Hoser, który przez całe życie studjował odmiany owoców i był gruntownym ich znawcą. Ale ziemianie nie umieli wybrać w tych cennikach i sadzili zwykle całe doборы — im więcej odmian, tem lepiej, bo rozmaitość bawi. Jednym z wyników tego było, że powstało mnóstwo sadów niby pomologicznych, jak tego dowiodły doборы na pierwszych wystawach warszawskich przedstawione, ale nie było w kraju materiału owocowego, do handlu, mogącego zaspokoić potrzeby całej masy narodu. Stan ten poprawia się dopiero od czasu założenia pierwszych sadów handlowych, więc około r. 1875 — 80.

KWIACIARSTWO.

Oczywiście, nie było i w tym okresie ogródka, bez ulubionych kwiatów, takich jak: rezeda i groszek (ten się stopniowo coraz więcej rozpowszechniał), goździków, lewkonji, lwich pyszczków, astrów, maków i róż, przynajmniej stulistnych, czerwonych i białych. Nawet przed włociańskimi chatami, zwłaszcza gdzie były dziewczęta, widywało się jakąś malwę, wrotycz wonny, nagietki i aksamitki żółte, a często i wysokie gieorginje, dziś już zupełnie zarzucone, o sztywnych, jaskrawych kwiatach. Przy zamożnych dworach nie brakło roślin cebulkowych, chociaż z lilji, poza białą i „smolinosem“ (*Lilium croceum*), a wreszcie zawojkiem (*L. Martagon*), innych jeszcze prawie nieznano.

Ogrody klasztorne obfitowały w byliny, mniej wybredne, jak: orliki, ostróżki, kosańce (różne), biskupie serca, piwonje.

Z każdym rokiem jednak przybywało gatunków kwiatowych i odmian, zwłaszcza róż i gieorgiń, ale również i nowości, które sprowa-

dzwały zakłady ogrodnicze z zagranicy. Mają tu zasługi znaczne. Strumiłło i Czepiński, potem Hoserowie i Ulrichowie, a w innych okolicach Polski różni miłośnicy i ogrodnicy. Były nawet odmiany kwiatów polskie, jak dowodzą katalogi z Antonin, Medyki, Łańcuta, spisy z Gochowa, ogrodów kijowskich, berdyczowskich i t. d.

Rozpowszechniły się też nawet w majątkach średniej szlachty „oranżerje“ (pomarańczarnie), a w nich istotnie zastaliśmy jeszcze, w czasie objazdów kraju po r. 1875, często już kaleki i inwalidy — pomarańczowe i cytrynowe drzewa, doprowadzone do tego smutnego stanu przez domorosłych ogrodników. Nie brak też było laurów, granatów, mirtów i wogóle trwaolistnych roślin, z nad Adrii. Sporo też tu i owdzie widzieliśmy kamelji, jak w Neplach, po Niemcewiczach.

Pomarańczarnie te, były to jak gdyby wielkie komnaty, z sufitem płaskim lub pół sklepieniem ku tylnej ścianie, od południa zamknięte licznymi, aż do poziomu sięgającymi oknami. Typ ten budowy można widzieć i teraz w Łazienkach lub na stylowej pomarańczarni, w Jabłonie. Niekiedy przytykały one do dworu i stanowiły dla właścicieli ogród zimowy, tem złudniejszy, im więcej przyrodę naśladowający. Nieraz wysadzano tam w grunt jakąś podzwrotnikową roślinę, która się rozrastała wspaniale. Tak już w początku XX w. widziałem w Brzozie, pod Ożarowem, wspaniałą *Araucaria excelsa*, a przedtem w Białocerkwi potężną palmę wachlarzową (*Latania borbonica*). W tych też budynkach utrzymywano przez zimę muszkatele (*Pelargonium*) i in. rośliny, które za przykładem anglików, zaczęto coraz częściej i obficie wysadzać na lato, w grunt.

Najczęściej jednak te wiejskie szklarnie zimne były tak przeładowane, w zimie, roślinami rozrastającymi się coraz bardziej z roku na rok, których jednak nie niszczone, zastępując młodemi, że rośliny, jak drzewa w lesie, tylko na wierzchołkach miały wątpliwą koronkę liści, t. j. tam, gdzie dochodziło do nich jeszcze trochę światła. Sprawiły one przykre wrażenie, tem więcej, że samouczek ogrodnik przesadzał je rzadko, a wtedy często dawał im ziemię nieodpowiednią, jaka była pod ręką. Zresztą zajęty innemi częściami ogrodu, a szczególnie użytkowymi, nie miał dużo czasu na zajęcie się szklarniami.

Cieplarni po dworach było mało, chyba w ogrodach wielkich panów. Te zapełniały się roślinami różnemi, nabywanymi wprost zagranicą lub w zakładach krajowych. Ta gałąź ogrodnictwa, obok dużego, nakładu, wymaga miłośnictwa i znawstwa. Zubożały kraj nie bardzo mógł sobie pozwalać na takie zbytki.

Oczywiście wyjątek stanowią ogrody botaniczne i zakłady kwiatowe ogrodnicze. W tych gromadzono rośliny kwiatowe, niejako z obo-

wiązku. W ogrodach botanicznych zapoznawali się z nimi nie tylko ogrodnicy przyszli, którzy tam praktykowali, ale również i miłośnicy. Ci nawet niektóre rośliny otrzymywali wzamian za swoje. Że i studenci uniwersytetów zapoznawali się z temi doborami, dowodzą przeszliczne porównania flory naszej z włoską, włożone w usta „Pana Tadeusza”.

Nie mamy danych, dotyczących ówczesnej hodowli pokojowej, ale muszkatele, aloesy, ulanki, oleandry, mirty i woskownice, były z upodobaniem hodowane przez nasze prababki, o czym tradycja przechowała się w wielu rodzinach. Że zaś upodobanie do kwiatów jest wrodzone kobietom, z pewnością uprawiały one na grządkach przy dworach nawet i w miasteczkach najulubieńsze i najpopularniejsze kwiaty. Za to nie ma śladów, jak się przedstawiały ówczesne kwietniki w ogrodach publicznych, przed połową XIX w. Potem weszły prędko w modę kobierce kwiatowe, a nawet przez Robinsona w Anglii zapoczątkowane wysadzanie na lato w grunt, okazałych roślin cieplarniowych. Co prawda, ilość gatunków i odmian kwiatowych z każdym rokiem wzrastała; przywozili je z najdalszych krajów zbieracze, otrzymywali siewcy. Z tego dorobku korzystała i Polska, za pośrednictwem miłośników, ogrodów botanicznych i zakładów ogrodniczych.

ZAKŁADY OGRODNICZE.

Nie mamy danych, odnoszących się do wszystkich ważniejszych zakładów, rozrzuconych po głównych miastach Polski. Zebrano je za ledwie dla paru największych warszawskich, o innych wkrótce ślad zaginie. Te bowiem z nich tylko godne są przejścia do historii, które przechodząc z dziada na syna i wnuka, nie tylko długo trwały, ale nadto korzyść społeczeństwu przyniosły. Rozumie się, że je prowadzono dla zysków osobistych, ale w niektórych panował duch obywatelski, każący dopomagać uczniom ogrodniczym, do ich wykształcenia, dbać o sprowadzanie i rozpowszechnianie roślin, takich nawet, które się nie opłacały właścicielowi zakładu, ale były zbogaceniem ogólnego posiadania roślin w Polsce, mogły dostarczyć smaczniejszego pożywienia, dodać piękności parkom, trwałej i bogaciej przyozdobić kwietniki.

Tak na ten przedmiot patrząc i pozostawiając przyszłym monografom opracowanie dziejów zakładów ogrodniczych w innych miastach Polski (o ile do tego znajdą materiały), poświęcimy nieco miejsca paru wielkim zakładom warszawskim i dla tego także, iż wpływ ich dodatni sięgnął daleko poza naszą stolicę.

Najstarszym tedy z zakładów i jeszcze teraz istniejącym, jest zakład ogrodniczy Ulrichów. Założył go w r. 1805 Jan Bogumin Ulrich, niemiecki ogrodnik, rodem z Porty (Pforten—Łużyce saskie), na ogrodnika królewskiego do Ogrodu Saskiego sprowadzony. Był on zrazu tylko pomocnikiem swego wuja, Menckego, głównego ogrodnika Augusta III, w tym ogrodzie, a dopiero po jego śmierci, spełniał ten urząd do roku 1816¹⁾.

Zanim jednak z tego stanowiska ustąpił, nabył przy pieniężnej pomocy Menckego, część folwarku miejskiego, ogółem około 5 ha (8½ morga), za 9000 złp. Sąsiedzi uważali, że zapłacił drogo. Był tam domek i sad, w którym rosły 3 stare cisy. Gdy je ścięto w roku 1876, bo plac pod nimi sprzedano pod budowę, prof. J. Alexandrowicz ze słoików drzewnych obliczył wiek ich na lat 400.

Jan Bogumin Ulrich prędko doprowadził swój ogród do stanu kwitnącego. Sad powiększył drzewami z Drezna sprowadzonymi, w nowej szklarni pędził ananasy (drwa były tanie wtedy), a co najciekawsze, pod murami od ul. Ceglanej, aż do Żelaznej, wystawił 4 szklarnie (w r. 1806 i 7) aż 100 m. długie, z oknami ruchomymi i pędził w nich umiejętnie brzoskwinie i winogrona. Była to pierwsza w Warszawie tego rodzaju hodowla, a sam dwór królewski, gdy do stolicy zjeżdżał, płacił za te delikatne owoce do 5000 złp., sumę na ówczas, znaczną. Obok tego uprawiał dużo delikatnych warzyw i dla żydów liście daktylowców (*Phoenix*), oraz długie pędy mirtów, którą to hodowlę widziałem, dzieckiem będąc, u powinowatego mego, Babickiego, na ul. Wilczej, około roku 1860.

Wkrótce, zauważywszy, że upodobanie do niektórych kwiatów szklarniowych wzrasta, wystawił dla nich parę szklarni, a w nich od r. 1822 zaczął hodować kamelje, przywiezione z Drezna własnymi końmi, od słynnego już wtedy hodowcy ich, Seidla. W r. 1825 zaczął pędzić róże stulistne, co było zapewne pierwszą taką próbą u nas. Znamienita też była własna hodowla hiacyntów i tulipanów z cebulek, w gruncie, którą zaprowadził w r. 1830, a w rok potem miał już 30,000 cebul hiacyntowych. Obok nich posiadał dużo lilii białych i zawojków (*L. Martagon*). Dowodzi to wszystko, że był hodowcą niepospolitym.

W r. 1835 stanęła ananasarnia wielka z żelaza i szkła, pierwsza tego typu szklarnia w Polsce; po niej jeszcze druga.

W r. 1836 wprowadził sprzedaż nasion, z Erfurtu sprowadzanych. Ciekawy jest na arkuszu bibuły, jego cennik nasion z r. 1839. Miał

¹⁾ Wiadomości o zakładzie Ulrichów zebrał J. Drège, w broszurze p. t. „Studium zakładu Ulrichów”, Warszawa r. 1905.

też i szkółki drzewek, ale cenników ich nie wydawał, a szkoda, bo możnaby śledzić z nich, jakie to odmiany owoców po kraju rozsiały.

Był to ogrodnik dobry, ale nie przygotowany szkolnie.

Inaczej było z synem jego, Krystjanem, któregośmy znali już starcem, ogromnego wzrostu, o wielkich krzaczastych brwiach. Ten ukończył liceum w Warszawie; potem (1825—8) praktykował, pod Szubertem, w ogrodzie botanicznym; a dalej 5 lat przepracował w Austrii, Niemczech, Szwajcarji, Belgji, Holandji. W r. 1844, po śmierci ojca, objął jego zakład, a folgując swemu upodobaniu, zaniechał hodowli warzyw i pędzenia owoców, rozwinął zaś hodowlę roślin szklarniowych.

W niebogatej ówczesnej Polsce środkowej, był to zbytek, a ze strony Ulricha krok śmiały. Niemniej wkrótce zasłynęły azalie Ulricha, zwłaszcza pod umiejętną hodowlą szefa, Karola Burmana, t. j. od r. 1853. Przez umiejętnie zapylanie Burman otrzymał sporo odmian nowych¹⁾. Niemniej umiejętnym hodowcą był Jan Koprowski, który w zakładzie Ulricha od r. 1860 przez 30 lat pracował, poczem założył własne, świetne hodowle kwiatowe, pod Wołominem, obecnie przez synów równie umiejętnie prowadzone i stale powiększane.

Od tej pory zaczęli Ulrichowie wytwarzać wielkie ilości roślin kwiatowych, nabywanych hurtem przez ogrodników w miastach prowincjonalnych, ale i na rozdrób. Żeby tę sprzedaż ułatwić i wzmódz, założył Krystjan Ulrich sklep kwiatowy, w domu teatrów na ul. Wierzbowej.

Chciał też rozszerzyć szkółki, ale na to gruntu na ul. Ceglanej nie było. Warszawa wtedy weszła w stan rozrostu ludności, budowano dużo, Ulrich sprzedawał część swego placu i w r. 1877 nabył 30 morgową kolonję w Górcach.

Tam zaczęły powstawać duże szkółki drzew owocowych i ozdobnych, ale właściwie rozszerzył je znacznie syn Gustaw, człowiek rzutki, i nie tyle dobry ogrodnik, ile, świetny organizator, gdy po śmierci ojca objął zakład, w r. 1881. Ale działalność tego człowieka wchodzi już w okres czasu, tą książką nie objęty. Zaslugą społeczną Krystjana Ulricha było to, że polecił uczyć w swym zakładzie praktykantów. Zwało się to znów „szkołą“, chociaż nią nie było. Praktykant był obowiązany przebyć w zakładzie 4 lata, przenoszono go jednak co pewien czas z jednego oddziału do innego. Potem dostawał t. zw. „list wyzwalający“, a to na mocy specjalnego pozwolenia, danego Ulrichowi przez Komisję spraw wewnętrznych, w r. 1842.

Płatni nauczyciele, w zimie pod wieczór oraz w niedziele i święta, uczyli tę młodzież polskiego. arytmetyki, geografji, historii polskiej

¹⁾ Widziałem je i opisałem kilka w „Ogrodniku Polskim“.

i botaniki tudzież języka niemieckiego, rozumie się w zakresie szczerpłym. Nauczanie to trwało do r. 1869, gdy rząd rosyjski prywatnie i po polsku uczyć zabronił. W każdym razie wyszło przez ten czas z zakładu Ulricha 100 młodych ogrodników. Można powiedzieć, że wszyscy trzej Ulrichowie, każdy w inny sposób, dobrze zasłużyli się krajowi.

Założycielem domu Hoserów był Piotr Hoser, który porzucił w r. 1853 stanowisko głównego ogrodnika Ogrodu Saskiego i przeniósł się na własny kawałek gruntu, na rogu al. Jerozolimskiej i ul. Marszałkowskiej. Nabył go za pieniądze, pożyczone mu przez bogatych Niemców warszawskich, którzy poznawszy go, potrafili ocenić jego wielką wartość: prawość charakteru, pracowitość i dużą umiejętność.

Urodzony w Czeskiej Lipie, uczył się naprzód w Czechach późn., potem w Wiedniu, gdzie został ogrodnikiem barona Hügla, wybitnego lubownika, znawcy i zbieracza roślin. Tam wiedza i miłośnictwo Hosera do roślin, pogłębiły się. Brujewicz, który był kuratorem Ogrodu Saskiego, poznał go u Hügla i namówił na stanowisko kierownika tego ogrodu. Przyjechawszy, o mało nazajutrz nie uciekł, przesiedziawszy noc na kuferku w pustym i zrujnowanym mieszkaniu, ale go namówił jakiś urzędnik, przysłany przez Brujewicza, że pozostał i nie pożalował tego.

Mały zrazu zakład Hoserów, począł szybko rosnać i rozwijać się. Jego założyciel łamał wszystkie przeszkody, sam zasypywał doły i bagna, znalezione na kupionym gruncie, a potem je własnymi rękami regulował.

Wkrótce, gdy roślin i nabywców przybywało, sprowadził Piotr swego brata Wincentego, znamienitego znawcę i hodowcę roślin, człowieka o gołębiom sercu i tytanicznej pracy. On to później był dożywno i bardzo długo przewodniczącym komisji owocarskiej w Tow. Ogrodniczym Warszawskiem, a utraciliśmy w nim jednego z najlepszych znawców odmian owocowych.

Ramy tej pracy nie pozwalają na dalsze szczegóły, których dużo znamy z osobistych opowiadań Piotra Hosera. Krótko mówiąc zakład wkrótce stał się wielkim, możliwym i uniwersalnym. Na dokupowanych stopniowo ziemiach: na ul. Młynarskiej, za Wolską rogatką, przy ogrodzie Ohma, na Rakowcu i wreszcie pod koniec życia tego twórcy zakładu, w Żbikowie, znalazły się szkółki drzew owocowych i ozdobnych, a nawet, później, już za synów — hodowle nasion. W zakładzie zaś matecznym wytwarzano zrazu warzywa, potem kwiaty gruntowe i szklarniowe, wreszcie byliny i cebulki kwiatowe. Trzeci brat Paweł, przywołany do pomocy, zajmował się administracją.

Piotr Hoser syn, wychowaniec instytutu w Pruszkowie i jego brat Wincenty, odziedziczywszy zakład po ojcu, rozwinęli go jeszcze bardziej. Wprawdzie zwinęto wielkie ogrodnictwo szklarniowe, ale Piotr za to założył i rozwinął olbrzymie, wzorowe szkółki drzew na 40 przeszło ha ziemi, w Żbikówku, pod Pruszkowem (Dr. Żel. W.), a Wincenty zajął się nasiennictwem głównie, na włókowej kolonii w Rakowcu. Trzeci z kolei Piotr, wnuk założyciela, kończy wydział ogrodniczy szkoły głównej gosp. wiejskiego, a dwie z jego siostr wysłuchały kursów w b. wyższej szkole ogrodn. warsz. przez ich ojca zapoczątkowanej.

Historja zakładów Hoserów wymagałaby osobnej książki. Materiały do niej zebrała p. Lothowa, może ktoś z nich skorzysta. Kraj z działalności Hoserów miał i ma dotąd niemały pożytek. Oni to sprowadzali z pierwszorzędných źródeł doskonałe odmiany wszelkich roślin, zachowywali sumiennie ich nazwy, a po sprawdzeniu i wypróbowaniu, zapomocą szczepów, broszur i katalogów rozpowszechniali je po całej Polsce.

Oni też szerzyli zamiłowanie do roślin, którem sami byli zawsze głęboko napojeni. Między innemi, dla zapoznania ogółu ze swemi skarbami roślinnemi, urządzali własne wystawy lub brali udział w urządzanych przez instytucje. Piotr Hoser ojciec polecał uczyć zasadniczych wiadomości swych praktykantów, synowie, szczerzy patrjoci polscy, brali i biorą czynny udział w życiu zawodowym i publicznem. Wyborni hodowcy, sumienni dostawcy, zacni ludzie i dobrzy polacy — oto ich określenie.

Na rozwój ogrodnictwa naszego wywarli Hoserowie wpływ doniosły i dodatni. Od nich rozeszło się i rozpowszechniło mnóstwo znakomych odmian warzyw, kwiatów, a zwłaszcza owoców. W ostatnich czasach przed wojną światową i obecnie, znaczne ilości drzew i krzewów ozdobnych do parków i ogrodów naszych, pochodzą z ich szkółek.

Piotr Hoser syn, obecnie profesor szkoły głów. gosp. wiejsk. prowadzi u siebie w Żbikowie spostrzeżenia i doświadczenia naukowe nad chimerami, krzyżuje truskawki i t. p.

Zakład br. Bardetów, prowadzony początkowo w ogrodzie ordynata Tomasza Zamoyskiego, który ich ze Szwajcarii francuskiej, około r. 1850 sprowadził, potem przeniesiono na grunt własny, w Sielcach, za rogatką belwederską. Bardzo niewdzięczny, podmokły grunt, zmuszał ich nawet do nakrywania ziemią, dołowania szczepków w szkółce, na zimę. Byli to ogrodnicy umiejętni, zwłaszcza kwiaciarze, prowadzili jednak zakład swój w duchu spekulacyjnym, bez podstaw naukowych, mnożąc bezkrytycznie różne odmiany owocowe, często niewłaściwie

nazwane. Przez ich rozpowszechnienie narobili sporo szkody. Kwaciarstwo Bardetów było znacznie lepsze; bodaj nawet, że oni pierwsi rozwinęli u nas sprzedaż kwiatów i bukietów, na wielką skalę, co prawda słono je kazali płacić. Słynęły ich wczesne kamelje, przez długi czas modne (do 2 rb. za jeden kwiat!), ukośnice i różne rośliny pokojowe.

M. Czepiński obok niewielkich szkółek, hodował w szklarniach i na gruncie kwiaty najrozmaitsze, sprowadzając nowości z zagranicy. Za niektóre róże nowe, płacono mu, jak nam opowiadał, po dukacie, ale też sprowadzać je, bez kolei, było trudno. Zakład mieścił się na ul. Hożej, ale gdy po wielkich deszczach woda zalała mu szklarnie, sprzedał grunt, a rośliny przeniósł do ogrodu dzierzawionego w Izbie obrachunkowej.

Obok tych wybitnych, było też kilku ogrodników pomniejszych, jak Jan Lisowski, Antoni Babicki i in. Ten ostatni, około r. 1850 zaprowadził w niskiej, drewnianej szklarni, bardzo specjalną hodowlę, która się wtedy opłacała. Mianowicie na grzędzie, u ziemi wprost, bez doniczek, rosły tam daktylowce i mirty. Za nadejściem świąt jesiennych żydowskich, sprzedawał Babicki kahałowi na rozwinięciu będące liście palmowe i długie „na trzy pięści“ gałązki mirtowe, hurtem, a kahał je odprzedawał wiernym. Po otwarciu kolei Warsz. Wied. żydzi zaczęli sprowadzać te rośliny z południa i hodowla warszawska upadła.

W różnych okolicach kraju hodowano też rośliny kwiatowe na sprzedaż, jak np. w Kórniku i w Gołuchowie, w Poznańskim. W Galicji wielki handel niemi prowadził ogród w Medyce.

Ale i w innych ziemiach b. Rzeczypospolitej istniały też zakłady, na wzór zagranicznych i warszawskich, hodujące, obok kwiatów, najrozmaitsze inne rośliny. Tak np. w Aresztowie, pod Równem, na Wołyniu, był taki zakład Juljana Jełowickiego, który wydał porządne cenniki. Doszedł nas tylko dodatek do takiego katalogu, wydany po francusku (po polsku nie było wolno, po rosyjsku — nie chciał) p. t.: „Suplement de Prix-Courant des plantes nouvelles et rares de l'Etablissement Horticole à Arestow, Printemps 1855“. We wstępie Jełowicki pisze, że stosunki z najpierwszemi zakładami belgijskimi i niemieckimi, liczne dzieła ogrodnicze i czasopisma, które miał, pozwoliły mu uczynić najlepszy dobór roślin posiadanych. W istocie odmiany są doborowe, ale dodatek wymienia tylko około stu roślin cieplarniowych (m. in. *Gloxinia*, *Hoya bella*, *Passiflora* i in.), jednak nie ma tu wcale palm — i około stu roślin szklarni zimnej... Są dość liczne cebulkowe i ze 30 iglastych szklarniowych, a wśród nich *Pinus (Abies) Douglasi* i *Retinospora ericoides*, które, jak wiemy, wytrzymują wybornie nasz klimat w gruncie.

Pomiędzy drzewami ozdobnymi są wymienione: **Broussonetia*, **Glycine sinensis*, *Gymnocladus*, *Ribes sanguineum*, *Weigela* i **Virgilia lutea*, także jako szklarniowe, choć wszystkie są u nas dobremi roślinami gruntowymi, z których oznaczone *, co prawda i w Warszawie nieraz przemarzają. Miał tylko jedną piwonję drzewiastą. Truskawki sprzedawał tanio, bo po 5 kop. sztukę, a posiadał odmiany: C-sse de Paris, C-sse Zamoyska (nie znana nam, zaginiona), Elisa Myatt, Keen's Seedling, Leopold I, Patrick, St. Lambert, Versaillaise oraz Perpetuelle blanche i rouge, to jest zapewne poziomki miesięczne.

Było też tam trochę bylin jak: *Dielytra*, *Epimedium*, *Phlox*, *Iris* (tylko *bicolor* w tym „dodatku“), z 10 odmian piwonji i t. p. Georginje po 25 i 30 kop. (nowe), wcale nie drogo.

Zdobył się też na *Amaryllis* „Triomphe d'Aresztów“ z kwiatami czerwonymi o smugach żółtych i sprzedawał te nowości po rb. 2 k. 50.

Zakładem ogrodniczym, wielkiego, przez czas pewien, rozgłosu, były Antoniny, Potockich, również na Wołyniu, a to, nie tylko dzięki nakładom i zamiłowaniu ich właścicieli, ale głównie, dzięki jednemu z niewielu wybitnych ogrodników Polaków, który tam swe prace i uzdolnienie włożył. Zwał się on Wincenty Zienkowski.

W. Zienkowski urodził się w 1818 r., w Posadowie, w W. Ks. Poznańskim. Szkołę ukończył w Poznaniu, potem praktykował w ogrodzie botanicznym warszawskim, pod Szubertem. Na dalszą praktykę wyjechał do Niemiec, gdzie w różnych zakładach parę lat przebył, na praktyce. Powróciwszy do kraju, był ogrodnikiem naprzód u Pawlikowskich, w Medyce, potem w Gumniskach, pod Tarnowem, u Sanguszków. Właścicielka Antonin, Klementyna z Czartoryskich, Sanguszkowa, zabrała go stąd i posłała na dokończenie wykształcenia ogrodniczego do ogrodu cesarza austriackiego, w Schönbrunnie. Pracując tam, jednocześnie, jako wolny słuchacz, bywał czas jakiś na wykładach nauk przyrodniczych w uniwersytecie wiedeńskim, skąd nawet świadectwo otrzymał. Przez czas jakiś jeszcze jeździł po Europie, ucząc się wszędzie ogrodnictwa, aż nareszcie dostał miejsce ogrodnika głównego w Antoninach, w r. 1846 i przebył tam do r. 1856.

Ogród antoniński, według planu Sokołowskiego, zakładali kolejno od r. 1800: Kula, Herasimowicz, a dokończył go W. Zienkowski. Utrzymywał go w dobrym stanie, tak, że Antoniny stały się wzorem dla całego Wołynia. Urządził nawet „szkołę“ dla 16 najzdolniejszych ogrodników, których, jako niepiśmiennych, uczył od abecadła, tak dobrze, że ich potem poszukiwano na ogrodników dworskich. Zresztą trzymał ich ostro. Miał pomocnika Ramsztajna, Polaka.

Niemalą zasługą Zienkowskiego były szkółki, z których sprzedawano w Antoninach samych drzew iglastych 4000 do 5000 rocznie. Jego następca, Czech, Trzycki dorobił się na tantjemie od tej sprzedaży 25,000 guldenów i kupił sobie za nie zakład ogrodniczy pod Marjenbadem.

O wartości zbiorów antonińskich i umiejętności Zienkowskiego, świadczy katalog o 123 stronicach, wydany w r. 1856, ostatnim jego tam pobytu. Rozpadał się ten katalog na 7 działów: rośliny cieplarniowe, szklarni umiarkowanej, gruntowe, lekarskie, pastewne, drzewa i krzewy owocowe (dział najszerszy, nie odmian polskich), drzewa ozdobne i wreszcie nasiona warzyw. Zdaje się, że Zienkowski najlepiej znał się na roślinach szklarniowych i drzewach parkowych. Sądząc z nazw, otrzymał pewną ilość nowych odmian: goździków, pierwiosnków, łyśczaków i pelargonij (Antoni Dobiecki, Mniszek, Eliza Czudowska i in.) dziś nieznane.

W r. 1856 z dobrem świadectwem hr. Alfreda Potockiego, wyjechał z Antonin na złote gody rodziców w Poznańskie. Gdy wrócił do Warszawy, zabrała go Czudowska, której w Kobyłach, na Podolu, założył ładny ogród, a gdy ta po 5 latach umarła, poszedł do powstania 1863 r., poczem do 1868 r. był więziony przez Rosjan. Potem tułał się po różnych miejscach, aż w r. 1877 umarł, w biedzie, w Trusławce, na Wołyniu.

OGRODY OZDOBNIE.

Eustachy Iwanowski, pisząc w „Dzienniku Warszawskim“ (r. 1853 № 85, 7 i 8) o ogrodach w dawnej Polsce, twierdzi, że i pięknych współczesnych było wiele. Wcześniejsi pisarze od niego, widzieli ich mnóstwo w końcu XVIII wieku i początku XIX; mówiliśmy o niektórych, a teraz niejedną stał się wspaniałym parkiem, gdy drzewa w nim, przez te lat kilkadziesiąt urosły; wszak widzimy je jeszcze i dziś w Puławach, Nieborowie, Gołuchowie, Króbkach i w in. Ale w ostatnim tym okresie przybyły też i nowe. Niektóre z nich wymieniam ciekawo, a w swym rodzaju pierwszy: „Przewodnik po Polsce i Rzplitej krakowskiej¹⁾“, podając zarazem wiadomości o dawniejszych. Chwali

¹⁾ Wydany w Warszawie, u Glücksberga w 1821 r. po francusku i po polsku. Wiadomości czerpał do niego nieznany autor po części z Reicharda, ówczesnego Bädckera, ale sam, „znając ojczyznę swoją, dodał różne wiadomości. Narzeka on, że cudzoziemcy nieraz za gościnę odpłacali Polsce, w swych opisach, potwarzami i szkalowaniem. Zalicza do takich: Néala, Délicourta, Vautrina. „Ale nawet pełne zalet dzieła: Maltebruna, Georgeta, Grefenauera, Pradta, Gutriego, jakże są o rzeczywistości w spisach dalekie“

więc Bagatelę (obecnie siedziba Tow. ogrod. warsz.), Wężyków, której właścicielem był wtedy restaurator Chavot. W pobliżu niej (dziś jest tam Szkoła podchorążych), był ogród dla publiczności dostępny, zwany „ogrodem Szucha”.

W Wilanowie, „gdzie olbrzymie drzewa, z czasów Jana III zachowano”, dodano nowe plantacje, „w najpiękniejszym angielskim guście”.

„Fawory (później Kaskada), część przedmieścia na drodze do Białan, w których bardzo piękne pałacyki, domy i ogrody do znaczniejszych bankierów i kupców należące, miłem są dla uczęszczania miejscem”. Były to jak gdyby pierwsze letniska podmiejskie.

Nieborów był wtedy ogrodem wspaniałym z układu, wyniosłości drzew i szpalerów oraz ozdób z kamienia. Istniała tam „jedna z największych i najpiękniejszych oranżerii, tak co do ilości drzew zagranicznych, jak rzadkiej onych wielkości i pysznej budowli”. Zatem mogły to być pomarańcze, cytryny, granaty i drzewa trwałościowe.

W Arkadii znów przy wyjściu z domu holenderskiego, będącego wewnątrz kosztownym pałacem, ciągnęła się droga, z obu stron zdobna w kwiaty i piękne krzewy, wiodąca do groty w skale. Świątynia grecka, stanowiąca bogate muzeum starożytności (jak w Puławach), otoczona była kwiecistym gajem. Ukwiecone również były brzegi jeziora.

Piękne ogrody były w Zegrzu nad Narwią i w Gruszczynie, przy ujściu Pilicy do Wisły, oba angielskie, z ładnymi widokami.

Chwali Puławy, z drzewami „olbrzymiej wielkości i oranżerją napętnioną rozlicznymi roślinami”. Dodaje, że domy w mieście, po większej części darowane dawnym sługom Czartoryskich (dziś spalone), zaopatrzone są też w piękne ogrody. Nawet przedmieście zajmowane przez rolników, składało się „z rozkosznych domków, otoczonych drzewami, szpalerami i płotami z krzewin. Wszędzie porządek i czystość wielka”. Ale księżna Izabela przecież jeszcze żyła i działała. Po niej to, jako ślad, będąc po raz pierwszy w Puławach, w r. 1879, widziałem jeszcze liczne strzyżone i żywopłoty ze świerków, którymi niemal wszystkie pola były odgródzone; w r. 1915, ustępując przed Niemcami, popalili je Rosjanie.

Parchatka, wieś samej księżny, „ma obszerny ogród angielski, z dąbrowami, pawilonami i belwederem i ślicznymi widokami. Tu brzegi Wisły pełne są letnich mieszkań, pałaców i ogrodów wytwornych, do różnych bogatych właścicieli należących”. Mamy więc drugie ówczesne letnisko, którego jednak w r. 1879 już śladów nie znalazłem.

Wymienia nadto pyszny pałac z ogrodem znamienitym Zamoyskich, w Kłemenzowie i kilka innych. Iwanowski znów wspomina o ogrodzie w Końskich, założonym przez Józefa Lubomirskiego, z ogromnego po-

sagu, wniesionego mu przez wdowę, księżnę Ostrogską (z Wiśniowieckich). Ogród ten upiększył Małachowski; były tam szklarnie bogate i w lecie „miłe z wazonów (?) kląby, całość prześliczna, rozdzielona na kwiatowe grupy. Były tam: „piękny gaj brzozowy, wielki orzech włoski i trzy razem wspaniałe jałowce”. Wszystkiego tego nie znalazłem, gdy około r. 1885 doradzałem poprawę parku nowemu nabywcy, hr. J. Tyszkiewiczowi.

Dalej w Sulgostowie, pod Kłwowem (Opoczyńskie) stały nad kanałem stare jodły (czy nie świerki?), ogromne kasztanowce i wielki krąg ze starych, potężnych grabów; sad był otoczony szpalerami, a w jego środku znajdowała się altana z lip (ks. Kluk tak właśnie zalecał). Topolami był obsadzony pałac i wielka do niego wiodąca aleja. Bo topole włoskie, jeszcze wtedy były modne. Zarzucono je, gdyż wcześniej usychały od wierzchołków (jak w alei Jerozolimskiej, ku rogatce, temu lat z 50¹⁾), a odmłodzić było trudno, bo gałęzie są kruche i po odmłodzeniu drzewo traci swój strzelisty pokrój.

Około r. 1830 Świdnicki w Sulgostowie posadził różowe kasztanowce, tudzież amerykańskie świerki i sosny.

Piękny z położenia park założył w Świdnie, nad Pilicą, Stadnicki około r. 1830; były tam i szklarnie. Widziałem ten ogród w r. 1878 czy 9, ale drzewa w gruncie piaszczystym słabo rosły, chociaż rozmieszczone skupinami na pochyłości wzgórza ku rzece, pięknie wyglądały. W tej porze właściciel Świdna, Adam Boniecki, heraldyk, porozrzucał grupy drzew po drugiej stronie Pilicy, co park sztucznie powiększyło.

Nie było jednak wybitnych twórców ogrodów, Polaków, w tej epoce, w Kongresówce. Ogrody zakładano często według upodobania i względnego znanstwa właścicieli lub domorosłych ogrodników. Kupowali oni różne drzewa i krzewy, gdzie się udało dostać i wtykali je tu i owdzie, jak im się wydawało najstosowniej. Tu i tam są ślady tego, że i rzadsze drzewa sadzono, gdyż wyrosły one w piękne okazy, pod koniec XIX wieku, gdy je widział. Do takich należy orzech czarny przed dworem u Doria Dernałowiczów, w Mińsku Mazowieckim lub szupin (*Sophora japonica*), wspaniała, w Służewie, pod Alexandrowem i w in.

W taki sposób powstawały parki, dosadzane i przeładowywane nawet niekiedy drzewami, a zwłaszcza krzewami, zbyt gęsto sadzonymi. Za jeden z przykładów tego może posłużyć park w Dęblinie, założony jak się zdaje, przez Stanisława Augusta, który po r. 1831, w nagrodę dostał się renegatowi, księciu Paskiewiczowi. Z akt intendenta Łazie-

¹⁾ Na ich miejsce posadziło miasto jesiony, które siałem i wychowałem w ogrodzie pomologicznym.

nek, Michałowski, za lata 1836—9 i raportów pisanych do Paskiewicza po polsku, wynika, że posłano do Dębłina i sadzono dużo roślin, dostarczonych z ogrodów cesarskich w Łazienkach i z botanicznego. Więc np. w r. 1837 z Łazienek i Belwederu wysłano drzewa owocowe (bo w ogrodzie angielskim, według raportu było dosyć drzew i krzewów krajowych i zagranicznych), a z botanicznego—tulipany i korony cesarskie (po 100 sztuk), byliny różne, a to się ciągle i z drzewami powtarzało¹⁾.

Nie możemy wyliczać różnych ogrodów w Królestwie, choć były przy dworach liczne, ale największą ich wartość stanowiły zwykle jakieś stare szpalery lub ogromne dęby, lipy, rzadziej klony, a jeszcze rzadziej osobliwe drzewa obce. Takie okazy jeszcze i teraz widzieć można, chociaż wojna światowa i parcelacja, mnóstwo ich wyniszczyła.

W Poznańskim podtrzymywano dawniejsze, słynne już parki, korzystając zaś z dobrych planistów Niemców i względnej łatwości nabywania materiału roślinnego, pozakładano nowe. Tak więc słynny park w Gołuchowie, założony na 150 ha, przez Izabelę Działyńską, gdzie istnieją dotąd słynne lipy i 20 grabów, po 275 lat mających... W parku tym posadzono, w tym okresie, bardzo dużo rzadkich i pięknych drzew i krzewów obcych.

Park w Kórniku, założony w początku XVIII wieku, przy pomocy ogrodników Polaków, na 25 ha, słynie z drzew—siewek, z nasion otrzymanych z Ameryki. Są tu między innymi piękne magnolie, tulipanie, kłęk, szupiny, platany, a zwłaszcza niezrównanej piękności amerykańskie i inne drzewa iglaste. Długo czas był Kórnik rozsądnikiem pięknych roślin dla okolicy i dobrą szkołą dla ogrodników, dopóki go nie przewyższył Gołuchów.

Ładne są z tej epoki ogrody ozdobne, pomysłu Teicherta, Niemca, który się kształcił w zawodzie, w Anglii. Należy do nich Czerniejów, pod Gnieznem i Lubostroń²⁾.

Piękny jest park w Samostrzelu, w stylu włoskim, z tarasami, słynny z położenia. Ślicznie umieszczony jest ogród w Witosławiu, pod Nakłem, nad sporem jeziorem, a warte są choć wzmianki i pobliskie Potulice, Lubasz i Objezierze—Turnów. Tu przed pałacem założono piękny ogród francuski, za pałacem zaś—park angielski, około r. 1850. Tu również należą Niechanów—Żółkowskich, pod Gnieznem i słynny

¹⁾ Ciekawe jest to, że na te zakupy łożyła Komisja przychodów i skarbu polskiego, ona też wydzierżawiała sady z licytacji, na korzyść Paskiewicza.

²⁾ Wiadomości o tych ogrodach podał A. Kuśkiewicz, w liście do J. Drège'a, z roku 1890.

Miłosław Józefa Kościelskiego, z winnicami pod szkłem, założony w 1820 r. przez hr. Mielżyńskiego.

Jeden z najwspanialszych ogrodów w Wielkopolsce jest w Kwilczu, na wysokim brzegu nad jeziorem położony, z przepięknymi widokami, a bardzo ciekawy, wspominany już Posadów—Łąckich, pod Pniewem, z owymi strzyżonymi cisami i szpalerami, którym nie ma równych, w Polsce. Mógł się z nim ubiegać chyba Rogalin nad Wartą, ze swymi prastaremi dębami, dopóki go nie zaniedbano.

Po r. 1850, gdy dzięki dobrej gospodarce, ziemianie doszli do zamożności i zaczęli pod naporem niemieckim mocniej trzymać swe majątki w jednym rodzie, powstało dużo ogrodów strojnych. Może też do tego były pobudkami i liczne wzory, widywane w podróży po Niemczech i dalszych krajach.

Więc piękny park angielski założył Potockim Niemiec Roter; urządził w nim partery według rysunków Meyera¹⁾. Niemniej są piękne, współczesne z nim parki w Sielcu—Czartoryskich i Rokossowie—Mycielskich. Wtedy też stary ogród francuski w Rydzynie—Sułkowskich, przerobiono w połowie na angielski. Pomijając ładny Antonin, Radziwiłłów i Kopaszew (zakładał Teichert), należy zaznaczyć park w Turwi—Chłapowskich, gdzie pola obsadzone są żywopłotami z głogu, a drogi drzewami owocowymi.

Park w Goli, o którym była mowa, podupadł, ale równie stary ogród w Taczanowie (z winnicą), dotąd nie stracił swej piękności.

W ostatnich czasach dużo ogrodów takich założył A. Kuśkiewicz, nie szczędząc drzew rzadkich, zwłaszcza pięknych iglastych, urządzając szpalery z brzoskwiń, pod murami i pędzarnie winorośli, jak również i Wojciech Kwiatkowski. Taki jest ogród w Kossowie hr. Heleny Potworowskiej, w stylu naturalnym, ale z włoskimi tarasami.

Dużo innych parków zniszczyli Niemcy, nabywszy majątki od Polaków, a drzewa, co cenniejsze, poszły dla zysku do stelmachów i stolarzów. Ale za to niema dworu w Poznańskim, bez ogrodu ozdobnego, zresztą zwykle do 2 ha przestrzeni, rzadko więcej. Wszystkie założone poprawnie, a w nich nieraz drzewa i krzewy kosztowne, o które tak łatwo było ze szkółek niemieckich. Dużo też tu chmielin i ślicznych bylin (jak trwałe astry, ostróżki, *Eremurus* i t. p.) tudzież cebulkowych. Tem pożądanse są te ogrody, że kraj w wielu okolicach nie ma lasów, i jest zupełnie płaski. Takie ogrody widziałem świeżo w Kotlinie i Kurcewie, pod Pleszewem. Bywają jednak parki do 8—10 ha obejmujące.

¹⁾ Z „Die Schöne Gartenkunst“.

Na wzmiankę jeszcze zasługują tam niektóre ogrody proboszczów, założone ze smakiem i umiarem, a zaopatrzone i utrzymane starannie i ze znanstwem.

Wybitne ogrody w Galicji (Małopolsce), podtrzymywano, doskonaląc je i wspomagając. Tak działo się w Łańcucie, Medyce, Krzeszowicach i t. p. Łatwo przecież było teraz otrzymywać różne drzewa i rośliny z Wiednia i innych miast, w tej samej monarchji będących. Ale przysłowiowa bieda galicyjska i upośledzenie tej polskiej dzielnicy przez rząd austriacki, nie pozwalały na zakładanie kosztownych ogrodów. Zadaawano się też uproszczonemi skupinami drzew swojskich, przy dworach, lecz dobra ziemia sprzyjała ich bujnemu wzrostowi, a kraj falisty i urozmaicony, z Tatrami, czy Beskidem na krańcach widnokregu, dawał możność wytwarzania pięknych widoków. Tak było szczególnie na całym Podhalu i Podkarpaciu, więc na bardzo znacznej przestrzeni. Zresztą bogate i obfite lasy, zwłaszcza świerkowe, jodłowe i bukowe, czyniły, jak bory w starej Polsce, zbytecznem silenie się na parki sztuczne.

Jeżeli zaś zwrócimy się do prowincji ruskich, to znajdziemy tam jeszcze ogromną ilość parków, z pod mistrzowskiej ręki Miklera. Słusznie jednak Stecki twierdzi ¹⁾, że „na ten szął angielszczyzny, na pozór pełen prostoty i naturalności, a w gruncie kosztowny, poszła niejedna wioska, a niekiedy i cały klucz“. Ci bowiem, którzy nie mogli mieć porady lub planu na ogród Miklera, starali go się naśladować, stąd owe śmieszności i parodje przyrody. Prowadzono tedy ścieżki, jakkolwiek poskręcane, byle tylko nie proste, sadzono bez planu i sensu drzewa dzikie (unikając owocowych), a przez suche parowy przerzucano mostki. Nieco poprawiła ten brak smaku książka Czarotoryskiej, która zarazem nauczyła cenić kwiaty, możni zaś budowali nadto szklarnie; te u szlachty średniej były długo jeszcze na szczęście rzadkością, bo dużo opału pochłaniają.

Ogród botaniczny krzemieniecki pod umiejętnym kierunkiem Besera, przez czas długi był ogniskiem, w którym mogli się miłośnicy zapoznawać z bogatym doбором pięknych roślin i nawet otrzymywać je stamtąd. Ale istniały też i zakłady prywatne, zaopatrujące tę okolicę w materiał roślinny; był to piękny ogród Borejki, w Samostrzałach i Ratomskiego, w Kolesnikach. Oba cieszyły się rozgłosem i powodzeniem w sprzedaży roślin prawie do r. 1840. Chociaż Mikler opuścił Wołyń w r. 1830, ogrody tam przez niego założone, rozrastając

¹⁾ Tadeusz Stecki „Wołyń“, we Lwowie 1864 r., w tomie I: „Ogrodnictwo na Wołyniu“.

się coraz bujniej, były, jak słusznie mówi Stecki, krasą i ozdobą Wołynia, co sam mogę potwierdzić, z tego com widział jeszcze w r. 1880.

Przybyło jednak sporo innych ogrodów, założonych z wdziękiem i smakiem lub z dawnych przerobionych. Takim był, najbogatszy w rośliny ozdobne i kwiaty ogród antoniński Malewskich, który potem przeszedł do Sanguszków Eustachych (księżna była rodem Czarotoryska). Ogród ten opisał wierszem Sławecki ¹⁾. Roman Sanguszko, syn Eustachego tak dużołożył na ten ogród, że katalog drukowany w r. 1853 wykazuje 3000 gatunków i odmian roślin. Ale pod względem położenia, o wiele piękniejszy był inny ogród Sanguszków, w Klimówce, nad Horyniem. Oprócz tego w szklarniach były tam bardzo stare pomarańcze, cytryny i granaty.

W słynnym ze wspaniałego urządzenia i nagromadzonych różnych bogactw, Romanowie — Ilińskich, pod Zwiąhlem, istniał ogromny park ²⁾. Drzewa w nim były tak rozłożyste, jak nigdzie na Wołyniu, a zdobiły go liczne posągi i pomniki; łączył się z obszernym zwierzyńcem. Cała ta okolica jest niska i piaszczysta, ale w tych piaskach wołyńskich wyrastają ogromne drzewa (gliny w głębi), jak tego dowodzą lasy sławuckie.

Zmarły w r. 1863 Janusz Iliński założył inny wielki park, w Wierchowach, wśród lasów i skał, w małowniczej okolicy. Najbogatszy zaś co do roślin był ogród w Podłużnem.

Ogrodem przemysłowym, słynnym na Wołyniu i Ukrainie, był park i ogród w Dryłowie, pod Żytomierzem. Założył go Kamil Piotrowski, znawca roślin i uczony w botanice, który z umiejętnością i wytwarzaniem gromadził rzadkie rośliny zewsząd, a szklarnie z trudem mogły je pomieścić. Drukował swe katalogi w Kijowie i ze sprzedaży roślin utrzymywał swe ogrody.

Jak Stecki utrzymuje, w samym Żytomierzu było kilka ładnych ogrodów, a między innemi jeden spekulacyjny (ale czyj?), który wydawał katalogi francuskie ³⁾.

A blisko Żytomierza Giżycki założył ogród w Mołoczkach, w którym to potem Ksawery Zamoyski miał szkółki drzew iglastych, których w ogrodach tamtejszych nie było, prócz świerków.

Także pod Żytomierzem, w Troszczy i pod Zaslawiem, sami założyli „udatnie“ piękne ogrody Burzyńscy. A pomijając wiele innych,

¹⁾ W broszurze, wydanej w Piotrogradzie w 1822 r.

²⁾ Piszę „istniał“ bo bolszewicy zniszczyli większość tych magnackich siedzib w 1818 i 1819 r.

³⁾ Jak z r. 1854 p. t.: „Catalogue des plantes de serre et de pleine terre du jardin horticole de Zitimir“.

należy jeszcze wspomnieć o Klementowicach, pod Sławutą, Ignacego Potockiego (ur. 1751), który w charakterystycznych wierszach udzielał „rad do (?) ozdoby ogrodów“.

Rady pochodzą z r. 1820, a zalecał w nich drzewa strzyżone i partery, wyśmiewając sztuczne, tanie posągi, których moda przyszła z Gdańska:

„Jak się malują,
Jak się szykują
Z dešek ubite,
Posągi ryte
Nad inne kraje
Wzór Gdańsk nam daje !“.

Wydziwiał tym sposobem zrobioną Junonę, zażywającą tabakę i Marsa w pruskim mundurze, z flintą na ramieniu. Opisuje też igraszki wodne:

„Wodne bałwany,
By szklane ściany
Wejście (do grotty) tamują
I tarasują“.

Zatem te niesmaczne pomysły przysły do Polski z Niemiec, *via* Gdańsk i daleko się po niej rozeszły. Wszak znacznie później widziałem na Ukrainie, na bezkresnej płaszczyźnie ogród, ze wspaniałymi brzostami, do którego wjazdu strzegły dwa sfinksy tekturowe, dla trwałości olejną czarną farbą pomalowane.

Uzupełnienie tych opisów mamy w dziele Al. Przeździeckiego²⁾, który nie tylko dobrze znał opisywane kraje, z podróży i przebywania w nich, ale, jak sam mówi, czerpał z archiwów publicznych i ze zbiorów dokumentów rodzinnych, u spokrewnionych z nim: Chodkiewiczów, Potockich, Mniszchów, Olizarów, Lubomirskich, Jabłonowskich, Radziwiłłów, Sanguszków, i w. in.

Otóż, jak podaje, założyła piękne ogrody, w Szpanowie, Radziwiłłowa, synowa właścicielki Arkadii, osuszwszy na ten cel duże błota. Teściowa pytała ją: „Cóż zrobisz z tą tabakierką“? Otóż tabakierka zamieniła się w piękną łąkę, na której zasadzono umiejętnie skupiny drzew, a wodę zebrano w dwa duże stawy. W jednym z nich odbijają się śliczne grupy drzew, rosnących na otaczających go wzgórzach. Przed pałacem była ogromna murawa, oficyny zaś boczne okryto chmielinami i przyozdobiono wazonami, pełnymi kwiatów.

¹⁾ W „Słowianinie“ Lwowskim r. 1839 podał St. Jaszowski

²⁾ „Podole, Wołyń, Ukraina“, 2 tomy, Wilno, r. 1841.

Ciż sami Radziwiłłowie posiadali inny piękny ogród, w Niewirkowie, pod Międzyrzeczem wołyńskim, pełen ładnych drzew i kwiatów, z dużymi trawnikami, ale bez wody.

Słynął i w tej epoce Wiśniowiec, założony w latach 1720 — 30 przez Michała Wiśniowieckiego, do Mniszchów należący, z obszernym pięknym ogrodem, naokoło pałacu. Z tarasu wysokiego roztaczał się czarujący widok na Horyń i dwa miasteczka. W Kołodnie, na pograniczu z Galicją, słynął ogród z szerokiej, cienistej, starej już alei kasztanowej. Gustowny park założyła księżniczka Czartoryska w Żukowcach.

Było tego daleko więcej, co słusznie przypisuje Przeździecki temu, że ziemianie zakopywali się na wsi, bo w mieście panował ucisk rosyjski i zajęli się ogrodami; kobiety bawiły się literaturą i sztuką. Ale też żydzi opanowali zupełnie miasta, stali się faktorami leniwych i niezaradnych moźnych i zatamowali rozwój mieszczaństwa. A na ustroniu marniały nawet największe zdolności i kraj z nich pożytku nie miał.

Jeżeli zaś o te miasta i miasteczka na Rusi chodzi, próżnobyś szukał jakichś ogrodów przy żydowskich domostwach brudnych, często pochylonych i nędznych, stojących gęsto przy ulicach błotnistych i cuchnących. Tylko ten tam mieszka, kto musi.

Za to wsie ruskie tonęły w sadach, lecz ogródki ozdobne były tam w zaczątku. Trochę pospolitych kwiatów, przy chacie, jakaś pojedyncza lipa, jesion lub dąb wyniosły, wystarczały rusińskiemu chłopu; i dziś nie jest inaczej.

Kilka trafnych uwag co do ogrodów strojnych, tak licznych na Rusi, wypowiedział Michał Grabowski¹⁾. Przedewszystkiem wyliczając zalety ogrodu angielskiego, chwalił jego twórców, na równi z artystami ich stawiając. Słusznie też domagał się, żeby ułożono porządną inwentarz ogrodów w Polsce „z ich planami i opisami. Tak istniałyby one nie tylko dla zwiedzających; rozmnażałyby lubownictwo, kształciłyby smak, zachęcałyby różne klasy mieszkańców do upiększania swej własności. Wielkie bowiem ogrody można uważać za szkoły sztuki i jej wzory“.

Niestety w ciągu tylu stuleci nikt tego nie dokonał u nas, a i teraz przecież nie posiadamy nie tylko planów i opisów wszystkich naszych ogrodów, które na to zasługują, ale nawet ich całkowitego spisu. A Grabowski słusznie twierdził, że te ogrody „nie czemu innemu, tylko narodowemu gustowi winny początek“, trzeba je więc „kłaść przed oczy, żeby szczepiły gust, lubownictwo, umiejętność“.

¹⁾ W „Atheneum“, wydawanem przez J. I. Kraszewskiego: „Ogrody na Ukrainie“, Wilno, r. 1842, str. 156.

Jakkolwiek bowiem stylu własnego nie wytworzyliśmy, to jednak z rodzimych pierwiastków krajobrazu i drzew i krzewów urządzane te ogrody noszą na sobie piętno upodobań i pojęcia piękna w przyrodzie polskiego narodu. A nie są one przytem jednakowe, ani jednostajne, chociażby bowiem plany były do siebie podobne i na cudzych wzorach oparte, widoki na otaczającą przyrodę, wsie i kościoły, wzgórze, parowy i niwy nasze, nadają im swoiste piętno. Nie mało też przyczyniają się do tego i swojskie drzewa, zawsze podstawę wszelkich skupin stanowiące.

Niektóre z tych ogrodów już giuą, zwłaszcza przy rozdrabnianiu majątków i przechodzeniu ziemi w ręce drobnych rolników, nie mających ani poczucia piękna tych tworów, ani ich potrzeby, ani wreszcie materialnej możności ich zachowania. Przepadają więc, pod siekierą okazałe, umiejętnie układane skupiny, padają ogromne drzewa, nieraz pamiętające ostatnich Jagiellonów, Batorego lub Wazów. Co za nieodżałowana szkoda tych starych wzorów, z których młodzi, wykształceni ogrodnicy-twórcy, mogliby wykrzesać podstawy stylu polskiego w ogrodach i parkach! Z samych suchych, krótkich opisów i wykrzykników, odtworzyć tych ogrodów nie można. Gdybyż choć były takie, jak opis ogrodu w Mosznach czyli Górach Moszniańskich, który właśnie podał w swym artykule Grabowski!

Ogród ten założył hr. Woroncow, mąż hetmanówny Branickiej, około r. 1825, upodobawszy sobie miejscowość nad Rosią, gdzie wpada do Dniepru. Z parkami naturalnymi zapoznał się w Anglii, ale nie wiadomo, czy sam dawał plan tego ogrodu, czy kto inny. W każdym razie powstał w Mosznach park-zwierzyniec, ciągnący się pomiędzy wzgórzami na 8 km. 500 „dusz“ pańszczyznianych pracowało tam ustawicznie, nad nowymi robotami i podtrzymywaniem całości, po której obwożono zwiedzających. Dom na wyniosłości otoczony był werandami, okrytymi dzikim winem, różami pnąciami i t. p. Widoki były liczne, urozmaicone, niektóre wspaniałe, trawniki wypieszczone, piękne grupy drzew i masy najpyszniejszych kwiatów, a drogi bardzo umiejętnie poprowadzone.

Były szklarnie, ale tak szczupłe, że trudno było pojąć gdzie się mieściły wielkie zasoby roślin ozdobnych, samych bowiem hortensji liczono 2000 wazonów. Dużo drzew i krzewów wyprowadzano z nasion, ale wogóle szkółki były tak zasobne i duże, że mnóstwo drzew, krzewów i bylin brano z Moszen do majątków Woroncowa na Krymie, gdzie był namiestnikiem. Ogródnik, czy rządca, Wojciechowski, pokazywał Grabowskiemu katalog „do kilkonastu tysięcy numerów“ roślin dochodzący.

Jeżeli Grabowski nie przesadził, ogród ten przewyższałby botaniczne ówczesne, co budzi pewne wątpliwości.

Jeszcze o jednym ogrodzie z tej epoki, na Ukrainie, wspomnieć warto. Założył go na zboczu góry, bardzo umiejętnie i ze smakiem, Józef Stiche, którego z Czech sprowadziła w r. 1843, do Czarnego Lasu, na Wołyniu ks. Teresa Jabłonowska. Ukończył on szkołę ogroduiczą w Pradze, jak nam opowiadał, bo od r. 1871 był głównym ogrodnikiem u Branickich, we Frascati, który to ogród znakomicie upiększył. Jemu to należy zawdzięczać tę obfitość rzadkich drzew i krzewów, które dotąd we Frascati podziwiamy ¹⁾.

Dużo ogrodów na Ukrainie założyła wtedy zamożna tamtejsza szlachta polska, ale bez planów nakreślonych przez umiejętnych ogrodników. Za materiał do nich służyły: dęby, graby, klony, lipy, wiązy, tak obficie w liściastych lasach Rusi rosnące. Drzewa te w żyznej ziemi do naszego czasu powyrastały w prawdziwe olbrzymy. Z rzadkich drzew ubiegano się o kasztanowce i nasze sosny pospolite, które tam nabierają odmiennego wyglądu i rozrastają się w bardzo rozłożyste korony.

Nietylko parki, ale i ogrody podolskie opisał wcale dokładnie ks. Wawrzyniec Morawczyński ²⁾. Był to dobry obywatel, we wstępie bowiem do swej książki pragnie, żeby poddany mógł się wykupić za pieniądze, prawem oznaczone, żeby mu dawano dość ziemi pod uprawę, a wreszcie: „żeby panowie zrzekli się nazawsze na rzecz chłopów: chałup, sadów, ogrodów i ziemi im odmierzonej“.

Z wybitnych ogrodów wymienia przedewszystkiem park w Kutylówce (pod Latyczowem) Iwanowskich, w pięknym stanowisku, przyozdobiony sztuką, z kosztownymi szklarniami (była i cieplarnia). Dalej w Rowie, wspaniały ogród Orłowskich i słynny z piękności park w Hołodkach, Sarneckich, z widokiem na cztery powiaty. A był tam jeszcze oprócz sadu, także ogród na zioła botaniczne.

W Głoskowcach hr. Adamowa Krasicka założyła rzadkiej piękności, kształtny park angielski. Tam też obok istniały szkółki owocowe wdowy Eichlerowej, z których wyborowe odmiany rozeszły się po całym Podolu. Znaczny zbiór przednich kwiatów i roślin ozdobnych posiadał Józef Kalasanty Zagórski, w Łuce, a sprowadzał je z Francji i innych krajów; był tam też ogród piękny i obszerny sad. Śliczne ogrody istniały w Zarwańcach i Jakaszyńcach.

¹⁾ Wartoby je spisać, zarówno jak i w innych ogrodach warszawskich, do pólki istnieją.

²⁾ „Statystyczne, topograficzne i historyczne opisanie gub. Podolskiej“, 2 tomy z rycinami, Kamieniec, r. 1822.

Aleksander Przeździecki widział piękny park w Czarnym Ostrowiu, z zamkiem na wysokiej wyspie na Bohu, ogrodzonym wałami. Od dolnej bramy droga pięła się w górę ku zamkowi, wśród gajów, okrążając skupinę z różowych akacji, bzów i różnobarwnych kwiatów. Była tam niby altana, a właściwie koło z 5 olbrzymich topoli, a już na brzegu Bohu wysokie ściany z olszyny i nad sporem jeziorem kolumnada z topoli włoskich.

Tenże świadek zachwyca się ogrodami w Makowie — Raciborowskich, nieopodal Kamieńca, które słynęły jeszcze do końca w. XIX. Były tam „najpiękniejsze na Podolu kwiaty i najurodzawsze owoce. Makowskie kwiaty, owoce i bułeczki (słynne z dobroci) wędrują po całej okolicy, do najmodniejszych dam“. Ze dworu wychodziło się na ogromną murawę, z trzech stron otoczoną cienistymi szpalerami drzew; na tym wielkim trawniku stały świerki, rzadkiej piękności, a pod nimi kamienne ławy i niezliczone wazony kwiatów szklarniowych. Pomarańczarnia w głębi ogrodu, z wielkim przepychem utrzymana. Były też tam i doborz róż „w setnych gatunkach, tulipanów, jak w Holandji i hijacintów, jak w ogrodzie Ulricha, w Warszawie“. Mówiliśmy już, że Krystjan Ulrich te kwiaty w obfitości hodował. Słynne też były w końcu XIX stulecia, w Makowie wielkie tulipanowce i buki czerwone, w parkach naszych bardzo rzadko napotykanne.

Miasteczko Satanów całe, ze wszech stron było otoczone ogrodami, a Malejowce, nad Uszycą, w pięknym położeniu, zdobne były w wielkie drzewa, starannie utrzymane trawniki i posiadały śliczne widoki. Nie mniej okazałe były ogrody Ścibora Marchwickiego, w Przytulji i Demaszyn Makowieckiego, bo najważniejszy składnik wszelkich ogrodów ozdobnych — piękne drzewa, na Podolu występuje w okazałej, ponętnej postaci. Wszelkie drzewa w tej żyznej ziemi rosną bujnie i wydają z wiekiem okazy olbrzymie, często nie zrównane.

Tak było i w Kuryłowcach, gdzie dwa brzegi głębokiego, a szerokiego jaru, przybrano w drzewa. Przez jar przerzucono na arkadach pomost, jak gdyby taras i na nim zbudowano pałac „na wzór Luwru“; w arkadach mieściły się szklarnie, dostarczające kwiatów do przystrojenia dworu i ogrodu.

A któż nie słyszał o Kamionce, nad Dniestrem, słynnej z winnic? Do r. 1819 na tej spalonej łące nie było ani jednego drzewa. Ale Wittgenstein nie szczędził odtąd kosztów i wkrótce obfita woda, doprowadzona ze źródeł, napęliła staw, a drzewa krajowe i obce posadzone w piękne skupiny, zaczęły użyczać miłego cienia. Wielki ten ogród kończy się skalistym wałem. Na stronie wału południowej, książę W. posadził 200,000 krzewów winnych, pochodzących z Bur-

gundji, Szampanji, z nad Renu i Mozeli. Z nich to wyrabiano, całkiem możliwe wina pitne, już około r. 1830.

Tulczyn w tej porze podupał, ale w parku stały wspaniałe drzewa i wyspy, na stojącej wodzie, były pełne też drzew ogromnych. Istniała tam jeszcze kąpiel turecka, marmurowa, sprowadzona niesłychanym kosztem z Carogrodu, dla ukochanej greczynki (Zofji Clavone Wittowej), przez Szczęsnego Potockiego¹⁾.

Lecz i w północnej części dawnej wielkiej Rzplitej Polskiej, na Litwie i Inflantach, nie zaniedbano parków. Słynęły one zarówno w okolicach Wilna (w Wace), jak blisko morza w Szłosbergu, Zyberk - Platerów.

Toż i średnio zamożna szlachta przyozdabiała swe siedziby ogrodami, według gustu i możliwości. Parki dla niej były zbyt duże, bo zastępował je bujny, często ogromny las, nieopodal siedziby będący, w którym był i cień i powab przyrodzony, grzyby i zwierzyna. Można też było tam używać przechadzki do syta, a nadewszystko polować. Wszak jeszcze w początku XX w. widzieliśmy coś w rodzaju „matecznika“, pod Lidą, gdyż właściciel wycinać las zabroniwszy, wyjechał na długie lata z kraju, a wolę jego uszanowano. Więc były tam powały i gąszcz tak wielki, że się w las głębiej przedostać nie było można.

Po r. 1863, gdy nastąpiło pozorne, stopniowe uspokojenie, pod knutem carskim, gdy kraj wziął się znów do pracy i około r. 1870 powracał, choć powoli, do pewnego dobrobytu, pomyślano znów i o zakładaniu nowych ogrodów ozdobnych lub też poprawianiu dawnych.

Wtedy pojawili się u nas twórcy ogrodów. I tak wybitny, a wpływowy ziemianin, z pod Sochaczewa, Tomicki, sprowadził z zagranicy Kamila Jammé'go, który mu względnie udatnie założył ogród ozdobny, w Kozuszkach. Polecany przez Tomickiego, Jammé zyskał wkrótce rozgłos i wziętość — i oszpecił trochę kraj, swemi nieudolnemi twórcami. Był to bowiem prosty ogrodnik - rzemieślnik belgijski, który znał dużo roślin i umiał je hodować, ale nie posiadał ani umiejętności zakładania ogrodów strojnych, ani niezbędnego do tego gustu. Jego ogrody (np. w Prosnym, nad Pilicą) pełne są krętych dróg i ścieżek, bez ładu i potrzeby poprowadzonych, na trawnikach zaś porozrzucone są tu i owdzie, znów bez usprawiedliwienia celowości, okrągłe lub owalne plamy z drzew, jednego gatunku, np. modrzewi, świerków, brzoź i innych; krzewy pojedyncze rozmieszczał na chybił trafił; pomysły zdobnicze są ubogie, widoki zakryte. Ale znał się na kwiatach i drzewach karłowatych i niemało pięknych roślin ozdobnych do tych

¹⁾ Jak wyglądały parki podolskie w samym końcu wieku XIX-go, dowiedzieć się można z artykułu Stefana Makowieckiego w „Ogrodniku Polskim“ r. 1898.

nowych ogrodów sprowadził, po części z zagranicy, co niech mu będzie poczytane za zasługę. Pomimo swej nieudolności, robót miał dużo, bo się niektórzy właściciele majątków na ogrodnictwie zbyt mało znali.

Znacznie lepiej wywiązywał się z zadania Hipolit Cybulski, główny ogrodnik ogrodu botanicznego warszawskiego, w dziale gruntowym. Ogrody jego zakładania i pomysłu widziałem u ziemian, średnio zamożnych, jak w Goślibiu (Łęczyckie). Były one dobrze zarysowane i udatne, choć obsadzone też materiałem drzewnym, dość pospolitym; zresztą czerpano go przecież z ówczesnych szkółek, a mówimy tu o czasie po r. 1863. Cybulski umiał swe ogrody dostosować do gruntu i otoczenia, drzewa i krzewy znał dobrze i stosował je umiejętnie, tworząc niewielkie, parohektarowe ogrody strojne. O kwietnikach też pamiętał; były to owe kwiatowe kobierce, z barwnolistnych roślin, wtedy i jeszcze do końca wieku, modne.

Na większe parki u możnych fabrykantów okręgu łódzkiego i warszawskich bankierów, porywał się kolega Cybulskiego, w części szklarniowej, sas, Karol Sparmann. Pomysły swoje czerpał ze znanej książki Meyera „*Die Schöne Gartenkunst*“ i na widzianych w Niemczech ogrodach. Nie było w tej robocie wiele twórczości, ale rysunek ogólny był poprawny i wykonanie staranne. Główny zarzut, który mu uczynić można, był ten, że za dużo dawał skupin i zagęsto w nich sadził drzewa i krzewy. Jako przykład tej roboty Sparmanna może służyć park Bersohnów, w Pruszkowie, przy kolei W. W., ogrody Schlösserów w Ozorkowie, nowy ogród w Żyrardowie i in.

A i w innych dzielnicach poszarpanej Polski, zakładali ogrody często cudzoziemcy, jak Teichert w Poznańskim, ogrodnicy wiedeńscy w Galicji, Edward André — u magnatów litewskich, aż ich zastąpili potem Kubaszewski i Kwiatkowski, w Wielkopolsce, B. Malecki — w Galicji, a w Królestwie znakomita trójka planistów: Fr. Szanior, Teodor Chrząński i Walery Kronenberg. Ten ostatni tworzył parki nawet w Krymie i w niektórych guberniach połudn. Rosji. Należą oni jednak do epoki najnowszej.

OGRODY PUBLICZNE.

W krótkim przeglądzie uwzględnimy nietylko właściwe zadrzewienia miast naszych, ważniejszych, lecz i te plantacje, które powstały naokoło grodów, po zniesieniu wałów fortecznych. Ogrody publiczne, raz założone, trwają zwykle długo, a więc ulegają częstym przeróbkom i przechodzą okresy podnoszenia się lub czasowego upadku, zależnie od warunków. Stan funduszków miejskich, uznanie potrzeby zadrze-

wień lub ich lekceważenie, mniej lub więcej umiejętni ogrodnicy na czelni, interesowanie się obywateli zadrzewieniami — są to czynniki wpływające przemożnie na lepszy lub gorszy stan plantacji. W końcu opisywanego okresu powstały w Warszawie i Krakowie rady obywatelskie, przy magistratach, mające głos doradczy w sprawach zadrzewień, ale głosu tego ówczesne, obce zarządy, nie słuchały lub wogóle, jak było w Warszawie, rad na posiedzenia wcale nie zwoływały¹⁾.

Bądź-jak-bądź zadrzewienia miejskie mają tę przewagę nad prywatnymi, że są wieczyste i nie zmieniają właściciela, a nadto są pod okiem i czujną kontrolą całej ludności miasta. Cenione są te zielone i barwne miejsca wypoczynku, przechadzki i zabawy dla dzieci, tem więcej, im ludność jest bardziej kulturalna, a w każdym razie uważa je za swoją własność wspólną, bezcenną, bo nie stanowiącą przedmiotu, który za pieniądze jest do nabycia.

Dla tego nawet wadliwie założone plantacje, stopniowo poprawia się i doskonalą, zwłaszcza w okresie, który przeżywamy. Nowoczesna bowiem gospodarka miejska przyznaje ogrodom publicznym ważne znaczenie społeczne, zdrowotne i kulturalne.

W Krakowie „Planty“, prawdziwą ozdobę i chlubę tego arcy polskiego grodu, zapoczątkował Stanisław Wodzicki, zalecając urządzenie zadrzewień na placach po dawnych wałach, gdzie był stek wszelkich śmieci i miejskich odpadków. Rada miejska postanowiła te roboty, ale nie miała pieniędzy na ich wykonanie. Dopiero w r. 1822 obywatel krakowski Florjan Straszewski ofiarował na ten cel 54,000 złp. i sam dopilnował wykonania robót, całymi dniami przy nich trwając. Pierwotne te nowe aleje obsadzono topolami i kasztanowcami. Zarząd Krakowa wywdzięczając się za to, wybił na cześć Straszewskiego medal z napisem: „Za ofiarę i trud w upiększeniu miasta, Senat i lud krakowski 1838 r.“²⁾.

Nie dość na tem: ponad zasługę uczczono tego człowieka pomnikiem, który stoi na początku Plant, blisko stacji kolejowej. Właściwie na pomnik daleko więcej zasługiwał prezydent Rzplitej krakowskiej, hr. Stanisław Wodzicki.

Planty te stopniowo ulepszano i powiększano, ustawiając potem w wielu miejscach piękne rzeźby i pomniki zasłużonych polaków. Najwięcej jednak przyczynił się do ich podniesienia na poziom lepszych, tego rodzaju, nowoczesnych zadrzewień, inspektor B. Malecki, ale do-

¹⁾ Nie mówimy tu o warszawskim Komitecie plantacyjnym, bo on powstał dopiero w r. 1888.

²⁾ Ambroży Grabowski „*Kraków i jego okolice*“ r. 1844.

piero około r. 1880. Gdyśmy je poznali w r. 1874, były to jeszcze przeważnie aleje drzew, tu i owdzie tylko skupinami krzewów poprzerywane, o wiele mniej piękne i gorzej utrzymane, niż np. wrocławskie.

W tym samym czasie powstały i zadrzewienia we Lwowie, ale rozmiarami skromniejsze. Było to już za austriaków, którzy gnębili lwowian, ale jednocześnie wprowadzali takie urządzenia, jakie miał Wiedeń, wzór dla całej monarchji.

Początek dał major Łagonda, w r. 1820, założywszy mały, ale ładny ogród przy koszarach artylerji, któremi zarządzał. Za jego przykładem poszedł referent miejski Reissenheim, urządziwszy zadrzewienia od wieży straży ogniowej, aż do klasztoru benedyktynek. Późem, gdy w r. 1826 zniesiono wał, na prawym brzegu Pełtwi, powstały po obu jej stronach ładne planty, z drzew i krzewów.

Najpiękniejsze jednak zadrzewienia utworzyć kazał gubernator hr. Łazański, w r. 1837, na Piaskowej Górze. Do sadzenia oprócz drzew i krzewów krajowych, użyto też i obcych, więc: wiciokrzewów, klonów pstrych, kasztanowców i grochowników¹⁾. Parki na Wysokim Zamku i Kilińskiego — są nowej daty. Ten ostani bardzo ładny, w malowniczym położeniu, założono dla pomieszczenia wystawy krajowej, a na kopiec Unji, na Wysokim Zamku sam wwiozłem taczkę ziemi, pod okiem Smolki, który to dzieło zapoczątkował i do skutku doprowadził. Było to w r. 1874, gdym z nauki we Francji, do kraju powracał. Zadrzewiono ten Zamek w parę lat potem.

W Warszawie długo nie przybywały nowe ogrody publiczne. Gołębiowski zalicza do „zastanawiających, ogrody pod zamkiem, babilońskim podobne“, ale te tylko wyjątkowo były dla publiczności dostępne²⁾. Czasami korzystała ona z ogrodów: uniwersyteckiego i położonych na przedmieściach: Frascati, Szucha, Unruha. Zieleńce, jak naprost starej poczty, na Krakowskim Przedmieściu, po zniesieniu całego, wielkiego trapezu domów, między tą ulicą i Dziekaną oraz przed bankiem polskim, na Rymarskiej, urządzono po r. 1863. Istotny, wielki rozwój zadrzewień miejskich i doprowadzenie ich do stanu europejskiego, datuje dopiero od powstania przy magistracie obywatelskiego Komitetu plantacyjnego i działalności głównego ówczesnego ogrodnika Fr. Szaniora, a więc od r. 1888. Ładny park Ujazdowski, w trudnych warunkach miejsca utworzony, tudzież wspaniały park Skaryszewski, za Pragę, są jego dziełami, z lat 1896 i 1906. On też przerobił ogród Krasieńskich, na angielski i przeprowadził różne zmiany w ogrodzie Sas-

¹⁾ „Domy i Dwory“ r. 1830.

²⁾ Zakładał je Kubicki, około r. 1820.

kim. Wogóle jednak Warszawa, jest co do zadrzewień dość uboga, w stosunku do innych stolic i wielkich miast zachodu.

Biorąc tylko nazwę, założono na podobieństwo warszawskiego — ogrody Saskie w wielu miastach naszych; mają je Lublin, Kielce, Radom, Sandomierz i in.

Ogród lubelski zaprojektował inż. Bieczyński, a wykonywał go od r. 1837 z ofiar sąsiednich ziemian, w pieniądzech i drzewkach i przy pomocy obowiązkowego szarwarku lubelskich mieszczan. Jednakże niezbyt udatny plan Bieczyńskiego zmienił i poprawił ogrodnik Vernier, z Puław sprowadzony. Ogród kosztował względnie nie dużo, bo 6000 rb. Była też tam w r. 1838 szkółka morw, które Bieczyński, jako dobry obywatel rozpowszechniał, żeby poprzeć hodowlę jedwabników¹⁾. Jest to ładny ogród, w stylu naturalnym, z okazałemi lipami, klonami, wierzbami i in., ale zupełnie pozbawiony widoków na zewnątrz, które bez trudności można tam było wytworzyć.

Ogród poreformacki (Vettera), był też dla lubliniaków dostępny.

Piękne i obszerne parki w Łodzi, są nowszego pochodzenia. Najlepsze planowali i wykonali T. Chrząński i W. Kronenberg.

W Kaliszu, w pięknym położeniu, wzdłuż Prośny, park publiczny założył rząd pruski, w r. 1798. Przerobiono go na modłę nowoczesną w r. 1881, według wskazówek piszącego to, poczem jeszcze uzupełniał go i powiększał dwukrotnie Fr. Szanior.

Po r. 1875, a bardziej jeszcze 1879 rozpoczęła się doba szybkiego i wielostronnego rozwoju ogrodnictwa w Polsce, pod zaborem rosyjskim znajdującej się. Powstała pierwsza istotna szkoła ogrodnicza, przy ogrodzie pomologicznym, pierwsze na wzór europejski czasopismo ogrodnicze „Ogrodnik Polski“, wkrótce potem w r. 1884 zawiązało się wpływowe Tow. ogrodnicze warszawskie, a w 10 lat po niem — krakowskie. Rozwinęły się potężnie wielkie zakłady ogrodnicze, powstały obok nich pomniejsze. Namnożyło się szkółek drzew owocowych, bo wzięto się do zakładania sadów handlowych (pierwszy wielki Zygmunt Kurtza, w Otwocku, nad jeziorem, od r. 1875 — 6). Rozrosły się też szkółki drzew ozdobnych, gdyż tworzone bardzo dużo ogrodów strojnych przy dworach, siedzibach bankierów, fabrykantów, kupców, Kwaciarsstwo też zaczęło iść śladem krajów zachodu, bo się wzmógł popyt na drogie nawet kwiaty.

¹⁾ Sierpiński: „Historyczny rys Lublina“.

Wielka wojna zniszczyła niektóre z tych prac dokonanych, zwłaszcza w zakresie zdobnictwa i kwiaciarstwa, ale powołała do życia polskie nasiennictwo. Powstały też liczne powidlarnie, a warzywa zaczęto uprawiać w polu, na wielką skalę.

A przed samą wojną narodów, otwarto przy Wolnej wszechnicy polskiej, w Warszawie, staraniem paru postępowych ogrodników, Wyższą szkołę ogrodniczą, w r. 1913, która istnieć przestała w r. 1922, gdy zastąpił ją wydział ogrodniczy państwowej Szkoły głównej gospodarstwa wiejskiego.

Odtąd ogrodnictwo, uznane za równorzędne z rolnictwem i leśnictwem, kroczyć będzie razem po drodze postępu, z temi zawodami, a wyuczeni i uczeni ogrodnicy, nadadzą mu właściwy rozwój i będą pracowali nad jego bezustannem doskonaleniem, na pożytek odrodzonej Polski.



K O N I E C.



80934

K S I A Ź K I EDMUNDA JANKOWSKIEGO.

1. **Sad i ogród owocowy.** Wydanie V, gotowe do druku.
- *2. **Sad przy chacie.** Wydanie VIII.
3. **Kwiaty naszych ogrodów,** II wydania.
4. **Kwiaty naszych mieszkań,** II wydania.
5. **Krzew winny,** II wydania.
- *6. **Ogród wiejski,** III-ie wydanie.
- *7. **Dla Ogrodników,** wydanie III.
- *8. **Ogrody na piasku,** II wydania.
- *9. **Ogród przy szkole,** II wydania.
- *10. **Drzewa przy drogach,** III wydania.
- *11. **Małe ogródki.**
12. **Wrogi Sadów.**
13. **Ogródki Robotników.**
14. **Ogrodnictwo przemysłowe.**
- *15. **Ogródek przy chacie.**
16. **Gospodarka ogrodowa.**
- *17. **Zadrzewienie miast naszych.**
18. **Owoce.**
19. **Wady naszych sadów.**
20. **Zużytkowanie nieużytków.**
21. **Ogrody polne.**
22. **Dobre rady co do sadów.**
- *23. **Zasilanie ogrodów i roślin ogrodowych nawozami,** wyd. III.
24. **Dzieje Ogrodnictwa w Polsce.**
25. **Dzieje ogrodnictwa powszechnego,** 2 duże tomy, z wieloma rycinami.
26. **Ogrodnictwo Społeczne.**
27. **Wspomnienia ogrodnicze.**
- *28. **Korzyści z sadów,** Wydaw. M. R. i D. P.
29. **Ogólna hodowla roślin.**

W RĘKOPISACH, GOTOWE DO DRUKU:

Oznaczone * są do nabycia w Składzie Nasion „Ogrodnik Polski”
Warszawa, Warecka 14 i w księgarniach.

ZA DZIEŁA TE OTRZYMAŁ AUTOR
DYPLOMY HONOROWE
NA KILKU WYSTAWACH MIĘDZYNARODOWYCH I PARU KRAJOWYCH